

BIURO  PODRÓŻY  
SAMOTNYCH SERC



KATY  
COLINS

Katy Colins

**Biuro Podróży Samotnych Serc**

Kierunek: Indie

Tłumaczenie:  
Maria Zawadzka

Pierwszą książkę, *Opowieść psa*, Katy napisała już jako jedenastolatka. Wymyślona przez nią historia spotkała się z bardzo ciepłym przyjęciem... recenzentami młodej pisarki zostali dziadek i nauczycielka angielskiego. Ich pochwały zachęciły ją do dalszych prób.

Jako dziennikarka publikowała w „Company” i „The Daily Star”. Po jakimś czasie postanowiła zmienić coś w swoim życiu i zajęła się PR-em. Potem jednak zdecydowała się na dużo odważniejszy krok: sprzedała wszystko i wyruszyła w samotną podróż po południowo-wschodniej Azji. Tam miała wreszcie czas, żeby zająć się spisywaniem swoich refleksji. Te doświadczenia stały się dla niej prawdziwą inspiracją. Dzięki nim powstała jej debiutancka powieść: *Kierunek: Tajlandia*, pierwsza książka z serii *Biuro Podróży Samotnych Serc*.

Kiedy Katy nie pisze o miłości, podróżach i przygodach, uwielbia jeździć po świecie, spędzać czas z rodziną i przyjaciółmi oraz wmawiać sobie, że jej uzależnienie od ciastek nie wymknie się spod kontroli – przynajmniej na razie.

Więcej informacji o Katy, jej książkach i podróżach znajduje się na prowadzonym przez nią blogu [www.notwedordead.com](http://www.notwedordead.com) oraz na Twitterze @notwedordead

*BIURO PODRÓŻY SAMOTNYCH SERC*

**Kierunek: *Tajlandia***

**Kierunek: *Indie***

W przygotowaniu:

**Kierunek: *Chile***

*Kochanie, nie pozwolę Ci upaść,  
bo wiem, że potrafisz latać.  
Isobel, to dla Ciebie.*

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

### Mętlik, czyli chaos i zamieszanie

Najpierw usłyszałam zgrzyt klucza w zamku. Potem rozległy się chrzęst i chrobot, które oznaczały, że klucz został wprawiony w ruch.

Cholera. Znowu to zrobiłam.

Błyskawicznie podniosłam głowę. Jeszcze przed chwilą za poduszkę służyła mi klawiatura własnego laptopa. Na policzku miałam odcisnięte litery QWERTY. Przetarłam dłonią zmęczone oczy, najprawdopodobniej jednym sprawnym ruchem rozsmarowując sobie resztki czarnego tuszu po całej twarzy. Drzwi się otworzyły. Usłyszałam dźwięk dzwonka i w jednej chwili rzuciłam się pod biurko, uderzając przy tym o metalową nogę własnego krzesła. Krzywiąc się z bólu, podciągnęłam kolana pod brodę. Miałam nadzieję, że stanie się cud. Oby tylko nie zauważył butów, które porzuciłam tuż przy biurku.

Słyszałam jego ciężkie, stawiane powoli kroki. Szedł po podłodze wyłożonej płytkami, które poprzedni właściciel postanowił sprowadzić z Maroka. Dawniej wiatr smagał je piaskiem niesionym znad pustyni, a dziś mogły liczyć tylko na kurz i błoto rodem z Manchesteru. Były piękne, ale cholernie trudno się je czyściło. W pewnej chwili w pomieszczeniu rozległo się gwizdanie. Rozpoznałam tę melodię – pochodziła z serialu, o którym wszyscy teraz mówili, a ja nie miałam nawet czasu, żeby usiąść przed telewizorem. W myślach wymierzyłam sobie siarczysty policzek. Tak, sama byłam sobie winna. Na własne życzenie znów znalazłam się w takim położeniu. Niezależnie od tego, co już się wydarzyło, wiedziałam jedno: zrobię wszystko, żeby nie zdołał mnie tu znaleźć.

W pewnym momencie przestałam słyszeć odgłos jego kroków. Wstrzymałam oddech. Z miejsca, w którym się teraz znajdowałam, mogłam obserwować eleganckie brązowe buty. Dostrzegłam je w witrynie pobliskiego sklepu podczas styczniowych wyprzedaży i od razu wiedziałam, że okażą się idealne.

Czubki tych butów zwracały się teraz w moją stronę. Myślałam tylko o tym, żeby nie zdradził mnie żaden dźwięk. Gwizdanie ucichło, a po chwili usłyszałam głębokie westchnienie. Dlaczego przestał się poruszać? Serce mało nie wyskoczyło mi z piersi. Znowu to zrobiłam. Za ten cały absurd mogłam winić tylko siebie. Wtedy zauważyłam, że znowu ruszył. Jego nogi zbliżały się do mojego biurka, ale ktoś nagle otworzył drzwi.

– Wszystko okej? – Ciszę panującą w pomieszczeniu przerwał ochryply głos Kelli. Każdego ranka brzmiała podobnie.

– Witaj, Kel. Zapomniałaś wczoraj wyłączyć światło przed wyjściem? – zapytał.

Usłyszałam niechętny pomruk Kelli i wyobraziłam sobie, jak przewraca oczami, po czym posyła mu najbardziej sarkastyczne spojrzenie, jakim dysponowała. Miała to opanowane do perfekcji.

– Co? Nie, to nie ja. Wysłałam przecież przed Georgią.

Głośno ziewnęła. Zobaczyłam jej brudne, mocno zaniedbane conversy. Ich sznurówki były kiedyś białe, ale teraz pokrywała je gruba warstwa brązowego osadu. Pomyślałam, że naprawdę muszę się wreszcie wziąć do tej podłogi – kolejny punkt na mojej wiecznie wydłużającej się liście rzeczy do zrobienia. Może wypożyczę jeden z tych wypasionych odkurzaczy parowych? Dałabym głowę, że mama wygrała kiedyś coś takiego podczas gry w bingo. Georgia, skup się. Skup się, bo nikt nie może cię teraz zauważyć. Zebrałam się w sobie i jeszcze raz napięłam wszystkie mięśnie. Nie dość, że przez całą noc garbiłam się nad laptopem, to jeszcze zupełnie niespodziewanie poczułam w nogach tysiące ukłuc.

– Aha, okej – powiedział Ben. Jego buty zniknęły mi z pola widzenia. – Możesz zgasić lampkę Georgii? Porozmawiam z nią, kiedy wróci – dodał.

Cholera. Zapomniałam zgasić światło.

– W porządku – odpowiedziała Kelli, pochylając się nad biurkiem. Jej stopy znalazły się tuż przy moim fotelu. Miała na sobie sprane dżinsy z przetarciami, a spod kilku rozdarć widać było bladą skórę. – Czy ona nie może sama gasić swoich cholernych lamp? – wymamrotała pod nosem, wyciągając rękę w stronę blatu.

Zacisnęłam powieki. Jak ja się stąd wydostanę? Przecież nie ma szans, żeby któreś z nich mnie nie zauważyło.

– Cholera. Mleko się skończyło. Poszłabyś po kawę? – Wszystko wskazywało na to, że Ben zdołał dotrzeć do niewielkiej kuchni, znajdującej się w tylnej części pomieszczenia.

– Okej – mruknęła Kelli, zrzucając na podłogę jedno z moich piór.

– Ostrożnie – napomniął ją Ben. – Nie zrób jej bałaganu na biurku.

– No tak, oboje wiemy, że ma na tym punkcie obsesję – zachichotała Kelli.

– Jest po prostu dobrze zorganizowana. To miałaś na myśli, prawda? – Ton głosu Bena wskazywał, że wypowiadając te słowa, szeroko się uśmiechnął.

– Hm, moim zdaniem jest raczej kompletną wariatką i wiecznie się rządzi – wymamrotała Kelli.

– Słucham?

– Nic, nic. Mówię tylko, że postaram się uważać, żeby nie narobić bałaganu.

Nie byłam żadną wariatką i w ogóle się nie rządziłam. Po prostu lubiłam utrzymywać porządek. Lubiałam mieć wszystko pod kontrolą i chciałam wiedzieć, że nasze sprawy idą zgodnie z planem... Więc to prawda, starałam się unikać

chaosu. Zresztą Kelli też by to nie zaszkodziło, pomyślałam ze złością.

Szczupła ręka zanurkowała po pióro. Dłoń Kelli dotknęła podłogi dosłownie kilka centymetrów od mojej stopy, po chwili zobaczyłam włosy z niebieskimi pasemkami... a w końcu także jej twarz. Kelli spojrzała na mnie przekrwionymi oczami i zawołała:

– Och!

Skrzywiłam się i przycisnęłam palec do ust.

– Co? – zapytał Ben.

Potrząsnęłam głową i wskazałam blat biurka. Kelli uśmiechnęła się, po czym się wyprostowała.

– Nic. Po prostu... znalazłam zszywacz, którego od dawna szukałam. – Jej stopy zniknęły mi z pola widzenia. – Wiesz co, lepiej, żebyś to ty skoczył po kawę. Mam trudne dni i nie powinnam wychodzić na mróz.

Stłumiłam śmiech. Dobra robota, Kelli: każda kobieta wie, że jeśli chcesz się od czegoś wymigać, najlepiej wspomnieć o okresie. Natychmiast spłoszysz każdego faceta.

Wyobraziłam sobie, jak Ben oblewa się uroczym rumieńcem.

– No tak. Jasne – wyjąkał. – Nie ma problemu. Po prostu... hm... weź się do pracy, a ja pójdę po kawę.

Kelli teatralnym gestem opadła na stojący przy biurku fotel.

– Dzięki, Ben. Naprawdę to doceniam. Obiecuję, że sama to zrobię, kiedy skończy mi się okres.

Usłyszałam szelest materiału. Ben musiał coś na siebie wkładać. Potem rozległ się dźwięk dzwonka i drzwi się otworzyły. Zaraz potem trzasnęły znowu, kiedy je zamykał. Rozejrzałam się po pokoju. Chciałam się upewnić, czy droga wolna.

– W porządku. Wyszedł – uspokoiła mnie Kelli, unosząc nogi w górę. Wypełzłam spod biurka i wygładziłam pogniecioną spódnicę. – Znowu tu spałaś?

– Nie wiem, jak to się stało. Pracowałam nad europejskimi wycieczkami i nagle obudził mnie Ben. On nie może mnie zobaczyć w takim stanie. Nie po tym, co wydarzyło się ostatnio. – Na samo wspomnienie tamtej sytuacji obie się skrzywiłyśmy.

Kilka tygodni temu też przesadziłam z pracą. Znowu wzięłam na siebie za dużo. Przygotowywałam właśnie prezentację dla biura podróży, z którym chcieliśmy nawiązać współpracę. Siedziałam nad tym tak długo, że w końcu zasnąłam przed monitorem. Rano zjawił się Ben. Próbował mnie obudzić, a wtedy gwałtownie się poderwałam i potrąciłam kubek pełny zimnej herbaty. Wylała się na mój laptop. Laptop, na którego dysku zapisane były wszystkie nasze materiały. Pracowaliśmy nad nimi w pocie czoła. Nie muszę chyba dodawać, że nie zrobiłam wcześniej kopii zapasowych i cała robota poszła na marne. Informatycy nie zdołali

odzyskać żadnych danych. Ben przyjął to ze stoickim spokojem: wzruszył ramionami i oznajmił, że to będzie lekcja na przyszłość, a teraz musimy skupić się na tym, żeby zabezpieczać każdy ważniejszy plik. Mimo to wiedziałam, że był naprawdę wściekły.

Kiedy zakładaliśmy biuro podróży, wyobrażałam sobie to wszystko zupełnie inaczej. Oczywiście wiedziałam, że będziemy musieli harować całymi dniami, ale jednocześnie wierzyłam, że praca będzie przyjemna i inspirująca. Wieczorami mieliśmy mieć czas zarezerwowany na pieszczoty w łóżku. Nie zdawałam sobie sprawy, że prowadząc wspólny biznes, tak się od siebie oddalimy. Zamiast przygód łóżkowych przeżywaliśmy teraz głębokie rozczarowanie.

Zerknęłam na wiszący na ścianie zegar. Minęła dziewiąta. Wiedziałam, że nie zdążę dotrzeć do domu i przebrać się na tyle szybko, żeby nie wzbudzić podejrzeń Bena. Mogłam tylko wygładzić pogniecioną spódnicę i liczyć na to, że nie zauważy, że od wczoraj nie zmieniłam stroju. Włożyłam czarne, porysowane buty na obcasach, popędziłam do łazienki i zaczęłam robić porządek z koszmarnym ptasim gniazdem, które chwilowo uformowało się na mojej głowie.

– Jeśli chcesz, mogę ci pożyczyć jakieś kosmetyki! – zawołała za mną Kelli.

Spojrzałam w lustro. Przekrwione, opuchnięte oczy, ziemista cera, osad na zębach... Postanowiłam skorzystać z tej propozycji. Po chwili z malującej się na mojej twarzy nocy żywych trupów zaczęły przebijać pierwsze promienie wschodzącego słońca. Policzki skryły się pod grubą warstwą pudru, ratowały mnie też czerwona szminka i grube kreski pod oczami. Nie byłam pewna, czy rzeczywiście można w tym przypadku mówić o progresie, ale przynajmniej ślady tej koszarnej nocy zostały skutecznie zatarte. Zmarszczki zniknęły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Zostały jeszcze włosy: zmierzwione i splątane strąki rozpaczliwie domagały się natychmiastowej interwencji. Nie potrafiłam sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz pojawiłam się w salonie fryzjerskim.

– Masz, spróbuj je upiąć. – Kelli podała mi kilka spinek.

– Dzięki, Kel. Ratujesz mi życie. – Wzięłam od niej spinki, uśmiechnęłam się, po czym zaczęłam pospiesznie odgarniać kosmyki z twarzy.

– Nie ma sprawy, szefowo. Ja... z tą wariatką to nie mówiłam poważnie. – Nerwowo pokręciła nogą.

– Nie wiem, o czym mówisz. – Uśmiechnęłam się porozumiewawczo. Obie podskoczyłyśmy, kiedy zadzwonił dzwonek w drzwiach.

– Kel?! – zawołał Ben. – Nie mieli twojej ekstradujej latte na podwójnym espresso z odłuszczonego mlekiem, więc wziąłem ci normalną kawę z ekspresu przelewowego. Najwyraźniej przychodzi do nich ktoś o imieniu Heyli i stąd całe zamieszanie.

– Super, dziękuję.

– Jest już Georgia? Czemu leży tu jej płaszcz? – Usłyszałam szelest:



najwyraźniej podniósł płaszcz, który cisnęłam w pośpiechu na podłogę.

– Hm, no cóż... – wymamrotała Kelli.

– Jestem! – Wyszłam z łazienki. Staralam się sprawiać wrażenie tak wypoczętej i pełnej energii, jak tylko mogłam. – Przepraszam, biegłam do toalety.

– O, witaj – powiedział Ben. Wydawał się nieco zaskoczony moim nowym wizerunkiem. – Eee... ładnie dziś wyglądasz. Proszę, przynajmniej twojego zamówienia nie pomylili.

– Dzięki. – Zarumieniłam się i usiadłam przy biurku. Usiłowałam zachowywać się tak swobodnie, jak tylko potrafiłam. Z wdzięcznością przyjąłam gorącą kawę, ignorując jego pełną zdziwienia minę i uniesione brwi. Najwyraźniej próbował się zorientować, co dokładnie zmieniło się w moim wyglądzie. – To co, gotowi na zebranie?

– Tak. – Ben ruszył do swojego biurka.

O niezwykle istotnej roli zebrań pisali wszyscy autorzy podręczników dla menadżerów, które ściągnęłam sobie na iPhone'a. Słuchając tych audiobooków, mogłam się przynajmniej odizolować od wrzeszczących dzieciaków, jeżdżących co rano do szkoły. Głosy z kolejnych nagrań powtarzały do znudzenia, że zebrania są szczególnie ważne, bo pozwalają kontrolować ustalony podział zadań i sposób, w jaki wywiązują się z nich poszczególni pracownicy. Dzięki nim można też stale monitorować działania w firmie, a dodatkowo podczas zebrań powstają sprzyjające warunki do zacieśniania relacji w obrębie zespołu... czy coś w tym stylu. Z trudem podążałam za monotonnym głosem recytującym *1001 sposobów na sukces w biznesie*, kiedy jakieś pryszczate nastolatki puszczały w tle kawałki Justina Biebera.

Pamiętam, że gdy po raz pierwszy przedstawiłam Kelli i Benowi propozycję organizowania cotygodniowych zebrań, to z trudem powstrzymywali się od śmiechu. Ich zdaniem po prostu nie były nam potrzebne. Pracowaliśmy przecież tylko we trójkę, a poza klientami odwiedzała nas jedynie matka chrzestna Bena, poprzednia właścicielka biura, Trisha. Mimo to nie zamierzałam odpuścić. Nasz zespół był jak żongler, który musi utrzymać wszystkie kręgle w powietrzu – a ja dbałam o to, żeby to, czym przyszło nam żonglować, nie runęło nagle na podłogę.

– Kel? Jesteś gotowa?! – zawołałam.

– Tak. – Sięgnęła po notatnik i usiadła na brzegu kanapy, po czym uniosła nogi i ułożyła je na jednej z poduszek, całkowicie ignorując moje pełne dezaprobaty spojrzenie.

– Świetnie, w takim razie... – W tym momencie przeniosłam wzrok na listę spraw do załatwienia, powtarzając sobie w myślach, że muszę tam dodać jeszcze kilka punktów. Chodziło między innymi o parowe czyszczenie podłogi i zapasowy komplet ubrań, który miałabym zawsze ukryty pod biurkiem. Tak na wszelki wypadek. – Dostaliśmy wreszcie materiały graficzne do letniej kampanii.

Przesłałam je wam, ale ponieważ sprawa była pilna, nie mogłam czekać, aż je zaakceptujecie. Wiercie mi, wszystko wygląda naprawdę super. W tym tygodniu musimy dopiąć wycieczkę na Islandię. Kelli, będziesz pamiętała, żeby przekazać przewodnikowi numery paszportów? – Pokiwała głową. – Właściwie sama mogę to zrobić, to zajmie dosłownie minutę. Powinniśmy też rozesłać uczestnikom zaktualizowaną trasę. Już zaczęłam nad tym pracować, więc najlepiej będzie, jeśli to skończę – dodałam, odhaczając kolejny punkt na liście.

Zignorowałam pełne zdziwienia spojrzenie Bena i zajęłam się następnymi sprawami.

– Okej, teraz kolej na wycieczkę do Indii, która zaczyna się za parę tygodni. Jak wiecie, to jeden z naszych bestsellerów, więc powinniśmy się do tego przyłożyć. Popyt jest duży, ale uważam, że powinniśmy się zastanowić, czy warto dalej korzystać z usług firmy załatwiającej wizy.

– A czemu nie? – zapytał Ben.

– No cóż, wydaje mi się, że wszystko szłoby sprawniej, gdybyśmy załatwiali to sami, bez pośredników. Podobno warto optymalizować koszty. – Oboje unieśli brwi. Byli wyraźnie zaskoczeni. – Przyjrzę się tej sprawie...

– Georgio... – przerwał mi Ben.

– Tak? – Podniosłam wzrok znad listy.

– Czy jest coś, co chciałabyś powierzyć Kelli albo mnie?

– Och, no tak, przepraszam – odpowiedziałam, lekko zawstydzona. – Kel, czy mogłabyś zorganizować parownicę? Tym kafelkom przydałoby się porządne czyszczenie. – Liczyłam na to, że nie zdoła schrzanić tak prostego zadania. – A ty, Ben, i tak masz mnóstwo roboty przy Konferencji Przemysłu Turystycznego, do tego dochodzą jeszcze poprawki materiałów zamieszczonych na stronie internetowej. W zeszłym tygodniu miałeś już zakończyć dział „Aktualności”... no i... no cóż, nadal nic się tam nie pojawiło.

– Poprosiłaś mnie o to wczoraj, a nie w zeszłym tygodniu – zaprotestował, marszcząc brwi.

– Och, naprawdę? Boże, to było wczoraj? No nic, tak czy inaczej trzeba się tym zająć.

– Nie ma sprawy – odpowiedział, mrugając do mnie w taki sposób, że poczułam trzepot w brzuchu.

Odchrząknęłam, przywołując się do porządku.

– Dzięki. Ostatnia sprawa: pomyślałam, że dobrze by było, gdyby każde z nas nauczyło się nowego języka. Co o tym myślicie? Może zorganizujemy sobie jakieś lekcje w porze lunchu czy coś w tym stylu? Dzięki temu przyciągnęlibyśmy nowych klientów i budowałibyśmy lepsze relacje z zagranicznymi przewodnikami.

Podniosłam wzrok, ale ich miny świadczyły o tym, że nie podzielają mojego entuzjazmu.

– Może na razie to odłożymy? – zapytał łagodnie Ben, starając się nie wybuchnąć śmiechem, kiedy Kelli ziewnęła z teatralną przesadą.

– Dobrze, wrócimy do tego za jakiś czas. Czytałam, że mandaryński jest już najbardziej rozpowszechnionym językiem na świecie, więc uważam, że powinniśmy się niedługo do tego zabrać. Aha, jeszcze jedna sprawa. Zorganizowałam spotkanie z Hostel Planners pod koniec tygodnia. Zobaczymy, czy uda nam się nawiązać z nimi współpracę przy niektórych wycieczkach.

– Nic o tym nie wspominałaś – zauważył Ben. Nasze spojrzenia się skrzyżowały. W jego dużych brązowych oczach dostrzegłam zaskoczenie, a na twarzy malowało się lekkie rozczarowanie.

– Dowiedziałam się o tym dziś rano. A właściwie wczoraj wieczorem – wyjąkałam.

– Chcesz, żebym poszedł z tobą na spotkanie? Georgio, lista twoich obowiązków zrobiła się strasznie długa, najlepiej, żebyśmy podzielili się zadaniami. – Przechylił głowę i przyjrzał mi się z uwagą.

– Mam wszystko pod kontrolą. Zaufaj mi. – Uśmiechnęłam się bez przekonania. Staralam się unikać wzroku Kelli, bo wiedziałam, co wyczytałam w jej oczach. Doskonale wiedziała, że mijam się z prawdą.

– Jesteś pewna? – Ben nie odpuszczał.

– Tak, jestem pewna – powtórzyłam. Ponieważ powiedziałam to nieco ostrzej, niż zamierzałam, dodałam szybko łagodniejszym tonem: – Przepraszam. Myślę, że masz dość roboty z konferencją. Jak ci idzie pisanie wystąpienia? Chcesz z nami poćwiczyć? Gdybyś przesłał mi tekst, mogłabym go sprawdzić przed wyjazdem. – Liczyłam, że zabrmi to jak propozycja życzliwej koleżanki z pracy, a nie słowa wariatki, która za wszelką cenę chce mieć nad wszystkim kontrolę.

– Wszystko w porządku. – Ben szeroko się uśmiechnął i postukał się palcem w czoło.

– Ale spisałeś treść swojego wystąpienia?

Ben uśmiechnął się i niefrasobliwie machnął ręką.

– Wszystko będzie dobrze.

Nic nie przygotował. Zawsze powtarzał, że woli improwizować, ale na samą myśl o tym ogarniało mnie przerażenie. Pokiwałam głową i dodałam do swojej listy punkt: *Napisać przemówienie Bena*. Zamierzałam dyskretnie wsunąć mu je do kieszeni, na wypadek gdyby z jakiegoś powodu okazało się potrzebne – nie miałam wątpliwości, że tak właśnie się stanie. Jeszcze mi podziękuje.

– No dobrze, czy ktoś ma coś jeszcze do dodania?

Ben potrząsnął głową, ale Kelli uniosła chudą rękę.

– To nie ma związku z pracą, ale mój zespół gra jutro wieczorem w klubie Academy.

– Wow, to niesamowite! – zawołał Ben.

Kelli zarumieniła się.

– Nie, nie chodzi o prawdziwe Academy. To nieduży lokal w Rusholme, nad indyjską knajpą. No, ale koncert to koncert. Chyba. – Zamilkła na chwilę. – Pomyślałam, że może mielibyście ochotę wpaść. Wpiszę was na listę gości. Przyjdźcie, jeśli nie będziecie zbyt zajęci. Co wy na to? – Przygryzła dolną wargę.

– Jasne, że przyjdziemy. Prawda, Georgio? – odpowiedział Ben, posyłając mi znaczące spojrzenie. Przeglądałam właśnie kalendarz w telefonie.

– Nie wiem, czy to wasz klimat, ale drinki są tanie, a każdy, kto przyjdzie, dostanie dziesięć procent zniżki, curry i darmowe papadamy.

– Georgia? Co ty na to? – nalegał Ben.

– Dobra, w porządku, przyjdziemy – odpowiedziałam w roztargnieniu, posyłając im wymuszony uśmiech. – Okej, a teraz wracajmy do pracy.

Ostatecznie ten dzień okazał się całkiem udany – oczywiście jeżeli pominąć dramatyczny i daleki od jakiegokolwiek definicji profesjonalizmu poranek. Odwiedziło nas czterech klientów, którzy od razu zdecydowali się na zakup wycieczek, a poza tym było jeszcze sześciu, którzy wzięli stos prospektów i folderów reklamowych – wydawało się, że to tylko kwestia czasu, kiedy wrócą i zdecydują się wpłacić zaliczki. Kończyłam właśnie pisać e-maile, kiedy zadzwonił telefon. Mama.

– Cześć, mamó, jestem trochę zajęta. Mam masę roboty – rzuciłam pospiesznie.

– Zawsze to mówisz – cmoknęła z dezaprobatą, a ja przewróciłam oczami. – No cóż, nie będę ci przeszkadzać, chciałam się tylko upewnić, że pamiętasz o dzisiejszym spotkaniu.

Spotkaniu? Zaczęłam nerwowo odtwarzać w myślach listę spraw do załatwienia. Jakie spotkanie ma na myśli?

– Hm... Tak. Wszystko pod kontrolą – skłamałam.

Mama odetchnęła z ulgą.

– Świetnie. Tata jest strasznie podekscytowany. Nie może się doczekać, aż cię zobaczy. Przeczekamy godziny szczytu i ruszymy. Wiesz, że on nie znosi prowadzić, kiedy po drogach krążą wszyscy ci szaleńcy – paplała. – Na którą zarezerwowałaś stolik?

Nagle wszystko sobie przypomniałam. Szybko zajrzałam do kalendarza, żeby upewnić się, czy moje przypuszczenia są słuszne. No tak. Cholera. Zapomniałam o urodzinach taty. Wiele tygodni wcześniej obiecałam mamie, że zamówię nam na dzisiejszy wieczór stolik w eleganckim francuskim bistro Chez Laurent, którym zachwycała się cała śmietanka towarzyska Manchesteru. W takich miejscach przyjmowano zwykle rezerwacje z ogromnym wyprzedzeniem.

– Eee, na dziewiątą – skłamałam.

– Idealnie. No dobrze, w takim razie nie będę ci już dłużej zawracała głowy.

Do zobaczenia wieczorem, kochanie.

Pożegnałam się i zakończyłam połączenie. Z nerwów poczułam gwałtowny skurcz w brzuchu. Natychmiast porzuciłam pracę, znalazłam numer restauracji i zaczęłam się modlić, żeby stał się cud i żeby ktoś w ostatniej chwili odwołał rezerwację.

Ale cud nie nastąpił.

Nadęta kelnerka mówiąca ze sztucznym francuskim akcentem poinformowała mnie, „sze to pophostu niemoszlife”.

Postanowiłam skoncentrować się na szukaniu w internecie innego rozwiązania. Moja praca zeszła na dalszy plan. A przecież mogłam tego uniknąć. Ustawiłam sobie nawet przypomnienia w telefonie i w poczcie, ale ilekroć przychodziło powiadomienie, anulowałam je, bo miałam akurat na głowie coś bardzo ważnego. Mogłam winić tylko siebie. Pod koniec zeszłego roku tata wiele przeżył – niewiele brakowało, żebyśmy go straciły – i zależało mi na tym, żeby urządzić mu wspaniałe urodziny. Westchnęłam, po czym skarciłam się w myślach za to, że jestem taką okropną córką.

We wszystkich najlepszych pięciogwiazdkowych restauracjach albo były już komplety, albo nikt nie odbierał telefonu, albo oferowano stolik na piątą po południu i to najwcześniej za dwa tygodnie. Sytuacja stawała się coraz poważniejsza. Obawiałam się, że będę musiała zarwać kolejną noc, żeby nadrobić czas, który właśnie traciłam.

Głośno westchnęłam.

– Wszystko okej, Georgio? – zapytał Ben.

– Nie znasz przypadkiem jakiegoś szefa kuchni z gwiazdką Michelina, który mógłby dziś wieczorem ugotować dla mnie kolację? – zapytałam, ukrywając twarz w dłoniach.

– Słucham?

– Dzisiaj są urodziny mojego taty. Obiecałam, że zabiorę go na kolację do eleganckiej restauracji, ale kompletnie o tym zapomniałam i nie zarezerwowałam stolika – jęknęłam.

Kelli podniosła wzrok znad usłanego papierami biurka.

– Mój kumpel Lepki Shaun pracuje w TGI Fridays. Może spróbuję załatwić ci tam miejsce? Chociaż nie, cholera, on ma tę ksywę nie bez powodu.

Ben skrzywił się i spojrzał na mnie.

– A może zmienisz plan i sama coś dla nich ugotujesz?

Roześmiałam się.

– Chcę urządzić tacie fajne urodziny, nie zamierzam go zabić. Pamiętasz, jak mi szło gotowanie w Tajlandii?

Mój umysł zalały obrazy z rozgrzanej, pełnej pary i zapachu przypraw kuchni w Koh Lanta. Lekko się zarumieniłam, przypominając sobie, jacy byliśmy

sobie wówczas bliscy. Wtedy głęboko wierzyłam, że po takim czasie wydarzy się w naszym życiu coś więcej niż tylko wymiana świątecznych prezentów i wspólne rozmowy o biznesie utrzymane w koleżeńskej atmosferze, ale obliczonej przede wszystkim na dążenie do konkretnych celów.

Ben uśmiechnął się na samo wspomnienie tamtych chwil.

– No tak, może rzeczywiście zabierz ich do restauracji.

Postanowiłam ponownie zabrać się do pracy, żeby dłużej nie myśleć o tym wszystkim, co dotychczas nie wydarzyło się między nami – kiedy nagle Ben zawołał:

– Czekaj, czy nie byłaś przypadkiem na jakiejś imprezie branżowej w Verde, tej nowej włoskiej knajpie? Mogłabyś tam zadzwonić i zapytać, czy nie zdołaliby cię gdzieś wepchnąć.

– Genialny pomysł! Dziękuję. – Zaczęłam pospiesznie przerzucać stos wizytówek leżących na moim biurku. Przy okazji postanowiłam, że muszę wreszcie zabrać się do porządków. I wtedy przypomniał mi się tamten koszmarny wieczór w Verde: seria nudnych jak flaki z olejem prezentacji w PowerPoint, które sprawiły, że mój mózg od razu się wyłączył. Skupiłam się na kwiatkach i kasztanowych detalach. Resztę tej zdającej się nie mieć końca imprezy spędziłam, rozważając, czy powinniśmy zdecydować się w biurze na podobny kolor.

W końcu znalazłam wizytówkę Luigiego, menadżera restauracji, rzeczowego Włocha z naželowanymi i zaczesanymi do tyłu włosami, pachnącego ciężkim, piżmowym płynem po goleniu. Kiedy opowiedziałam mu o jednej z oferowanych przez nas włoskich wycieczek, koniecznie chciał udzielić mi kilku rad dotyczących najlepszych miejsc do zwiedzenia w Rzymie. Pięć minut później miałam już zarezerwowany stolik dla trzech osób na dziewiątą wieczorem. Bingo. Może jeszcze uda się wyjść z tego wszystkiego obronną ręką.

## ROZDZIAŁ DRUGI

### Rozczarowanie, czyli porzucenie złudzeń

– Bardzo tu elegancko, prawda?! – zawołała mama, sięgając po porcelanową solniczkę i pieprzniczkę, stojące na wykrochmalonym obrusie. – Ale czy nie mieliśmy pójść do tej francuskiej restauracji? Viv nieustannie o niej mówi. Jej syn Adam zabrał ją tam podczas którejś ze swoich wizyt w Londynie. Słyszę o ich przeklętym crème brûlée częściej niż o rwie kulszowej Viv. Uwierz mi, że to spore osiągnięcie.

– Opis rzeczywiście brzmiał zachęcająco. Opis ich puddingu, a nie bólu pleców Viv – zastrzegł tata.

– Próbowałam zamówić tam stolik, ale wszystko było zarezerwowane – wyjaśniłam, starając się nie zwracać uwagi na mamę, która wydeła z dezaprobatą wargi, dając do zrozumienia, że Adam jakoś zdołał zabrać tam swoją matkę. – Ale to miejsce jest podobno świetne. Słyszałam, że to najlepsza włoska restauracja w Manchesterze czy coś w tym stylu.

– Hm, trochę tu ciasno – zauważyła mama.

– A może raczej przytulnie? – Staralam się przedstawić wszystko w nieco bardziej pozytywnym świetle.

Luigi rzeczywiście zaoferował nam stolik, ale nie wspomniał, że będziemy ściśnięci jak sardynki za wielką rzymską kolumną, tuż przy toalecie. Ilekroć otwierały się drzwi, w apetyczny aromat czosnku i rozmarynu wdzierał się ostry zapach płynu do czyszczenia podłóg.

– No cóż, uważam, że to świetne miejsce. Nareszcie jakaś odmiana. Ileż razy można jeść kolację przed telewizorem, oglądając wiadomości i pochłaniając peklowaną wołowinę twojej mamy? – Tata zachichotał. Musieliśmy trochę poczekać, zanim zjawiała się nieco spłoszona kelnerka i przyjęła od nas zamówienie. Rumieniec na jej twarzy wskazywał, że kompletnie o nas zapomniała, a my, czekając na jej przyjście, staraliśmy się skupić na paluszkach chlebowych.

– A więc przyszłaś prosto z pracy, Georgio? – Mama wskazała mój ostrzejszy niż zwykle makijaż oraz nietypowy strój: pogniecioną spódnicę i poplamioną kawą i atramentem bluzkę, którą miałam na sobie już drugi dzień z rzędu.

– Tak, przepraszam. Zamierzałam wrócić do domu, ale...

– ...ale nie zdążyłaś – dokończyła za mnie, po czym westchnęła. – No cóż, miło cię wreszcie zobaczyć. Chociaż muszę przyznać, kochanie, że wydajesz się zmęczona i wymizerowana.

– Ja... hm, to chyba przez to, że próbowałam się dziś umalować trochę inaczej niż zwykle. Ale to nie mój styl – wymamrotałam, strzepując okruchy z kolan. – W każdym razie wszystkiego najlepszego, tato. – Uniosłam kieliszek z chianti i pocałowałam tatę w policzek. Poczułam jego charakterystyczny zapach: połączenie czystej pościeli i pomidorów. – Twój prezent przyjdzie pocztą – skłamałam. Właściwie skłamałam tylko w połowie: zamierzałam zamówić coś online, kiedy tylko wrócę do domu.

– Jedyne prezent, jakiego potrzebuję, to spotkanie z tobą. – Tata zmierzwił mi włosy. – A teraz opowiadaj, co u ciebie słychać. Całe wieki cię nie widzieliśmy, kochanie. Mam nadzieję, że się nie przepracowujesz?

– No wiesz, w każdym biznesie pierwszy rok jest najcięższy, ale nasze biuro podróży całkiem dobrze odnalazło się na rynku, udaje nam się trochę zarabiać. – Mrugnęłam, a po moim ciele rozlało się przyjemne ciepło. Po to przecież harowałam: chciałam mieć wyniki i móc się czymś pochwalić.

– To wspaniałe wieści. – Tata szeroko się uśmiechnął i stuknął kieliszkiem w mój kieliszek.

– A co poza pracą? Jacyś chłopcy na horyzoncie? Zawsze uważałam, że ty i Ben bylibyście uroczą parą. Z twoją inteligencją i jego ciemnobrązowymi oczami... wasze dzieci zostałyby supermodelami i geniuszami.

– Mamo! – Pospiesznie otarłam z brody kroplę wina.

– No co? – Niewinnie wzruszyła ramionami. – Nie możesz skupiać się wyłącznie na pracy, Georgio. Musisz pamiętać, że życie to również zabawa.

– Pamiętam. – Wydęłam wargi, powstrzymując jednocześnie odruch wymiotny, kiedy jakiś mężczyzna z nadwagą wyszedł z toalety i zaczął przeciskać się obok nas. – Teraz na przykład świetnie się bawię.

– Urodziny taty się nie liczą. Nie poznasz tu przecież mężczyzny swojego życia – zaprotestowała mama.

– W tej kwestii muszę przyznać mamie rację, kochanie. – Tata wskazał ruchem głowy męską toaletę, po czym głośno się roześmiał.

– Nie mam teraz na to czasu. – Machnęłam ręką. Liczyłam na to, że kelnerka zaraz przyniesie nasze dania i siłą rzeczy odwróci ich uwagę. Dzięki temu będę mogła przestać myśleć o tym, jak wielką porażkę poniosłam w każdej sferze życia, nie włączając w to oczywiście kariery zawodowej. Nie chciałam też, żeby to, co czułam do Bena, znowu zyskało status powszechnie znanej wiadomości. W ciągu ostatnich kilku miesięcy wiele energii włożyłam w to, żeby wszystko pozostawało w zamkniętym pudełku z napisem „nie otwierać”.

– Hm, po prostu się o ciebie martwimy, to wszystko – powiedziała mama, delikatnie głaszcząc moją dłoń. – Kiedy wróciłaś z Tajlandii, byłaś taka podekscytowana tym pomysłem na biznes. Bardzo się cieszę, że tak dobrze ci idzie. Naprawdę. – Westchnęła. – Ale musisz uważać, Georgio. Nie pozwól, żeby praca



zdominowała całe twoje życie.

Cofnęłam rękę, wypiliśmy duży łyk wina i uśmiechnęłam się.

– Mówiłam wam, wszystko w porządku.

Mama przez chwilę uważnie mi się przyglądała. Wreszcie uniosła brwi i wolno pokiwała głową.

– A co u Marie? Jak się miewa mały Cole? Całe wieki go nie widzieliśmy. Pewnie rośnie jak na drożdżach.

– Wszystko u nich w porządku... – zapewniłam, myśląc o mojej najlepszej przyjaciółce i jej synu. – Jakiś czas ich nie widziałam, ale wiesz, jak to jest. Marie ma swoje sprawy, a ja swoje. Zamierzam niebawem do niej zadzwonić.

– Przekaż jej pozdrowienia ode mnie i od taty.

– Dobrze. Obiecuję. Jak spędziłeś dzisiejszy dzień, tato? Dostałeś jakieś fajne prezenty? – zapytałam, starając się zmienić temat. Przy rodzicach stawałam się znowu tą nadąsaną nastolatką, która nie chciała rozmawiać o chłopakach. A zwłaszcza o jednym z nich.

– O tak. W tym roku twoja matka przeszła samą siebie i dostałam niesamowite radio cyfrowe. – Wokół jego oczu pojawiły się kurze łapki. – Powinnaś je zobaczyć, Georgie. Mogę słuchać stacji radiowych, o których istnieniu nie miałem nawet pojęcia. Co oni jeszcze wymyślą?

Opowiadał mi właśnie o programie poświęconym ogrodnictwu, prowadzonym przez niejakiego Wayne'a z Dorset, kiedy zadzwonił mój telefon.

– Przepraszam, muszę odebrać. Zaraz wracam. – Wstałam, usiłując nie uderzyć głową w belkę, pod którą przyszło nam siedzieć.

– Och, rozumiem, dobrze. – Tata ze smutkiem pokiwał głową.

Ponieważ nie mogłam nic usłyszeć, ruszyłam szybko do drzwi i po chwili opuściłam ciepłe, przytulne wnętrze restauracji. Uderzyło we mnie chłodne powietrze. Kompletnie zapomniałam, że umówiłam się na telefon z Danem Milliganem, szefem sprzedaży w czołowym czasopiśmie podróżniczym „Ruszaj w Drogę”. Zależało mi na nawiązaniu z nimi współpracy, bo zauważyłam, że nasza konkurencja zamieszczała tam wysmakowane reklamy na całą stronę. Nie zamierzałam być gorsza.

– Dobry wieczór. Mówi Georgia Green – starałam się wypaść jak najbardziej oficjalnie. Miałam nadzieję, że mój rozmówca nie usłyszy wyjących na ulicy syren.

– Witaj, Georgio, tu Dan. Dzwonię, bo jak wiesz, zamykamy dziś numer. Mam świetną ofertę, którą chciałem ci przedstawić.

Zaczął odtwarzać wyuczoną formułę, omawiając zasięg pisma, liczbę czytelników i inne wskaźniki, których nazwy niewiele mi mówiły. Wszystko to brzmiało oczywiście imponująco. Wreszcie zrobił dramatyczną pauzę, a po chwili oznajmił:

– A więc... ponieważ zależy nam na tym, by prezentować w czasopiśmie

nowe, obiecujące biura podróży, możemy zaproponować wam reklamę na pół strony albo na całą stronę... – kolejna dramatyczna chwila milczenia – ...z czterdziestoprocentową zniżką.

– Wow, to bardzo atrakcyjna propozycja. – Odchrząknęłam ze zdziwieniem.

Roześmiał się jak najgorszy tandeciarz, któremu przyszło prowadzić jakiś trzeciorzędny teleturniej.

– Chodzi o to, że sprawa jest naprawdę pilna. Musicie podjąć decyzję możliwie szybko. Drukarnia czeka.

– Chcesz, żebyśmy przesłali materiały jeszcze dzisiaj? Nie możemy się umówić na jutro? – Zerknęłam na zegarek. Musiałabym wyjść z kolacji urodzinowej taty, wrócić do biura i szybko coś przygotować. A do tego nie miałabym nawet czasu, żeby skonsultować to wszystko z Benem. Chyba mogą poczekać do rana, prawda?

– Nie da rady. Już i tak za długo zwlekałem, bo zależało mi na tym, żeby zaoferować ci tę zniżkę. Dostajecie reklamę właściwie za darmo!

Milczałam, rozważając jego słowa. Mimo zniżki nadal oznaczało to dla nas istotny wydatek, który mocno uszczupliłby budżet na promocję.

Najwyraźniej Dan wyczuł moje wahanie.

– Czadowi Włóczykije tylko czekają na mój telefon. Masz pierwszeństwo, ale jeśli nie skorzystasz z mojej oferty, rzucą się na nią, gdy tylko się rozłączymy.

Zwykle to Ben zarządzał budżetem na promocję, ale ta oferta wydawała się zbyt kusząca, żeby ją odrzucić. Oznaczało to, że będę musiała przeprosić tatę i wrócić do biura, ale wiedziałam, że to zrozumie. Wzięłam głęboki wdech.

– Dobrze, zrobmy to. Skorzystamy z tej oferty.

– Świetnie. Wykonam parę telefonów i oddzwonię, żeby wszystko potwierdzić. Kiedy już ustalimy szczegóły, będę potrzebował materiałów w ciągu godziny.

– Umowa stoi. – Uśmiechnęłam się i zakończyłam połączenie.

Straciłam poczucie czasu. Miałam gęsią skórę i szczękałam zębami z zimna, ale nie przejmowałam się tym, bo udało mi się załatwić dużą kolorową reklamę na całą stronę w najważniejszym czasopiśmie w całej branży. Nie mogłam się doczekać, aż opowiem o tym wszystkim Benowi. Okej, pewnie trochę się zdenerwuje, kiedy usłyszy, jak dużą część budżetu zdołałam wydać w ciągu pięciu minut, ale głęboko wierzyłam, że podjęłam właściwą decyzję.

Biuro Podróży Samotnych Serc radziło sobie coraz lepiej. Stworzyliśmy wycieczki dla samotnych osób ze złamanym sercem, które zamiast pograżać się w rozpacz, wołały zwiedzać świat razem z ludźmi o podobnym nastawieniu. Od listopada, kiedy otworzyliśmy biuro, poświęcałam pracy każdą chwilę i ledwo starczało mi czasu na jedzenie i spanie. Marzyłam o sukcesie. Wyglądało na to, że stał się cud i wszystko zmierzało we właściwym kierunku. Roztarłam zmarznięte

ręce i ruszyłam w stronę restauracji.

– Przepraszam. To trwało dłużej, niż myślałam... – Zamarłam, widząc pełną dezaprobaty minę mamy i rozczarowanie malujące się na twarzy taty. Zdażyli już zjeść, a moje spaghetti carbonara przekształciło się tymczasem w ohydną, stężalą breję.

– Nie mogliśmy dłużej czekać. – Mama zacisnęła wargi.

– Och, tak, oczywiście. Przepraszam – wymamrotałam, usiłując wbić widelec w zastygły sos. Zrobiło mi się niedobrze, więc odsunęłam talerz. – Powiedz lepiej, co jeszcze dostałeś na urodziny – zwróciłam się do taty.

– No cóż – odpowiedział, nie patrząc mi w oczy. – Chłopcy się złożyli i kupili mi nowe...

Nagle zadzwonił mój telefon. Tata zamilkł.

– Przepraszam. – Skrzywiłam się. – To nie potrwa długo. – Sięgnęłam po telefon i znowu wyszłam na dwór.

– Witaj, Georgio! – W słuchawce rozległ się radosny głos Dana. – Sprawa załatwiona!

– Wow... super. – Nie wiedzieć czemu poczułam gwałtowny skurcz w żołądku. Dlaczego się niepokoiłam? Przecież to była doskonała okazja. Nie mogłam pozwolić, żeby z oferty skorzystali ci cholerni Czadowi Włóczykije.

– Niestety, muszę dostać materiały w ciągu godziny. Dasz radę?

Pokiwałam głową.

– Tak. Zaraz się tym zajmę.

Rozłączyłam się i zaczęłam się zastanawiać, jak najszybciej dotrzeć do biura. Zamierzałam właśnie wrócić do środka, kiedy drzwi restauracji otworzyły się i na ulicę wyszli moi rodzice. Mieli na sobie płaszcze.

– Mamo? Tato? Dokąd się wybieracie?! – zawołałam, podbiegając do nich. – Nie zjedliśmy jeszcze deseru – dodałam, rozcierając skostniałe dłonie.

– Georgio, wracamy do domu. Przyszliśmy tu, żeby się z tobą spotkać, a nie gapić się w puste krzesło i wdychać smród z toalety – wycedziła mama. – Zapomniałaś, że dziś są urodziny taty? Nie rozumiesz, że zależało mu tylko na tym, żeby spędzić z tobą trochę czasu?

Spieszyło mi się, ale nie chciałam, żeby ten wieczór zakończył się w taki sposób. Poczułam skurcz w żołądku i oblałam się rumieńcem.

– Przecież przeprosiłam. Musiałam po prostu załatwić coś pilnego. Nie mogłam z tym czekać. Zaproponowano mi reklamę w „Ruszaj w Droge”, tym czasopiśmie podróźniczym, o którym wspominałam wam kilka tygodni temu. Pamiętacie?

Tata odchrząknął, po czym posłał mi niepewny uśmiech.

– To świetnie, kochanie. Przepraszam, że psuję nam wieczór, jestem po prostu trochę zmęczony. Wiesz, starzeję się. Może porozmawiamy innym razem?

Pokiwałam głową i przygryzłam wargę.

– Na pewno wszystko w porządku?

– Georgio, jest już późno. Musimy jechać do domu. Wracaj do pracy, niedługo się zobaczymy – powiedziała mama. Zapięła płaszcz i cmoknęła mnie w policzek.

– Zadzwońcie niebawem! No i wszystkiego najlepszego, tato! – zawołałam.

Zamierzałam właśnie wrócić do restauracji, żeby zapłacić rachunek, kiedy usłyszałam szept mamy:

– Widziałeś, jaka jest zmęczona? Mówię ci, to ją przerasta. Nie radzi sobie.

– Myślę, że musi się po prostu porządnie wyspać i zregenerować, Sheilo – zaprotestował tata.

– Hm, obyś miał rację. Ona naprawdę przesadza. Haruje jak wół i próbuje udowodnić wszystkim coś, czego wcale nie musi udowadniać. Po prostu się o nią martwię, Len.

– Wiem, ja też się martwię, ale da sobie radę, zobaczysz. W końcu należy do rodziny Greenów.

Ledwo doczołgałam się do restauracji. Czy naprawdę wszyscy widzieli we mnie kompletnego nieudacznika? Przecież radziłam sobie naprawdę dobrze. Po prostu świetnie.

## ROZDZIAŁ TRZECI

### **Pracoholik, czyli osoba, która rzuca się w wir pracy, zapominając o bożym świecie**

– Słyszałam, że to idealne miejsce dla ludzi takich jak ja. Postanowiłam przyjść, ale nie wiem, czy zdolicie mi pomóc – wyszeptała siedząca naprzeciw mnie kobieta, po czym znowu zaczęła łkać.

Metodycznie rozrywała chusteczkę higieniczną długimi, szczupłymi palcami, nawet nie zdając sobie sprawy z tego, co robi. Zdążyła już zasypać całą podłogę i własną spódnicę. Zwróciłam uwagę na jej starannie pomalowane paznokcie, których głęboka czerwień kontrastowała z bladymi, drżącymi dłońmi. Przypomniałam sobie, że kiedy znalazłam się w podobnej sytuacji, robiłam dokładnie to samo: uważałam, że jeśli moje paznokcie będą idealne, to każdy inny element mojego wywróconego do góry nogami życia też znajdzie się na właściwym miejscu – że wystarczy odrobina lakieru, by rozwiązały się wszystkie moje problemy.

Kobieta wypija łyk herbaty, a ja spuściłam wzrok i spojrzałam na swoje dłonie. Moje zaniedbane paznokcie łamały się, jeszcze zanim zdążyłam je obgryźć – ale tym razem nie robiłam tego ze smutku, tylko ze stresu. Manikiur znajdował się na jednej z wielu moich list. Było na nich wiele zadań i spraw do załatwienia: regularne chodzenie na siłownię, rozpracowanie miksera, który mama kupiła mi na Gwiazdkę, spotkanie z przyjaciółką, częstsze telefony do rodziców... O wszystkich tych sprawach, włącznie z manikiurem, już dawno zdążyłam zapomnieć. Jutro. W kółko to sobie powtarzałam. Jutro.

– Spakował wszystkie swoje rzeczy, kiedy miałam służbowe warsztaty z komunikacji w grupie, po czym po prostu wyjechał. Kiedy wróciłam do domu, zastałam puste mieszkanie i liścik, w którym oznajmiał, że odchodzi – wyszeptała Kobieta z Manikiurem.

Skrzywiłam się.

– O Boże, tak mi przykro.

Przechyliłam głowę i podałam jej kolejną chusteczkę, jednocześnie zerkając na Kelli, która rozmawiała właśnie z równie zagubionym mężczyzną w drugiej części biura.

Zakładając biuro podróży, nie zdawałam sobie sprawy, jak wiele czasu będę poświęcała na odgrywanie roli terapeuty. Zrozpaczeni klienci zjawiali się tu bezpośrednio po rozstaniach, szukając spokojnego miejsca, w którym porozmawiają z kimś, kto rozumie, że w miłości nie zawsze wszystko idzie

zgodnie z planem. Do założenia tego biznesu popchnęły mnie własne doświadczenia. Zostałam porzucona tuż przed ślubem i doskonale rozumiałam swoich klientów, bo sama znalazłam się kiedyś w podobnej sytuacji. Czułam się zagubiona i przerażona, ale jednocześnie zdeterminowana, by wprowadzić jakieś radykalne zmiany w życiu. Właśnie wtedy po raz pierwszy wzięłam plecak i wyruszyłam w podróż. Do klientów, którzy nas odwiedzali, dopiero zaczynało docierać to, co się stało. Głęboko wierzyłam, że nasze wycieczki poprawią im nastrój i dadzą początek innym pozytywnym zmianom.

– Miał romans z naszą sąsiadką. – Kobieta z Manikiurem głośno pociągnęła nosem, sięgając po kolejną chusteczkę.

Zrobiło mi się jej żal. Znałam ten ból. Wiedziałam, co czuła, ale wiedziałam też, że niedługo da sobie z tym wszystkim radę. Chciałam złapać ją za szczupłe ramiona, chwycić za plastikowe koraliki na szyi i krzyknąć, że lada chwila wszystko stanie się łatwiejsze. Partner prawdopodobnie wyświadczył jej wielką przysługę, a ona za kilka lat przypomni sobie ten dzień i potrząśnie głową, dziwiąc się, że przejmowała się taką błahostką. W moim przypadku podróże – czas i przestrzeń, które pozwoliły mi oderwać się od wszystkiego, co znajome – pozwoliły jednocześnie rozwiązać wiele problemów. To właśnie dzięki nim na nowo uwierzyłam w siebie i zyskałam inspirację do założenia biznesu. A przy okazji poznałam Bena i znowu zapragnęłam miłości. Moglibyśmy oczywiście dynamiczniej rozwijać naszą relację, wyjść wreszcie poza fazę flirtu... Z pewnością łączyło nas coś więcej niż przyjaźń, ale droga do stworzenia prawdziwego związku wciąż wydawała się długa i kręta.

– To wszystko zaczęło się pół roku temu. Od tamtego czasu żyję w jakimś koszmarze. Ciągle mam nadzieję, że będę jeszcze kiedyś szczęśliwa i że odnajdę dawną siebie. W młodości pojechałam na wymianę studencką do Hiszpanii. Spędzony tam czas wydaje mi się naprawdę beztroski. Czuję się tak, jakby tamta dziewczyna, tamta część mnie umarła, ale strasznie zależy mi na tym, żeby ją odzyskać. Właśnie dlatego tu dziś przyszedłam. – Wytarła nos i posłała mi smutny uśmiech. A potem zaczęła opowiadać o cudownych chwilach, kiedy jako studentka mieszkająca w małym hiszpańskim miasteczku uczyła angielskiego urocze dzieci, piła wieczorami zimną sangrię i marzyła o tym, żeby zwrócił na nią uwagę przystojny sąsiad.

– Juan. – Rozmarzyła się. – To zabawne, że sąsiedzi mają taki wpływ na moje życie. – No cóż, przynajmniej dostrzegę ironię losu. Uśmiechnęła się po raz pierwszy od dwudziestu minut. Zmarszczki na jej bladej twarzy nieco się wygładziły, a ona przeniosła się myślami do czasów młodości. – Trafiłam na reklamę waszych wycieczek i pomyślałam, że może znajdę coś dla siebie. – Wydawała się taka zagubiona, że miałam ochotę ją przytulić, ale zauważyłam, że rozmawiający z Kelli facet ciągle się na nas gapił, odzierając tę chwilę

z intymności.

Kiwnęłam głową.

– Zrobimy co w naszej mocy, żeby odnalazła pani tamtą szczęśliwą młodą kobietę. Obiecuję.

Zaczęłam stukać w klawiaturę, szukając wycieczek, które najlepiej by się dla niej nadawały. Doskonale nam szło dobieranie klientom konkretnych krajów, tras i wyzwań, które zmuszały ich do wyjścia poza własną strefę komfortu. Na ścianie za moimi plecami wisiały dziesiątki listów i kartek z podziękowaniami od osób, które siedziały kiedyś na miejscu tej kobiety. Właśnie dlatego tak kochałam swoją pracę. Satysfakcja płynąca z tego, że pomagałam ludziom stanąć na nogi – tego nie dało się przecenić. I co z tego, że inne sfery mojego życia wymykały się trochę spod kontroli?

Kobieta z Manikiurem postanowiła ostatecznie powrócić do wspomnień z młodości i wykupiła wycieczkę do Barcelony. Razem z niewielką grupą osób miała uczyć się hiszpańskiego, spędzać wieczory na mieście i chłonąć wspaniałą atmosferę tego miasta. Wyszła z biura, przyciskając do klatki piersiowej folder informacyjny i szeroko się uśmiechając. Ja też nie mogłam powstrzymać uśmiechu.

Zauważyłam, że dziwny mężczyzna, który rozmawiał z Kelli, też zdążył już wyjść.

– Czego chciał? – zapytałam, zbierając z ziemi kawałki chustek.

Kelli wzruszyła ramionami.

– To jakiś dziwak. Zapytałam, jakiego typu wycieczka go interesuje, ale on wypytywał tylko o nasz biznes. – Zrobiła balon z gumy do życia.

– Rozmawiałaś z nim tak, jak cię uczyliśmy? – Zadrżałam, wracając myślami do chwili, w której ją zatrudniliśmy.

Poprosiła nas o to Trisha, która przyjaźniła się z ciotką Kelli. Po kilku tygodniach zjawiała się nowa klientka. Była w podobnej sytuacji co kobieta, którą przed chwilą obsługiwałam: opuchnięte od płaczu oczy i zatkany nos. Oboje siedzieliśmy z Benem przy telefonie, więc zajęła się nią Kelli. Zaczęła wciskać nieszczęsnej klientce foldery reklamowe, a ta niemal natychmiast się rozplakała. Szlochając, wskazała spraną koszulkę Kelli i wyjaśniła, że jej niedoszły narzeczony uwielbiał ten zespół. Zamiast ją pocieszyć, zaproponować filiżankę herbaty i posadzić w fotelu, Kelli wybuchnęła śmiechem i oświadczyła, że nadruk na swojej koszulce traktuje jako ironiczny komentarz do rzeczywistości, a muzyka tej grupy to kompletne gówno. Po jej słowach kobieta natychmiast wyszła i nigdy więcej nie wróciła.

Poza tym Kelli wiecznie się spóźniała i nie uważała, że powinna za to kogokolwiek przeproszać. Nigdy nie przychodziła do pracy właściwie ubrana i prawie się nie cesała – ale Benowi i tak zależało, żeby pozostała w zespole. Nie chciał zawieść ciotki. Ciągle powtarzał, że wystarczy odrobina zachęty, a Kelli na

pewno zdoła rozwinąć skrzydła. Miał rację. Spędził mnóstwo czasu, cierpliwie tłumacząc jej, że powinna przede wszystkim słuchać klientów, zamiast oceniać ich przez pryzmat muzyki, której słuchali ich byli partnerzy albo na siłę wpychać im wycieczki z naszej oferty. Niektórzy z nich nie czuli się jeszcze gotowi na dalekie podróże i poznawanie świata: nadal opłakiwali swoje związki i nie chcieli przewrócić kartki, by zacząć pisać kolejny rozdział swojego życia.

Stopniowo Kelli przestała się garbić, zaczęła zjawiać się w biurze punktualnie i zrezygnowała z pozy nadąsanej nastolatki. Nie nazwałabym jej może idealną pracownicą, ale miała złote serce i bardzo się starała – choć nadal zdarzały się przypadki, kiedy zachowywała się jak słoń w składzie porcelany.

– Eee, no tak. – Kelli przewróciła oczami. – Podejrzenie się zachowywał, ale zaproponowałam mu herbatę. Podziękował.

Wrzuciłam resztki chusteczki do kosza i spojrzałam na nią z niepokojem.

– W jakim sensie „podejrzenie”?

– Sama nie wiem. Po prostu dopytywał, jak nam idzie interes... mówił coś o obracaniu...

– O obrotach? Pieniędżach?

Wzruszyła ramionami, wyraźnie znudzona.

– Może i tak. Powiedziałam, że idzie nieźle, chociaż mogłabym zarabiać trochę więcej. – Oznajmiła to tak rzeczowo, że miałam ochotę się roześmiać.

– Wiesz, że dałabym ci podwyżkę, gdybym tylko mogła. – Uśmiechnęłam się, a Kelli przewróciła oczami. – Czy miałaś wrażenie, że chciałby zarezerwować którąś z wycieczek?

– Pytał o wycieczkę do Indii. No wiesz, o tę, która jest tak objeżdżana. – Ziewnęła.

– Nie jest objeżdżana. – Wydułam wargi. – Miała po prostu kilka niezbyt pochlebnych recenzji, to wszystko. – Wyjaśnienie powodów takiego stanu rzeczy było jednym z priorytetów na mojej liście. Za wszystkie wycieczki w naszej ofercie dostawaliśmy zawsze po pięć gwiazdek, a wyprawa do Indii, na początku chwalona, stała się stopniowo czarną owcą wśród naszych ofert.

Kelli powoli pokiwała głową.

– W każdym razie dałam mu folder informacyjny.

– Okej, to dobrze – wymamrotałam w roztrągnienu. Wkrótce mieliśmy wyekspediować kolejną grupę do Indii i bardzo zależało mi na tym, żeby tym razem wycieczka okazała się naprawdę udana. Po prostu najlepsza w swojej kategorii.

– Hej, co to za mina? – zapytał Ben, odkładając słuchawkę, po czym podszedł do kuchenki i nastawił wodę na herbatę.

– Po prostu znowu przypomniały mi się te negatywne opinie na temat wycieczki do Indii. – Westchnęłam. – Kelli rozmawiała właśnie z klientem, który



pytał o ten wyjazd. Jedna gwiazdka to nie jest szczyt naszych ambicji.

Ben wyjął mleko z lodówki.

– Nie przejmuj się, Georgio. Nikt nie odnosi samych sukcesów. To wbrew naturze. I tak nie mogę się nadziwić, że tylu klientów przyznaje nam aż pięć gwiazdek. Dla mnie jest jasne, że nie zdołamy wszystkim dogodzić.

– A powinniśmy! Ciężko pracujemy, wybieramy najlepszych przewodników, ładne hotele, oferujemy świetne aktywności dodatkowe! – zawołałam. – Wszystkie nasze wycieczki powinny być idealne.

– Tak, a muzycy My Chemical Romance powinni się pogodzić i ruszyć razem w trasę koncertową. Ale życie nie zawsze układa się po naszej myśli – wtrąciła Kelli.

– Dzięki za tę uwagę, Kel. To naprawdę wiele wnosi – rzuciłam.

– Wiesz, Georgio, ona ma rację – zauważył Ben, podając mi herbatę. Wzięłam od niego kubek i uśmiechnęłam się z wdzięcznością. Na kubku widniało nasze zdjęcie: pojawiło się w lokalnej gazecie w zeszłym roku, niedługo po tym, jak otworzyliśmy biuro podróży. Wydawaliśmy się tacy szczęśliwi, nieświadomi tego, w co się pakujemy. Uwielbiałam ten kubek, choć zmywarka właściwie pozbawiła go kolorów.

– Dzięki – powiedziałam, a Ben do mnie mrugnął. – W jakim sensie ma rację?

– No cóż, wiem, że chcemy oferować klientom najlepsze wycieczki. Zależy nam na tym, żeby uszczęśliwić każdego, kto tu przyjdzie i skorzysta z naszej oferty. Ale to niemożliwe, Georgio. Nie rozwiążemy problemów innych ludzi. Słabsze recenzje to nieodłączna część tego biznesu, zwłaszcza gdy pracujemy z klientami, którzy mają za sobą bolesne chwile i dramatyczne rozstania. Tak już po prostu jest. – Ben wzruszył ramionami i usiadł przy biurku.

Westchnęłam. Może miał rację. Może powinnam trochę odpuścić i dać sobie spokój z tym wiecznym perfekcjonizmem.

– Ale nie sądzisz, że podejrzenie dużo negatywnych opinii dotyczy właśnie wycieczki do Indii?

– Byłam w Indiach kilka razy. To naprawdę szalone miejsce. – Ben potrząsnął głową, zatapiając się we wspomnieniach. – Założę się, że nie chodzi o naszą wycieczkę i że ci ludzie po prostu nie mogli się tam odnaleźć. To zupełnie inny świat i myślę, że niektórych to przerasta. Szok kulturowy sprawia, że nie wiedzą, co ze sobą zrobić. Nie stresuj się tym. Sama powiedziałaś: mamy najlepszych przewodników, najlepsze aktywności dodatkowe i dajemy z siebie sto procent. Nie jesteśmy w stanie wszystkiego kontrolować.

Wolno pokiwałam głową.

– Pewnie masz rację.

– A jak się udały urodziny twojego taty? Podobała im się restauracja? –

zapytał Ben, zmieniając temat.

– O Boże, kompletnie zapomniałam przekazać ci nowe informacje!

– Jakie nowe informacje?

– Kojarzysz Dana z „Ruszaj w Drogę”? – Ben kiwnął głową. – Udało mi się wynegocjować u nich świetną stawkę za reklamę. Dał mi czterdzieści procent rabatu!

Ben uniósł brwi.

– Wow, a jak to zrobiłaś?

– No wiesz, kobiecy urok. – Wyszczrzyłam zęby w uśmiechu. – Przesłałam im materiały wczoraj wieczorem, reklama powinna się pojawić w następnym numerze, za kilka tygodni.

Uśmiech w jednej chwili zniknął z twarzy Bena.

– Co?

– Musiałam szybko działać, bo Dan miał innych chętnych. Nie mogłam pozwolić, żeby ofertę sprzątnęli nam sprzed nosa Czadowi Włóczykije.

– Czekaj... Czyli zgodziłaś się na to i wszystko z nim ustaliłaś, nawet się ze mną nie konsultując?

Pokiwałam głową, a cała moja radość natychmiast wyparowała.

– Tak, bo gdybym tego nie zrobiła, stracilibyśmy niesamowitą okazję – odpowiedziałam cicho, czując, że atmosfera staje się coraz bardziej napięta.

Kelli zauważyła, co się święci, więc ruszyła do toalety, mamrocząc coś pod nosem.

– Georgio – zaczął Ben, wyraźnie zdenerwowany. – Ustalaliśmy, że ważne decyzje tego typu, decyzje, które wiążą się ze sporymi wydatkami, będziemy zawsze podejmowali wspólnie. Przypuszczam, że nawet ze zniżką ta reklama solidnie nadszarpnęła nasz budżet.

– Przepraszam. Nie chciałam po prostu, żeby ta okazja przeszła nam koło nosa.

– Przecież to najstarsza sztuczka świata: mówisz, że masz inne osoby zainteresowane ofertą, i liczysz na to, że jakiś naiwniak to kupi.

– Och.

– No właśnie: och. – Przetarł twarz dłonią. W ostatnich dniach wydawał się bardzo zmęczony. – Myślałem, że na coś się umówiliśmy i że nie podejmujemy tego typu decyzji bez konsultacji.

Zarumieniłam się.

– Przepraszam. Chciałam dobrze. Zobaczysz, jeszcze nam się to opłaci. – Zaśmiałam się bez przekonania. Obym się nie myliła.

Po tych porannych wydarzeniach wszystko szło dość sprawnie i zanim się obejrzałam, zestresowana Kelli pędem wybiegła z biura, żeby rozpocząć przygotowania do wieczornego koncertu, a my z Benem zostaliśmy wreszcie sami.

– Przepraszam za tę reklamę – powiedziałam, opróżniając kosz na śmieci.

– W porządku. Przepraszam, że tak się zirytowałem. – Uśmiechnął się. – Chcę po prostu, żebyś pamiętała, że zawsze możesz na mnie liczyć. Zależy mi na sukcesie naszego biura podróży nie mniej niż tobie. – Położył mi dłoń na ramieniu, a ja poczułam dreszcz podniecenia. Miałam wrażenie, że moje ciało zaraz się roztopi, jego ciepły dotyk kompletnie mnie obezwładnił. Nie byłam przyzwyczajona do takich doznań, bo podobne chwile zdarzały się nam dosyć rzadko.

– Wiem. – Uśmiechnęłam się do niego. Nagle przypomniałam sobie, że niedawno pożarłam przy biurku bajgla. Miałam nadzieję, że między zębami nie utknał mi mak.

– No nic, muszę już lecieć. Obiecałem Kel, że się przebiorę i przyjadę jej pomóc – powiedział, cofając rękę. Czar prysł. – Wiesz, że Jimmy i Shelley też zamierzają wpaść na ten koncert?

– Wiem, napisała do mnie wcześniej. Wspomniała, że za żadne skarby nie zrezygnuje z darmowego curry, niezależnie od tego, jak fatalny okaże się zespół Kelli. – Od wieków nie widziałam Jimmy’ego, najlepszego kumpla Bena, ani jego dziewczyny Shelley, z którą dawniej podróżowałam. A przecież mieszkaliśmy teraz wszyscy w tym samym mieście. Chociaż myśl o koncercie zespołu Kelli nie wydawała mi się szczególnie ekscytująca, cieszyłam się, że chociaż na chwilę oderwę się od pracy i wyjdę gdzieś z przyjaciółmi. To była pierwsza „randka”, na jaką zaprosił mnie Ben. Okej, oficjalnie nie nazwałabym tego randką, ale mogliśmy przynajmniej spędzić ze sobą trochę czasu poza biurem.

– Super, w takim razie do zobaczenia później, Georgio. Na pewno dasz radę sama zamknąć biuro?

– Jasne, że tak. Do zobaczenia niebawem. Zajmij mi miejsce.

Ben wyglądał tak, jakby zamierzał coś jeszcze powiedzieć, ale zmienił zdanie, pomachał do mnie i wyszedł. Planowałam dokończyć parę spraw i ruszać. Zależało mi na tym, żeby wyjść z biura o rozsądnej porze i udowodnić rodzicom, że moje życie to nie tylko praca.

Nagle jednak z jednego e-maila zrobiło się dziesięć. Byłam spóźniona. Bardzo spóźniona. Pierwotnie zamierzałam wrócić do domu, wziąć kąpiel, a może nawet pomalować paznokcie, i spokojnie się przygotować. Dawniej uwielbiałam szykować się do wieczornych wyjść. Razem z Marie włączałyśmy muzykę, nalewałyśmy sobie wielkie kieliszki białego wina, tańczyłyśmy i stroiłyśmy się – a potem, rozchichotane i podekscytowane tym, co przyniesie noc, wskakiwałyśmy do taksówki. Zwykle etap przygotowań okazywał się najbardziej atrakcyjny. Nigdy nie przekonałam się do clubbingu i źle się czułam, kiedy zataczający się nieznajomi mijali nas z kuflami piwa, łapczywie nam się przyglądając. W końcu wracałyśmy do domu z obolałymi stopami, powtarzając sobie, że jesteśmy już na to za stare –

aż do następnego razu, kiedy rytuał zaczynał się od nowa. Pomyślałam, że naprawdę muszę wreszcie spotkać się z Marie. Od jak dawna jej nie widziałam? Z tych rozmyślań wyrwał mnie nagle dźwięk telefonu.

– Hej, jestem już w drodze! – zapewniłam pośpiesznie Bena.

– Georgio, siedzisz jeszcze w biurze? – zapytał. Wyczułam w jego tonie lekką irytację.

– Tak, ale przysięgam, właśnie szłam do drzwi, kiedy zorientowałam się, że nie wysłaliśmy jeszcze planu wycieczki na Islandię. Wiem, że miałam to zrobić, ale na śmierć zapomniałam. W każdym razie właśnie wychodzę... – paplałam.

Ben wszedł mi w słowo. Był wyraźnie rozczarowany.

– Georgio, obiecałaś Kel, że się nie spóźnisz. Ona na ciebie liczy, miała nadzieję, że przyjdiesz ją wesprzeć. Powinnaś wcielić w życie te swoje teorie dotyczące pracy w zespole i budowania dobrych relacji w grupie. A poza tym Jimmy i Shell pytali, dlaczego jeszcze cię nie ma.

– Wiem. Bardzo przepraszam. Przyjadę, zanim się obejrzyicie. – Byłam zrozpaczona. Naprawdę nie chciałam, żeby praca popsuła mi ten wieczór.

– Postaraj się, proszę. Słuchaj, muszę już kończyć. Zaraz zaczną grać – powiedział, po czym się rozłączył.

Cholera jasna. Kopnęłam nogę biurka, a mój bilet na koncert spadł na podłogę. Podniosłam go i zerknęłam na zegar. Jeżeli zdołam od razu złapać taksówkę, to jeszcze zdążę. Trudno, tylko ja będę w służbowym stroju, ale przynajmniej dotrę na miejsce. Włożyłam płaszcz i wyłączyłam laptop. Miałam nadzieję, że przy głównej ulicy zastanę długi sznur czarnych taksówek. Cisnęłam torebkę na biurko i zaczęłam szukać kluczy, ale zrzuciłam na podłogę stos kartek.

– Niech to szlag trafi. – Pochyliłam się, żeby je pozbierać i położyłam na swoim biurku, starając się nie przejmować bałaganem, który tam panował. Nagle moją uwagę zwróciła szara kartka, inna niż te, na których Kelli zwykle zostawiała nam wiadomości.

„Kolejna jednogwiazdkowa recenzja wycieczki do Indii. Naprawdę ostra!”

Szybko przeczytałam tekst, który Kelli wydrukowała z internetu. Zrobiło mi się niedobrze. Dostaliśmy wiele negatywnych opinii, ale tym razem skala była zupełnie inna. Miałam przed sobą osobisty, zjadliwy, cięty i pełen szczegółów tekst, co gorsza pozbawiony jakichkolwiek błędów ortograficznych. Otworzyłam laptopa i pośpiesznie wpisałam do przeglądarki adres strony, na której została zamieszczona recenzja. Pochodziła z bloga podróżniczego, którego nigdy wcześniej nie widziałam. Ten post miał setki polubień i komentarzy, udostępniono go tyle razy, że aż trudno było uwierzyć. Powstał nawet specjalny hasztag. Sprawa wyglądała poważnie. Niedługo ruszała przecież kolejna wycieczka do Indii, poza tym ten kierunek cieszył się największą popularnością i stanowił jedno z naszych podstawowych źródeł dochodu. Wiedziałam, że muszę coś natychmiast z tym

zrobić.

Sięgnęłam po telefon i z wściekłością wybrałam numer Kelli, chcąc ustalić, czy nie znalazła jeszcze jakichś tego typu recenzji, o których nam nie wspomniała. Po chwili włączyła się sekretarka, a ja przypomniałam sobie, że Kelli przygotowuje się właśnie do koncertu. Westchnęłam. Zamierzałam zadzwonić do Bena, ale zrezygnowałam. Gdybym mu teraz o tym powiedziała, zorientowałby się, że nadal nie wyszłam z biura, kazałby mi odpuścić i odłożyć to na jutro. Ale ja wiedziałam, że nie mogę zwlekać. Musiałam się tym zająć. Od razu.

Szybko napisałam Shelley wiadomość, tłumacząc, że się spóźnię, ale niedługo do nich dojadę. Po czym zdjęłam płaszcz i zapaliłam światło. Pracy nie można odkładać na później. Będą przecież kolejne koncerty. Kelli i Ben na pewno zrozumieją. Prawda?

## ROZDZIAŁ CZWARTY

### Spontaniczność, czyli działanie pod wpływem chwili

Wyłączyłam telefon, kiedy zaczęły przychodzić kolejne wiadomości od Shelley, która dopytywała, gdzie jestem, zachwycała się zespołem Kelli i zapewniała, że wystarczy dla mnie curry. Musiałam się przecież skoncentrować. Nie mogłam pozwolić, żeby mój biznes spotkał ten sam los, co moje życie towarzyskie.

W okresie świąt Bożego Narodzenia i sylwestra mieliśmy mnóstwo roboty, bo chcieliśmy przyciągnąć tłumy ludzi z postanowieniami noworocznymi – wszystkich, którym zależało na tym, żeby zacząć wreszcie spełniać marzenia i podróżować po świecie. Walentynki przyniosły z kolei astronomiczną liczbę rezerwacji dla singli, którzy nie zamierzali siedzieć w domu i płakać. Mniej więcej w tym samym okresie straciłam odwagę i postanowiłam nie podejmować prób zaproszenia Bena na kawę albo na kolację. Co z tego, że moje życie miłosne właściwie nie istniało? Przynajmniej nasz biznes się rozwijał – a to wszystko dzięki ciężkiej pracy, determinacji i poświęceniom. To, co się stało dzisiaj wieczorem, to było jedno z tych wyrzeczeń, na które musiałam się co jakiś czas decydować.

Nasz indyjski przewodnik, Nihal, nie odbierał telefonów. Głęboko westchnęłam, kiedy zdałam sobie sprawę, że w Indiach o tej porze wszyscy śpią. Nic dziwnego, że Nihal nie odpowiedział jeszcze na moje e-maile i nie siedział na Skype. Planowałam właśnie napisać ostry e-mail do autora okropnej recenzji, prosząc, żeby usunął ją z bloga, kiedy nagle drzwi biura otworzyły się na oścież. Widocznie po wyjściu Bena zapomniałam przekręcić klucz w zamku.

– Zamknięte! – zawołałam, rozważając, w jaki sposób należy zacząć rozmowę z internetowym trollem.

– Hej! Ty nigdy nie zamykasz. I na tym polega problem. – Shelley szeroko się do mnie uśmiechnęła. Trzymała w dłoniach dwie butelki wina i wyglądała na lekko podchmieloną.

– Co ty tu robisz? – Wstałam i ją uściskałam. Pachniała curry tak intensywnie, że aż zaburczało mi w brzuchu. – Myślałam, że jesteś razem z resztą na koncercie Kelli.

– Kiedy napisałaś, że się spóźnisz, założyłam, że będę musiała tu przyjechać i siłą wyciągnąć cię z biura, używając wina jako przynęty. Koncert się skończył, curry też, a ty się nadal nie pojawiłaś. Co u ciebie? Wyglądasz fatalnie – dodała swoim gardłowym australijskim akcentem, przyglądając mi się uważnie. Miała nieco szkliste oczy i wszystko wskazywało na to, że koncert się udał.

– Dzięki, Shelley, mnie też miło cię widzieć. – Lekko się uśmiechnęłam i wzięłam od niej wino, po czym zamknęłam drzwi na klucz. – Wyglądam fatalnie, bo właśnie znalazłam kolejną krytyczną recenzję jednej z naszych wycieczek. Najokropniejszą, jaką kiedykolwiek widziałam. Co gorsza, udostępniło ją mnóstwo osób, a ponieważ nasz pieprzony przewodnik przepadł bez wieści, nie mogę ustalić, co się stało.

– Aha. No tak. – Pokiwała głową, buszując po kuchni w poszukiwaniu dwóch czystych kubków. – I co to oznacza?

Westchnęłam i przeczesałam palcami potargane włosy.

– To oznacza, że nie mogłam przyjechać na koncert Kelli, nie mogłam nawet myśleć o zjedzeniu curry, bo chwilowo z Indiami kojarzy mi się tylko stres. Muszę za wszelką cenę znaleźć Nihala. Wkrótce nasi klienci mają wyruszyć do Delhi na wycieczkę Biura Podróży Samotnych Serc, a ich przewodnik zaginął. A jakby tego było mało, Ben i Kel są na mnie wściekli, bo nie przyjechałam, chociaż ciągle nudzę o pracy zespołowej i budowaniu relacji. – Westchnęłam i zaczęłam masować sobie skronie.

– Oj, no tak, rzeczywiście kiepsko to wygląda – przyznała Shelley, nalewając wina do kubków i podając mi jeden z nich. Przyjęłam go z wdzięcznością. – Skoro i tak nieprędka stąd wyjdziemy, mogę przynajmniej pomóc ci rozgryźć tę sprawę. Siadaj i wszystko dokładnie mi opowiedz.

Tak też zrobiłam, co jakiś czas dolewając nam wina z pierwszej, a później z drugiej butelki. Wyjaśniłam Shelley, jak ważne jest to, by ta wycieczka się odbyła, ile czasu włożyliśmy w pozyskanie Nihala, którego wielokrotnie nam polecano, oraz pozostałych współpracowników, których osobiście wybierałam i z którymi rozmawiałam przez Skype'a. Nie mówiąc już o pieniądzach, które zainwestowaliśmy w promocję tej wycieczki.

– Cholera! – Walnęłam się dłonią w głowę, pozostawiając na czole plamę czerwonego wina. – A do tego właśnie przepuściłam sporo forsy na reklamę w „Ruszaj w Drogę”.

– Ruszaj w drogę?

– To najważniejsze czasopismo branżowe na rynku, a ja zapłaciłam im za reklamę tej przekłętą wycieczki. – Uderzyłam pięścią w blat biurka. Ależ ze mnie idiotka. – Ben jeszcze o tym nie wie. Miałam nadzieję, że uda mi się wszystko naprawić i nie zawracać mu tym głowy.

– Hm, skoro już mowa o Benie, to jak wygląda sytuacja między wami?

– Nijak – odpowiedziałam z przekonaniem, po czym dopiłam wino. – Podaj butelkę, dobrze?

– Proszę. Mnie też dolej. – Pochyliła się i sięgnęła po butelkę, zrzucając na podłogę stos broszur, ale ja miałam tyle na głowie, że nawet nie zwróciłam na to uwagi. – Sprawa wygląda tak, Georgio... Będę z tobą szczerą. – Jej oczy stały się

jeszcze bardziej szkliste, ale próbowała się skoncentrować. – Jesteś pracoholiczką.

– Co? Nie, nieprawda. – Odepchnęłam jej wymierzony we mnie oskarżycielsko palec i wypełniłam kubek aż po brzeg, wylewając sobie odrobinę wina na spodnie.

– Jesteś. Jesteś pracoholiczką. Tak ci zależy na sukcesie tego biura podróży, że zapomniałaś o wszystkich innych sferach życia. Nie zdobyłaś się nawet na odwagę, żeby zawalczyć o swoją relację z Benem. – Opadła na oparcie krzesła. Wyglądała na zadowoloną z siebie i miała policzki zaczerwienione od alkoholu.

Prychnęłam z wściekłością.

– Shell, dziękuję za te słowa, ale nie jestem pracoholiczką. Po prostu zainwestowałam w ten interes dużo czasu i pieniędzy, dlatego zależy mi, żeby dobrze nam szło. To absolutnie normalne.

Uniosła brew.

– Tak? A gdzie jest teraz Ben? Twój partner w interesach? Skoro prowadzicie wspólnie to biuro podróży, to dlaczego nie siedzi tu teraz po godzinach?

Posłałam jej karcące spojrzenie.

– On też ciężko pracuje.

– Owszem, ale umie zrobić sobie przerwę. No wiesz, trochę pożyć. Bardzo mu cię brakowało na koncercie – dodała.

Zatrzepotało mi serce.

– Naprawdę? Tak powiedział?

– No cóż, może nie wprost. – Motyle, które trzepotały w moim pustym brzuchu, nagle znieruchomiały i opadły. – Ale wiem, że tak się właśnie czułam. Jesteście dla siebie stworzeni. Każdy to, do cholery, widzi... oprócz was.

– Naprawdę tak uważasz? – zapytałam. Czułam, jak tanie wino rozlewa się po moim krwiobiegu i zaczyna mi się robić coraz cieplej.

Pokiwała głową.

– Jasne, wszyscy tak uważamy. Ale wiesz, Romeo nigdy nie zakochałby się w Julii, gdyby uważał, że ona nie jest nim zainteresowana. Zamiast tego związałby się pewnie z jakąś daleką kuzynką z rodu Kapuletów, ożeniłby się i miałby mnóstwo dzieci podobnych do Leonarda Di Caprio. A Julia zostałaby sama, zestarzałaby się i wyschła, do końca życia żałując, że nie miała dość odwagi, żeby wyznać ukochanemu swoje uczucia.

Roześmiałam się.

– Założę się, że stary dobry Szekspir przewraca się w grobie, słysząc twoją wersję największej historii miłosnej wszech czasów.

– Mówię serio, Georgio. Dlaczego liczysz na to, że Ben wykona jakiś ruch, skoro on nie ma zielonego pojęcia, że się w nim kochasz? Nie zaprosi cię na randkę, bo to za duże ryzyko: jeśli dasz mu kosza, nadal będzie musiał z tobą



pracować. Zranisz jego dumę, a wasz interes zacznie stopniowo podupadać – wykończy go rosnące między wami napięcie.

I rodzice, i Shelley nieustannie wypytywali mnie o moje nieistniejące życie miłosne. Czułam się tak, jakby przesłuchiwała mnie hiszpańska inkwizycja.

– Myślę, że on wie.

Roześmiała się.

– To facet, Georgio. Oni nigdy nie wiedzą, chyba że staniesz przed nimi kompletnie naga i pomachasz kondomem w powietrzu.

– No cóż, komentuje mój wygląd, mówi, że ładnie wyglądam. – Skrzywiłam się, przypominając sobie niezamierzoną zmianę wizerunku, którą Kelli ostatnio mi zafundowała. Nie o taki efekt mi chodziło... – Zawsze stawiam grzejnik elektryczny bliżej niego, żeby było mu ciepło. Zauważa takie rzeczy.

Shelley podrapała się po głowie.

– Wow. I co jeszcze?

– No cóż, on... Zawsze robi mi herbatę w moim ulubionym kubku, tym ze zdjęciem. Mamy też taką grę... no cóż, w każdym razie dawniej mieliśmy.... Oboje próbowaliśmy wypowiadać przypadkowe słowa w czasie rozmów telefonicznych ze współpracownikami. Od jakiegoś czasu tego nie robiliśmy, ale to była świetna zabawa – dodałam, zamyślona. Może rzeczywiście nie wysyłałam jednoznacznych sygnałów. Nie dawałam jasno do zrozumienia, że powinien się ze mną przespać, ale przecież on też tego nie robił. Musiałam zachowywać się tak, jakby mnie nie obchodził. Żałowałam tylko, że moje serce bez przerwy podszeptywało mi coś zupełnie innego. Zamknij się i po prostu pompuj krew – odburknął mój mózg.

– Hm. – Shelley przewróciła oczami. Wyglądało na to, że moje uwodzicielskie talenty nie zrobiły na niej wrażenia. – No cóż, jeśli chcesz znać moje zdanie...

– A chcę?

– Tak. Jeśli chcesz znać moje zdanie, dziewczyna, za którą tak szalał w Tajlandii, została na jednej z tamtejszych plaż.

– Co?

– Chodzi mi o to, że wesola, beztroska i żyjąca chwilą Georgia, którą tam poznał, zdążyła gdzieś wyparować. – Shelley wypila łyk wina, nie zwracając uwagi na moje zaskoczenie. – Kiedy ostatnio zrobiłaś coś dla przyjemności? I nie chodzi mi o granie w to idiotyczne słowne bingo przez telefon. Mówię o p r a w d z i w y c h przyjemnościach.

Zastanawiałam się przez chwilę.

– Picie wina w biurze jest całkiem przyjemne, a nawet niebezpieczne. – Mrugnęłam do niej, ale Shelley wydeła wargi.

– Mówię poważnie. Gdzie się podziała dziewczyna, która kąpała się nago

w oceanie, która miała odwagę wyjechać w samotną podróż po tym, jak została porzucona? Gdzie jest ta Georgia, która zawsze była gotowa próbować nowych rzeczy, zamiast zastanawiać się, czy zdoła cokolwiek wcisnąć do swojego napiętego grafiku?

– Potrafię się bawić... – wymamrotałam.

– Kiedy ostatnio zrobiłaś coś spontanicznego? Kiedy naprawdę się wyluzowałaś?

– Prowadzenie biznesu nie ma nic wspólnego ze spontanicznością. – Nagle rozległ się dźwięk sygnalizujący nadejście e-maila.

Shelley przewróciła oczami, ale postanowiłam ją zignorować i pochyliłam się, żeby sprawdzić, czy nie napisał do mnie Nihal.

– Znalazł się ten zaginiony przewodnik? – zapytała Shelley.

Potrząsnęłam głową.

– Nie. To tylko automatyczna wiadomość: wizy dla grupy jadącej do Indii są gotowe do odebrania – odpowiedziałam ze smutkiem. Co za ironia.

– To jest to! – zawołała Shelley, zalewając się winem i machając ręką w powietrzu.

– Co? Wizy?

– Nie, głupolu. To jest rozwiązanie wszystkich twoich problemów. – Wyszczrzyła zęby w uśmiechu i zrobiła dramatyczną pauzę. – Powinnyśmy polecieć do Indii.

– Ha, ha, bardzo śmieszne – odpowiedziałam z sarkazmem.

– Georgio, mówię poważnie. Powinnyśmy tam razem polecieć, odnaleźć tego Nihala, ustalić, co się tak naprawdę dzieje, i sprawić, żeby nie pojawiały się kolejne krytyczne recenzje. Dlaczego nie? Uwielbiam samosy, wygrałam kiedyś nawet konkurs na jedzenie vindaloo na czas. A poza tym zawsze chciałam pojechać do Indii. W ten sposób odnajdziesz swojego przewodnika. Mało tego, możemy jechać kompletnie anonimowo! Tak, to byłoby idealne rozwiązanie. Sprawdźmy na własnej skórze, co tam się dzieje. Nareszcie coś spontanicznego! – Wyglądała tak, jakby miała zaraz pęknąć z podekscytowania.

– Powinnaś chyba napić się wody – oznajmiłam, potrząsając głową. Co za absurdalny pomysł. Jak mogłabym nagle wziąć dwa tygodnie urlopu i jechać do Indii? W jaki sposób biuro zdołałoby przetrwać beze mnie?

– Nie jestem pijana. To najlepszy pomysł, jaki kiedykolwiek miałam. Zaufaj mi. To idealne rozwiązanie. Nigdy nie robisz sobie wakacji, nie bierzesz ani jednego dnia wolnego. Udowodnisz Benowi, że nadal jesteś tą spontaniczną i odważną Georgią, którą kiedyś poznał, ja pojedę na wakacje z przyjaciółką, a przy okazji rozwiążemy problem z twoim przewodnikiem.

– Naprawdę sądzisz, że to może się udać? – Zaczęłam rozważać jej słowa. Kręciło mi się w głowie od alkoholu i nie potrafiłam się skoncentrować. Może to

rzeczywiście dobry pomysł. Przecież chodzi tylko o dwa tygodnie.

– Tak! Ten e-mail w sprawie wiz to znak. Widzisz, świat tylko czeka, aż wyruszysz w podróż! – Shelley zaczęła podskakiwać. – No, chyba że jesteś zbyt wielką nudziarą, żeby się na to zgodzić. Dawna Georgia od razu kupiłaby bilety na samolot...

Zamknęłam oczy.

– Nie jestem nudziarą. Tak. Pieprzyć to. Do roboty. Natychmiast!

– Tak!

Shelley lekko zwilżyła szmatkę i zaczęła przecierać sobie czoło, wyraźnie podekscytowana. Nagle znieruchomiała.

– Czekaj, nie chcesz tego najpierw przedyskutować z Benem? Zapytać, czy nie ma nic przeciwko, żebyś zniknęła na dwa tygodnie?

Potrząsnęłam głową – nieco zbyt teatralnie.

– Nie, żyjmy chwilą. Zresztą Ben na pewno uzna, że to świetny pomysł, wyraz zaangażowania i odwagi. Zaufaj mi!

– O rany, lecimy do Indii! Kupujmy szybko bilety! – Shelly wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

Spojrzałam na swoje rozpromienione odbicie w ekranie laptopa. Tak, dzięki temu wszystko uda się naprawić... Jesteśmy geniuszkami. Zaraz, czy słowo „geniuszka” w ogóle istnieje? Nieważne. W każdym razie nie mamy sobie równych.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

### Reperkusja, czyli skutek określonego zdarzenia lub działania

Ze snu wyrwał mnie dobiegający z ulicy hałas śmieciarek. Otworzyłam oczy i natychmiast poczułam się tak, jakby promienie słońca sączące się przez okno dźgały mnie w źrenice. Z trudem przewróciłam się na drugi bok i prawie się zakrztusiłam. W pomieszczeniu panował kompletny chaos. Ostrożnie usiadłam, chwytając się za bolącą głowę. Miałam wyschnięte usta i cuchnęłam alkoholem. Znowu spałam w biurze, tyle że tym razem towarzyszyła mi Shelley – i jej melodyjne chrapanie.

Przeczesałam włosy palcami i skrzywiłam się, kiedy wysuszony kawałek mięsa z kebabu zleciał na kanapę wprost z mojej głowy. Na tej kanapie siadali zwykle nasi klienci, żeby przejrzeć prospekty reklamowe, które teraz były zalane winem. Z trudem się podniosłam i zaczęłam je wycierać. Po chwili włączyłam telefon i szturchnęłam Shelley, chcąc ją obudzić. Następnie zaczęłam przeglądać nieodebrane połączenia, zorientowałam się, że pijany Jimmy nagrał mi się na sekretarkę, a w końcu zauważyłam trzy esemesy od Bena. W każdej kolejnej wiadomości dawał wyraz rosnącemu rozczarowaniu faktem, że nie dotarłam na koncert i nawet nie zadałam sobie trudu, żeby za to przeprosić.

– Shel, Shel, obudź się! – Szturchnęłam ją po raz kolejny.

– Jszczchwle – wymamrotała, po czym przewróciła się na drugi bok.

– Nie, mówię poważnie, Shelley. Musisz wstawać. Zaraz zjawią się tu Ben i Kelli.

– Co? – Podniosła się, przetarła oczy i odkaszlnęła. – Która godzina?

– Pora wstawać. Muszę tu posprzątać, to miejsce wygląda tak, jakby przetoczył się przez nie huragan. Cholera, o której my w ogóle poszliśmy spać? Czuję się koszmarnie.

– Eee, sama nie wiem. Koło trzeciej? A może to była czwarta... Skończyłyśmy trzecią butelkę, ale chyba zabrałyśmy się też do czwartej. – Wstała, lekko się zataczając.

– Co? Myślałam, że przyniosłaś tylko dwa wina – powiedziałam, podnosząc poduszki z podłogi i układając je na kanapie. Po chwili ruszyłam chwiejnym krokiem do łazienki.

– Owszem, ale potem oznajmiłaś, że możemy otworzyć jakąś butelkę, którą od kogoś tam dostaliście.

Zamrugałam, usiłując przypomnieć sobie wczorajszy wieczór. Nagle wszystko do mnie dotarło.

– Shelley, to nie było wino, tylko rum! Jeden z klientów kupił go nam w ramach podziękowania. Nic dziwnego, że tak fatalnie się czuję. Nie znoszę rumu!

Shelley gwałtownie przyłożyła dłoń do poblądłej twarzy. Wyglądała tak, jakby miała zaraz zwymiotować.

– Oj, ja też. Potrzebuję snu, prysznic i czegoś tłustego do jedzenia. Pilnie. Pomóc ci w sprzątaniu?

Rozejrzałam się po biurze, które cuchnęło jak gorzelnia, po czym przeniosłam wzrok na trupio blade, niemal zielonkawe policzki Shelley i zdecydowałam, że lepiej będzie, jeśli wróci szybko do domu.

– Nie trzeba, pootwieram okna i rozpylę tu tonę odświeżacza. Później się zdzwonimy.

Spojrzała na mnie z wdzięcznością i ruszyła chwiejnym krokiem do drzwi, a ja rzuciłam się do zbierania pustych butelek i ociekających tłuszczem opakowań po kebabie. Miałam nadzieję, że zdążę tu choć trochę ogarnąć, zanim przyjdą Ben i Kelli. Rozpyliłam odświeżacz powietrza, gdzie tylko się dało – spryskałam nawet swoje pomięte ubrania. Potem przemyłam twarz, ścierając smugi tuszu pod piekącymi oczami. Miałam nadzieję, że dzięki temu trochę się rozbudzę.

Kiedy już doprowadziłam się do porządku – na tyle, na ile to było możliwe, wzięwszy pod uwagę brak snu i fakt, że się nie przebrałam, bo nadal nie przyniosłam do biura zapasowego kompletu ubrań – westchnęłam i wstawiłam wodę na herbatę. Uznałam, że równie dobrze mogę wziąć się do pracy. Od dawna tyle nie wypijałam. Dlaczego, do cholery, postanowiłam otworzyć tę butelkę rumu? Dlaczego tyle go wyłopałam? O czym my w ogóle rozmawialiśmy do czwartej nad ranem? I skąd wzięły się kebaby? Mój zmęczony mózg nie chciał się przebudzić i udzielić mi potrzebnych odpowiedzi na te pytania.

– Kelli, zdajesz sobie sprawę, że mamy krzesła? – Ben przechylił głowę i komicznie uniósł brew, patrząc na naszą pracownicę, która siedziała ze skrzyżowanymi nogami na podłodze. Wokół niej leżały bezładnie porozrzucane teczki, naklejki i budzący moje obawy pistolet do kleju. Ben spędził większość poranka na służbowym spotkaniu, więc na szczęście zapach kebabu i alkoholu zdążył do jego przyjścia wyparować.

– Nie, tu mi wygodniej. – Odgarnęła kolorowe włosy i wróciła do pracy.

– Przegapiłaś naprawdę świetny koncert, Georgio – powiedział Ben, siadając przy biurku i włączając laptop. – Kto by się spodziewał, że nasza Kel ma tyle ukrytych talentów. – Kelli posłała mu promienny uśmiech. Unikała mojego wzroku i przez cały ranek zachowywała się jakby nigdy nic. Odkąd zjawiała się w biurze, ledwo mnie zauważała. Próbowалаm ją przeprosić i pytałam, jak minął wczorajszy wieczór, odpowiadała grzecznie i zdawkowo.

– Obiecuję, że następnym razem przyjdę. Po prostu zważyło mi się na głowę

mnóstwo spraw – przeprosiłam po raz kolejny. – Aha, moja kolej na pójście po kawę. Dla wszystkich to co zwykle? – Ben z wdzięcznością potwierdził, a Kelli tylko wzruszyła ramionami. – Okej, zaraz wracam. – Włożyłam płaszcz i wyszłam.

Na ulicy uderzyło we mnie chłodne powietrze. Rześki wiosenny wiatr był dokładnie tym, czego potrzebowałam, żeby wyleczyć przekłętą kaca, którego starałam się za wszelką cenę ukryć przed współpracownikami.

Kiedy wróciłam ze Starbucksa z latte, gorącą czekoladą i cappuccino, natychmiast wyczułam napięcie, które od jakiegoś czasu narastało w naszym niewielkim biurze. Kelli siedziała na kanapie i nerwowo postukiwała palcami w oparciu.

– Proszę, to dla ciebie. – Podałam jej ekstraduzą gorącą czekoladę ze wszystkimi dodatkami.

Wzięła ode mnie kubek i posłała mi wymuszony uśmiech. Zauważyłam, że była jeszcze bledsza niż zwykle. Może nie tylko ja cierpiałam w milczeniu?

– Kupiłam tę z małymi piankami, które tak lubisz. Ben, a jeśli chodzi o twoją kawę, pytali, czy chcesz syrop, ale podziękowałam, tłumacząc, że jesteś już wystarczająco słodki – zażartowałam i podeszłam do Bena, który siedział sztywno w fotelu i patrzył na mnie z wściekłością. – Wszystko okej? – zapytałam, starając się, by zabrzmiało to możliwie swobodnie. Postawiłam parującą kawę na jego biurku.

– Kelli, dasz nam chwilę? – wymamrotał Ben, ignorując moje pytanie. Wydawało się, że Kelli tylko na to czekała, bo podskoczyła jak szczur wypuszczony z klatki, chwyciła swoją skórzaną kurtkę i wybiegła z biura, porzucając nietkniętą gorącą czekoladę.

– Wszystko w porządku? – zapytałam, opadając na fotel. Poczułam dziwne szczypanie w gardle.

– Georgio – westchnął Ben. – Obiecałaś, że nie będzie między nami tajemnic.

Potrząsnęłam głową, szeroko otworzyłam oczy i rozłożyłam ręce.

– Wiem. Nie ma między nami tajemnic.

Wzniósł oczy do nieba, po czym zacisnął szczęki i powiedział:

– Więc teraz jeszcze mnie okłamujesz?

– Nie okłamuję cię. Co się dzieje, Ben?

Wstał, założył ręce za głowę i zamknął oczy, próbując się uspokoić.

– Kiedy poszłaś po kawę, Kelli odebrała telefon z Indian Airways. Pytali, czy ty i Shelley chciałybyście skorzystać ze specjalnego pakietu w związku z waszą zbliżającą się podróżą.

Miałam pustkę w głowie. I chyba było to widać na mojej twarzy.

– Jaką podróżą?

– Podróżą do New Delhi. Za dwa tygodnie – rzucił ostrym tonem, tracąc nad

sobą panowanie.

Oparłam się w fotelu, kompletnie oszołomiona.

– O czym ty mówisz? Indie? To jakaś pomyłka.

– My też tak myśleliśmy. Kelli poprosiła, żeby przesłali twój plan podróży... i bingo! Ty i Shelley kupiłyście bilety do New Delhi. Wygląda na to, że zrobiłyście to dziś o pierwszej w nocy.

O cholera. Nagle zaczęłam sobie wszystko przypominać. Opowiedziałam Shelley o fatalnych recenzjach naszej wycieczki do Indii, o tym, że Nihal gdzieś zniknął, a potem... potem postanowiłyśmy polecieć tam i go odnaleźć.

– Och.

– No właśnie. Wyobrażasz sobie, jak niepoważnie to wygląda? Nagle dowiaduję się, że wyjeżdżasz, wychodzę na durnia przed naszymi partnerami... Wczoraj miałaś za dużo roboty, żeby dotrzeć na koncert, a tak naprawdę zajmowałaś się ważniejszymi sprawami, na przykład rezerwowaniem babskiego wyjazdu z Shelley.

– W ogóle tego nie pamiętam! To się wydarzyło późno w nocy. Sporo wypiliśmy. – Zamilkłam na chwilę, usiłując zebrać myśli. – Wiesz, że nasza wycieczka do Indii nie ma zbyt dobrych recenzji...

– Tak, rozmawialiśmy już o tym – przerwał mi. – Nie możesz wszystkiego kontrolować, Georgio.

– Zdaję sobie z tego sprawę. Ale wczoraj znalazłam blog, na którym zamieszczono straszną recenzję tej wycieczki. Naprawdę koszmarną. No i po prostu dałam się ponieść emocjom. Wiesz, jaka jest Shelley... – Zamilkłam. – Chciałam zrobić coś spontanicznego.

Ben wziął głęboki wdech.

– Georgio, nie mam nic przeciwko temu, żebyś pojechała na wakacje. Nie w tym rzecz. Chodzi o to, że sama mi o tym nie powiedziałaś i nawet nie zapytałaś, czy to dobry moment na wyjazd. Niczego ze mną nie uzgadniasz. Dlaczego nie powiedziałaś mi o tej recenzji?

– Nie chciałam, żebyś się martwił – odpowiedziałam cicho.

– O tym właśnie mówię. Jestem twoim partnerem, wspólnie prowadzimy ten biznes. Jeśli ty się martwisz, to i ja się martwię. – Wyraz twarzy Bena lekko złagodniał.

– Nie pamiętam, żebym rezerwowała tę wycieczkę. Przysięgam. To była głupia, nieprzemyślana decyzja. Zaraz tam zadzwonię i wszystko odkręcę – zapewniłam, sięgając po telefon.

– Nie – zaprotestował głośno.

– Co? – Spojrzałam na niego ze zdziwieniem.

– Niczego nie odkręcaj. Zaslugujesz na wakacje. Musisz się trochę odstresować i choć na chwilę przestać myśleć o interesach. Zawsze marzyłeś

o Indiach, a poza tym anulowanie rezerwacji będzie kosztowało prawie tyle, co sama wycieczka. Może tego właśnie potrzebujesz. Oboje tego potrzebujemy. Powinniśmy odpocząć trochę od biura i od siebie.

– Odpocząć od siebie? – wyjąkałam. Poczułam się tak, jakby ktoś przyłożył mi do karku lodowatą dłoń.

– Nie, nie to miałem na myśli. Chodzi mi o to, żebyś odpoczęła od tego miejsca. – Machnął ręką, rozglądając się po biurze. – Jedź, Georgio. Uważam, że to dobry pomysł. – Lekko się uśmiechnął, po czym odebrał telefon.

Nie tak to sobie wyobrażałam. Shelley mówiła, że dzięki takiemu ruchowi Ben bardziej się mną zainteresuje, ale jej plan najwyraźniej nie wypalił. Liczyłam na to, że spojrzy na mnie z podziwem, doceni moją odwagę i determinację. Nie sądziłam, że zamiast tego zawiodę go po raz kolejny.

Otworzyłam skrzynkę pocztową i napisałam do Shelley – wołałam się upewnić, że pamięta o naszej podróży do Indii. Miałam nadzieję, że wszystko się uda.



## ROZDZIAŁ SZÓSTY

### Płochliwość, czyli przewrażliwienie połączone z rozedrganiem

Nie miałam nawet czasu przyzwyczać się do myśli o tym, że pod wpływem pochopnej decyzji miałam wkrótce polecieć do Indii na jedną z wycieczek mojego biura. Byłam zbyt zajęta przygotowaniem do wyjazdu. Musiałam przekazać bieżące sprawy Benowi i Kelli, zadbać o to, żeby pod moją nieobecność wszystko szło płynnie. Przełożyłam spotkania, grzecznie podziękowałam za zaproszenia na imprezy branżowe i poprosiłam, żeby przekazano mi dokumenty podsumowujące te spotkania.

Musiałam się zająć załatwianiem wiz, bo bez nich cała podróż nie mogłaby się odbyć. Zadzwoiłam do Sanjaya, który pracował w Visa Express, i zapytałam, czy mógłby przyspieszyć całą procedurę – tak jak w przypadku innych naszych klientów. Niestety, zdążyła już dotrzeć do niego wiadomość, że zamierzam zakończyć współpracę z jego firmą, więc uprzejmie, ale stanowczo powiedział, że bym się odchrzaniła.

W ten oto sposób, pewnego deszczowego poranka, znalazłam się na ulicy, czekając na otwarcie biura wizowego. Schroniłam się pod pobliską witryną sklepową, bo w pośpiechu zapomniałam parasolki. Liczyłam na to, że dotrę tu jako pierwsza i wejdę do środka, kiedy tylko otworzą. Niestety, wyglądało na to, że cały Manchester wpadł na ten sam pomysł. Przede mną stało już przynajmniej trzydzieści zmęczonych osób, a Shelley, jak to Shelley, spóźniła się. Mijały kolejne minuty, a drzwi się nie otwierały. Byłam zmarznięta, przygnębiona i naprawdę nie miałam na to wszystko czasu. Gdzie, do cholery, podziła się Shelley?

– Jesteś tu po raz pierwszy? – zapytał stojący przede mną wysoki Hindus, kiedy znów zaczęłam się wychylać zza jego pleców i sprawdzać, czy biuro nie zostało otwarte. Było dwie po dziewiątej i nic nie wskazywało na to, żeby zardzewiałe żaluzje miały zaraz zostać podniesione.

– Yyy, tak – odpowiedziałam. Nie chciałam wdawać się w jakiegokolwiek rozmowy.

Roześmiał się, a w kącikach jego brązowych oczu z oliwkowymi obwódkami pojawiły się zmarszczki.

– Tak myślałem. Wiesz, jaki jest pierwszy etap przygotowań do wyjazdu do Indii? – zapytał, lekko się uśmiechając.

– Jaki? – Spojrzałam na niego i zauważyłam, że jest niesamowicie przystojny. Jego tajemnicze oczy mocno kontrastowały z jasnobrązową skórą

i kilkudniowym zarostem. Gęste czarne włosy niemal krzyczały „pogłaszcz mnie”, a uśmiech wydawał się jednocześnie nieśmiały i figlarny.

– Cierpliwość. – Roześmiał się.

Choć był niesamowicie przystojny, nie miałam ochoty na pogawędkę. Musiałam załatwić jeszcze mnóstwo spraw i nie mogłam teraz zajmować się rozważaniem, jak wygląda jego ciało ukryte pod klasycznym, szytym na miarę garniturem.

Prychnęłam z oburzeniem.

– Nie jesteście w Indiach. Jesteście w Manchesterze, gdzie sklepy, biura i urzędy otwiera się punktualnie.

Nieznajomy potrząsnął głową, wyraźnie rozbawiony.

– Jeżeli już teraz tracisz cierpliwość, to zaczekaj, aż dotrzesz na miejsce. Dowiesz się o sobie rzeczy, których nigdy byś się nie spodziewała. Och, ale poza tym będziesz zachwycona.

Znałam ten typ: pewny siebie, protekcyjny i arogancki. Uważał się za lepszego od innych ludzi tylko dlatego, że wyglądał tak, jakby właśnie spadł z nieba.

– Dzięki, ale myślę, że znam siebie całkiem nieźle – odparowałam, siląc się na uśmiech. Modliłam się w myślach, żeby kolejka wreszcie się ruszyła i żebym nie musiała dłużej patrzeć na jego irytującą, pełną samozadowolenia twarz. Poradzę sobie w Indiach. Na pewno.

– Georgia! Jestem! – zawołała Shelley. Była czerwona i biegła w moją stronę, machając rękami. – Przepraszam. Przyjaciółka zajęła mi miejsce. – Przepychała się między ludźmi, udając, że nie zauważa nienawistnych spojrzeń i nie słyszy poirytowanych, wściekłych fuknięć. – Przepraszam za spóźnienie, kochana – powiedziała, z trudem łapiąc oddech i próbując wachlować się telefonem. – Boże, straszna kolejka. Nie mogłaś uruchomić któregoś ze swoich kontaktów, żeby załatwić to w inny sposób?

– Gdybym mogła, zrobiłabym to, wierz mi.

Shelley pokiwała głową, najwyraźniej wychwytyjąc irytację w moim głosie. Przez nasze spontaniczne wakacje miałam mnóstwo rzeczy do załatwienia. Na pewno nie należało do nich stanie w kolejce po stempel w paszporcie. Kiedy już uświadomiłam sobie, że nieprzemyślana decyzja, którą podjęliśmy po pijaku, nie dotyczy tylko nas dwóch, starałam się zadbać o to, żeby mój nieplanowany wyjazd przebiegł możliwie bezkolizyjnie. Zamierzałam nawet znaleźć kogoś, kto pomógłby Benowi i Kelli w czasie mojej nieobecności. Ben zapewniał co prawda, że poradzą sobie sami, ale nie byłam przekonana, więc uznałam, że na wszelki wypadek kogoś poszukam. Ben jeszcze mi podziękuje. Na pewno.

Problem polegał na tym, że choć lokalna agencja pracy tymczasowej przesała mi zgłoszenia wielu osób, prawie żadna z nich się nie nadawała. Miałam

dwa stosy: jeden z potencjalnymi kandydatami, a drugi z tymi, których od razu odrzuciłam. Mimo to wiedziałam, że muszę kogoś szybko znaleźć.

– No tak, rozumiem. Miejmy nadzieję, że szybko pójdzie. – Uśmiechnęła się.  
– Co słyszeć? Nie żałujesz?

– Nie żałuję. No, może z wyjątkiem tego rumu. – Zauważyłam, że mojego znajomego z Bollywood bez reszty pochłonął telefon. Na szczęście.

Shelley wyduła wargi.

– Ja też nie. A jak to przyjął Ben? Nie miał nic przeciwko? Pewnie się cieszy, że przejęłaś inicjatywę i postanowiłaś rozwiązać problem tych złych recenzji?

Nie zdążyłam jej jeszcze niczego zrelacjonować.

– Powiedzmy, że nie był zachwycony moją spontaniczną decyzją o wyjeździe do Indii. A przede wszystkim rozczarowało go to, że nie skonsultowałam z nim najpierw tego pomysłu.

– Och. Cholera. – Pokiwałam głową. – Hej, nie martw się. Rozłaka dobrze robi wszystkim parom. A poza tym, kiedy Ben zrozumie, jaki to genialny pomysł, na pewno zmieni zdanie.

– Oby. – Posłałam jej smutny uśmiech.

Nagle rozległ się okrzyk radości: drzwi wreszcie się otworzyły, a tłum zaczął powoli napierać. Na stole, pod którego rozchwianą nogę wetknięty był kawałek pożółkłej gazety, leżały ulotki i długopisy na gumkach. Dzięki temu trudniej je było ukraść. W tylnej części pomieszczenia znajdowały się trzy stanowiska, a zmęczeni, senni pracownicy rozstawiali plastikowe krzesła dla klientów.

Wzięłam numererek, tak jakbym znalazła się w stoisku delikatesowym w Tesco – a potem pozostało nam już czekać na naszą kolej. Staralam się trzymać z daleka od zadowolonego z siebie Mistera Indii. Niecierpliwie postukiwałam nogą, modląc się, żeby jak najszybciej nas wezwano.

– Nadal nie mogę uwierzyć, że lecimy do Indii – powiedziałam, wskazując ruchem głowy duży, sfatygowany plakat przedstawiający Tadź Mahal.

– Ja też nie! Będzie niesamowicie. – Shelley szeroko się uśmiechnęła.

– A co na to Jimmy? Nie uschnie z tęsknoty? – zażartowałam.

– Pewnie uschnie. – Roześmiała się. – Tak jak mówiłam, rozłaka dobrze robi wszystkim parom.

– Numer trzydzieści dwa – odezwał się wreszcie mechaniczny głos.

– To my! – Zerwałam się na równe nogi i pomknęłam do stanowiska, przy którym siedziała kobieta w średnim wieku, z okularami o grubych oprawkach. Spojrzała na nas wyczekująco. – Dzień dobry, potrzebujemy wiz do Indii. – Wsunęłam do środka paszporty i zerknęłam na zegarek.

– Poproszę o formularze – odezwała się Okularnica znudzonym tonem.

Gwałtownie uniosłam głowę i spojrzałam na urzędniczkę.

– Formularze?

Przewróciła oczami.

– Formularze. Potrzebuję ich, żeby przyjąć wniosek o wizę. – Westchnęła. – Wszystkie te informacje można znaleźć na naszej stronie internetowej.

O cholera.

W przypadku naszych klientów, kontaktowaliśmy się po prostu z firmą Sanjaya i to oni zajmowali się wszystkimi formalnościami. Nie miałam pojęcia, że trzeba wypełniać jakieś formularze.

– Eee... nie mamy formularzy.

Kobieta westchnęła i spojrzała na kolejkę za moimi plecami. Czułam na sobie wzrok aroganckiego Mistra Indii. Mogłabym się założyć, że nie zapomniał o tych pieprzonych formularzach.

– Co się dzieje? – wtrąciła się Shelley.

– Trzeba mieć wypełnione formularze – wymamrotałam.

– Formularze? Myślałam, że przystawią nam tylko pieczętkę w paszporcie i po sprawie.

– Ja też tak myślałam. – Wypuściłam powietrze i zwróciłam się do Okularnicy. – Czy nie może nam pani dać tych formularzy, tak żebyśmy wypełniły je na miejscu?

– Wszystkie formularze są dostępne online. – Upajała się swoją władzą. Nie miałam co do tego wątpliwości.

Starłam się zachować spokój.

– Więc powinniśmy teraz wrócić do domu, ściągnąć formularze, wypełnić je, wydrukować i tu wrócić? A potem znowu stanąć w kolejce? – Musiałam załatwić jeszcze tyle spraw...

– Takie są przepisy.

– Naprawdę? – Uśmiechnęłam się do niej błagalnie, ale ona posłała mi obojętne spojrzenie.

– Proszę wrócić z formularzami i zdjęciami paszportowymi. Macie panie zdjęcia paszportowe, prawda? – Przygryzłam wargę i potrząsnęłam głową. – No cóż, w takim razie radziłabym się pospieszyć. Zamykamy za dwie godziny.

– Świetnie, dziękuję za pomoc. Chodź, Shell. – Obróciłam się na pięcie i ruszyłam do drzwi.

– Czekaj... Ona chyba nie mówi poważnie? – jęknęła Shelley. – Nie wierzę. Co ona mówiła o zdjęciach paszportowych?

– Potrzebujemy ich. I to pilnie.

Shelley pokiwała głową, po czym dodała cicho:

– Myślałam, że znasz się na tych sprawach.

– Proszę, nie zaczynaj.

– Drogie panie, wszystko w porządku? – Pewny siebie i nieziemsko

przystojny Mister India podszedł do nas, a ja wsunęłam paszport do torebki.

– Tak – wymamrotałam.

– Nie wiesz może, czy jest tu w okolicy jakaś fotobudka? Albo kafejka internetowa? Musimy ściągnąć formularze. – Shelley posłała mu jeden ze swoich najbardziej olśniewających uśmiechów.

– W porządku, damy sobie radę. – Położyłam jej dłoń na ramieniu, usiłując wyminąć irytującego faceta.

– Mam tu parę zapasowych formularzy, możecie ich użyć. – Zaczął grzebać w czarnej skórzanej torbie. No tak, oczywiście. Idealnie przygotowany.

– Wow, to bardzo miłe. Prawda, Georgio? – Shelley natychmiast się rozpromieniła.

– Hm. Masz tam też miniparat, którym mogłybyśmy zrobić sobie zdjęcia? – rzuciłam z przekąsem. Dlaczego byłam dla tego człowieka taka niemila? Z jakiegoś powodu bardzo działał mi na nerwy.

Mister India roześmiał się.

– Nie, ale niedaleko stąd jest zakład fotograficzny, w którym możecie zrobić sobie zdjęcia. Jeśli chcecie, zajmę wam tymczasem miejsce w kolejce.

Zamierzałam właśnie poinformować go, że nie potrzebujemy pomocy, kiedy Shelley klasnęła i wylewnie mu podziękowała, po czym pociągnęła mnie do wyjścia.

– Co za miły facet! – zawołała, ruszając przed siebie pełnym kałuż chodnikiem. – A do tego niezmiernie przystojny.

– Jesteś zbyt ufna – zauważyłam, w ostatniej chwili omijając psie odchody.

– Phi. A ty jesteś zbyt ostrożna. Warto ufać ludziom, nawet nieznanym. Czasem naprawdę chcą po prostu pomóc i mają dobre intencje.

– Jeszcze zobaczymy – wymamrotałam. Chciałam dodać, że wiem, co mówię, bo już parę razy popełniłam ten błąd i komuś zaufałam, postanowiłam jednak to sobie darować. W jakimś sensie bardzo chciałam się mylić.

Mister India dotrzymał słowa i czekał cierpliwie na nasz powrót. Wręczył nam formularze, a nawet tubkę kleju, dzięki czemu mogłyśmy umieścić w odpowiedniej rubryce ohydne zdjęcia paszportowe.

– Bardzo proszę, drogie panie. – Kiedy zobaczył moją fotografię, ledwo powstrzymał się od śmiechu. – A więc: Georgia Green i Shelley Robinson – dodał, odczytując nasze imiona i nazwiska. – Życzę wam, żebyście się dobrze bawiły w Indiach. No nic, muszę już iść. Aha, mam na imię Rahul.

– Bardzo dziękujemy, Rahul! – zawołała za nim Shelley. W tej samej chwili wywołano nasz numer. – O rany, co za miły facet. Szkoda, że obie jesteśmy zajęte... no cóż, ty w każdym razie przynajmniej wyznaczyłaś sobie cel podboju. W przeciwnym razie czekałaby nas dużo gorętsza podróż. I nie mam tu na myśli przypraw. – Roześmiała się, udając, że się wachluje, i odprowadzając Rahula

wzrokiem.

W odpowiedzi wymamrotałam:

– Chodź, załatwmy to wreszcie.

– Szybko poszło – mruknęła Okularnica, przyjmując nasze formularze. – Wygląda na to, że tym razem wszystko jest w porządku. – Westchnęłam z ulgą. – Rozpoczniemy procedurę i wkrótce dostaną panie oficjalną decyzję.

– Jak to? Decyzję? Więc chociaż spędziłyśmy tu cały ranek, nadal nie mamy gwarancji, że dostaniemy wizę? – Urzędniczka potrząsnęła głową, a jej kolczyki głośno brzęknęły. – Ile to potrwa?

– Jeżeli odpowiedź będzie pozytywna, otrzymają panie paszporty z wizą w ciągu dziesięciu dni roboczych.

– Dziesięciu dni! – zaskrzeczałam. – Myślałam, że chodzi o zwykły stempel w paszporcie! Przecież my za dziesięć dni wyjeżdżamy!

Kobieta posłała mi spojrzenie, które nie pozostawiało wątpliwości: To nie mój problem – a następnie wskazała ruchem głowy małą, wiszącą na ścianie kartkę, na której ostrzegano, że werbalne ataki na pracowników nie będą tolerowane. Usiłowałam się uspokoić.

– W takim razie pozostaje mieć nadzieję, że otrzymają panie wizy przed wyjazdem – oznajmiła, po czym posłała mi wściekłe spojrzenie i wezwała kolejnego petenta. – Numer pięćdziesiąt dziewięć.

– To tyle, jeśli chodzi o spontaniczność – wymamrotałam, kiedy wyszłyśmy z pełnego bezdusznych urzędników biura wizowego.

Na ulicy powitał nas ulewny deszcz i porywisty wiatr. Zaczęłyśmy brnąć w stronę przystanku, a po pewnym czasie wsiadłyśmy do autobusu. Shelley milczała przez całą drogę powrotną.

Weszłam do biura zmarznięta i przemoczona do nitki. Byłam w fatalnym nastroju i czułam się tak, jakby nasza podróż okazała się totalną katastrofą, jeszcze zanim się na dobre zaczęła. Poprawił mi się humor, kiedy zorientowałam się, że mamy gościa. W moim fotelu siedziała Trisha, matka chrzestna Bena, moja przyjaciółka. Beztrąsko popijała herbatę. Na jej widok szeroko się uśmiechnęłam.

– Co ty tu robisz? – zapytałam, mocno ją obejmując.

– Witaj, kochanie, widzę, że złapała cię ta okropna burza? – Trisha wskazała moje mokre spodnie. – No cóż, słyszałam, że o tej porze roku w Delhi jest dużo lepsza pogoda. – Mrugnęła do mnie porozumiewawczo.

– Ach, więc Ben już ci o wszystkim powiedział.

– Tak. Och, to niesamowicie ekscytujące. Będziesz zachwycona Indiami. Ilekroć stamtąd wracam, czuję się kompletnie odmieniona – dodała. – To w końcu kolebka duchowości, jest tam jakaś szczególna aura. Indie inspirują, zachwycają i irytują jak żaden inny kraj.

– Na razie zdążyły mnie głównie zirytować – mruknęłam, zdejmując mokry

płaszcz. – Spędziłam cały ranek w kolejce do biura wizowego, a mimo to nie mam gwarancji, że dostanę wizę przed wyjazdem. – Westchnęłam, starając się nie panikować i nie myśleć o tym, co się stanie, jeśli nie odzyskam paszportu przed wylotem. Wyobraziłam sobie, jak Rahul potrząsa z politowaniem głową, dowiadując się, że tak późno zaczęliśmy to wszystko załatwiać.

– Ach, no tak. Wiem, to straszne urwanie głowy, ale przekonasz się, że było warto, kiedy już wsiądziesz z samolotu w tym cudownym kraju. To wielka tajemnica: żadne inne miejsce nie porusza naszej duszy w taki sposób, jak Indie. Przekonasz się.

– Hm, sama nie wiem, czy chcę, żeby moja dusza została poruszona. – Mrugnęłam do niej porozumiewawczo.

– Och, kochanie, nie masz na to żadnego wpływu. – Trisha zachichotała. – Indie zrobią z tobą, co tylko zechcą.

Pokiwałam głową, choć nie do końca wiedziałam, co ma na myśli.

– A co u ciebie?

– Wszystko dobrze, chociaż trudno mi się przyzwyczaić do życia na emeryturze. – Posłała mi promienny uśmiech, ale w jej oczach dostrzegłam smutek.

– Wiesz, że mogłaś dalej tu pracować? – zapytałam.

Zanim założyliśmy Biuro Podróży Samotnych Serc, Trisha prowadziła swoje Niezapomniane Wspomnienia, ale szybko przejęliśmy jej bazę klientów i połączyliśmy oba biura, tworząc inną firmę: Młodych Duchem. Organizowaliśmy wycieczki do różnych zakątków Europy, w których samotni dojrzali mężczyźni i kobiety mogli doświadczać nieco mniej egzotycznych, choć nadal wspaniałych przygód. Kelli nazywała te wyjazdy Rajdami Emerytów. Cieszyły się ogromnym powodzeniem wśród ludzi powyżej sześćdziesiątego roku życia, którzy zamierzali przepuścić spadek swoich dzieci na przyjemności i podróże. Trisha nadal nas odwiedzała, ale jej wizyty były w ostatnim czasie rzadką, niezwykle miłą niespodzianką.

Poklepała mnie po ramieniu, a ja ze zdziwieniem zauważyłam, jak pomarszczone i chude stały się jej ręce.

– Owszem, ale to teraz wasze dziecko. Twoje i Bena. – Zarumieniłam się. – Wiesz, co mam na myśli! – Roześmiała się. – Wasze biuro podróży naprawdę świetnie wygląda. Kelli opowiadała mi właśnie, jak dobrze wam idzie. Wydaje mi się, że liczy na jakąś podwyżkę. – Trisha mrugnęła do mnie porozumiewawczo.

– Wszyscy chcielibyśmy dostać podwyżkę. – Przewróciłam oczami. – Co u ciebie? Znalazłaś sobie jakieś nowe hobby? Kiedy mój tata przeszedł na emeryturę, strasznie wciągnął się w ogrodnictwo.

Trisha potrząsnęła smutno głową.

– Mnie to nie grozi, ledwo radzę sobie z kaktusami. Za to sporo czytam i nadrabiam zaległości towarzyskie. – Powiedziała to w taki sposób, jakby mówiła

o obowiązkach, a nie o przyjemnościach. – Na pewno niedługo znajdę sobie coś do roboty.

Uśmiechnęła się i zaczęła przeglądać jeden z naszych folderów. Nagle przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

– Trisha, co robisz dwudziestego siódmego?

Podniosła wzrok.

– Nic. A co?

– Może miałabyś ochotę na chwilę przerwać emeryturę?



## ROZDZIAŁ SIÓDMY

### Ignorancja, czyli brak świadomości i wiedzy

– I jak, czule pożegnałaś się ze swoim ukochanym? – Byłyśmy u mnie w domu, w moim niewielkim salonie. Przepakowywałam właśnie plecak, Shelley zaczęła udawać, że całuje się z poduszką.

– Hm, to było raczej coś w stylu: „Do zobaczenia za kilka tygodni, współpracowniku” – odpowiedziałam, przypominając sobie pełną napięcia atmosferę, jaka panowała w biurze w ostatnim czasie. Świadomie unikałam wszelkich rozmów o Indiach, bo wiedziałam, że złamałam niepisaną umowę i zawiodłam Bena. – Nie rozumiem tego. Okej, faktycznie zaskoczyłam go tym spontanicznym wyjazdem do Indii. To zresztą twoja zasługa... – Posłałam jej znaczące spojrzenie. – Ale przecież to on powiedział, że powinnam jechać, i tłumaczył, że dobrze nam zrobi, jeśli od siebie odpoczniemy. – Poczułam ukłucie w brzuchu. Przypomniałam sobie spojrzenie Bena, rozczarowanie malujące się na jego twarzy.

– No cóż, pewnie jest zazdrosny. – Shelley wzruszyła ramionami.

Podniosłam wzrok.

– Co masz na myśli?

– Ben uwielbia podróżować. Wiesz to, odkąd się poznaliście. – Pomyślałam o kolekcji pocztówek z egzotycznych miejsc, które zobaczyłam, kiedy po raz pierwszy przestąpiłam próg biura podróży Trishy. Dostała je od swojego chrześniaka, niejakiego Steviego, a ja dopiero po pewnym czasie dowiedziałam się, że Stevie to tak naprawdę Ben Stevens. – Jest po prostu zły, że nie poleci z tobą do Indii – dodała.

– Może masz rację.

Odkąd założyliśmy nasze biuro, Ben czuł się pewnie tak, jakby ktoś podciął mu skrzydła. Czasem przyłapywałam go na przeglądaniu folderów reklamowych i wpatrywaniu się w zdjęcia przepięknych plaż oraz bezkresnych dżungli – ale ilekroć próbowałam z nim o tym porozmawiać, podnosił głowę, uśmiechał się i zapewniał, że absolutnie nie żałuje, że założył ten biznes. Za każdym razem po cichu liczyłam, że doda: „z tobą”.

– No dobra, chodźmy do pubu, skoro już skończyłaś się pakować – zaproponowała Shelley, zrywając się na równe nogi.

– Sama nie wiem, jeszcze nie sprawdziłam, czy wzięłam wszystko, co potrzeba. – Wskazałam wypełnioną do połowy walizkę.

– Daj spokój, jedziemy na dwa tygodnie. Potrzebujesz kilku par majtek,

szczoteczki do zębów i paszportu. – Na szczęście tego ranka dostałyśmy paszporty z indyjskimi wizami turystycznymi. Kiedy Kelli mi o tym powiedziała, prawie krzyknęłam ze szczęścia. – No chodź, panno Spontaniczna, napijmy się. Wprawimy się w dobry nastrój przed jutrzejszym wyjazdem!

Ruszyłyśmy do pobliskiego pubu. Kiedy weszłam do pogrążonego w półmroku pomieszczenia i poczułam smród papierosów połączony z ostrym zapachem wybielacza, przypomniałam sobie, dlaczego nigdy tu nie przychodziłam. Ale było tu tanio, miałam blisko do domu, a stali bywalcy wydawali się całkiem przyjaźni. Shelley poszła zamówić nam coś przy barze, a ja usiadłam przy stoliku na rozpadającym się krześle i wyjęłam telefon. Trisha z zachwytem przyjęła moją propozycję – cieszyła się, że popracuje w biurze pod moją nieobecność – Ben też wydawał się zadowolony z takiego rozwiązania. Dzięki temu nie musiałam szukać nikogo na zastępstwo, miałam też pewność, że doświadczona Trisha będzie nad wszystkim czuwała. Wiedziałam, że chodzi tylko o dwa tygodnie, ale przecież wiele mogło się w tym czasie wydarzyć. Przeglądałam właśnie e-maile, upewniając się, że przekazałam im wszystkie najważniejsze informacje, kiedy nagle usłyszałam swoje imię.

– Georgia? – Podniosłam wzrok i zobaczyłam Mike’a, chłopaka Marie. Wyszzerzył zęby w uśmiechu.

– Och, cześć! Co słychać?! – zawołałam. – Prosto z pracy? – zapytałam, wskazując jego poplamione farbą ogrodniczkę.

– Nic się przed tobą nie ukryje, co? – Uśmiechnął się na widok Shelley, która ruszyła w naszą stronę z dwoma kuflami cydru. – Cześć, co u ciebie?

– Mike, prawda? – zapytała Shelley, ostrożnie stawiając cydr na chwiejącym się stole. Mike pokiwał głową. – Ostatnio widzieliśmy się chyba na otwarciu biura podróży Georgii.

– Czas leci – zaśmiał się.

– To prawda. A co słychać u małego Cole’a?

– Świetnie, dzięki. Powoli uczy się korzystać z nocnika... – Mike skrzywił się i usiadł przy naszym stoliku, wylewając odrobinę cydru na podłogę. – Co porabiacie? Georgio, nigdy tu nie przychodzisz!

– No cóż, jutro lecimy do Indii, więc uznałam, że trzeba zadbać o dobry nastrój przed wyjazdem – wyjaśniła z dumą Shelley.

Nadal nie zdążyłam nikomu powiedzieć o tej wycieczce. W przeciwieństwie do zeszłego roku, kiedy postanowiłam wyruszyć z plecakiem do Tajlandii, tym razem chodziło o podróż służbową. Misja była prosta: dotrzeć na miejsce, znaleźć Nihala, rozwiązać problem i wrócić do domu.

Mike wybałuszył oczy.

– Wow! Marie nic mi nie mówiła. Ale ekstra!

– To była dość spontaniczna decyzja – wyjaśniłam. Nie dodałam, że

w momencie podejmowania miałyśmy we krwi mnóstwo drogiego, supermocnego rumu. – A gdzie Marie? – Rozejrzałam się po pustym pubie, wypatrując przyjaciółki.

– Pojechała odwiedzić Cole’a do swojej matki. Dzięki Bogu mamy dziś wolny wieczór i nie będziemy musieli zmieniać pieluch ani ścierać plam z podłogi. – Mike roześmiał się i zerknął na zegarek. – Powinna się tu za chwilę zjawić...

Jak na zawołanie Marie weszła do pubu, rozejrzała się i po chwili nas zauważyła.

– O Boże, Georgio! – Szeroko się uśmiechnęła, podbiegła do naszego stolika i mocno mnie przytuliła. – Nigdy tu nie przychodzisz. Co słychać? Całe wieki cię nie widziałam.

Skrzywiłam się.

– Bardzo cię przepraszam, byłam po prostu...

– Zajęta, tak, tak, wiem. Chociaż mogłabyś czasem odpisywać na esemesy...

– dodała, potrząsając głową. – Co u ciebie?

– Marie! – zawołała Shelley. – Co słychać, stara?

Marie wyglądała na kompletnie zaskoczona.

– Shelley, a co ty tutaj robisz? Myślałam, że jeździsz po Europie.

– I jeździłam. Odwiedziłam sporo miejsc, ale ostatecznie zakochałam się w Manchesterze i postanowiłam tu zamieszkać.

– Tak. W Manchesterze i w Jimmym – zażartowałam.

– W najlepszym kumplu Bena? Tym mięśniaku? – zapytała Marie.

– Tak, właśnie o niego chodzi. – Roześmiałam się.

– I co porabiacie? Zrobiłyście sobie babski wieczór w pubie? – W pozornie beztroskim tonie Marie wyczułam pewne napięcie.

– Tak, coś w tym stylu. Postanowiłyśmy odpuścić sobie pakowanie i wypić parę drinków, żeby przygotować się na jutro. – Shelley wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

– Pakowanie? Przygotować się na jutro? – powtórzyła Marie.

– Georgia nic ci nie mówiła? Lecimy do Indii! – Shelley otoczyła mnie ramieniem i mocno uściśnęła.

– Do Indii? – zapytała Marie, a ja pokiwałam głową. – Ach, to super, bardzo się cieszę – dodała tonem, który wyrażał coś zupełnie innego niż radość. – Nie, hm... nic nie mówiła.

Shelley nie wyczuła napięcia w jej głosie i paplała dalej:

– Tak, lecimy do Delhi, a potem zrobimy sobie parę wycieczek, nacieszymy się widokami, zwiedzimy Bollywood i poopalamy się na którejś z plaż na Goa. Przyda nam się trochę witaminy D. – Roześmiała się, gładząc pokryte piegami przedramiona.

Mike wstał i pocałował Marie w policzek, po czym wręczył jej niewielki

kieliszek wina, które wypła jednym haustem.

– Ty... jedziesz do Bollywood? – zapytała Marie, patrząc na mnie ze zdziwieniem.

– Ekstra, co? – wtrącił Mike.

Marie odwróciła się do niego.

– Wiedziałaś o tym?

– Dowiedziałem się dosłownie przed chwilą, kochanie – zapewnił. Rozłożył ramiona, po czym ruszył do baru, mamrocząc coś pod nosem i tłumacząc, że kupi chipsy.

– Super, w takim razie życzę wam dobrej zabawy – wycedziła Marie przez zaciśnięte zęby.

Shelley musiała wreszcie wyczuć, co się święci, i pospiesznie się oddaliła.

– Przepraszam, że nie zadzwoniłam wcześniej. Od dawna się zbierałam... – zaczęłam cicho.

– Hm... – Marie sączyła wino, unikając mojego wzroku. – No cóż, mój numer się nie zmienił.

Panującą w pubie ciszę przerywało jedynie pokastywanie jakiegoś starszego mężczyzny.

– A więc Bollywood, co?

– Marie, to nie tak, jak myślisz.

– Och, naprawdę? – Machnęła rudymi włosami, położyła sobie dłoń na biodrze i zmrużyła oczy. – Wobec tego powiedz mi, jak jest, Georgio.

– No cóż, to bardzo zabawna historia... – wyjaśniłam, przypominając sobie, w jak absurdalnych okolicznościach zdecydowałam się na wyjazd do Indii.

– Myślisz, że to zabawne? – Uśmiech natychmiast zniknął z mojej twarzy. Spuściłam wzrok. – Chcesz usłyszeć coś zabawnego? – Patrząc na jej wściekłą twarz, wcale nie miałam pewności, czy chcę to usłyszeć. – Namawiam swoją porzuconą tuż przed ślubem przyjaciółkę na spontaniczny wyjazd. Wspieram ją w najtrudniejszych chwilach, pomagam jej poradzić sobie z tym, co ją spotkało, troszczę się o nią, jak tylko mogę. I co dostaję w zamian?

– Czekaj, ja...

– Nie, to ty zaczekaj. Jeżeli nie powiem tego teraz, to kto wie, kiedy pojawi się następna okazja?

Pokiwałam głową i przełknęłam ślinę.

– Rozumiem, że masz dużo pracy, ale nigdy się do mnie nie odzywasz – mówiła dalej Marie. – Nie oddzwoniasz, nie odpisujesz na esemesy... A potem przychodzę do pubu na drinka i spotykam cię razem z twoją superprzyjaciółką podróżniczką. Siedzicie tu sobie jakby nigdy nic, zaśmiewacie się, a potem oznajmiacie, że lecicie jutro do Indii, do miejsca, o którym zawsze marzyłam. Cholerne Bollywood? Nie przyszło ci do głowy, że twoja przyjaciółka aktorka

chciałaby doświadczyć tego razem z tobą? A może jesteś zbyt zajęta odgrywaniem roli podróżniczki i bizneswoman, żeby o tym pomyśleć, co, Georgio? – Do oczu napłynęły jej łzy, ale szybko poruszyła powiekami i po chwili nie było już po nich śladu.

– Marie, przepraszam. Wiem, że to tak wygląda z twojej perspektywy, rozumiem to, ale uwierz mi, wcale tak nie jest. – Położyłam dłoń na sercu, czując, że sama zaraz się rozpłaczę.

– Czy to dlatego, że mam dziecko? A może chodzi o to, że pracuję jako fryzjerka? To dla ciebie nie dość godne zajęcie?

– Nie!!! To nie ma z tym nic wspólnego. Przepraszam, że byłam taką beznadziejną przyjaciółką. Miałam wiele na głowie, ale wynagrodzę ci to, kiedy tylko wrócę, przysięgam.

Spojrzała na mnie z wściekłością.

– Wiesz co? Może już być wtedy za późno. – Obróciła się na pięcie i ruszyła do wyjścia.

Wiedziałam, że powinnam za nią pobiec, przeprosić za to, jak okropnie się ostatnio zachowywałam – ale byłam po prostu zmęczona. Zmęczona tym, że ciągle nawalałam, tym, że ludzie bez przerwy się o mnie martwili, i tym, że zawodziłam i rozczarowywałam kolejne osoby.

Byłam tym wszystkim zmęczona.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

### Zmęczenie materiału, czyli narastające wyczerpanie

Zaspałyśmy. Najwidoczniej udało mi się wyłączyć kolejno wszystkie trzy budziki, które ustawiłam w telefonie. Ze snu wyrwał mnie dopiero klakson taksówki, którą zamówiłam dzień wcześniej.

– Cholera! Shell, wstawaj. Kurwa, jest już naprawdę późno! Zaraz się spóźnimy! – Zerwałam się z łóżka, narzuciłam na siebie pierwszą rzecz, która wpadła mi w ręce, i pospiesznie włożyłam buty.

– Co?! O rany! – zawołała Shelley, zeskakując z kanapy.

Po niezbyt przyjemnej konfrontacji z Marie, zostałyśmy w pubie aż do zamknięcia. Kiedy tak sączyłyśmy leniwie wino, podjęłam ostateczną decyzję: zadbam o to, żeby ta podróż pozwoliła mi wszystko zmienić. Rozwiążę problemy i wrócę stamtąd jako zupełnie inna, lepsza osoba – tak jak mówiła Trisha. O jedenastej wieczorem ten plan wydawał się całkiem sensowny – ale rano wszystko przedstawiało się zupełnie inaczej.

W moim niewielkim mieszkaniu zapanował nagle kompletny chaos. Biegałam od pokoju do pokoju, wrzucając do walizki wszystko, co nawinęło mi się pod rękę. Trzy razy upewniałam się, czy wyłączyłam ogrzewanie, zamknęłam okna i wyłączyłam piekarnik – choć nie pamiętałam, kiedy ostatnio zdarzyło mi się go używać.

– Musimy jechać, taksówkarz zaraz straci cierpliwość – ponagliła mnie Shelley. Po raz ostatni rozejrzałam się po pokoju, sprawdzając, czy żadna z wtyczek nie tkwi w gniazdku. – Georgio, ruszajmy!

– Idę! – zawołałam. Założyłam plecak: to było naprawdę przyjemne uczucie.

Wsiadłyśmy do samochodu i ruszyłyśmy na lotnisko z najbardziej rozwścieczonym taksówkarzem na świecie. Natychmiast ogarnęła mnie radość i podekscytowanie. Decydując się na pracę w branży turystycznej, myślałam, że zacznę dzięki temu częściej odwiedzać egzotyczne miejsca, ale miałam na głowie tyle spraw, że urlop w ogóle nie wchodził w rachubę. Choć moja spontaniczna wyprawa spowodowała pewne konflikty i komplikacje, mogłam przynajmniej liczyć na kolejny stempel w paszporcie.

Zapłaciłyśmy taksówkarzowi i pędem ruszyłyśmy do zatłoczonej hali, nerwowo wypatrując na wielkich wyświetlaczach informacji o naszym locie. Było już naprawdę późno i zaczęłam się bać, że nie zdążymy.

– Tam! – zawołałam. – New Delhi, stanowiska od dwudziestego dziewiątego do czterdziestego pierwszego. Cholera, piszą, że odprawa kończy się za pięć minut!

Szybko! – Pomknęłam przed siebie, a zaspana Shelley ruszyła za mną chwiejnym krokiem.

– Dzień dobry. Proszę o paszporty i bilety – powitała nas kobieta przy stanowisku odprawy. Miała idealny makijaż i nienaganną fryzurę: w porównaniu z nią wyglądałyśmy co najmniej tragicznie. – Zjawiły się panie w ostatniej chwili. – Wydęła umalowane szminką wargi.

– Proszę. – Uśmiechnęłam się przeproszająco i podałam jej swoje dokumenty. Shelley zaczęła grzebać w torebce.

– To mój bilet. – Shelley wręczyła kobiecie kartkę formatu A4. – A paszport mam... – Jej szczupła ręka zanurzyła się nieco głębiej, całkowicie znikając w przepastnej torbie. – Zaraz, gdzieś tu musi być...

– Shelley? – Widząc, jak nerwowo przeszukuje wszystkie zakamarki kolorowej bawełnianej torby, poczułam bolesny skurcz żołądka.

– Musi tu być. Boże, oszaleć można z tymi torebkami. Jimmy zawsze nazywa mnie Mary Poppins, bo noszę tony rzeczy, które wiecznie gdzieś znikają. – Uśmiechnęła się nerwowo i zajęła się przeszukiwaniem wewnętrznych kieszeni.

Pracownica linii lotniczych uniosła brew i zerknęła na bilet Shelley.

– Wszystko w porządku, panno Robinson?

– Tak... – odpowiedziała Shelley, siląc się na beztróski ton.

– Shell, spakowałeś go, prawda? – Powoli ogarniał mnie niepokój, a Shelley z każdą sekundą wpadała w coraz większą panikę.

– Panno Robinson, obawiam się, że jeżeli zapomniała pani paszportu, nie będzie pani mogła wsiąść dziś na pokład samolotu – oznajmiła kobieta o nienagannej fryzurze, po czym zerknęła na srebrny zegarek, który zdobił jej opalony nadgarstek.

– Tak, zdaję sobie z tego sprawę. – W odpowiedzi Shelley posłała jej chłodny, wymuszony uśmiech. Wyglądała, jakby miała ochotę uderzyć ją w twarz.

Po kolejnych kilku minutach bezowocnych poszukiwań Shelley podniosła wzrok. Była blada jak papier.

– Nie... Nie ma go.

Żołądek podszedł mi do gardła.

– Nie wierzę! – wyjąkałam. Patrzyłam na przyjaciółkę w osłupieniu, marząc tylko o tym, żeby nagle wyszczerzyła zęby w uśmiechu, wyjęła paszport z torebki, pomachała mi nim przed nosem i zawołała: „Żartowałam!”. Ale Shelley wyglądała tak, jakby miała się zaraz rozpląkać. Albo zemdleć. Albo i to, i to.

– Shell... Jesteś absolutnie pewna, że go nie masz? – Zaczęłam szperać we własnej torebce, w razie gdybym przez pomyłkę wrzuciła tam jej paszport. – Wyjmij wszystko i sprawdźmy jeszcze raz – zasugerowałam. Obsługująca nas kobieta obrzuciła nas pełnym dezaprobaty spojrzeniem. Nic mnie to nie obchodziło. Wiedziałam, że musimy znaleźć paszport. Nie miałyśmy już czasu na

powrót do domu. Samolot odleciałby bez nas.

– Drogie panie, proszę się pospieszyć. Powinam zakończyć odprawę już pięć minut temu – syknęła kobieta, odwracając wzrok od bałaganu, który powstał przed jej stanowiskiem.

– Musi tu gdzieś być! – krzyknęłam, wytrząsając z torebki długopisy i zapasową parę skarpetek. Powoli stawało się jasne, że paszportu Shelley nie ma w żadnym z naszych bagaży. – Sprawdź kieszenie. Czeka, a może zostawiłyśmy go w taksówce? Jesteś pewna, że w ogóle wzięłaś go z domu?

Shelley opróżniła kieszenie, wywróciła je na drugą stronę i otarła oczy wierzchem dłoni.

– Tak. Na sto procent. Włożyłam paszport do wewnętrznej kieszeni torebki, zanim poszłyśmy do pubu... – Gwałtownie zamilkła i nie odzywała się przez dłuższą chwilę, tak jakby coś rozważała. Wreszcie uniosła głowę. – Marie.

– Co? – Przestałam przeszukiwać bagaże i spojrzałam na nią ze zdziwieniem. – Co z Marie?

– Torebka leżała na stoliku, kiedy rozmawialiście... i kiedy się kłóciłyście. Pamiętasz? A potem ją tam zostawiłyście – wyszeptła, przygryzając dolną wargę.

– Co? No dobrze, ale paszport mógł zabrać każdy, kto akurat był wtedy w pubie – zauważyłam. Ogarniał mnie coraz większy niepokój i zaczęło mi się robić słabo. Marie nie zrobiłaby czegoś takiego, prawda? Prawda?

– Przepraszam, panno Green – warknęła pracownica linii lotniczych. – Musi pani w tej chwili przejść odprawę. Pasażerowie zaraz zaczną wchodzić na pokład. Panno Robinson, jeżeli nie ma pani paszportu, nie mogę pani przepuścić.

Uniosłam rękę, starając się grać na zwłokę.

– Nie został przypadkiem w mieszkaniu? Może wypadł ci z torebki w pubie? A jeśli ktoś go znalazł? Albo nadal leży w taksówce? – Rozpaczliwie szukałam jakiegoś innego wytłumaczenia.

Shelley ze smutkiem pokręciła głową.

– Miałam go ze sobą wczoraj wieczorem, a teraz nagle zniknął.

– I nie sprawdziłaś przed wyjściem, czy na pewno go wzięłaś? – zaskrzeczałam, czując, że zaraz wpadnę w histerię. Przecież Shelley musi polecieć ze mną do Indii. Nie mogę ruszyć w taką podróż zupełnie sama.

– Tak mi przykro, Georgio. Przepraszam. Musisz lecieć beze mnie.

– Panno Green, bardzo proszę. Jeżeli nie przejdzie pani przez bramkę, będę musiała poinformować załogę, że odprawa została zakończona. I nie wsiądzie pani na pokład.

– Dobrze! – syknęłam. – Przepraszam. Bardzo mi przykro. Nie wierzę, że Marie mogłaby zrobić coś takiego.

Shelley głośno pociągnęła nosem.

– A ja mogę. Była na ciebie strasznie wściekła. Pewnie uznała, że dzięki



temu dostaniesz nauczkę i nie zapomnisz o niej następnym razem.

Gwałtownie potrząsnęłam głową.

– Nie, Marie nigdy nie zrobiłaby czegoś tak szalonego i mściwego. To niemożliwe.

– Przepraszam, panno Green. – Pracownica linii lotniczych gotowała się ze złości. – Czy zamierza pani wsiąść do samolotu?

– A może jest jakiś inny, późniejszy lot? Czy nie dałoby się przebukować biletów? – Kobieta pogardliwie prychnęła, ale spojrzała na ekran komputera i zaczęła z wściekłością coś pisać na klawiaturze.

Shelley odwróciła się do mnie.

– Obyś miała rację co do Marie. Jeżeli rzeczywiście nie zabrała mojego paszportu, mogłabym wrócić do ciebie i wszystko przeszukać, zapytać w pubie, zadzwonić do firmy taksówkarskiej... – Zaczęła wyliczać wszystkie kroki, które można było podjąć w tej sytuacji. Gdyby udało jej się odnaleźć paszport, wsiadłaby na pokład kolejnego samolotu do Delhi, a Marie zostałaby oczyszczona z zarzutów.

– Tak, to świetny pomysł. Doleć do mnie, kiedy tylko odzyskasz paszport.

– Przykro mi – oznajmiła pracownica linii lotniczych. Jej mina świadczyła o tym, że wcale nie jest jej przykro. – Na najbliższy lot nie mamy już wolnych miejsc. W grę wchodzi dopiero następny czwartek, ale bilety kosztują prawie dwa razy więcej niż te dzisiejsze. Oczywiście musiałaby pani do tego czasu znaleźć paszport.

Shelley zrobiła się jeszcze bledsza.

– No tak, czyli to by było na tyle. – Westchnęła, starając się powstrzymać łzy. – Nic na to nie poradzimy. Bardzo cię przepraszam, Georgio. Dasz sobie radę?

Nie miałam nawet czasu odpowiedzieć na to pytanie, bo obsługująca nas kobieta wstała i wyłączyła komputer.

– Panno Green, proszę za mną. To ostatnia szansa, żeby chociaż jedna z pań poleciała dziś do Indii.

– Muszę iść. – Pociągnęłam nosem i mocno objęłam Shelley. – Zadzwon do mnie, kiedy tylko znajdziesz paszport.

Pokiwała głową.

– Uważaj na siebie, Georgio. Powodzenia! – zawołała. Odwróciłam się i pobiegłam za pracownicą linii lotniczych, która ruszyła szybkim krokiem, sunąc przez lotnisko w lśniących czarnych butach.

Wszystko będzie dobrze. Na pewno. Przełknęłam ślinę. Na pewno?

Przeszłam kontrolę, po czym pomknęłam przez zdające się nie mieć końca korytarze pomalowane jasną farbą. W końcu, porządnie zdyszana, opadłam na swoje miejsce. Stewardesy zaczęły prezentować instrukcję bezpieczeństwa, a ja wyjrzałam przez niewielkie okienko. Wciąż się łudziłam, że Shelley pojawi się nagle na płycie lotniska, zdąży wsiąść na pokład i zajmie miejsce obok mnie. Po

chwili zamknięto jednak drzwi i dopiero wtedy ostatecznie dotarło do mnie, że zostałam sama. Nie było odwrotu.

Podekscytowani pasażerowie wokół mnie rozmawiali o swoich planach i podróżach, opowiadali o znajomych i krewnych, z którymi zamierzali się spotkać, o miejscach, które chcieli odwiedzić – a ja zastanawiałam się tylko, jak zdołam to wszystko przetrwać. Byłam tak przerażona tym, co mnie czeka, że w końcu się rozplakałam. Inni pasażerowie zerkali na mnie ze zdziwieniem, ale nie zwracałam na to uwagi. Miałam podróżować samotnie po tym ogromnym kraju... Pomyślałam, że spontaniczność jest przereklamowana. To Shelley wpadła na ten pomysł, to ona zaplanowała cały ten wyjazd – a teraz nie mogła mi towarzyszyć.

Przypomniałam sobie poprzedni wieczór, a przed oczami stanęło mi pełne bólu i wściekłości spojrzenie Marie. Nie wierzyłam, że to ona wzięła paszport Shelley. Nie zrobiłaby czegoś tak mściwego i podłego. Prawda? Nagle w mojej głowie odezwał się cichy głosik: Zrobiłaby to, gdyby chciała dać ci nauczkę. Może dała ci szansę, żebyś stała się tą nieustraszoną podróżniczką, za którą cię uważa.

Ale przecież to nieprawda: wcale nie jestem nieustraszona.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

### Trwoga, czyli przytłaczający strach i niepokój

Piętnaście godzin później wylądowałam na lotnisku w New Delhi. Będzie dobrze – powtarzałam w myślach, usiłując dodać sobie otuchy w czasie kontroli paszportowej. Wreszcie odebrałam plecak, otarłam opuchnięte od płaczu oczy i ruszyłam razem z pozostałymi pasażerami w stronę wyjścia. No już, weź się w garść. Jesteś w Indiach, a nie na Marsie. Będzie dobrze. Dasz sobie radę.

Do tej chwili lotnisko w Bangkoku wydawało mi się ogromne i przytłaczające – ale okazało się niczym w porównaniu z tym, co zastałam w New Delhi. Wyszłam ze spokojnego, klimatyzowanego terminalu i zanurzyłam się w zgiełku i hałasie. Ludzie krzyczeli, w powietrzu unosił się ostry zapach przypraw i krowiego łajna, a do tego dochodziły nieznośna duchota, potworny upał i niepokojące spojrzenia nieznajomych mężczyzn. Wszystko to sprawiało, że miałam ochotę wrócić biegiem na lotnisko i wsiąść do pierwszego samolotu do Manchesteru.

Indie mają ponad miliard mieszkańców, a ja czułam się tak, jakby wszyscy wyszli mi na powitanie. Na razie od tej pulsującej energii oddzielała mnie jeszcze mizerna siatka. Ludzie przeciskali przez nią ręce i machali. Rozlegały się wrzaski „taksówka, taksówka”, a kierowcy przekrzykiwali się, oferując coraz to korzystniejsze ceny przejazdów. „Taksówka? Dla pani dobra cena, bardzo dobra cena. Taksówka?”.

Po podróży piekły mnie oczy. Miałam wrażenie, że znalazłam się nagle na giełdzie papierów wartościowych, otoczona maklerami, którzy przekrzykiwali się, licytowali i robili interesy. Nagle ktoś dotknął mojego ramienia. Podskoczyłam ze strachu, a po chwili spojrzałam w dół i zobaczyłam małego szczerbatego chłopca. Uśmiechnął się i wyciągnął maleńką brudną dłoń, prosząc o jałmużnę.

– Och, przykro mi...- powiedziałam. Wszystkie pieniądze trzymałam w niezbyt seksownej, ale bardzo praktycznej saszetce. Wyjęłam z kieszeni garść cukierków, które dostałam w samolocie, i wręczyłam je chłopcu. – Proszę, to dla ciebie.

– Suka! – zawołał. Cisnął cukierki na ziemię i splunął mi pod nogi. Odkoczyłam, kompletnie zszokowana, a on oddalił się szybkim krokiem, szukając nowych ofiar.

Kręciło mi się w głowie. Ludzie kłębili się wokół i nieustannie mnie popychali. Próbowiałam odnaleźć kartkę z nazwiskiem swoim lub Shelley. Nasi przewodnicy mieli czekać na uczestników wycieczek dla Samotnych Serc na

lotnisku, witać ich, a potem odwozić do hotelu – najlepiej jakimś klimatyzowanym środkiem transportu – gdzie poznawali pozostałych gości i rozpoczynali swoją wielką przygodę. Ja tymczasem nie wiedziałam nawet, jak wydostać się z lotniska i wsiąść do taksówki. Rozglądając się i szukając jakiegoś punktu zaczepienia pośród tego koszmarne chaosu, przypomniałam sobie fragment jednej z recenzji naszej wycieczki: *Zostałem porzucony na lotnisku i poczułem się jak akwizytor, który próbuje wcisnąć ci jakiś chłam, kiedy chcesz akurat w spokoju zjeść obiad. Byłem zmęczony, miałem za sobą długi lot i nie takiego powitania się spodziewałem. Nie za takie powitanie zapłaciłem. Nie wiedziałem wtedy jeszcze, że to tylko przedsmak tego, co miało nastąpić...*

Nagle ktoś szarpnął mój plecak, a ja o mało nie upadłam.

– Proszę pani, bardzo mi przykro, ale hotel spłonął. Przysłali mnie tu, żebym zawiózł panią do innego hotelu – oznajmił zadziwiająco silny Hindus, ciągnąc mnie za sobą.

– Słucham? Zaraz, chwileczkę... Czy mógłby pan puścić mój plecak? – odpowiedziałam, kompletnie zaskoczona. Mój hotel spłonął? O Boże! Mężczyzna nie chciał mnie puścić. Próbowałam się wyrwać: musiałam odetchnąć i zebrać myśli, ale wokół mnie panował kompletny chaos.

– Proszę pani, musimy jechać. Chodźmy, chodźmy. – Mocno chwycił jeden z pasków mojego plecaka i zaczął prowadzić mnie jak psa. Nagle usłyszałam za plecami wołanie:

– Panna Green? – Odwróciłam głowę i zobaczyłam starszego człowieka o lekko posiwiałych włosach. Trzymał pomiętą kartkę z moim nazwiskiem i machał w moją stronę. Mężczyzna, który szarpał wcześniej mój plecak, zniknął w mgnieniu oka. Co do cholery...? Przecisnęłam się przez tłum i podeszłam do człowieka, który mnie zawołał.

– Panna Green? – powtórzył.

Pokiwałam głową.

– Tak, to ja. Nihal? – Ogarnął mnie niepokój. Nie miałam wątpliwości, że mężczyzna, z którym rozmawiałam przez chwilę na Skypie kilka miesięcy wcześniej, był zdecydowanie młodszy od tego, który stał przede mną.

Staruszek zachichotał.

– Nie, mam na imię Deepak. Uprzedzam, że Nihal jest ode mnie dużo brzydszy. Witamy w Delhi! – Na jego pomarszczonej twarzy pojawił się uśmiech, a wtedy moim oczom ukazały się poczerwiałe dziąsła.

Ja także się uśmiechnęłam, wycierając przy tym grubą warstwę kurzu, która zdążyła już pokryć moją twarz.

– Dziękuję. Słyszałam, że hotel spłonął, czy to prawda? – zapytałam, nie kryjąc przerażenia.

Deepak prychnął i wymamrotał coś pod nosem.

– Nie, panno Green, to zwykle oszustwo. Wmawiają takie rzeczy turystom, żeby ściągnąć ich do swoich hoteli. Proszę się nie martwić, mamy wszystko pod kontrolą.

Niepewnie się uśmiechnęłam. Wspaniale. Niewiele brakowało, abym w ciągu pięciu minut od przylotu padła ofiarą klasycznego kantu. Na pewno by do tego nie doszło, gdyby towarzyszyła mi Shelley.

– Och, rozumiem. Dobrze, w takim razie ruszajmy do hotelu.

– Chwileczkę, mam tu informację, że powinienem odebrać z lotniska dwie kobiety. – Rozłożył kartkę z nazwiskiem Shelley.

– Sytuacja trochę się skomplikowała i ostatecznie przyleciałam sama. – Piekły mnie oczy i czułam, że zaraz się rozplacę.

Przewodnik delikatnie położył dłoń na moim plecaku i zaczął przeciskać się przez tłum. Otaczający nas mężczyźni obrzucali go niechętnymi spojrzeniami, wyraźnie niezadowoleni, że sprzątnął im kolejną ofiarę sprzed nosa.

– No cóż, w takim razie miała pani więcej szczęścia. – Uśmiechnął się radośnie, a ja nic nie odpowiedziałam, myśląc o tym, jak bardzo się mylił.

Wkrótce udało nam się wydostać z lotniska i wsiąść do żółtozielonej taksówki. Pomknęliśmy przed siebie zatłoczonymi ulicami. Mijaliśmy leżących na chodnikach ludzi, którzy spali w kłębach dymu, oraz przechodniów, którzy pędzili w różnych kierunkach. Panował potworny zgiełk i huk, kierowcy bez przerwy trąbili, w radiu zawodziła kobieta o piskliwym głosie, a Deepak z godną podziwu regularnością odchrząkiwał i wypluwał flegmę przez okno.

– To pani pierwsza wizyta w Delhi? – zapytał, zerkając w lusterko.

– To takie oczywiste? – zażartowałam.

– Proszę się nie martwić, panno Green. Odbieram z lotniska wielu ludzi podobnych do pani. Nerwowych, przestraszonych i bardzo spiętych. – Rozluźniłam dłonie i spojrzałam na swoje poobgryzane paznokcie. – Ale po kilku tygodniach odwożę ich na lotnisko... i wie pani co?

– Co?

– Nie chcą wracać! – Zachichotał i przeczesał palcami gęste wąsy. – Zobaczy pani. – Pokiwałam głową i wyjrzałam przez okno. Przypomniało mi się, jak pewny siebie i irytująco seksowny Rahul powiedział mi w biurze wizowym w Manchesterze, że Indie pozwalają nam dowiedzieć się o sobie rzeczy, których nigdy byśmy się nie spodziewali. Phi. Na pewno wciskał ten kit wszystkim kobietom, które poznawał, a większość z nich rzucała mu się w ramiona. Ale nie ja. Znałam siebie całkiem dobrze. Nie musiałam się niczego nowego uczyć ani dowiadywać. Zależało mi tylko na możliwie szybkim powrocie do domu.

– Zobaczymy. Nie wiem jeszcze, ile czasu tu spędzę. Niewykluczone, że tylko kilka dni. – W samolocie wpadłam na świetny pomysł: postanowiłam skrócić wyjazd. Zamierzałam spędzić w Indiach około tygodnia. Sądziłam, że w tym czasie

zdołam ustalić, jakie były przyczyny krytycznych recenzji naszej wycieczki. Chciałam po prostu rozwiązać ten problem i wrócić do domu. Teraz, kiedy znalazłam się tu bez Shelley, zupełnie straciłam ochotę na zwiedzanie tego kraju.

– Kilka dni? Nie, to zdecydowanie za mało czasu, panno Green! – Przewodnik wydawał się tak zszokowany tym, co przed chwilą powiedziałam, że mało brakowało, a przejechałby na czerwonym świetle.

– Za mało czasu? Na co? – zapytałam powoli.

Deepak nie odpowiedział od razu, bo nagle zaczął na nas trąbić inny kierowca. Podskoczyłam ze strachu.

– Panno Green, zapomniałem panią ostrzec, że w Indiach lepiej blokować drzwi samochodu. Proszę mi zaufać. – Od razu zastosowałam się do jego rady, choć zaczęłam się zastanawiać, o co mu chodzi.

Zatrzymaliśmy się na wielkim skrzyżowaniu. Panował tam kompletny chaos. Nie było pasów i wszystkie samochody stały tuż obok siebie. Między autami krążył żebrzący mężczyzna bez nóg, który kompletnie nie zwracał uwagi na klaksony, krzyki i ryk silników. Zamierzałam właśnie zapytać Deepaka o Nihala, kiedy w szybę taksówki zastukały kościste palce. Myślałam, że dostanę zawału.

Do okna zbliżyły się dwie małe dziewczynki o wychudłych twarzach i nierówno ostrzyżonych ciemnych włosach, które pokrywał pył. Były niezwykle drobne i wyraźnie niedożywione. Miały na sobie podarte koszulki, poźółkłe od potu i plam. Chodziły boso, a jedna z nich tuliła w rękach niemowlę. Wstrząsnął mną ten widok. Niemowlę wydawało się niewiele starsze od Cole'a. Kiedy pomyślałam o pulchnej, różowej twarzączce syna Marie, przypomniałam sobie pełne smutku i wyrzutu spojrzenie mojej przyjaciółki. Dobrze, że tego nie doświadczyła: była młodą matką i na pewno przeżyłaby szok, widząc te nieszczęsne, żebrzące dzieci.

Zamierzałam właśnie opuścić szybę, ale Deepak mnie powstrzymał.

– Nie, panno Green, proszę tego nie robić.

– Słucham? Dlaczego?

– Proszę im nic nie dawać – dodał, zerkając w lusterko.

Przypomniałam sobie tamtego chłopca z lotniska i chciałam się jakoś zrehabilitować.

– Dlaczego nie? – zapytałam, przyglądając się innemu dziecku, które podniosło z ziemi pustą butelkę po wodzie, mocno ją ścisnęło i ruszyło w stronę stojących przed nami samochodów. Jedna z dziewczynek przylgnęła tymczasem do mojej szyby. Jej wielkie oczy przepełniał smutek. Przez tę krótką chwilę, kiedy nasze spojrzenia się skrzyżowały, opowiedziała mi o wszystkim, co widziała i czego nie potrafiłam sobie nawet wyobrazić.

– Na pewno pilnuje ich stręczyciel – oznajmił Deepak stanowczym, choć jednocześnie smutnym głosem. W końcu światło się zmieniło i ruszyliśmy przed

siebie.

– Stręczyciel? – powtórzyłam z przerażeniem.

Deepak pokiwał głową, wyraźnie przygnębiony.

– Wszystkie dzieci na ulicach mają swoich stręczycieli. Ci ludzie zmuszają je do żebrania albo zbierania pustych butelek porzuconych przez bogatych turystów. W ten sposób na nich zarabiają, choć same dzieci nie dostają ani grosza. Rozumiem, że trudno pani na to patrzeć, ale tak wygląda nasza codzienność – dodał spokojnym tonem. Nagle gwałtownie skręcił, wymijając wychudzoną krowę, która wyszła leniwie na drogę. Przeżuwała coś od niechcienia, nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa.

– O Boże. Nie miałam o tym pojęcia. – Prawie się rozplakałam.

– Jeżeli naprawdę chce pani im pomóc, powinna pani skontaktować się bezpośrednio z jedną z organizacji charytatywnych, które się nimi opiekują. Przyjeżdża tu wielu ludzi, którzy robią mnóstwo dobrych rzeczy. Przyjmują dzieci z ulicy, myją je, karmią i zapewniają im wykształcenie. Przekazując datek takiej organizacji, będzie pani miała pewność, że pieniądze rzeczywiście trafią do dzieci, a nie do złych ludzi, którzy je wykorzystują. – Deepak uchylił okno, splunął na chodnik i dodał gazu.

Ben współpracował z jedną z miejscowych organizacji charytatywnych, zanim założyliśmy Biuro Podróży Samotnych Serc. Z ogromną satysfakcją opowiadał o tym, czym się tu zajmował, i o rodzinach, których życie udało się na zawsze odmienić. Nigdy nie wspominał o mrocznej stronie tego świata – a ja o to nie pytałam. Wiedziałam, że już nigdy nie zapomnę pustych, smutnych oczu tamtej małej dziewczynki.

Przypomniały mi się imprezy charytatywne, w których zdarzało mi się uczestniczyć w Manchesterze. Elegancko się ubieraliśmy, chodziliśmy na wykwintne przyjęcia urządzane za pieniądze sponsorów, piekliśmy w szkole ciasta, a na koniec oglądaliśmy potworne materiały o dzieciach cierpiących głód na całym świecie. Nie mogliśmy uwierzyć, że żyjemy na tej samej planecie. Problem polegał na tym, że gdy tylko kończył się pokaz, wszystkie te przejmujące twarze, na które jeszcze przed chwilą patrzyło się ze wzruszeniem, znikwały bezpowrotnie. Zapominało się o nich w ciągu kilku chwil. Nie przypuszczałam, że spotkam kiedyś te dzieci i że będzie nas dzieliła tylko brudna szyba taksówki. Tak bardzo potrzebowałam teraz Shelley. Chciałam doświadczać tego wszystkiego razem z nią i móc dzielić się przemyśleniami. Nie miałam dość sił, by poradzić sobie z tym sama.

– Czy dotrzemy niedługo do hotelu? – zapytałam Deepaka, kiedy skręciliśmy i wyjechaliśmy na autostradę. Pragnęłam tylko jednego: zakopać się w łóżku, zasnąć, a po przebudzeniu przekonać się, że to był tylko zły sen.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

### Dyskomfort, czyli dość nieprzyjemne uczucie

W chwili, w której dotarłam do niewielkiej, ale całkiem schludnej hotelowej recepcji, poczułam się tak, jakby ktoś nagle wyłączył towarzyszące mi dotychczas dźwięki – cały ten chaos i zgiełk indyjskich ulic. Wreszcie mogłam odpocząć i nabrać sił. Musiałam też opracować plan działania: zamierzałam przecież podczas tego pobytu pozostać anonimowa, a do tego potrzebna mi była nowa tożsamość. Jeszcze w taksówce wpadłam na pomysł, żeby w Indiach używać swojego drugiego imienia, Louise. Zdecydowałam, że innym uczestnikom wycieczki powiem, że jestem fryzjerką z Manchesteru. Nazwisko Green wydawało mi się na tyle popularne, że nie powinno wzbudzić żadnych podejrzeń.

Udało mi się szybko i sprawnie rozpakować. Potem rozplakałam się już tylko raz, kiedy przypominałam sobie, że nie będę dzieliła pokoju z Shelley. Mimo tych łez poczułam się trochę lepiej, choć nadal nie wiedziałam, gdzie podziewają się Nihal i reszta grupy. Pełen optymizmu recepcjonista wytłumaczył mi, że przewodnik woli, kiedy poszczególni uczestnicy wycieczki przybywają do hotelu osobno. Wspólne spotkanie miało się odbyć nieco później. Pokiwałam głową, ale trochę mnie to zdziwiło: duża grupa gwarantowała przecież komfort i bezpieczeństwo, zwłaszcza pośród chaosu panującego na lotnisku w New Delhi...

Wzięłam prysznic, po czym ucięłam sobie krótką drzemkę. W chwili gdy się obudziłam, poczułam, że jestem już gotowa do pracy. Przebrałam się w zwiewną kremową sukienkę i ruszyłam do recepcji, żeby wreszcie poznać nieuchwytnego Nihala i moich nowych towarzyszy.

Pamiętałam, że wycieczkę wykupiło pięć osób: Oliver Chalmers, Christopher Kennings, Rebecca Jackson, Liz Lowes i Felicity Black (podpisująca się po prostu „Flic”). Smukła, blada Liz zjawiała się u nas w biurze, ale pozostali załatwili wszystkie formalności przez internet albo telefonicznie, więc nie musiałam się obawiać, że któreś z nich mnie rozpozna. Liczyłam na to, że Liz też mnie nie skojarzy – obsługiwał ją przecież Ben.

Zjawiłam się na dole pierwsza, więc usiadłam na beżowej, skórzanej kanapie w pobliżu wejścia. Czułam się dość niezręcznie. Po dziesięciu minutach, które dłużyły się w nieskończoność, zjawił się przystojny, jasnorudy mężczyzna w T-shircie. Na policzkach i białych ramionach miał dziesiątki piegów. Nasze spojrzenia się skrzyżowały, a na jego twarzy pojawiła się wyraźna ulga.

– Cześć! Ty też przyszedłeś na spotkanie powitalne? Ollie, miło mi – oznajmił. Zachowywał się bardzo przyjaźnie, a sądząc po akcencie, pochodził z okolic



Newcastle. Wydawał się uroczy i trochę przypominał Eda Sheerana. Wyciągnął dłoń i uśmiechnął się, odsłaniając przy tym idealnie białe i równe zęby.

– Cześć. Mam na imię Louise. Miło cię poznać, Ollie. – Podałam mu rękę.

– Wiesz, jak to wszystko ma wyglądać? – zapytał, siadając na kanapie naprzeciwko mnie i drapiąc się po karku. – Szczerze mówiąc, po raz pierwszy postanowiłem wybrać się na taką wycieczkę, więc nie mam zielonego pojęcia, czego się spodziewać – dodał głębokim, ciepłym głosem. Poruszył powiekami, odsłaniając jasnozielone oczy, a w pokrytych zarostem policzkach pojawiły się dołeczki.

– To trochę stresujące, prawda? Pierwszy dzień zawsze jest dość dziwny.

– O, czyli jeździłaś już na takie wycieczki?

– Hm, nie, to znaczy byłam w zeszłym roku w Tajlandii, ale tamten wyjazd miał trochę inny charakter.

Ollie pokiwał głową.

– O, proszę, zaczynają się schodzić kolejne osoby.

Odwrociłam się i podążyłam za jego spojrzeniem. Do recepcji weszły trzy kobiety. Wahaly się przez chwilę, po czym niepewnie ruszyły w naszą stronę.

– Cześć, jestem Bex. Wy też przyjechaliście na tę wycieczkę dla smutnych singli?! – zawołała najniższa i najpulchniejsza z nich, po czym się roześmiała.

– Tak. Mam na imię Louise, a to Ollie. – Uśmiechnęłam się i wskazałam kanapę, zapraszając je, żeby usiadły.

– Ekstra. A to Liz i Flic. – Bex przedstawiła swoje koleżanki. Liz kiwnęła głową. Ścisnęła w dłoni chusteczkę, a na widok Olliego szeroko otworzyła załzawione oczy. Miała wysoko osadzone kości policzkowe, smukłą sylwetkę i mogłaby spokojnie chodzić po najlepszych wybiegach Mediolanu – gdyby nie załamująca się linia ramion i drżące dłonie, które świadczyły o ogromnych kompleksach i braku pewności siebie.

– Hej, witajcie w klubie. Cholera, mam nadzieję, że nie jestem tu jedynym facetem. – Ollie wybuchnął śmiechem.

– Boisz się kobiet? – zapytała Flic, po czym opadła na kanapę tuż obok mnie. W powietrzu uniósł się intensywny aromat olejku ylang-ylang, a mnie przypomniał się krem, którym mama smarowała stopy po ciężkim dniu pracy.

– Nie, skąd. Czuję się w towarzystwie kobiet całkiem dobrze. Wręcz doskonale – odpowiedział zawstydzony Ollie.

Flic wyglądała jak typowa hipiska podróżniczka. Wypłowiałe od słońca dredy, opalone ramiona, kolczyk w nosie, dziesiątki paciorków i bransoletek – a całości dopełniał spłowiały brązowy plecak. Alternatywna elegancja. Nagle poczułam się bardzo czysta i wystrojona.

– Tylko żartowałam – rzuciła Flic, po czym ziewnęła i odchyliła głowę. Ollie cicho zapewnił, że o tym wie. – Ktoś z was orientuje się, co robimy dziś

wieczorem?

Liz, która stała obok kanapy i bawiła się brzegiem rękawa, potrząsnęła głową, wprawiając w ruch długie, jasnobrązowe włosy.

– Zapomniałam wydrukować plan podróży, który nam wysłali – wyszeptała, wpatrując się w wypolerowaną posadzkę.

– Najpierw mieliśmy się spotkać, a potem chyba pójść na kolację – powiedziałam.

Gdzie się, do cholery, podziewa Nihal? Miałam nadzieję, że się nie spóźni. Z moich informacji wynikało, że powinien do nas dołączyć jeszcze jeden uczestnik wycieczki. Zerknęłam na recepcjonistę, zastanawiając się, czy zamierza podać nam drinki powitalne – oczekiwaliśmy tego na wszystkich naszych wycieczkach – ale on w skupieniu wpatrywał się w ekran komputera.

– Boże, umieram z głodu. Te paskudztwa, które podają w samolocie, trudno nazwać jedzeniem. Nie podałam tego nawet psu – odezwała się Bex. – A przecież Szczekliwa Brenda pożre wszystko, co się nawinie! Kiedyś przyłapałam ją, kiedy żuła pudełko tamponów. Była przeszczęśliwa. Nie martw się, to nie były zużyte tampony – dodała, widząc przerażenie malujące się na twarzy Olliego.

Flic zmarszczyła brwi.

– Wiesz, nie powinnaś tak lekceważąco mówić o jedzeniu serwowanym w samolotach. Czy zdajesz sobie sprawę, ile czasu i wysiłku wymaga jego przygotowanie? A jaki to koszt! Ludzie w Afryce umierają z głodu. Na pewno by takim posiłkiem nie pogardzili. – Potrząsnęła głową, po czym dodała nieco łagodniej: – To tylko kolejny przykład na to, w jaki sposób zachodni świat robi nam pranie mózgu i programuje nasze żołądki. To, że coś nie wpisuje się w nasze kanony i normy kulturowe albo nie wygląda dokładnie tak, jak w supermarkecie, nie oznacza, że gorzej smakuje.

– To prawda... – przyznała Bex. – Chodziło mi tylko o to, że to taka typowa papka podawana na wysokościach.

Ollie stłumił śmiech, a Flic przewróciła oczami.

– Tak samo jest z marchewkami o dziwnych kształtach, które wyrzuca się tylko dlatego, że „nikt ich nie chce”, prawda? – zapytał niewinnym tonem.

Bex roześmiała się.

– Prawdę mówiąc, uwielbiam guzowate, nieforemne warzywa, takie jak pasternak.

Flic prychnęła i wymamrotała pod nosem, że wątpi, czy Bex kiedykolwiek jadła w życiu pasternak. Liz przysłuchiwała się tej wymianie zdań, wyraźnie nie mogąc sobie znaleźć miejsca. Nagle zza wysokiej białej kolumny wyłonił się jakiś człowiek.

Miał na sobie krótkie spodenki w kolorze khaki, które odsłaniały owłosione nogi. Nie odrywał wzroku od telefonu i z niezadowoleniem marszczył brwi.

– Wszystko w porządku, kolego? Ty też przyjechałeś na wycieczkę Samotnych Serc? – zwrócił się do niego Ollie. Był wyraźnie zadowolony, że może na chwilę odejść od tematu polityki żywieniowej linii lotniczych. I że nie jest jedynym mężczyzną na tej wyprawie.

Nieznajomy, choć wydawał się o kilka lat starszy ode mnie, był kompletnie siwy, a to potęgowało bijące od niego powagę i dystans. Zerknął na Olliego, uniósł rękę, tak jakby prosił o chwilę cierpliwości, po czym przeniósł wzrok na telefon i wrócił do pisania wiadomości.

– Aha, dobra. – Ollie, nieco zawstydzony, wzruszył ramionami i opadł na kanapę.

Nieznajomy skończył pisać i powoli się do nas zbliżył. Miał podkrążone oczy, wymizerowaną twarz i ziemistą cerę, a jego ponura mina wyraźnie kontrastowała z szelmowskim uśmieszkiem Olliego. Wyglądał, jakby marzył o tym, żeby przenieść się teraz w dowolne miejsce. Sprawiał wrażenie człowieka, który znalazł się w Indiach wbrew własnej woli. Może był po prostu zmęczony? Miał za sobą długą podróż i pewnie czuł się przytłoczony – jak my wszyscy. Mimo to nie dawała mi spokoju myśl, że chodzi o coś innego.

– To tutaj ma się odbyć spotkanie powitalne? – zapytał monotonnym głosem.

– No cóż, na to wygląda. – Bex wyszczerzyła zęby w uśmiechu. – Jestem Bex, to Ollie, Liz, Louise i... przepraszam, zapomniałam, jak masz na imię... – zwróciła się do Flic, która skrzywiła się z niezadowolaniem.

– Flic – oznajmiła cierpko.

– Okej. I tak tego nie zapamiętam. Jestem Chris – powiedział nowy uczestnik wycieczki, uważnie nam się przyglądając. Po chwili zerknął na zegarek. – Gdzie się podziewa nasz przewodnik?

– Powinien się niedługo zjawić. Może usiądziesz? – zaproponowałam, zastanawiając się jednocześnie, czy dostaniemy wreszcie te cholerne drinki. Potrzebowałam alkoholu bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Chris mruknął coś o punktualności, ale nie usiadł obok nas. Przez chwilę mu się przypatrywałam. Miałam wrażenie, że skądś go znam, ale z drugiej strony byłam przekonana, że widzę go pierwszy raz w życiu.

Zamierzałam już podejść do recepcjonisty i zapytać, co się dzieje, kiedy do hotelu wpadł spocony, ciężko dyszący Hindus. Ruszył w stronę recepcji, ale zauważył nas i zatrzymał się. Wziął głęboki wdech, otarł pot z czoła i ruszył w naszą stronę.

– Dzień dobry. Klub Podróży Samotnych Serc? – Przytaknęliśmy, a Chris przewrócił oczami. Spojrzałam na stojącego przede mną zdyszanego mężczyznę i westchnęłam. Przecież to nie mógł być...

– Nihal? – zapytałam śmiało, nie zważając na zdziwione spojrzenia pozostałych uczestników wycieczki, którzy zapewne zastanawiali się, skąd znam

jego imię.

– Zgadza się. Mam na imię Nihal i jestem waszym przewodnikiem. – Wyciągnął spoconą dłoń i przywitał się ze wszystkimi, po czym wytarł ręce w spodnie. – Wspaniale, hm... a zatem witam w Indiach! – Odchrząknął. Można było przypuszczać, że próbuje sobie przypomnieć swoją kwestię. Wyglądał, jakby dopiero wstał z łóżka i się jeszcze na dobre nie rozbudził. – Proszę za mną. Przejdziemy się teraz do restauracji. To niedaleko. Chodźmy.

Wstałam i ruszyłam za nim równie niepewnie co reszta grupy. Przypomniałam sobie kolejny fragment tej cholernej recenzji: *Przewodnik – choć trudno nazwać tak tego nieudacznika – to człowiek niepunktualny, leniwy i mający kompetencje społeczne godne pijanego leniwca. Nie jest to osoba, której chciałoby się powierzyć własne bezpieczeństwo i własny komfort – zwłaszcza podczas pierwszego pobytu w Indiach. Naprawdę.*

Przełknęłam ślinę i zaczęłam przygotowywać się na nadchodzący wieczór.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

### Bodziec, czyli zachęta, która popycha do działania

Wiem, że nie należy pochopnie oceniać ludzi i warto pamiętać, że pozory mylą. Ale czasem po prostu nie sposób się powstrzymać: Nihal wzbudzał jednocześnie wściekłość i rozczarowanie. Nie chodziło o jego niechlujny wygląd – nie zapiął nawet porządnie swojej pogniecionej koszuli – tylko o to, że wydawał się kompletnie niezainteresowany naszą grupą. Szedł tak szybko, że musiałam prawie biec, żeby dotrzymać mu kroku. On jednak nic sobie z tego nie robił: mknął naprzód hałaśliwymi, zatłoczonymi ulicami, ani razu nie oglądając się za siebie.

– Hej... Louise, prawda? Przepraszam, nie mam pamięci do imion – zwrócił się do mnie Ollie. Spojrzałam na niego, na chwilę zapominając o Nihalu i o narastającej wściekłości.

– Zgadza się. Jestem Louise – odpowiedziałam. Dziwnie się czułam, wypowiadając to imię.

– Dlaczego wybrałaś akurat wycieczkę do Indii?

– No cóż... po prostu zawsze marzyłam, żeby tu przyjechać.

Niezły kit.

Ollie pokiwał głową, ostrożnie omijając krowie łajno, które znajdowało się na chodniku.

– A ty? – zapytałam.

Westchnął, a potem przeczesał włosy palcami. Dostrzegłam misterny tatuaż widniejący na jego umięśnionym prawym ramieniu.

– Ja też. Zawsze chciałem zobaczyć ten kraj, ale nigdy nie miałem ani czasu, ani pieniędzy. Ja... no cóż, rozstałem się z dziewczyną jakiś rok temu i uznałem, że jeżeli nie zrobię tego teraz, to już nigdy się na to nie zdecyduję. – Uśmiechnął się wstydliwie.

– No wiesz... Wymówka jak każda inna.

Roześmiał się.

– Nie zrozum mnie źle, bardzo to przeżyłem. – Podrapał się po pokrytym piegami nosie. – Ale w końcu zrozumiałem, że ja też się zmieniłem. Może mama miała rację: moja eks była odpowiednią dziewczyną na tamtym etapie, ale to się musiało prędzej czy później wypalić. Kiedy już mnie oświeciło, wykupiłem wycieczkę i tu przyleciałem. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu. Mknęliśmy dalej przed siebie, starając się nadażyć za resztą grupy. – Przepraszam, za dużo informacji na raz, prawda? Czuję się teraz jak jakaś tępa plotkara.

Potrząsnęłam głową i uśmiechnęłam się.

– Dobrze, że Flic tego nie słyszała. W każdym razie informacji nigdy za wiele. Hej, pocieszę cię: w czasie weekendu zdarza mi się nie myć zębów – oznajmiłam.

– W tym momencie liczba informacji rzeczywiście zrobiła się porażająca. – Ollie wybuchnął śmiechem. – Zastanawiałem się właśnie, co to za zapach.

Szturchnęłam go żartobliwie – i dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że reszta grupy przystanęła. Flirtowałam z Olliem, a przecież ledwo go znałam. To na pewno zmęczenie po podróży – pomyślałam. Wszyscy zebrali się przed wejściem do dużej restauracji. Ze środka wylewał się na ulicę ostry zapach przypraw. Zauważyłam, że Flic z pogardą spojrzała na Bex, zgiętą w pół i dyszącą ze zmęczenia po szybkim marszu.

– Zaczekajcie tu – poprosił Nihal, po czym wszedł do restauracji, zostawiając nas na ulicy. Liz, która też wyglądała na wyczerpaną, ledwo uskoczyła przed pędzącym motocyklem.

– Nie jest zbyt rozmowny. – Flic wskazała Nihala ruchem głowy i prychnęła z niezadowolaniem.

Uśmiechnęłam się, próbując ukryć narastającą frustrację.

– Tak, na to wygląda.

Po pięciu minutach wrócił Nihal.

– Zmiana planów. – Spojrzał na zakurzoną ulicę i zapalił papierosa. – Chodźmy.

– Coś się stało? – zapytałam.

– Nic, idziemy po prostu do innej restauracji – odpowiedział Nihal, po czym zaciągnął się od niechcienia.

– Chyba nie zarezerwował nigdzie stolika – wyszeptał Ollie.

– Obawiam się, że możesz mieć rację. – Puściłam mu oko.

Przez kolejnych trzydzieści minut przemierzaliśmy znajdujące się w opłakanym stanie chodniki, slalomowaliśmy pomiędzy wyspami krowiego łajna i uskakiwaliśmy przed pędzącymi riksami. W końcu zatrzymaliśmy się przed inną restauracją, a Nihal wszedł do środka. Wydawała się nieco mniej przytulna niż poprzednia, ale byłam tak zmęczona i głodna, że przestało mnie to już obchodzić.

– Pewnie zjadłabyś teraz nawet tę papkę z samolotu – rzuciła z przekąsem Flic, zerkając na Bex, która nadal nie mogła złapać tchu.

– Jeszcze chwila i zjem ciebie – wymamrotała Bex. Flic zamierzała właśnie rzucić jakąś ironiczną uwagę, ale nagle w drzwiach restauracji pojawił się Nihal.

– Okej, chodźcie! – zawołał. Zachowywał się tak, jakby wszystko szło zgodnie z planem.

Weszliśmy do dużej restauracji. W środku panował półmrok, a wewnątrz wyglądało dużo lepiej, niż to sobie wyobrażałam. Odetchnęłam z ulgą i pomyślałam, że może ten wieczór nie będzie jednak taki zły. Na białych obrusach

leżały lśniące srebrne sztuce, a świece rozświetlały pomieszczenie i rzucały cienie na ciemnobrązowe ściany. Uśmiechnięci, elegancko ubrani kelnerzy krążyli między stolikami. Wokół nas siedziało mnóstwo gości w różnym wieku – a na widok dań, które jedli, natychmiast pociekła mi ślinka. Po prawej stronie dostrzegłam scenę, na której ustawiono dziwne, nieznanne mi instrumenty. Wkrótce miał się zacząć koncert.

– Dzięki Bogu! Jak to dobrze, że możemy wreszcie usiąść – szepnęła z ulgą Bex, sięgając po serwetkę i ocierając pot z czoła.

– Nie wiem jak wy, ale ja nie mogę się doczekać, aż zjem swoje pierwsze prawdziwe curry. Założę się, że Hindus, u którego się zwykle stołuję, nijak ma się do tego miejsca. – Ollie wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– No cóż, ja nie jem mięsa, węglowodanów, fermowych jajek, przetworzonych pokarmów... – zaczęła wyliczać Flic, machając długimi, szczupłymi palcami. Siedząca na drugim końcu stołu Bex głośno jęknęła. – Serio, gdybyście wiedzieli, w jakim stopniu przemysł spożywczy kontroluje to, co jemy, zastanowilibyście się dwa razy, zanim zaczęlibyście opychać się tymi świństwami. – Ollie uniósł brew. Najwyraźniej próbował zrozumieć, o co jej chodzi. – Rząd okłamuje nas w tylu sprawach... Pomyślcie tylko, mówimy przecież o branży większej niż przemysł tytoniowy i zbrojeniowy. A mimo to wszyscy przyjmują wyniki ustaleń, które zapadają za zamkniętymi drzwiami. Naprawdę przeraża mnie i zadziwia fakt, że tak niewiele osób w ogóle zdaje sobie z tego sprawę – zauważyła Flic. Zamierzała mówić dalej, ale przerwał jej Nihal.

– Wybrałem już dania i złożyłem zamówienie – oznajmił szorstkim tonem. – Spróbujecie różnych indyjskich smaków.

Flic spuściła wzrok, spojrzała na czerwone podkładki, na których zaraz miały stanąć talerze, i mruknęła, że możliwość samodzielnego podejmowania decyzji o tym, co się będzie jadło, należy do podstawowych praw człowieka.

– Słuchajcie, a co pijemy? – Bex udawała, że nie zauważyła grymasu na twarzy Flic. – Ciekawe, czy podają tu guinnessa.

Ze względu na to, że Nihal rozmawiał przez telefon i kompletnie nas ignorował, odkąd usiedliśmy przy stoliku, postanowiłam wziąć sprawy w swoje ręce. Wezwałam kelnera i zapytałam:

– Czy możemy dostać po butelce czerwonego i białego wina, a do tego wodę mineralną? I czy mają państwo guinnessa?

– Nie, przykro mi, proszę pani – odpowiedział młody kelner.

– Nic nie szkodzi, w takim razie weźmiemy po dwie butelki czerwonego i białego wina! – zawołała Bex. – Po kilku kieliszkach będę już gotowa do drogi. – Wybuchnęła śmiechem.

Podano nam wino, a na stół trafiły wkrótce dziesiątki srebrnych półmisek z ryżem, curry i kolorowymi sosami. Nihal skończył rozmawiać przez telefon

i trochę się ożywił. Kazał kelnerowi ustawić dania po kolei, od najłagodniejszej jogurtowej kormy aż po superpikantny phall, przy którym vindaloo wydawało się dziecięcą igraszką. Widziałam, jak Ollie bacznie mu się przygląda.

– To co, Chris, próbujemy? – zażartował. – Jako jedyni faceci w tym gronie powinniśmy chyba pokazać naszym paniom, że pikanteria nie jest nam obca. – Ollie zignorował grymas niezadowolenia, który pojawił się na twarzy Flic.

Chris jak zwykle posłał mu szyderczy uśmiešek.

– Ja dziękuję.

– Aha, okej. Spoko – wymamrotał Ollie, sięgając po spory kawałek placaka naan. – Tym lepiej. Więcej dla mnie.

W momencie gdy zdążyliśmy już nałożyć sobie ogromne porcje i napełniliśmy kieliszki, światła nagle przygasły, a na scenie pojawili się muzycy. Rozległy się oklaski, a po chwili pomieszczenie wypełniły hipnotyczne dźwięki sitaru.

Rozejrzałam się wokół. Byłam ciekawa, czy na moich towarzyszach też zrobiło to tak ogromne wrażenie. Nie wydawali się szczególnie poruszeni. Nihal wymknął się na papierosa; Chris rozgrzebywał resztki ryżu i wyciągał kawałki marchewki z jednego z łagodniejszych sosów, oświetlając sobie półmisek telefonem; Ollie z zadowoleniem uniósł kciuk w górę, a Liz i Flic zaczęły kołysać się w rytm muzyki.

Bex delikatnie ścisnęła moje ramię.

– Witamy w Indiach – szepnęła podekscytowana. Wsunęła sobie do ust łyżkę zupy z soczewicy, po czym wytarła plamę, która pojawiła się na jej T-shircie.

Uśmiechnęłam się do niej i nagle poczułam się szczęśliwa. Siedziałam w restauracji w New Delhi z grupą nieznajomych, jadłam prawdziwe indyjskie curry i oglądałam występ trzech brodatych mężczyzn, którzy śpiewali teraz coś, co brzmiało jak romantyczna ballada.

Ta przepełniona emocjami melodia sprawiła, że pomyślałam o Benie. Zastanawiałam się, co teraz robi i czy za mną tęskni. A może cieszy się, że ma okazję ode mnie odpocząć? Był jedną z niewielu osób, które naprawdę mnie rozumiały. Wiedział, kiedy warto dać sobie spokój, a kiedy mi się postawić, umiał bez ogródek wyłożyć mi, że zachowuję się fatalnie. Strasznie mi się to podobało. Wiele rzeczy mi się w nim podobało.

Muzycy śpiewali z coraz większą pasją, melodia unosiła się delikatnie w górę i znowu opadała, a mnie ogarnęła dziwna błogość. Po chwili poczułam, że zawiodłam samą siebie. Zebrałam się na odwagę i porzuciłam zdradzającego mnie narzeczonego, wyjechałam do Tajlandii, założyłam własny biznes – ale nie potrafiłam wyznaczyć tej najważniejszej osobie, ile dla mnie znaczy.

Westchnęłam i postanowiłam, że nie będę się tym teraz zamartwiała. Przecież i tak nie mogę teraz nic zrobić. Skupiłam się na koncercie. Kiedy po



pewnym czasie dobiegł końca, wszyscy goście zgromadzeni w restauracji – w tym moi towarzysze – zaczęli oklaskiwać utalentowanych muzyków. Kiedy zapaliły się światła, odwróciłam się i zauważyłam, że nasz przewodnik gdzieś się ulotnił.

– Widzieliście Nihala? – zapytałam. Po plecach przebiegł mi dreszcz. Może wyszedł zapalić papierosa? Moi towarzysze wzruszyli ramionami. Rozejrzałam się po restauracji, która zdążyła już nieco opustoszeć. Nihal zapadł się pod ziemię.

– Może poszedł do łazienki? – zasugerowała Bex, oblizując palce. – Albo pali kolejnego papierosa?

– Może – odpowiedziałam bez przekonania.

Mijały kolejne minuty, a do mnie zaczęło docierać, że nasz przewodnik wcale nie poszedł do toalety, tylko po prostu dał nogę. Restauracja opustoszała, atmosfera zaczęła się psuć. Liz bawiła się słomką, gmerając nią w szklance coca-coli. Chris jak zwykle sprawdzał telefon. Flic ziewała jak najęta, a Ollie i Bex wyglądali tak, jakby mieli zaraz umrzeć z przejedzenia. Wiedziałam, że muszę coś zrobić i jak najszybciej rozruszać grupę. Owszem, Nihal nas porzucił – ale co z tego? Jak dotąd nie okazał się specjalnie pomocny. Postanowiłam wkroczyć do akcji i zadbać o to, żeby uczestnicy na długo zapamiętali tę wycieczkę. Czułam się za nich odpowiedzialna. Nie zamierzałam pozwolić, żeby zaczęli już myśleć o powrocie do hotelu – było jeszcze całkiem wcześnie, a ja chciałam, żeby podczas tego wyjazdu cieszyli się każdą minutą, za którą zapłacili.

Nastroju nie poprawił nam też fakt, że na scenę wkroczył teraz najgorszy muzyk w całym Delhi. Zgarbiony staruszek o długich siwych włosach spływających na ramiona usiadł na ziemi i skrzyżował nogi, po czym zamknął oczy i zaczął rozpaczliwie zawodzić. Nie zdawał sobie sprawy, że absolutnie nikt nie zwracał na niego uwagi.

– Czy wszyscy się najedli? – zapytałam. Mimo że zostało nam jeszcze mnóstwo jedzenia, wszyscy mamrotali, że więcej już w siebie nie wcisną. Dopiłam wino i dołałam pozostałym. Alkohol zawsze pomaga, gdy trzeba rozładować krępującą ciszę.

– Wygląda na to, że nasz wspaniały Nihal już nie wróci. – Chris ostentacyjnie ziewnął.

– Kim on w ogóle jest? Na stronie internetowej Biura Podróży Samotnych Serc opisywali go tak, jakby był najlepszym przewodnikiem w całych Indiach – mruknęła Flic, nieświadoma tego, że właśnie wbiła mi nóż w serce. – Facet ma nas kompletnie w dupie. Pewnie przyprowadził nas tutaj, bo ma układ z właścicielem tego miejsca.

– A widzieliście tamtą recenzję? – szepnęła Bex. Pochyliła się w naszą stronę i rozglądała nerwowo, tak jakby Nihal miał zaraz wyskoczyć zza jej pleców.

– Jaką recenzję? – zapytałam. Czułam, że się rumienię, ale miałam nadzieję, że w panującym w restauracji półmroku moi towarzysze nic nie zauważą.

Doskonale wiedziałam, o jaką recenzję chodzi. O tę, która sprawiła, że w ogóle przyjechałam do Indii.

– Nie czytałaś jej? – Bex spojrzała na mnie ze zdziwieniem. – Ale wy ją znacie, prawda? – Pozostali uczestnicy naszej wycieczki pokiwali głowami i skrzywili się z obrzydzeniem.

– Przez tę recenzję prawie zrezygnowałam z wyjazdu – przyznała cicho Liz.

– O rany, a co tam wyczytaliście? – zapytałam. Zaszło mi w ustach, więc nalałam sobie dużą szklankę wody.

– Autor twierdził, że ta wycieczka to jakaś kompletna beznadzieja: przewodnik do niczego się nie nadaje, aktywności dodatkowe są do kitu, a wszystko razem zostało fatalnie przygotowane – powiedział Ollie.

– Och, rozumiem. Boże, to... hm, słabo. – Wzięłam głęboki wdech. – Ale to was nie zniechęciło?

– Nie, przecież nie można wierzyć we wszystko, o czym się czyta w sieci – zauważył przytomnie Ollie, wzruszając ramionami. – Ktokolwiek to napisał, miał rację co do jednego: Nihal rzeczywiście jest kompletnym kretynem. Ale trzeba mu przyznać, że nawet jeśli dostaje za to jakąś prowizję, przyprowadził nas w naprawdę miłe miejsce. Nigdy nie jadłem tak pysznego curry.

– Typowy facet. Myślisz tylko żołądkiem. A co z etyką? – Flic wyduła wargi. – Mówię poważnie. Jeżeli ten cały Nihal nie weźmie się do roboty, nie zawaham się ani chwili i zażadam od biura podróży zwrotu kosztów. A już na pewno objadę tę wycieczkę w internecie.

Serce zamarło mi w piersi. Flic zamilkła i wypila łyk wody, a Chris podniósł wzrok znad telefonu.

– Chyba pora zakończyć ten wieczór i wracać do hotelu – oznajmił, głośno ziewając.

– Nie! – wykrzyknęłam.

Spojrzał na mnie ze zdziwieniem. Podjęłam ostateczną decyzję. Chrzanić złe recenzje i chrzanić Nihala. Oni wszyscy przyjechali tu po to, żeby się dobrze bawić, a ja zamierzałam zadbać o to, żeby tak się właśnie stało.

– Sprawdzę, czy da się coś zrobić z tą muzyką, a potem możemy zamówić jeszcze jedną kolejkę – zaproponowałam i wstałam od stołu. – To nasz pierwszy wieczór w Indiach, musimy to uczcić!

Podeszłam do staruszka grającego na sitarze i uklękłam obok niego. Otworzył oczy i spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

– Przepraszam, czy mógłby pan zagrać coś... hm, weselszego? – zapytałam.

Wpatrywał się we mnie w milczeniu.

Przypuszczałam, że mnie nie rozumie, więc powtórzyłam pytanie wolniej i głośniejsze. Pokiwał lekko głową i wskazał mikrofon.

– Pan... chce pan, żebym zaśpiewała? – zapytałam.

Przytaknął. Wyglądał tak, jakby świetnie się bawił. Siedzący przy stolikach goście – w tym moi towarzysze – przerwali rozmowy, porzucili jedzenie i przenieśli uwagę na kobietę, dzięki której ucichło to upiorne rzępolenie.

– Och nie, naprawdę... naprawdę nie sędzę, żeby ktokolwiek chciał słuchać mojego śpiewu – zaprotestowałam, czując rumieńce na policzkach.

– Dawaj, Louise! – zawołał Ollie.

– Śmiało, Louise! – krzyknęła Bex. Liz wtórowała jej, choć starała się zachowywać nieco ciszej.

Cholera. Tego się nie spodziewałam.

Staruszek poruszył się i skinął na mnie głową. Modliłam się, żeby nagle rozstąpiła się przede mną ziemia. Nerwowo rozejrzałam się po sali i zerknęłam w kierunku naszego stolika: wszyscy ci nowo poznani ludzie uśmiechali się do mnie zachęcająco. Obiecałam im przecież dobrą zabawę. Musiałam sprawić, żeby zapomnieli o tej okropnej recenzji. Nabrałam powietrza, wstałam i choć nogi się przede mną ugiwały, przeszłam na środek sceny.

Muzyk zagrał kilka dźwięków i skinął głową, wskazując mikrofon. Nie znałam żadnych tutejszych piosenek. Co, do cholery, miałam zaśpiewać? I nagle, gdy artretyczne palce zaczęły poruszać się po strunach, zdałam sobie sprawę, że przecież znam tę melodię! Wykonywał właśnie nietypową, hinduską wersję *Let It Go* z filmu *Kraina lodu*. Miałam ochotę wybuchnąć śmiechem, kiedy uświadomiłam sobie, że bezzębny staruszek nie tylko widział ten film, ale też znał jego ścieżkę dźwiękową.

Zorientowałam się, że wszyscy ludzie zgromadzeni w restauracji – włącznie z obsługą i moimi towarzyszami – zamarli, czekając, aż zacznę śpiewać. Poczulałam gwałtowny skurcz w żołądku. Pociły mi się ręce i zaschło mi w ustach.

– Dasz radę, Louise! – zawołała Bex – Odwagi!

Staruszek cierpliwie czekał, aż do niego dołączę. Nadeszła moja kolej.

– *Let it go, let it go, can't hold it back any moooooorrrre!* – zaczęłam.

Ku mojemu zaskoczeniu żadnemu z gości nie popękały szła w okularach, choć śpiewałam oczywiście nieczysto. Próbowałam obudzić w sobie księżniczkę Elbę. Drętwo machałam rękami i kręciłam biodrami – aż nagle ludzie zaczęli klaskać. I wiwatować. Och, może szło mi lepiej, niż sądziłam?

– *Let the storm rage onnnnnnn, the cold never bothered me anyway* – zakończyłam pełnym ekspresji gestem, o mało nie zrzucając wzmacniacza ze sceny.

– Hurraaa! Bis! – O dziwo te okrzyki wznosili nie tylko moi nowi znajomi, ale też grupy miejscowych, którym najwyraźniej podobał się ten niespodziewany występ. Kto by przypuszczał, że potrafię tak skutecznie zabawić tłum. Ludzie byli mną zachwyceni! Nie mogłam się doczekać, aż będę mogła zrelacjonować to Shelley i Marie. Na pewno mi nie uwierzą! Nieśmiało się ukloniłam. Rozległy się

oklaski i wiwaty. Oto moja publiczność, moi fani!

– Okej, jeszcze jedna piosenka? – zapytałam, kiedy publiczność zaczęła walić w stoły, domagając się bisów. Nie widziałam poszczególnych twarzy, bo oślepiały mnie reflektory, ale skoro chcieli, żebym śpiewała, nie zamierzałam protestować.

– Czy zna pan jakieś inne tego typu piosenki? – zapytałam starego muzyka, który pokiwał głową i musnął struny palcami. Zamierzałam właśnie rozbudzić w sobie ducha Whitney Houston, kiedy zauważyłam Liz, dyskretnie przeciskającą się w stronę sceny. Może chciała zamówić jakąś piosenkę? – pomyślałam z podekscytowaniem. Szybko przygotowałam sobie w myślach listę najlepszych kawałków karaoke. Od lat nie miałam w rękach mikrofonu. Mój były, Alex, zwykle mi go odbierał i oświadczał, że pękają mu bębniaki. W takich sytuacjach Marie ignorowała go i tańczyła dalej obok mnie. Może tego właśnie chciała Liz? Pewnie zamierzała dołączyć do mnie na scenie! A gdybym zaprosiła na scenę wszystkie trzy dziewczyny z naszej grupy i nauczyła je układu do *Single Ladies*? Zastanawiałam się, czy obsługa restauracji pożyczylaby nam pierścienie do serwetek, które wykorzystaliśmy jako pierścionki.

Liz przygryzła dolną wargę.

– Louise! – wyszeptała, dając mi jakieś znaki.

Nie wiedziałam, o co jej chodzi. Ruszyłam w jej stronę tanecznym krokiem – a wtedy rozległy się kolejne okrzyki i wiwaty – i przykucnęłam, z dala od światła reflektorów. Staruszek grający na sitarze postanowił tymczasem wrócić do swoich indyjskich melodii.

– Wszystko okej? – zapytałam, ocierając pot z czoła. Kosmyki włosów przykleiły mi się do szyi.

– Ty... hm... Nie wiem, jak ci to powiedzieć, ale... – Zamilkła, wyraźnie zdenerwowana.

– Chcesz do mnie dołączyć? Możemy zaśpiewać w duecie! – zapewniłam radośnie.

Liz jeszcze bardziej pobladła.

– Nie. Ale powinnaś już zakończyć występ.

– Dlaczego? – Przechyliłam głowę, zastanawiając się, czy zna słowa piosenki *Breaking My Heart*. Skoro chciała, mogłam też stać się Eltonem Johnem.

– No bo... Ty... – Wybałuszyła oczy. – Wszystko widać!

Powoli opuściłam wzrok, podążając za jej spojrzeniem. W świetle reflektorów moja sukienka, moja kremowa, zwiewna sukienka, stała się absolutnie przezroczysta! A zatem publiczności wcale nie oszołomił mój głos: ludzie wiwatowali, bo prawie się przed nimi obnażyłam!

– O Boże! – pisnęłam, niezdarnie zeskakując ze sceny.

Ludzie siedzący w tylnej części sali zaczęli buczeć, wyraźnie rozczarowani.

Teraz, kiedy nie oślepiały mnie już światła, zdałam sobie sprawę, że zamiast zachwyconych tłumów, mój występ oglądało tak naprawdę pięciu czy sześciu robotników i personel kuchni, który zakończył już pracę. Dowlekłam się do naszego stolika, przerażona i upokorzona.

Bex pękała ze śmiechu.

– Jesteś naszym czarnym koniem, Louise! Dałaś czadu! – zarechotała.

Zdażyła już opróżnić butelkę wina, którą przy niej postawiłam, jeszcze zanim zdecydowałam się wskoczyć na scenę i publicznie się obnażyć. Ollie nie wiedział, gdzie podziąć wzrok, więc skoncentrował się na małej plamce czerwonego curry na obrusie. Liz i Flic wydawały się lekko skrepowane, a Chris siedział spokojnie, oparty na krześle, z rękoma skrzyżowanymi za głową. Jego wąskie usta lekko się wykrzywiły, a na twarzy pojawił się charakterystyczny, szydery uśmiešek.

– Ha, ha. No dobrze. Hm... czy wszyscy są już gotowi? Możemy wracać do hotelu? – zapytałam. Żałowałam, że nie wzięłam kurtki, którą mogłabym na siebie narzucić, żeby zachować resztki godności.

Czułam się absolutnie upokorzona. Cudowny początek pobytu: szefowa biura podróży postanowiła obnażyć się w restauracji, żeby dostarczyć trochę rozrywki uczestnikom wycieczki. Skrzywiłam się. Na szczęście moi towarzysze nie wiedzieli, kim naprawdę jestem. W Indiach kobiety ubierały się skromnie, a ja podczas swojego występu złamałam pewnie setki panujących tu zasad – a to wszystko w trakcie jednej piosenki.

– Czyli jednak nie planujesz już bisów? – zapytał niewinnie Chris.

– Nie. Zaczekam na was przed wejściem.

To wszystko wina Nihala. Gdyby nas nie porzucił, nigdy nie zdecydowałabym się na występ przed grupą nieznanym w restauracji – a tym bardziej na widowisko, które ocierało się o striptiz. Gdzie się właściwie podział Nihal? Uciekłam od stolika tak szybko, jak tylko mogłam, przewracając przy tym kilka krzeseł. Chciałam jak najszybciej wrócić do hotelu.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

### Impertynencja, czyli skandaliczna bezczelność

Śniło mi się, że idę główną ulicą Manchesteru, nie mając na sobie nic poza niebieskim, jedwabnym turbanem. Nieznajomi gwizdali na mnie i coś pokrzykiwali, a ja mknęłam przez miasto i próbowałam się gdzieś schować, czując narastającą desperację. Obudziłam się spocona i zdyszana. Uspokoiliam się dopiero po dłuższej chwili, kiedy dotarło do mnie, że to tylko sen. A potem uświadomiłam sobie, że to wcale nie sen: przecież wczoraj właściwie obnażyłam się na oczach ludzi w restauracji. Super.

Prawdę mówiąc, po powrocie do hotelu zasnęłam jak dziecko, wyczerpana po podróży i po dramatycznych wydarzeniach poprzedniego wieczoru. Dopiero kiedy się na dobre obudziłam i odsłoniłam okna w moim małym pokoju, zrozumiałam, że Delhi nigdy nie śpi. Za oknem z podwójną szybą widziałam ulicę, na której już od rana panował zgiełk i chaos. Ludzie pędzili we wszystkie strony, a towarzyszył temu nieznośny hałas. Widziałam zaprzęgnięte do wozów konie oraz krowy leniwie przechadzające się między samochodami. Widziałam grupy kobiet, które niosły na głowach ciężkie worki ryżu, i psy rzucające się w pogoń za wszystkim, co się ruszało.

Stopniowo docierało do mnie, że jestem w Indiach i że nie ma tu ze mną Shelley. Moja przyjaciółka na pewno zapobiegłaby temu, co wydarzyło się poprzedniego wieczoru. Zateśniłam nagle za domem. Zdołałam uruchomić na chwilę marnie działające Wi-Fi i wysłałam Shelley wiadomość na WhatsAppie: zapytałam, czy znalazła paszport i czy jej podejrzenia względem Marie się potwierdziły. Ben nie dawał znaku życia, odkąd wyjechałam z Manchesteru. Kiedy zobaczyłam, że był *on line* dosłownie przed kilkoma minutami, poczułam to charakterystyczne ukłucie w żołądku. Przypomniałam sobie, co powiedziała Shelley kilka miesięcy wcześniej. Miałam wtedy obsesję na punkcie sprawdzania wiadomości w telefonie, bo liczyłam na to, że Ben wreszcie napisze o czymś niezwiązanym z pracą albo odpowie na któryś z moich dowcipnych, zalotnych esemesów.

– Przestań się wreszcie zadrećzać i nie sprawdzaj co pięć sekund, czy Ben czegoś nie napisał – zrugła mnie po raz setny.

– Ale na WhatsAppie wyświetla mi się informacja, że był *on line* minutę temu. Dlaczego jeszcze nie odpisał? – poskarżyłam się.

– Kontrola. To wszystko kwestia kontroli – oznajmiła rzeczowo Shelley. – Każdy chce być kochany i pożądanym. Ty też. A jeśli osoba, na której ci zależy, nie

odpisuje od razu, to znaczy...

– To znaczy, że wcale nie jest tobą zainteresowana? – zapytałam sarkastycznie.

Shelley przewróciła oczami.

– Nie. Jeśli nie odpisuje, natychmiast sobie wmawiasz, że jesteś bezwartościową, brzydką krową. A Ben prawdopodobnie nawet się nie zorientował, że umieściłaś w ostatniej wiadomości dodatkowy całus, który oznacza, że chciałabyś się z nim pieprzyć dzień i noc. Mówiłam ci już, mężczyźni nie odczytują takich podprogowych sygnałów.

Burczało mi w brzuchu, więc porzuciłam te rozmyślania, wzięłam prysznic, wybrałam zachowawczy, nieprześwitujący strój i zeszłam na śniadanie.

– Dzień dobry, panno Green. Jak się pani spało? – zapytał pogodnym tonem pracownik hotelu. Miał ułożone na żel włosy w kolorze benzyny. Weszłam do jasnej, przestronnej i kompletnie pustej jadalni. – Nazywam się Rashid. Proszę usiąść.

W pierwszej chwili pomyślałam, że się spóźniłam: według planu mieliśmy wyruszyć o ósmej trzydzieści i spędzić dzień w starej części Delhi. Zerknęłam na lśniący srebrny zegar, który wisiał na ścianie, i uświadomiłam sobie, że jest już ósma dwadzieścia. Pozostali uczestnicy wycieczki smacznie spali, a Nihal wciąż się nie pojawił.

– Och, fantastycznie. Dziękuję. – Uśmiechnęłam się i usiadłam przy stole. Obok mnie wisiał duży obraz przedstawiający Ganeszę, hinduskie bóstwo, które przyjmowało postać słonia.

– Doskonale, bardzo się cieszę. – Rozpromienił się. – Czego się pani napije?

– Marzę o filiżance herbaty. Nie macie państwo tetleya, prawda? – zapytałam ze śmiechem.

– Och... – Rashid wyglądał na zmartwionego. – Bardzo mi przykro, ale serwujemy tylko kawę albo czaj masala. Ale jeżeli pani chce, mogę posłać kogoś po herbatę do jednej z pobliskich restauracji.

Zarumieniłam się.

– Och, nie, nie, proszę sobie nie robić kłopotu. Wystarczy mi filiżanka kawy.

– Czy mógłbym w czymś jeszcze pomóc? Chętnie zorganizuję samochód, który obwiezie panią po najszlachetniejszych zabytkach Delhi. Z przyjemnością doradzę też, gdzie zjeść najlepsze ciastka w całych Indiach.

– No cóż, to wspaniała propozycja. – Roześmiałam się. – Ale wydaje mi się, że niebawem spotkam się z Nihalem i z pozostałymi uczestnikami wycieczki. Mieliśmy spędzić dzień w starej części Delhi.

Na twarzy Rashida pojawił się niepokój. Pomyślałam, że nie byłby zbyt dobrym pokerzystą.

– Panno Green, wydaje mi się, że Nihal niczego na dzisiaj nie zaplanował. –

Po chwili dodał cicho: – Wspominał coś o dniu wolnym.

No tak. Zaczął się drugi dzień wycieczki, a dla uczestników do tej pory nie przewidziano żadnych atrakcji – nie wspominając o tym, że nasz przewodnik spóźnił się na spotkanie powitalne, a potem porzucił nas w czasie kolacji... Coraz bardziej mnie to wszystko martwiło. Najwyraźniej znalazłam już odpowiedź na pytanie, skąd wzięły się te wszystkie negatywne recenzje. Zawdzięczaliśmy je Nihalowi. Westchnęłam. Zatrudniliśmy go, bo polecało nam go wiele osób. Co się z nim, do cholery, stało?

– Och, rozumiem – wymamrotałam, starając się ukryć swoją dezorientację i rozczarowanie. Włożyłam kromkę chleba do tosterka, a Rashid uśmiechnął się przepaszająco i zaczął z namaszczeniem polerować stalowy dzbanek. – Przepraszam, a gdzie znajdę Nihala? Nie wiem, czy pan o tym słyszał, ale porzucił nas w czasie kolacji. Chętnie zamieniłabym z nim kilka słów.

Rashid przez chwilę milczał, wreszcie odchrząknął.

– Nie ma go tu, ale mogę spróbować się z nim skontaktować. Nihal nie jest ostatnio w zbyt dobrej formie.

Tak, to już zdążyłam zauważyć.

– Co masz na myśli? Coś się stało? – zapytałam, unosząc brew.

Recepcjonista przechylił głowę. Wyglądał na zatroskanego.

– Rashid, czy jest coś, o czym mi nie mówisz? Chodzi o Nihala albo całą naszą wycieczkę? – Zamilkłam na chwilę. – Naprawdę, naprawdę chciałabym, żebyś niczego przede mną nie ukrywał.

Zawzięcie polerował dzbanek, a jego ruchy stawały się coraz szybsze.

– Rashid? – naciskałam.

Zarumienił się. Porzucił dzbanek, odwrócił się w moją stronę i przygryzł dolną wargę.

– Wiem, kim pani jest.

– Słucham?

– Wiem, kim pani jest – powtórzył. – Georgia Green. Dyrektorka Biura Podróży Samotnych Serc. Zgadza się?

Spuściłam głowę i nie odpowiedziałam. Rashid zbliżył się i wyszeptał:

– Kiedyś zatrzymał się tu członek rodziny królewskiej... co prawda jakiś niezbyt liczący się książę, ale wciąż ważna osobistość... A ja dowiedziałem się o tym dopiero po jego wyjeździe. Miałem do siebie ogromny żal, że zachowywałem się nie dość profesjonalnie i nie zwracałem się do niego w należyty sposób. – Potrząsnął głową z niezadowoleniem. – Więc od tamtego czasu, żeby uniknąć takiego faux pas, staram się wyszukiwać w internecie informacje na temat naszych gości. Wygooglowałem panią i odkryłem, że jest pani właścicielką biura podróży, które organizuje te wycieczki.

Wolno pokiwałam głową.



– Wow, traktujesz swoją pracę naprawdę poważnie.

– Pomyliłem coś?

Westchnęłam.

– Nie, masz rację. Wszystko się zgadza. – Rozejrzałam się po sali. Nie chciałam, żeby ktoś nas usłyszał. – Czy Nihal o tym wie?

Rashid potrząsnął głową.

– Nie, jeszcze nie. Chciałem najpierw z panią porozmawiać i ustalić, czy nie wpadł w tarapaty. I ja też. Na pewno właśnie po to pani przyjechała, prawda? Sprawdza nas pani?

– Nie sprawdzam cię, Rashid. – Dziękowałam Bogu, że byliśmy sami. – Chodzi o to, że pojawiło się sporo negatywnych recenzji naszej wycieczki do Indii. – Wydawał się zrozpaczony. – Nie martw się, nie dotyczyły samego hotelu, tylko raczej, jak by to powiedzieć... słabej organizacji. – Rashid wolno pokiwał głową. – Dlatego postanowiłam przyjechać tu anonimowo i przekonać się na własne oczy, jak to wszystko wygląda. Ustalić, na czym dokładnie polega problem, i go rozwiązać. A sądząc po tym, jak przebiegał zeszły wieczór, głównym problemem jest Nihal.

Rashid zrzucił dzbanek na podłogę. Niewielkie srebrne miseczki na stole śniadaniowym zadrżały.

– Mówiłem mu! Mówiłem, że musi wziąć się w garść, bo w przeciwnym razie źle się to skończy i dla niego, i dla wszystkich, którzy z nim pracują. – Dostrzegł zaskoczenie malujące się na mojej twarzy i nieco się uspokoił. – Przepraszam, Georgio... Louise... panno Green... A może powinienem nazywać panią szefową? – Jego dolna warga lekko zadrżała.

– Nie, Rashid, Louise wystarczy, zwłaszcza w obecności pozostałych uczestników. To moje drugie imię. – Pokiwał głową i głęboko odetchnął. – Więc co się z nim dzieje? – Tost, który jadłam, wydał mi się nagle nieznośnie suchy. Nie mogłam przełknąć ani kęsa.

Rashid potrząsnął głową.

– Przykro mi, Louise. To nie ja powinienem ci o tym mówić. Musi zrobić to Nihal. To mój przyjaciel i martwię się o niego, zwłaszcza w takiej sytuacji.

– Proszę cię, Rashid. Naprawdę się niepokoję.

Westchnął i wyrztał przez przeszklone drzwi, sprawdzając, czy nadal jesteśmy sami.

– Skoro ma pani... masz wolny dzień, może zorganizuję samochód, żebyś mogła tam pojechać?

– Słucham? Mam spotkać się z Nihalem? – Spojrzałam na niego ze zdziwieniem. – A co z resztą uczestników wycieczki?

– Zorganizuję samochody, które zabiorą ich do zabytkowej części miasta. Jeden z pracowników hotelowej kuchni świetnie mówi po angielsku i mógłby ich

oprowadzić. Nie będzie, co prawda, tak wspaniale, jakby organizowało to pani biuro podróży, ale lepsze to niż nic.

– Czy nie możesz mi po prostu powiedzieć, co się dzieje?

Przez chwilę walczył ze sobą, a potem pochylił się w moją stronę. Otwierał już usta – kiedy nagle usłyszałam śmiech i do jadalni wkroczyli rozbawieni Bex i Ollie. Rashid natychmiast się wyprostował i uśmiechnął.

– Witam! Proszę siadać. Zaraz podam kawę.

– Cześć, stary. Och, dzień dobry, Louise, jak się miewasz? – zapytał radośnie Ollie.

– Oto i ona: księżniczka Elsa. – Bex mrugnęła do mnie, a ja przewróciłam oczami. – Żartuję. Świetnie wczoraj wypadłaś. Ja za to mam straszego kaca. Czuję się fatalnie. – Przetarła oczy i jęknęła.

– To przez podróż samolotem i zmianę stref czasowych. – Uśmiechnęłam się, próbując przyciągnąć spojrzenie Rashida.

– A może raczej przez dwie butelki wina, które wypija? – zażartował Ollie.

Bex natychmiast pobladła.

– Nie wspominaj przy mnie słowa na „w”. Bo inaczej wszystko zwrócę, a ty znajdziesz się na linii strzału.

Wyszczrzyliśmy zęby w uśmiechu.

– Zjadłaś już, Louise? – zapytał Ollie, wskazując mój zimny tost.

Zamierzałam już odpowiedzieć, ale kątem oka dostrzegłam Rashida, który wyglądał tak, jakby zamierzał się ulotnić, zanim znowu zacznę go zasypywać pytaniami.

– Hm, tak. Już skończyłam. Do zobaczenia niebawem. Smacznego! – Szybko się z nimi pożegnałam i ruszyłam za Rashidem, starając się go zatrzymać, zanim wymknie się do kuchni.

– Rashid – syknęłam, widząc, że próbuje się ewakuować. – Dobrze, pojedę porozmawiać z Nihalem.

Pół godziny później siedziałam w rozklekotanym srebrnym samochodzie razem z niezadowolonym dziewiętnastolatkiem, który nie znał ani słowa po angielsku. Przemierzanie obcego, pełnego chaosu miasta autem, które mogło się w każdej chwili rozpaść, budziło wystarczający niepokój. Do tego dochodził jeszcze fakt, że nie mogłam się porozumieć z kierowcą i miałam spotkać się z nieudolnym przewodnikiem, na którego skarżyli się nasi klienci. Coraz bardziej się martwiłam.

Co gorsza, na ulicach panował nie mniejszy chaos niż wtedy, gdy Deepak wiozł mnie do hotelu z lotniska. Myślałam dotąd, że pod względem natężenia ruchu ulicznego nic nie przebije Bangkoku, ale teraz zrozumiałam, jak bardzo się myliłam. Przemierzanie stolicy Tajlandii okazało się w porównaniu z New Delhi leniwą niedzielną przejażdżką. Znaki drogowe właściwie tu nie istniały, nic też nie

wskazywało na to, że obowiązują jakiegokolwiek przepisy. Mój kierowca gwałtownie skręcał, hamował i wrzeszczał, gestykulując jak oszalały i machając z wściekłością na inne samochody. Za każdym razem unikał zderzenia w ostatniej chwili. Nagle zrozumiałam, dlaczego tak wielu Hindusów umieszcza nad deską rozdzielczą figurki bogów i bogiń: dzięki temu pasażerowie mogli się modlić w chwilach, gdy życie przelatywało im przed oczami. Zerknęłam na niewielką ozdobę przedstawiającą człowieka o niebieskiej skórze. Przypuszczałam, że to Kriszna, hinduski bóg, o którym poprzedniego wieczoru opowiadała nam Flic. Odmówiłam cichą modlitwę, prosząc, żeby wszystko dobrze się skończyło.

Nasza podróż przez miasto trwała jakieś dwadzieścia minut. W końcu skręciliśmy w wąską, niebrukowaną uliczkę, wzdłuż której ciągnęły się małe sklepiki. Na chodnikach pięły się pod niebo sterty śmieci, a na każdym rogu gromadziły się tłumy mężczyzn, którzy rozmawiali i palili własnoręcznie skrócone papierosy. W pewnym momencie niespodziewanie się zatrzymaliśmy.

Nie widziałam przed nami żadnych samochodów, więc nerwowo wyjrzałam przez okno, zastanawiając się, dlaczego nie jedziemy dalej. Kierowca nie wyłączył silnika, ale puścił kierownicę, a jego dłonie opadły na kolana. Co się, do cholery, dzieje? Nachyliłam się w jego stronę, czując, jak napinają się pasy.

– Wszystko w porządku? – zapytałam.

Posłał mi obojętne spojrzenie. Najwyraźniej nie zrozumiał ani słowa. Pokiwał tylko głową, wprowadzając mnie w jeszcze większą dezorientację, po czym odwrócił się i zaczął obserwować dwóch mężczyzn, którzy rozładowywali rozklekotany, niebieski wózek, zdejmując z niego ogromne worki ziemniaków.

– Coś się stało? Dlaczego nie jedziemy dalej? – naciskałam. Ledwo nad sobą panowałam: czułam narastającą panikę. Tym razem młody kierowca nawet na mnie nie spojrział. Znowu pokiwał głową.

Niektórzy spośród stojących na rogu mężczyzn przerwali rozmowę i zaczęli zerkać w naszą stronę. Wychylali się i próbowali zajrzeć przez szybę do wnętrza samochodu. Osuwałam się na oparciu kanapy. Marzyłam o tym, żeby móc w tej chwili zniknąć. Tyle się nasłuchiłam o niebezpieczeństwach czyhających na kobiety samotnie podróżujące po Indiach... Miałam do siebie żal, bo na własne życzenie naraziłam się na niebezpieczeństwo. I to przez kilka głupich recenzji. Moi biedni rodzice wyszliby z siebie, gdyby się o tym dowiedzieli.

Dałabym wszystko, żeby znaleźć się gdziekolwiek indziej, uciec z tej ciasnej uliczki w obcym kraju. Siedziałam w samochodzie z kierowcą, który nie rozumiał ani słowa po angielsku, a wokół nas kłębiły się tłumy mężczyzn. Wszyscy gapili się na nasz samochód. Dlaczego się tu zatrzymaliśmy? Czy to jakaś pułapka? A co, jeśli Rashid kazał mnie tu przywieźć i rozprawić się ze mną któremuś z tych mężczyzn, żeby zemścić się za szpiegowanie pracowników?

– Proszę, odwieź mnie do hotelu – powiedziałam stanowczo. Zadrżały mi

wargi. – Hotel. Jedźmy już. – Wskazałam ulicę, a potem wykonałam gest imitujący jazdę samochodem.

Kierowca jeszcze raz pokiwał głową.

Grupa mężczyzn porzuciła tymczasem worki z ziemniakami i ruszyła powoli w naszą stronę.

O Boże, co ja teraz zrobię? Okej, oddychaj. Nie dostaną się do samochodu. Jest środek dnia. Masz przy sobie paszport i pieniądze. Rozważałam rozmaite warianty ucieczki, kiedy nagle usłyszałam warkot silnika. Zdezelowany czerwony motor podjechał do nas i zatrzymał się przy oknie po stronie kierowcy – który zachowywał się tak, jakby spodziewał się tajemniczego motocyklisty. Bez wahania opuścił szybę.

Co tu się dzieje?!

Przez uchylone do połowy okno wsunęła się tłusta ręka. Kierowca przyjął paczkę i skinął głową. O cholera! Handlarz narkotyków! Motor zacharczał i odjechał, a my ruszyliśmy za nim.

– Możesz mnie wypuścić? Chcę iść dalej na piechotę! – zawołałam, waląc w drzwi. Mężczyzna nie odwrócił się. Wyciągnął tylko rękę nad głowę i podał mi paczkę, gwałtownie wymijając grupę rachitycznych kur, które grzebały w ziemi na środku ulicy.

– Co to? Nie chcę tego. – Potrząsnął paczką, dając mi znak, żebym ją wzięła. Ponieważ trzymał tylko jedną rękę na kierownicy i nie skupiał się na drodze, przestraszyłam się, że zaraz zaliczymy stłuczkę i wbrew sobie sięgnęłam po nieduże pudełko. Bałam się na nie spojrzeć. Czy świadomie przyjmując je od handlarza narkotyków, stałam się współwinna? Na pudełku znajdowały się teraz moje odciski palców. Cholera. Sytuacja zrobiła się naprawdę poważna.

Niepewnie opuściłam wzrok... po czym roześmiałam się.

W drżących dłoniach trzymałam nie narkotyki, tylko pudełko herbaty Tetley w torebkach! Widocznie Rashid – po naszej rozmowie – poprosił kierowcę, żeby mnie tu przywiózł. Głośno westchnęłam, a potem zachichotałam pod nosem, uświadamiając sobie absurd całej sytuacji. Jaka ze mnie histeryczka!

Przypomniało mi się wszystko, co Trisha opowiadała o swoich podróżach po Indiach.

– To miejsce sprawia, że twoje serce wypełnia się szczęściem i pokorą dzięki dobroci nieznanym – tłumaczyła, szeroko się uśmiechając. – A jednocześnie doprowadza cię to do szału, do granic wytrzymałości. Wystawia twoją cierpliwość na ogromną próbę. Indie to kraj naprawdę skrajnych doświadczeń... ale właśnie to sprawia, że jest tak zachwycający. Nie sposób się tam nudzić.

Pochyliłam się i powiedziałam łagodnie:

– Dziękuję.

Młody kierowca pokiwał tylko głową. Może to i lepiej, że nie zrozumiał nic

z moich lamentów i obaw.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

### Czarna rozpacz, czyli przytłaczający smutek

Na szczęście afera narkotykowo-herbaciana pozwoliła mi choć na chwilę oderwać myśli od sprawy Nihala. Musiałam się jednak zastanowić, co chcę mu powiedzieć. Jaką strategię przyjąć? Czy od razu zaatakować i go zwolnić? A może lepiej udawać dobrego policjanta, skłonić przewodnika do zwierzeń i cierpliwie wysłuchać jego opowieści? Nie miałam zbyt wiele czasu na podjęcie tej decyzji, bo wkrótce znowu się zatrzymaliśmy. Wzdłuż ulicy stały wtulone w siebie domy o jaskrawych frontach. Milczący kierowca otworzył drzwi i dał mi znak, żebym ruszyła za nim. Zaczęliśmy przedzierać się przez labirynt wąskich uliczek i przejść – a ja nie miałam wyboru i musiałam niezdarnie truchtać, próbując dotrzymać mu kroku.

Dzieci, które mijaliśmy, uśmiechały się do nas i machały. Niektóre podbiegały nieco bliżej, żeby przyjrzeć się tej spoconej białej kobiecie, która zdawała się błyszczeć w promieniach słońca. Inne wołały trzymać się z daleka i obserwować nas kątem oka. Były zadbane, schludnie ubrane i miały dość jasne oczy i włosy. Wyglądały zupełnie inaczej niż biedni chłopcy i dziewczynki, których widziałam na ulicach, jadąc z lotniska do hotelu. W powietrzu unosił się intensywny zapach przypraw. Słyszałam brzęk garnków i perlisty śmiech kobiet. Większość z nich siedziała nad szerokimi niebieskimi miednicami i prała ubrania, plotkując przy tym z koleżankami.

Przyspieszyłam, żeby nie stracić z oczu kierowcy, machającego do dzieci i witającego skinieniem głowy kobiety, które rumieniły się i nerwowo chichotały. W końcu zatrzymał się i otworzył drewniane drzwi, które prowadziły na niewielkie podwórze pełne grządek z warzywami i stert złomu. Wskazał mi kolejne, turkusowe drzwi, do których prowadziły małe kamienne schodki.

– Nihal. – To była pierwsza rzecz, jaką powiedział, odkąd wsiadłam do samochodu. Zaskoczył mnie jego młody, łagodny głos.

– Och, rozumiem. – Skinęłam głową, dziękując mu za pomoc i pospiesznie ruszyłam na górę. Miałam nadzieję, że wreszcie czegoś się dowiem. Zapukałam, a po kilku sekundach otworzyła mi niska, krępa Hinduska w granatowym sari. Długi warkocz opadał jej na plecy, a na pomarszczonym czole widniała święta kropka, *bindi*.

– Dzień dobry, mam na imię Louise. To znaczy Georgia. Georgia Green. Przysłał mnie Rashid. Szukam Nihala. – Przywitałam się uprzejmie.

Kobieta zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów, cmoknęła

z niezadowolaniem, po czym zawołała kierowcę, przez cały czas nie odrywając ode mnie wzroku. Z dużego pieprzyka na podbródku wyrastał długi siwy włos, a ziemiste policzki pokrywała mąka. Poczułam się tak, jakby w którymś z nocnych klubów w Manchesterze lustrował mnie bramkarz, upajając się swoją władzą i tym, że to on decyduje, kogo wpuścić, a kogo odprawić z kwitkiem. Uśmiechnęłam się, ale nie wiedziałam, czy mi to pomoże.

Kierowca, który czekał na dole przy drewnianych drzwiach, coś odkrzyknął, a kobieta wymamrotała kilka słów, raz jeszcze zmierzyła mnie wzrokiem i powoli zamknęła mi drzwi przed nosem. Nie ma cię na liście. Nie wchodzisz.

Co do...?

Obróciłam się na pięcie, rozłożyłam ręce i spojrzałam na kierowcę, dając do zrozumienia, że nie wiem, co się stało. Pokiwał tylko głową, a ja jak zwykle nie wiedziałam, co to oznacza. O Boże. Zrobiło mi się gorąco, powoli puszczały mi nerwy. Wokół mnie bzyczały muchy, a ja marzyłam, żeby ta podróż wreszcie dobiegła końca. Nie wiedziałam, czy powinnam zejść na dół i wrócić do samochodu, czy raczej odwrócić się i raz jeszcze zapukać, a potem zażądać, żeby Nihal ze mną porozmawiał. Po chwili okazało się jednak, że nie będę musiała podejmować tej decyzji.

Drzwi gwałtownie się otworzyły.

Staruszka na szczęście zniknęła, a zamiast niej w progu pojawił się Nihal. Miał na sobie rozciągnięty, poplamiony T-shirt i sfatygowane krótkie spodenki. Wyglądał koszmarnie, był wyczerpany i przygnębiony.

– Witaj. Czy nie jesteś jedną z uczestniczek wycieczki? – zapytał, wybałuszając oczy. – Dziś nie mamy w planach żadnych aktywności. Co tutaj robisz? – Wydawał się kompletnie zaskoczony i zdezorientowany. Z trudem wymawiał poszczególne słowa, a po chwili przesunął chudą rękę na klatkę piersiową, starając się zasłonić największe plamy.

Przepadł gdzieś opryskliwy, zdystansowany Nihal, którego poznałam dzień wcześniej – jego miejsce zajął chwiejający się na nogach wrak człowieka.

– Przysłał mnie Rashid – odpowiedziałam szczerze, mierząc go wzrokiem.

Nic dziwnego, że na dziś nie przewidziano żadnych aktywności: przewodnik wyglądał tak, jakby dopiero wstał z łóżka. Zastanawiałam się, kiedy ostatnio porządnie się wyspał.

– Musimy chyba porozmawiać – dodałam nieco łagodniej.

– Nie rozumiem. – Odchylił głowę. – Rashid cię tu przysłał?

– Nazywam się Georgia Green. Jestem dyrektorką Biura Podróży Samotnych Serc. – Nagle dotarło do niego, dlaczego tu przyjechałam. – Poznaliśmy się kilka miesięcy temu na Skypie, pamiętasz? – Mina Nihala wskazywała, że wreszcie skojarzył fakty. – Miałam nadzieję, że możemy omówić kilka spraw.

W jego zmęczonych oczach pojawiło się coś trudnego do zidentyfikowania:

niepokój, strach, a może połączenie obu tych uczuć. Przygryzł wargę i wolno pokiwał głową.

– Oczywiście, oczywiście. Proszę. Zapraszam. – Krzyknął coś do kierowcy, który pokiwał głową i ruszył w stronę samochodu.

– Och, nie... on ma mnie później odwieźć – powiedziałam z niepokojem. Przestraszyłam się, że będę musiała sama odnaleźć drogę powrotną.

– Wszystko w porządku, kazałem mu po prostu wrócić za jakiś czas. Nie wiem, ile potrwa nasza rozmowa, a nie chciałem go zatrzymywać – wyjaśnił Nihal.

– Zapraszam do środka.

Gdy tylko przekroczyłam próg, poczułam intensywny zapach curry, szafranu i kolendry. W pomieszczeniu po prawej stronie stał na gazie duży, srebrny garnek z gotującą się wodą. Nazwanie tego pomieszczenia kuchnią byłoby zdecydowaną przesadą. Znajdowała się tam tylko kuchenka, pojedyncza, chwiejąca się szafka i duży zlew oparty o ceglana ścianę.

Ruszyłam za Nihalem w głąb domu.

– Usiądź, proszę. Przepraszam, nie spodziewaliśmy się dziś gości – dodał, lekko się czerwieniąc.

– Dziękuję. Masz uroczy dom. – Uśmiechnęłam się, żeby dodać mu otuchy. Cała moja brawura zniknęła, kiedy zobaczyłam, w jakim stanie jest ten człowiek.

– Napijesz się czegoś? – zapytał, nerwowo pocierając dłonie.

– Tak, bardzo chętnie. Dziękuję. – Łagodnie się uśmiechnęłam.

Pokiwał głową i zawołał coś w hindi. Po kilku sekundach do pokoju wkroczyła kobieta, która wcześniej otworzyła mi drzwi. Znowu obrzuciła mnie niechętnym spojrzeniem, ale najwyraźniej nie dziwił jej fakt, że zajęłam miejsce na kanapie.

Powiedziała coś do Nihala, który natychmiast się zarumienił, po czym zaczęła ostrożnie nalewać gorącą wodę z mlekiem do filiżanek. Na koniec sięgnęła po małe dzbanuszki i dosypała nam przypraw.

– O rany, ja zwykle po prostu wrzucam torebkę do kubka z gorącą wodą – zwróciłam się do niej, usiłując rozładować atmosferę. Wskazałam pudełko Tetleya wystające z mojej torebki i roześmiałam się.

Kobieta mnie zignorowała, skupiając się na przygotowaniu napoju.

– To moja matka. Nie mówi po angielsku – wyjaśnił uprzejmie Nihal.

Pokiwałam głową i postanowiłam się więcej nie odzywać. Wreszcie kobieta skończyła, postawiła filiżanki na stoliku, po czym wycofała się, po raz ostatni mierząc mnie wzrokiem. Zostaliśmy sami.

– Proszę, częstuj się. To czaj masala. Indyjska specjalność – powiedział Nihal, podając mi filiżankę i siadając obok mnie. Po chwili odchrząknął. – A więc jak mogę ci pomóc, Georgio? – Kiedy podawał mi herbatę, zauważyłam, że jego dłonie lekko drżą.



Wyprostowałam się.

– No cóż, po pierwsze nie chciałabym, żeby pozostali goście zorientowali się, kim jestem. Myślę, że mam na imię Louise, i zależy mi na tym, żeby tak pozostało do końca pobytu. Muszą być w stu procentach zadowoleni z wycieczki, a gdyby odkryli moją tożsamość... – lekko się zarumieniłam, kiedy przypomniało mi się żenujące widowisko, które urządziłam poprzedniego wieczoru – ...no cóż, mogliby się rozczarować.

Nihal wypił łyk herbaty i pochylił się w moją stronę.

– Więc naprawdę jesteś szefową Biura Podróży Samotnych Serc?

– Tak. – Pokiwałam głową.

– Ach, rozumiem. – Podrapał się po policzkach.

Odchrząknęłam.

– Nihal, zatrudniliśmy cię, bo wiele osób nam cię polecało. Słyszeliśmy o tobie wiele wspaniałych rzeczy i powtarzano nam, że jesteś świetnym przewodnikiem. – Zarumienił się i spuścił wzrok. – Dlatego tak się zdziwiliśmy, kiedy zaczęły się ostatnio pojawiać negatywne recenzje naszych wycieczek. Chodzi tu zwłaszcza o jedną szczególnie krytyczną opinię... – Zamilkłam na chwilę, sięgnęłam do torebki i wyjęłam pomietą kopię tej recenzji, po czym podałam mu kartkę. – Przyjechałam tu, żeby sprawdzić, co się dzieje. Chcę, a właściwie muszę coś z tym zrobić.

Nihal zaczął czytać pełne jadu słowa anonimowego blogera. Drżał mu podbródek, oddychał coraz głośniej. Obserwowałam go, siedząc ze złożonymi na kolanach rękami, i nie wiedziałam, jak się zachować. Wreszcie odłożył kartkę i powoli podniósł wzrok.

– Tak mi przykro.

Zamierzałam zadać mu kilka pytań, ale jego pierś nagle się zatrzęsała. Zaczął szlochać. O cholera.

– Nihal. Nihal, co się stało? – Pochyliłam się w jego stronę. Nie wiedziałam, czy powinnam wyciągnąć rękę i zacząć go pocieszać. Bałam się, że może to zostać źle odczytane albo uznane za niestosowne. Łkał tak rozpaczliwie, że przypominał zagubione dziecko. Pomyślałam o tych ubogich chłopcach i dziewczynkach zebrzących na ulicy i zapragnęłam go przytulić, a potem zapewnić, że wszystko będzie dobrze. W niczym nie przypominał opryskliwego, zdystansowanego człowieka, którego poznałam dzień wcześniej.

– Ja... ja... – Z trudem łąpał powietrze, a łzy spływały po jego nieogolonych policzkach i kapały na kartkę.

– Nihal?

– Myślałem, że dobrze sobie radzę, że jakoś udaje mi się ukryć to, co dzieje się w moim życiu. Myślałem, że nikt nie zauważy...

Nie ulegało wątpliwości, że spotkało go coś strasznego. Dlaczego Rashid

mnie nie uprzedził? Zamierzałam coś powiedzieć, kiedy usłyszałam dziewczęcy głos, który odbił się echem od nagich kamiennych ścian. Nihal szybko przetrął oczy i wyprostował się. Po chwili do salonu wpadła radosna nastolatka. Miała długie, czarne warkocze, była ubrana w luźne wzorzyste spodnie i białą koszulkę ozdobioną dużym różowo-fioletowym kwiatem.

– O! – zawołała na mój widok i stanęła jak wryta.

– Dzień dobry – przywitałam się łagodnym głosem. Nie wiedziałam, czy w ogóle mnie zrozumie.

– Dzień dobry – odpowiedziała, czujnie mi się przyglądając, tak jak zrobiła to wcześniej matka Nihala. Przewodnik odwrócił się w jej stronę, a dziewczyna, widząc jego zapłakaną twarz, wybuchnęła śmiechem. – O rany, co się znowu stało? – Przewróciła oczami, a na jej policzki opadły drobinki brokatu, którym miała pomalowane powieki. – Kim jesteś? – zwróciła się do mnie.

– Mam na imię Georgia. Przyszłam w odwiedziny do Nihala. A ty jak się nazywasz?

Nihal głośno wytarł nos. Najwyraźniej nie zamierzał nas sobie przedstawić.

– Jestem Priya, siostra tego mazgaja. – Wskazała starszego brata ruchem głowy.

– Nie jestem żadnym mazgajem – zaprotestował Nihal, po czym opadł na oparcie. Zdążył się trochę uspokoić i tylko co jakiś czas cicho pociągał nosem.

– Priyo, może wiesz, co się stało? – zapytałam powoli. Dziewczyna opadła na poduszki naprzeciwko mnie i nalala sobie herbaty. Nihal mruknął z niezadowoleniem, poinformował ją, że prowadzimy poważną rozmowę biznesową i poprosił, żeby zostawiła nas samych – na co ona znowu wybuchnęła śmiechem.

– Och, daj spokój! Ty i rozmowa biznesowa? Odkąd Ameera cię zostawiła, nie sprzedałbyś wody na pustyni.

– Nie mów tak! – zawołał.

– Zaraz, kim jest Ameera?

– To... – zaczął Nihal.

Priya weszła mu w słowo:

– Rozczuła się nad sobą i całymi dniami przesiaduje w domu, rozpaczając i płacząc. Ameera to jego była dziewczyna. – Zamknęła oczy. – To jakiś absurd.

– Zaraz, Nihal... czy to znaczy, że źle ci idzie w pracy z powodu rozstania z dziewczyną? – zapytałam.

Zignorował moje pytanie i posłał wściekłe spojrzenie młodszej siostrze.

– Tobą żaden chłopak nigdy się nie zainteresował, więc się nie wymądrzaj. Nie zrozumiesz tego.

Priya pokazała mu język.

– Zaraz, Nihal... Chcesz powiedzieć, że wszystkie złe recenzje wynikają

z tego, że rzuciła cię dziewczyna? – zapytałam z niedowierzaniem.

Priya znowu weszła mu w słowo:

– Tak. Niezłe, co? Podróżnikami ze złamanym sercem zajmuje się przewodnik ze złamanym sercem. – Zachichotała. – Nikt by tego lepiej nie wymyślił.

Nihal wyglądał tak, jakby miał zaraz rzucić w nią poduszką, ale dostrzegł zaskoczenie malujące się na mojej twarzy. W końcu zrezygnował, uznając zapewne, że kłótnie z siostrą nie wpływają pozytywnie na jego wizerunek.

– I tylko o to chodzi? – powtórzyłam.

Nihal ze smutkiem pokiwał głową.

Dzięki Bogu! Miałam ochotę roześmiać się razem z Priyą. Co za absurd! Spojrzałam na kartkę, która była teraz mokra od jego łez.

– Myślałam, że stało się coś poważniejszego.

– To jest coś poważnego – warknął, po czym spuścił głowę. – Przepraszam. Uwielbiam zajmować się wycieczkami i bardzo zależy mi na tym, żeby wszyscy dobrze się bawili i wyjechali z Indii zadowoleni. Po prostu odkąd rozstaliśmy się z Ameerą, ciężko mi znaleźć motywację do pracy.

– Ale na pewno możemy to naprawić. Jesteś świetny w tym, co robisz, Nihal. – Zamrugał z dumą i przetarł twarz. – Nie pozwól, żeby to rozstanie podważyło wszystko, co udało ci się do tej pory osiągnąć. Ciężko na to pracowałeś i wiem, na co cię stać. Co z grupą, która czeka teraz w hotelu? Ci ludzie na ciebie liczą. – Postanowiłam nie mówić mu, że dzięki Rashidowi uczestnicy wycieczki zwiedzają właśnie zabytkową część miasta.

Priya roześmiała się po raz kolejny.

– Ja na pani miejscu odwołałabym tę wycieczkę.

Spodziewałam się, że Nihal weźmie się w garść i zaprotestuje, ale zamiast tego zgarbił się i ze smutkiem pokiwał głową.

– Co do tego Priya ma akurat rację. Widziałas mnie wczoraj wieczorem w restauracji. Kiedy usłyszałem tamtą balladę, prawie się rozplakałem. Musiałem wyjść. Nie potrafię żyć bez Ameery.

– Nie – zaprotestowałam stanowczo, nie zważając na Priyę, która udawała, że zaraz zwymiotuje. – Ci ludzie też wiele przeszli i nie przyjechali do Indii po to, żeby przeżyć kolejne rozczarowanie. – Uznałam, że pora zmienić taktykę i przyjąć trochę ostrzejszy ton.

Nihal przez chwilę milczał, bawiąc się pomarańczowymi frędzlami poduszki, na której siedział.

– Przepraszam, ale kompletnie sobie nie radzę. Nie mogę jeść. Nie mogę spać. Bez przerwy myślę tylko o Ameerze – przyznał cicho.

Jego siostra parsknęła, ale mnie wcale nie było do śmiechu. Dobrze go rozumiałam: wiedziałam, jak bardzo cierpi porzucony człowiek.

– Ale może praca pomogłaby ci się od tego oderwać, zająć czymś myśli. Mówi się, że to najlepsze lekarstwo – zauważyłam. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że przebywanie wśród innych ludzi ze złamanym sercem nie jest w tej sytuacji zbyt dobrym rozwiązaniem.

Nihal potrząsnął głową.

– Nie. Przykro mi, że musiałaś przyjechać aż tutaj, ale naprawdę uważam, że powinienem zrezygnować. Wolę porzucić pracę, niż zepsuć wyjazd ludziom, którzy wykupili tę wycieczkę.

Cholera! Nie mogłam na to pozwolić.

Było mi go żal. Naprawdę. Ale jednocześnie odezwała się też bardziej racjonalna część mojego mózgu. Miałam własne problemy. Przyleciałam do Indii, wiele ryzykując i kładąc na szali swoje relacje z Benem i Marie właśnie po to, żeby rozwiązać tę sprawę. Nie mogłam się teraz poddać.

– Może opowiesz mi, co wydarzyło się między tobą a Ameerą – zaproponowałam. Pomyślałam, że jeżeli poznam więcej szczegółów, zdołam opracować jakiś konkretny plan.

Nihal wyprostował się, otarł łzy i zaczął mówić. Byli ze sobą przez dwa lata. Wszystko układało się idealnie – do czasu, aż zaczął pracować dla Biura Podróży Samotnych Serc. Spędzał coraz więcej czasu poza domem, a po powrocie opowiadał swojej dziewczynie niesamowite, inspirujące historie o mężczyznach i kobietach, którym zdołał pomóc. Ameera zaczęła się robić zazdrosna.

– Zazdrosna o inne kobiety, które poznawałeś w pracy? – zapytałam.

Potrząsnął głową.

– Nie. Zazdrosna o to, czym się zajmowałem. Ameera pracuje w małym biurze podróży i marzy o tym, żeby kiedyś zacząć zwiedzać świat, ale jak dotąd nie udało jej się nawet wyjechać poza to miasto.

– Więc nie doszło do zdrady?

– Oczywiście, że nie! – Wydawał się przerażony tą sugestią.

– I nie powiedziała, że chce się rozstać, bo już cię nie kocha? – Raz jeszcze potrząsnął głową. – No cóż, w takim razie wszystko jeszcze da się naprawić! – zawołałam radośnie.

Spojrzał na mnie sceptycznie, a Priya prychnęła.

– Sprawa jest prosta. Musimy odwiedzić Ameerę i zaproponować jej, żeby dołączyła do jednej z naszych wycieczek. Kto wie, może kiedy już zobaczy to wszystko z bliska, wyszkolimy ją i też zostanie przewodniczką?

Wycieczka do Indii cieszyła się tak ogromną popularnością, że moglibyśmy spokojnie organizować dwa wyjazdy równolegle. Pragmatyczna część mojego mózgu przybiła sobie piątkę.

– Sam nie wiem... – zawahał się Nihal, wodząc palcem po brzegu filiżanki.

– Proszę, spróbujmy. Sam mówiłeś, że kochasz to, co robisz. Praca nie

powinna stawać między tobą a Ameerą, ale siedzenie w domu i użalanie się nad sobą w niczym ci nie pomoże. A poza tym, jeśli nie weźmiesz się w garść, to gdzie zdołam w tak krótkim czasie znaleźć innego przewodnika? – Staralam się nie dać po sobie poznać, jak bardzo jestem zdesperowana.

Priya westchnęła i cisnęła w brata poduszką.

– No właśnie, Nihal, powinieneś spróbować. Przynajmniej wyjdiesz na chwilę z domu i czymś się zajmiesz. Nie jesteś przecież bogatym księciem, który może sobie pozwolić na rzucenie pracy, prawda? Weź się w garść i postaraj się jakoś rozwiązać ten problem.

Nihal głośno pociągnął nosem.

– To co, umowa stoi? – Nie dawałam za wygraną.

Westchnął.

– Dobrze, ale nie miej do mnie żalu, jeśli twój plan nie wypali. Ameera potrafi być bardzo uparta.

– Obiecuję.

– Pomyśl tylko: jeżeli nic z tego nie wyjdzie, będziesz mógł następnym razem zostać uczestnikiem, a nie przewodnikiem wycieczki – dodała Priya, po czym wybuchnęła śmiechem.

– Nie słuchaj jej. Zajmiemy się tym i wszystko naprawimy – zapewniłam z przekonaniem. Obym się nie myliła.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

### Niedecyzyjność, czyli skłonność do uporczywego wahania

Piętnaście minut później szliśmy już w stronę biura podróży, w którym pracowała Ameera. Znajdowało się ono w małej uliczce, między sklepem elektrycznym a zabita deskami pralnią samoobsługową. Poprosiłam Nihala, żeby zaczekał na zewnątrz, a następnie weszłam do środka pewnym krokiem. Miałam nadzieję, że użyję swojego kobiecego uroku i przekonam Ameerę, żeby wróciła do tego stęsknionego nieszczęśnika, który czekał na ulicy. Byłam zadowolona z siebie i głęboko wierzyłam, że wszystko pójdzie zgodnie z planem.

Kiedy weszłam do środka, zadzwonił dzwonek, podobny do tego, który zamontowaliśmy w Biurze Podróży Samotnych Serc w Manchesterze. Natychmiast stanęła mi przed oczami piękna twarz Bena. Poczułam znajomy trzepot w brzuchu. Zastanawiałam się, jak sobie radzą Kelli i Trisha i czy pod moją nieobecność nad wszystkim panują. W momencie, w którym przestąpiłam próg tego biura podróży, uświadomiłam sobie, że odkąd rozstałam się z Shelley na lotnisku, przestałam bez przerwy rozmyślać o sprawach do załatwienia i e-mailach do napisania. To było dziwne uczucie. Nie miałam pewności, czy sprawiało mi przyjemność.

Potrząsnęłam głową i postanowiłam skupić się na swoim zadaniu. Wiedziałam, że kiedy już uda mi się doprowadzić do szczęśliwego finału i na nowo połączyć Nihala z Ameerą, będę mogła śmiało pozostawić grupę pod ich opieką i wrócić do domu, żeby zająć się swoimi sprawami. Weszłam do małego pomieszczenia, w którym znajdowały się dwa duże biurka i zdezelowana szafa na dokumenty, wciśnięta w niewielką przerwę między nimi. W porównaniu z tym miejscem moje biuro przypominało luksusowy pałac. Na pobielonych ścianach wisiały piękne zdjęcia egzotycznych plaż i palm, które nieco ożywiały tę niezbyt przytulną przestrzeń. Przy jednym z biurek siedziała pulchna kobieta. Garbiła się nad laptopem, który piszczał przy każdym dotyku jej masywnej dłoni. Po jej twarzy spływały krople potu, które ścierała nadgarstkiem.

– Dzień dobry, w czym mogę pomóc? – zapytała. Mówiła ze śpiewnym indyjskim akcentem.

– Dzień dobry. – Zbliżyłam się do niej i stanęłam przy biurku. – Ameera?

Pulchna kobieta wyduła wargi.

– Nie! Ale jeżeli ją pani spotka, proszę jej przekazać, że nie ma czego tu szukać. Niech nie liczy na referencje, zwłaszcza po tym, jak zostawiła mnie na lodzie.

– Słucham? Czyli Ameera już tu nie pracuje?

Kobieta potrząsnęła głową, rozpryskując wokół siebie kropelki potu.

Och, tylko nie to.

– Nie. Nagle stąd odeszła, nie złożyła nawet wypowiedzenia. Zostawiła mnie z całym tym bałaganem. Nie mogłam pójść na przyjęcie urodzinowe mojego siostrzeńca, bo musiałam otworzyć rano biuro. – Prychnęła, po czym wyjrzała przez okno i prychnęła jeszcze głośniej. Odwróciłam się i zobaczyłam Nihala: przyciskał twarz do szyby i zaglądał do środka, próbując się zorientować, jak mi idzie. – Czy to Nihal? Niech się stąd wynosi, nie chcę go widzieć. Wiem, że to przez niego odeszła Ameera. – Próbowała niezdarnie wstać z chwiejącego się krzesła.

– Dobrze, już idziemy. Przepraszam, że zajęłam pani czas – powiedziałam, ruszając szybko do drzwi. Kobieta mamrotała coś pod nosem.

Gdy tylko wyszłam na ulicę, Nihal rzucił się w moją stronę.

– I co? Nie widziałem jej. Była na zapleczu? Wszystko w porządku? Jak wygląda? Co mówiła Grubaska? Dlaczego posyła mi takie wściekłe spojrzenia? – wyrzucał z siebie kolejne pytania, a ja starałam się odciągnąć go od biura.

Potrząsnęłam głową i wzięłam głęboki wdech.

– Nie udało się. Przykro mi, Nihal.

– Co? – Zgarbił się, a na jego twarzy malowała się rozpacz. Bałam się, że znowu zacznie łkać.

– Ameery nie było w biurze.

– Jak to? A gdzie ona się podziewa? – zapytał z niepokojem.

– Odeszła z pracy. Jej szefowa twierdzi, że Ameera w ogóle się dziś nie pojawiła. Jest na nią wściekła. Lepiej już ruszajmy. – Obejrzałam się przez ramię. Bałam się, że spocona kobieta lada chwila wytoczy się z biura i ruszy za nami w pogoń.

Nihal odchrząknął. Stał w miejscu, przetwarzając to, co powiedziałam.

– Odeszła?

Pokiwałam głową.

– Tak twierdzi jej szefowa.

Zatopił się w myślach i zachowywał tak, jakby nie zauważał zgiełku i chaosu panujących wokół niego. Co jakiś czas zerkałam z niepokojem w stronę biura. Wreszcie Nihal się odezwał:

– To wszystko zmienia. Muszę ją odnaleźć.

– Co?! – zawołałam, ledwo zwracając uwagę na mężczyznę, który ciągnął rozklekotany wózek, a mijając nas, splunął mi pod nogi. Nihal pokiwał głową. – Nie, przecież musisz zająć się naszą grupą. Nie możesz teraz zrezygnować. Jeżeli Ameera postanowiła ułożyć sobie życie na nowo, ty też musisz to zrobić.

Nihal westchnął.

– Georgio, nie wiem, czy potrafię.

Zamarłam. Jeszcze kilka minut wcześniej głęboko wierzyłam, że to poukładam i wrócę do Manchesteru. A teraz stałam w upale na rogu ulicy, próbując okiełznać niesfornego przewodnika. Nie mogłam w to uwierzyć. Chyba nie odbyłam tak dalekiej podróży na próżno.

– Nihal, każdy z nas został porzucony na jakimś etapie swojego życia. Wiem, że to okropne, ale to nie znaczy, że musisz siedzieć w domu i rozpaczać. Nie możesz stracić pracy przez coś takiego. Musisz udowodnić Ameerze, że świetnie sobie bez niej radzisz.

Nihal spojrział mi w oczy.

– Nie potrafię bez niej żyć. Kocham tę kobietę z całego serca. My, Hindusi, jesteśmy inni niż mężczyźni, których spotykasz na co dzień. Nie rządzi nami rozum, tylko serce. Przepraszam, ale muszę ją odnaleźć.

– Nie, nie możesz zostawić grupy bez przewodnika! Czekaj... a jeśli ci pomogę?! – zawołałam bez zastanowienia.

Podrapał się po brodzie.

– Jak to?

– Wiem, że chcesz odnaleźć Ameerę, ale masz też inne obowiązki, których nie możesz nagle porzucić.

– Georgio, kiedy Ameera mnie rzuciła, nie potrafiłem się skupić. Widziałas, jak się zachowywałem wczoraj wieczorem. Ale teraz, kiedy wiem, że odeszła z pracy, już na pewno nie zdołam się niczym innym zająć. Muszę ją odnaleźć. Poszukam kogoś, kto mnie zastąpi.

Poczułam gwałtowny skurcz żołądka. Nie dopuszczałam do siebie myśli, że mogę go stracić, zwłaszcza teraz, kiedy wiedziałam, jaki drzemie w nim potencjał. Zaczęłam przyzwyczajając się do myśli, że nie wrócę do Manchesteru tak szybko, jak sądziłam.

– Nihal, odłóż ten plan do końca wycieczki, a potem razem spróbujemy odnaleźć Ameerę. Obiecuję. Już i tak udaję jedną z uczestniczek, więc spróbuję po prostu dyskretnie cię wspierać. Tak żeby reszta się nie zorientowała. – Odchrząknęłam. – Dzięki temu nie będziesz musiał siedzieć w domu i wysłuchiwać żartów Priyi. Zajmiesz się czymś konstruktywnym i będziesz robił to, co kochasz, a ja ci pomogę. Proszę, zgódź się.

Wyglądał tak, jakby miał się znowu rozplakać.

– Nihal?

Głęboko westchnął.

– Dobrze. Umowa stoi.

Wróciłam do hotelu kompletnie wyczerpana. Nihal dał mi słowo, że nazajutrz przyjedzie, zajmie się uczestnikami wycieczki i odłoży poszukiwania Ameery do czasu, aż goście wyjadą. Podziękowałam Rashidowi za herbatę, nie wspominając o tym, jak bardzo przeraziłam się przy jej odbiorze. Rashid ze



smutkiem przyjął wieść o tym, że Ameera zapadła się pod ziemię, ale szeroko się uśmiechnął, kiedy dowiedział się, że Nihal postanowił wziąć się w garść i wrócić do pracy. Nagle zdałam sobie sprawę, że gdybyśmy odwołali kolejne wycieczki, ucierieliby nie tylko klienci i nasze konto bankowe. Wszyscy ludzie, z którymi współpracowaliśmy na miejscu, też by na tym stracili. Rashid poinformował mnie z zadowoleniem, że pozostali goście spędzili wspólnie dzień, zwiedzając miasto. Powiedział im, że źle się poczułam i postanowiłam zostać w hotelu.

Rzuciłam się na łóżko i zaczęłam rozmyślać o wszystkim, co wydarzyło się tego dnia. W końcu udało mi się połączyć z Wi-Fi. Natychmiast rozległ się sygnał przychodzących wiadomości: rodzice pytali, czy dotarłam bezpiecznie na miejsce, a Shelley napisała, że jej paszport znalazła w pubie jedna ze sprzątaczek. Odetchnęłam z ulgą: oznaczało to, że myliłyśmy się co do Marie. Najwyraźniej paszport wypadł Shelley z torebki, a my tego nie zauważyłyśmy. Odpisałam, że moja misja specjalna w Indiach okazała się trudniejsza, niż przypuszczałam, i że powoli wyjaśniam pewne sprawy.

Wysłałam też wiadomość do rodziców, zapewniając, że wszystko u mnie w porządku, a potem otworzyłam WhatsAppa i poprosiłam Bena, żeby zadzwonił. Chciałam mu zrelacjonować ostatnie wydarzenia, przypominałam sobie też, że nie podałam mu haseł do swojej poczty. Wi-Fi w hotelu ledwo działało, więc pomyślałam, że Kelli powinna sprawdzić, czy nie dostałam żadnych pilnych e-maili. Tym bardziej że zamierzałam zostać w Indiach dłużej, niż pierwotnie zakładałam.

Po kilku minutach FaceTime nagle ożył. Poprawiłam włosy. Modliłam się, żeby promienie słońca nie uwypukliły zanedo moich opuchniętych oczu. W końcu wcisnęłam zielony przycisk. Gdy tylko na wyświetlaczu mojego telefonu pojawiła się twarz Bena, poczułam motyle w brzuchu. Nie mogłam powstrzymać uśmiechu.

– Cześć. – Ben też się uśmiechnął. Cholera, jaki on jest przystojny! – A więc żyjesz – dodał z wyraźną ulgą. – Martwiłem się o ciebie – wymamrotał, a mój uśmiech stał się jeszcze szerszy.

– Cześć, jestem w hotelu.

Boże, jak on świetnie wygląda. Miał naturalnie lekko pofalowane włosy, które idealnie okalały jego twarz i podkreślały kształt oczu. Włożył koszulę w kratę. Uwielbiałam ją. W tym stroju jego silne ramiona były jeszcze lepiej widoczne. Poczułam tam w dole przyjemne ciepło i ledwo przywołałam się do porządku.

– Dzwoniła Shelley. Podobno zgubiła paszport, a ty poleciałas bez niej. To prawda? – Na jego czole pojawiła się drobna zmarszczka. Wydawał się zaniepokojony.

Pokiwałam głową.

– Tak. Strasznie się bałam, ale wszystko w porządku, bez problemu dotarłam

na miejsce. – Miałam wrażenie, że od mojego przylotu minęło wiele tygodni. – Boże, Delhi to naprawdę szalone miasto. – Cicho się roześmiałam, a Ben pokiwał głową, po czym zerknął na dzwoniący w biurze telefon. – Nie chcę zajmować ci czasu, przypomniałam sobie po prostu, że nie przekazałam ci loginów i haseł do moich skrzynek. Prześlę ci je w osobnej wiadomości. – Zamilkłam na chwilę i głęboko odetchnęłam, a on pokiwał głową. Wydawało mi się, że przewrócił oczami, ale uznałam, że mi się przywidziało. – Co słyhać, jak wam idzie?

Zapadła cisza, a po chwili Ben głośno westchnął. Nagle zdałam sobie sprawę, że ma zaczerwienione, opuchnięte oczy. Wyglądał prawie jak Nihal.

– Nie jest dobrze.

Zamarłam.

– Co? Dlaczego?

Cholera. Wyjechałam tylko na kilka dni, a już nastąpiła katastrofa.

Ben przecesał palcami zmierzwiłone włosy i na chwilę zamknął oczy.

– Trisha miała wypadek.

– Co? O Boże! To coś poważnego?

Ben odchrząknął.

– Nie. Potknęła się w centrum handlowym. Mówiła, że w tym przypadku wstyd był zdecydowanie gorszy od bólu. Na szczęście skręciła tylko kostkę, ale lekarze kazali jej leżeć w łóżku.

– Och, dzięki Bogu. Dobrze, że nic jej się nie stało. No tak, niech koniecznie odpoczywa. Powinna się teraz oszczędzać.

– No właśnie. – Westchnął. – Nie chcę, żeby to źle zabrzmiało, ale przez ten wypadek znaleźliśmy się w trudnej sytuacji. Ponieważ zakładałem, że Trisha nam pomoże, wziąłem trochę dodatkowej pracy na czas twojej nieobecności. Teraz, kiedy jej zabrakło, obawiam się, że nie poradzimy sobie sami z Kelli. – Zamilkł na chwilę. – Zastanawiałem się, czy nie zatrudnić kogoś do twojego powrotu. Jak uważasz?

Odpowiedziałam bez wahania.

– Biedna Trisha. Nie mogła się doczekać, aż wróci do biura. Tak, wydaje mi się, że zdecydowanie powinniście przyjąć kogoś, kto wam ze wszystkim pomoże. Dodatkowa para rąk nigdy nie zaszkodzi. Mam listę kandydatów na biurku, w zielonej albo pomarańczowej teczce. Nie pamiętam.

Ben uśmiechnął się i pokiwał głową.

– Więc przygotowałaś się na taką ewentualność? – zapytał, po czym dodał, nie dając mi czasu na odpowiedź: – Oczywiście, że się przygotowałaś.

– To nie tak. – Przygryzłam wargę. – Po prostu zanim Trisha zaoferowała nam pomoc, zaczęłam szukać kogoś na zastępstwo. Na wszelki wypadek. – Pokiwał głową, ale nadal milczał. – W każdym razie podzieliłam kandydatów na tych, którzy się nadają, i na tych, którzy nie powinni do nas trafić. W żadnym

wypadku, nawet za milion lat. Uznałam, że tak będzie wygodniej.

– Wiem. – Przetarł oczy dłonią. Wydawał się wyczerpany. Zaczęłam się zastanawiać, czy w ostatnim czasie mogłam wyglądać podobnie. W tle usłyszałam czyjś głos. – Okej, dzięki. Sprawdzę twoją listę i kogoś wybiorę. Słuchaj, Georgia, muszę już iść. Mamy dzisiaj sporo pracy.

– Och, dobra, w takim razie...

Ben zakończył połączenie, zanim zdążyłam się pożegnać. Po prostu się rozłączył. Nie zdołałam mu nawet opowiedzieć o Nihalu. Przewróciłam się na plecy i zaczęłam gapić się w sufit. Może powinnam anulować tę wycieczkę, oddać uczestnikom pieniądze i wrócić do domu, żeby pomóc Benowi? Nad tym wyjazdem od samego początku ciążyła jakaś klątwa. Łza spłynęła po moim policzku. Zamknęłam oczy. Miałam nadzieję, że jeśli się wyśpię, świat ukaże mi się w jaśniejszych barwach. Po raz pierwszy czułam się kompletnie bezradna. Straciłam kontrolę. Nad wszystkim.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

### Kierat, czyli żmudna, dłużąca się w nieskończoność praca

Siedzieliśmy stłoczeni jak sardynki w ciasnym minibusie. Nie zdążyliśmy się jeszcze rozbudzić: przed świtem wyruszyliśmy w długą drogę do Agry. Mieliśmy spędzić dzień w Tadż Mahal. Granatowe niebo zaczynały dopiero rozświetlać jasne smugi promieni słonecznych, ale nawet o tej porze na zakorkowanych ulicach panował już chaos. Ludzie rozstawiali kramy i otwierali sklepy, mężczyźni w garniturach biegli do pracy, a dzieci zbierały puste butelki po wodzie. Nihal przyjechał po nas zgodnie z obietnicą. Zjawił się punktualnie, wyglądał czysto i schludnie i wydawał się dużo pogodniejszy niż podczas naszego ostatniego spotkania. Zapamiętał nawet imiona wszystkich wycieczkowiczów i kiedy wtaczaliśmy się półprzytomni do minibusu, wręczył każdemu niewielkie butelki soku pomarańczowego oraz ciastka.

Widzisz, wszystko się ułoży. Wycieczka zaczęła się fatalnie, ale sytuacja wraca powoli do normy. Ben znajdzie sobie kogoś do pomocy. Da sobie radę. A kiedy w internecie zaczną się pojawiać entuzjastyczne recenzje, stanie się jasne, że warto było przez to przejść, myślałam.

Uśmiechnęłam się z dumą na widok ogolonego Nihala, po czym wsiadłam do minibusu. W drodze do Agry próbowałam się trochę zdrzemnąć, ale wyboje skutecznie mi to utrudniały. Ollie i Chris natychmiast zasnęli, Liz i Flic oparły się o okno i ułożyły na prowizorycznych, zrobionych z chust poduszkach, a głowa Bex co pewien czas opadała, wybudzając ją na tyle często, żeby mogła otrzeć ślinę z kącików ust i znowu odpłynąć.

Moi niewyspani towarzysze nawet nie próbowali ustalić, co robiłam poprzedniego dnia. Kiedy wsiadaliśmy do minibusu, Liz stłumiła ziewnięcie i zapytała, czy lepiej się już czuję. Byłam na tyle nieprzytomna, że dopiero po chwili przypomniałam sobie o kłamstwie, które wymyślił Rashid. W końcu coś wymamrotałam, ale najwyraźniej Liz nie nabrała podejrzeń, bo zaczęła mi relacjonować, jak spędzili dzień. Zapewniła, że niewiele straciłam: stary targ cuchnął moczem i kapustą, a jakiś stary facet ciągle za nimi łąził i próbował wcisnąć im spleśniałe warzywa. Poprzysięgłam sobie, że ta wycieczka stanie się wkrótce ciekawa, pełna wrażeń i naprawdę ekscytująca.

Po kilku godzinach i kilku koszmarnie niewygodnych pozycjach, które każdy z nas próbował przyjąć, żeby jakoś przetrwać tę podróż, dotarliśmy wreszcie do Agry. Było to miasto zdecydowanie mniejsze niż Delhi, ale za to słynęło z bogatej historii. Mijaliśmy budynki z czerwonej cegły, w których mieściły się

rozmaite sklepiki i warsztaty. Krowy leniwie przechadzały się po ulicach, nie zważając na liczne motocykle, na których tłoczyły się całe rodziny. Siedzące na motorach matki trzymały na rękach niemowlęta i wczepiały się w swoich mężów. Byłam tak pochłonięta tymi widokami, że tylko jednym uchem słuchałam Nihala, który zwrócił się do budzących się powoli pasażerów:

– Kiedy pojedziemy pod Tadź Mahal, będzie panował straszny zgiełk i chaos. Przygotujcie się na to. Uważajcie na torby i trzymajcie się grupy. Ja tymczasem pójdę kupić bilety, żebyście nie musieli stać w kolejce. Spotkamy się tu za piętnaście minut! – zawołał, po czym wyskoczył z minibusu i pomknął przed siebie.

– Co mu się stało? – Bex ziewnęła, szeroko otwierając usta i odsłaniając kilka srebrnych plomb.

– Co masz na myśli? – zapytałam z niepokojem i przetarłam oczy.

– Zachowuje się tak, jakby dostał nagle zastrzyk energii. Nie żebym narzekała, ale to trochę dziwne, nie sądzisz?

– Może po prostu miał ostatnio zły dzień? – zasugerowałam, czując, że się rumienię.

Bex wzruszyła ramionami. Wydawało się, że bardziej zajmowały ją widoki za oknem niż rozpoczęta przed chwilą rozmowa.

Kiedy nasz cierpliwy kierowca zdołał wreszcie znaleźć miejsce parkingowe i otworzył drzwi minibusu, wytoczyliśmy się wszyscy na chodnik, zadowoleni, że możemy wreszcie rozprostować nogi. Choć było jeszcze dość wcześnie, robiło się już gorąco, a chmary ludzi ustawiały się w kolejkach, by móc zwiedzić słynną „świątynię miłości”.

– O rany, co się dzieje? To jakieś szaleństwo! – zawołał Ollie. – Ale czy to na pewno tu? Nie widzę Tadź Mahal.

Flic prychnęła i przewróciła oczami.

– Trzeba przejść przez bramę.

– Byłaś tu już wcześniej? – zapytał Ollie.

– Nie, ale już wiem, że to mój duchowy dom – oznajmiła Flic rozmarzonym głosem, równie dziwnym jak jej jaskraworóżowa sukienka. – Chociaż ceny biletów wstępu to jakieś totalne oszustwo. Wiecie, że Hindusi mogą zwiedzać Tadź Mahal dosłownie za grosze? A my musimy płacić majątek. – Rozłożyła ręce i pokręciła głową. – To strasznie niesprawiedliwe.

– Ale to właśnie turystyka pozwala utrzymywać zabytki takie jak ten. Dzięki temu nie popadają w ruinę – zauważył Chris, po czym wypił duży łyk wody. Zignorował wściekłe spojrzenie Flic, która najwyraźniej uważała, że wszyscy mieszkańcy tej planety powinni być równo traktowani.

– Posmarowaliście się kremem przeciwsłonecznym? – zapytałam, zmieniając temat. Przypomniałam sobie, że podczas nieobecności Nihala to ja powinnam

przejąć jego obowiązki. – Czytałam też, że kobiety powinny ubrać się możliwie skromnie. – Wskazałam odsłonięte ramiona Bex. – Zabrałaś ze sobą jakąś chustę?

– Cholera! Zostawiłam ją w hotelu.

– Mogę ci pożyczyć swoją – wtrąciła się Liz. Zaczęła przeszukiwać nieduży plecak i po chwili wyciągnęła jasnoróżowy szyfonowy szal.

– Super... – Bex skrzywiła się, po czym rozłożyła szal z takim obrzydzeniem, jakby trzymała parujące krowie łajno. – Moja mama nigdy nie uwierzy, że nosiłam coś różowego.

– Wyglądasz prześlicznie – zapewniła Flic, posyłając jej całusa.

Bex wzruszyła ramionami.

– Mam też krem przeciwsłoneczny – dodała cicho Liz, po czym podała tubkę kremu z filtrem 50 Olliemu, który miał najjaśniejszą cerę z nas wszystkich. Kiedy ich dłonie się zetknęły, niemal upuściła ją na ziemię.

– Och, eee... dzięki – wyjąkał Ollie, posyłając jej nieśmiałe spojrzenie spod długich rzęs.

– Chodźcie! – zawołał Nihal, przerywając tę chwilę intymności.

Podeszliśmy do niego, omijając mężczyzn, którzy oferowali przejażdżkę na wielbłądach. Chris podskoczył, kiedy długi, ciemny język jednego ze zwierząt znalazł się nieco za blisko jego twarzy.

– Znalazłeś sobie chyba przyjaciela – powiedziałam z uśmiechem.

Chris skrzywił się i ruszył przed siebie zamaszystym krokiem.

– A więc oto jesteśmy u słynnych wrót Tadź Mahal. – Nihal rozdał nam bilety i upewnił się, że wszyscy mają wodę. – Trzymajcie się blisko mnie i starajcie się nie odłączać od grupy. Chodźmy obejrzeć tę wspaniałą budowlę. – Uśmiechnął się z podekscytowaniem i mrugnął do mnie. Poczułam na sobie spojrzenie Chrisa, ale zignorowałam je i zaczęłam przeciskać się przez chmary ludzi, którzy wlekli się w stronę wejścia.

Czułam, że z każdym krokiem coraz bardziej dokucza mi upał, a odbijające się od kamiennych płyt promienie słoneczne potęgowały już i tak trudny do zniesienia dyskomfort. Zbliżaliśmy się do otwartego dziedzińca. Panowała niezwykła atmosfera: wszystkich ludzi, którzy kłębili się wokół mnie, zdawał się przyciągać jakiś niewidzialny magnes umieszczony za potężnymi, ciemnobrązowymi bramami.

– O rany, nie mogę uwierzyć, że tu jestem i zaraz zobaczę Tadź Mahal! – zawołała Bex, udając, że ociera łzę rąbkiem chusty, którą pożyczyła jej Liz.

– Ja też! – odpowiedziałam szeptem. Przeszedł mnie dreszcz podniecenia. Pomyślałam o tamtej zestresowanej, zniecierpliwionej dziewczynie, która czekała na wizę w obskurnym urzędzie w Manchesterze i zauważyła na ścianie plakat przedstawiający to wspaniałe mauzoleum. A teraz miałam zobaczyć Tadź Mahal na własne oczy. Przez chwilę zastanawiałam się, czy to wszystko mi się nie śni. Może

ktos powinien mnie uszczyplac?

I nagle ktos rzeczywiscie mnie uszczyplal.

– A! – krzyknelam.

Odwróciłam się, szukając napastnika – co nie było łatwe, bo ze wszystkich stron napierały na mnie rozgrzane ciała. Uśmiechnęła się do mnie sympatyczna Hinduska z dużymi kolczykami i ustami umalowanymi jaskraworóżową szminką.

– Przepraszam! Miałam nadzieję, że moglibyśmy zrobić sobie z paniami zdjęcie.

– Och, dobrze, to znaczy... w porządku – odpowiedziałam, szturchając Bex i dając jej znak, żeby się uśmiechnęła. – Ona chyba wzięła nas za jakieś celebrytki! – wyszeptalam.

Kobieta uśmiechnęła się z wdzięcznością i zaczęła szukać telefonu w torebce. Bex pokiwała głową.

– Ach, słyszałam o tym. Podobno dla Hindusów robienie sobie zdjęć z turystami z Zachodu to wielka atrakcja. Zachowywałabym się tak samo, gdyby minął mnie teraz Jeremy Kyle: po prostu musiałabym sobie z nim zrobić selfie. – Wzruszyła ramionami. – Chwileczkę, zdejmę tylko chustę. Nie pozwolę, żeby ktokolwiek zrobił mi zdjęcie w tym paskudztwie – dodała.

Powstrzymałam ją.

– Daj spokój. W Indiach odsłanianie ciała jest naprawdę źle widziane. Zwłaszcza w świętym miejscu takim jak to. – Bex cmoknęła z niezadowolaniem, ale nie zdjęła chusty. – Zresztą świetnie wyglądasz.

– Gotowe! – Hinduska uśmiechnęła się i wyciągnęła telefon. – Okej, proszę o uśmiech.

– Co do...?

Nagle przysunęły się do nas dziesiątki osób. Wszyscy spojrzeli w aparat i wyszczerzyli zęby w uśmiechu. Podano mi jakieś niemowlę, a Bex musiała trzymać małą dziewczynkę z czarnymi kręconymi włosami. Dziecko, które niezdarnie ścisnęłam, zaczęło w końcu płakać, więc kilku stojących obok mnie mężczyzn próbowało je uciszyć. Posłałyśmy sobie z Bex porozumiewawcze spojrzenia, po czym wybuchłyśmy śmiechem. Zamiast pozować do zdjęcia, dziewczynka, którą Bex trzymała na rękach, wołała wsadzać jej palce w oko.

– Boże, wszystko przez tę chustę – jęknęła Bex, kiedy jej mała podopieczna wróciła wreszcie do rodziców. – Mówiłam ci, róż przynosi pecha. Ludzie wyobrażają sobie nie wiadomo co.

Zaśmiewałyśmy się na myśl o tym, że zdjęcia z naszej niespodziewanej sesji fotograficznej dotrą do domów w całych Indiach. Tymczasem zbliżałyśmy się powoli do wejścia. Nagle otwarto bramy, a mnie zaparło dech w piersiach: moim oczom ukazał się Tadź Mahal.

Zamarłyśmy z wrażenia, a wszyscy wokół nas zamilkli, oddając szacunek tej

niezwykłej budowli, która zdawała się lśnić w promieniach słońca. Przemieszczałyśmy się powoli w jej stronę, patrząc jak zahipnotyzowane na majestatyczne mauzoleum, które wyrastało ku niebu. Okazało się po tysiącokrotnie bardziej widowiskowe, niż to sobie wyobrażałam.

– Ja pieprzę. To naprawdę piękne – wyszeptała Bex.

Pokiwałam głową. Nie mogłam wydusić z siebie ani słowa. Nagle ogarnął mnie dziwny spokój. Marie zaciągnęła mnie kiedyś na lekcję jogi, ale rozluźnienie, którego tam zaznałam, wydawało się niczym w porównaniu z błogością, którą teraz czułam. Miałam wrażenie, że świat wokół mnie nagle zastygł. W tej chwili liczyłam się tylko ja i Tadz Mahal: owoc prawdziwej, głębokiej miłości.

– Wszystko okej, Louise? Wyglądasz, jakbyś kompletnie odjechała.

– Tak, wszystko w porządku. Tu jest niesamowicie. Ludzie zachwycają się takimi miejscami, w kółko powtarzają, że trzeba je zobaczyć przed śmiercią, ale nie spodziewałam się, że zrobi to na mnie takie wrażenie.

– Chodź, wariatko, poszukajmy reszty. – Bex roześmiała się i poprowadziła mnie w dół po rozpadających się schodach. Ludzie wyciągali w górę aparaty, telefony oraz iPady. Czar prysł.

Ruszyliśmy przed siebie zwirową alejką, wzdłuż której rosły starannie przyciężone krzewy i egzotyczne kwiaty – a po chwili dotarliśmy do miejsca, w którym zgromadziła się nasza grupa. Nihal właśnie coś opowiadał, żywo gestykułując. Był w swoim żywiole.

– Witajcie! Już myślałem, że się zgubiliście. – Uśmiechnął się do nas. – Robi wrażenie, prawda? Ten widok nigdy mi się nie znudzi. – Spojrzał na mlecznobiałe kopuły i lekko schylił głowę na znak szacunku. Po chwili przeniósł na nas wzrok. – Tak jak mówiłem, Tadz Mahal stanowi ideał równowagi i symetrii. Patrząc na budowlę, widzimy cztery białe minarety, po jednym w każdym rogu. W razie trzęsienia ziemi mają one chronić mauzoleum. Sądzę, że co do jednego możemy się też wszyscy zgodzić: z tego cudu architektury promieniuje miłość. Budowlę kazał wznieść władca Szahdżahan na cześć ukochanej żony Mumtaz Mahal... – mówił Nihal.

Nie słuchałam go, bo skupiałam uwagę na Hindusce o kruczoczarnych, lśniących włosach i szmaragdowych oczach. Prowadziła niewielką grupkę turystów, unosiła szczupłą rękę. Zaraz, czy oni wszyscy mają na sobie koszulki z nadrukiem przedstawiającym złamane serce?

– Więc tak jak wspominałem... – Nihal próbował się na nas skoncentrować, ale znowu zamilkł. Piękna Hinduska podeszła bliżej i przystanęła tuż obok nas.

Turyści z drugiej grupy patrzyli po sobie ze zdziwieniem, zastanawiając się, dlaczego nasz przewodnik nagle zaniemówił. Próbowałam złapać z Nihalem kontakt wzrokowy, on jednak wpatrywał się w piękną kobietę i grupę turystów w identycznych koszulkach. Kiedy przewodniczka zerknęła na niego spod długich,



gęstych rzęs, a potem zalotnie poprawiła włosy, po plecach przebiegł mi dreszcz.

Nie. To nie mogła być...

– A... Ameera? – wyjąkał Nihal.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

### Triumf, czyli słodki smak zwycięstwa

Cholera. A więc ta piękność to Ameera? To oznaczało, że wcale nie odeszła z biura podróży po to, żeby wypłakiwać oczy w domu: odeszła, bo chciała zostać przewodniczką! Najwyraźniej uznała, że nie ma rzeczy, z którą nie poradziłaby sobie lepiej niż jej były.

Nihal zbladł i zaczął drzeć. Zauważyłam, że Flic i Bex wymieniły znaczące spojrzenia, próbując odgadnąć, co się z nim dzieje. Ameera posłała Nihalowi triumfalny uśmiech, który odsłonił perłowobiałe, idealnie proste zęby, a następnie zwróciła się do swojej grupy. Najwyraźniej upajała się wrażeniem, które na nim zrobiła:

– Tadz Mahal to jeden z najbardziej rozpoznawalnych zabytków na świecie. Budowa trwała dwadzieścia dwa lata. Władca chciał wznieść mauzoleum na cześć swojej żony, która zmarła podczas porodu. Któż by pomyślał, że pogrążony w rozpacz mężczyzna zdoła stworzyć coś tak wspaniałego? – Miała piękny głos i mówiła ze śpiewną intonacją. Nihal nie mógł oderwać od niej wzroku. – Większość współczesnych mężczyzn nie docenia swoich partnerek, trudno sobie zatem wyobrazić, że któregoś z nich byłoby stać na tak wspaniały gest. To prawdziwy pomnik miłości – dodała uszczypliwie.

Te słowa wyrwały Nihala z letargu. Coś się w nim nagle przebudziło. Odchrząknął, wyprostował się i odwrócił w naszą stronę. Unikał mojego spojrzenia.

– Dobrze, gdzie skończyłem? Ach, tak. Ludzie przez długie lata wierzyli, że to najpiękniejsza historia miłosna w całych Indiach. Ale miała ona też swoje mroczne strony. Cesarz kazał odciąć ręce artystom, którzy zaprojektowali grobowiec: nie chciał, żeby kiedykolwiek stworzyli coś równie pięknego. – Nihal splunął na żwir u swoich stóp.

Ameera podniosła głos, starając się go zagłuszyć:

– Nie powinniście jednak wierzyć w te bajki. Przecież ludzie bez przerwy kłamią. Czasem naprawdę trudno określić, czy to, co słyszycie, jest prawdą, czy kompletną brednią.

Bex i Ollie odwrócili się i posłali mi porozumiewawcze spojrzenie. Starłam się udawać zdziwienie, ale w duchu marzyłam, żeby ziemia rozstąpiła się u moich stóp i mnie pochłonęła. Nie wierzyłam, że to się dzieje naprawdę. Jediną osobą, która wydawała się dobrze bawić i cieszyć tym pojedynkiem przewodników, okazał się Chris. Wyjął telefon i zaczął nagrywać tę scenę.

Tymczasem trzej mężczyźni i kobieta, których oprowadzała Ameera, zorientowali się wreszcie, że dzieje się coś dziwnego. Nie mieli jednak pojęcia, dlaczego piękna Hinduska zachowuje się tak osobliwie. Otyły Chińczyk uniósł rękę, chcąc zadać jakieś pytanie, ale nie zdołał dojść do głosu, bo zagłuszył go Nihal:

– Moim skromnym zdaniem to, że ludzie zawsze stają po stronie kobiet, to ogromna niesprawiedliwość. Historia tego dowodzi. Wszyscy ciągle mówią o tym, jak wspaniałym dowodem miłości jest ta budowla. Niektórzy jednak mogliby twierdzić, że to ogromna przesada, zbędny popis, który niczemu nie służy. Kobiety, które oczekują takich deklaracji, lepiej chyba unikać. Prawda, panowie? – Nihal zwrócił się do Olliego i Chrisa. Chińczyk z drugiej grupy zaczął klaskać, ale zamarł, kiedy Ameera posłała mu spojrzenie pełne złości.

Ollie podrapał się po głowie. Wyglądał tak, jakby nie miał zielonego pojęcia, co się dzieje.

– Yyy, no... chyba tak?

Flic głośno prychnęła i wymamrotała pod nosem:

– Od początku wiedziałam, że straszny z ciebie macho.

Ameera nie zwróciła na nią uwagi i zaczęła mówić jeszcze głośniej:

– Wspaniały i płynący prosto z serca dar, jakim jest Tadź Mahal, wielu ludzi postrzega jako jeden z siedmiu cudów świata. Słynie z piękna, harmonii i symetrii. Nie ulega wątpliwości, że Szahdżahan kochał swoją żonę. Kochał ją tak bardzo, że włożył w to dzieło całe serce i całą duszę. Chciał dowieść, jak wiele dla niego znaczyła. Wiem, że nie wszystkie kobiety oczekują wielkich dowodów miłości takich jak ten, ale gdyby mężczyźni mówili kobietom, co czują, zamiast oczekiwać, że się tego domyślą, one prawdopodobnie lepiej by ich rozumiały. – Ameera zamilkła na chwilę i rzuciła Nihalowi gniewne spojrzenie. – Czyny przemawiają głośniej niż słowa.

– Kiedy wejdziemy do środka? – nie wytrzymał wreszcie chudy mężczyzna z mocnym niemieckim akcentem.

– Och, no tak, rzeczywiście – wymamrotała Ameera, po czym odgarnęła z twarzy kosmyki włosów. Miała rumieńce na policzkach. – No cóż, teraz jest czas wolny. Spotkamy się tu za mniej więcej pół godziny. Wejdźcie do środka i dokładnie obejrzyjcie to wspaniałe mauzoleum. – Jej grupa z wyraźną ulgą ruszyła przed siebie, kilka osób zaczęło szeptać, że przewodniczka dziwnie się zachowuje.

Nihal odprowadził Ameerę wzrokiem i zawołał:

– No dobrze, robimy krótką przerwę. Spotkajmy się tu za trzydzieści minut.

Podobnie jak pozostali wzruszyłam ramionami, udając, że nie wiem, co się dzieje. Kiedy reszta się oddaliła, zatrzymałam Nihala, który zamierzał właśnie pobiec za Ameerą.

– O co tu, do cholery, chodzi? – zapytałam przez zaciśnięte zęby. – Co ona tu robi?

Nihal był kompletnie wytracony z równowagi. Bez przerwy się rozglądał, wypatrując ukochanej pośród tłumów turystów.

– Nie wiem! Ale czy nie mówiłaś, że mogłaby do nas dołączyć i zostać przewodniczką?

– To był tylko pomysł, luźna sugestia. Wydawało mi się, że dzięki temu łatwiej poradzisz sobie z rozstaniem. Nie mogła przecież zostać przewodniczką z dnia na dzień!

Nie zamierzałam podnosić głosu, ale nie wiedziałam, co robić. Chciałam, żeby Nihal wziął się w garść i wrócił do pracy. Nie spodziewałam się, że jego była dziewczyna wszystko zepsuje, zorganizuje własną wycieczkę dla ludzi ze złamanym sercem i wymyśli jeszcze te koszulki.

– Okej. Zrobimy tak: poszukasz jej i przeprosisz za to, co zrobiłaś. Wróćcie do siebie, a ty powiesz, że możecie razem pracować – oznajmiłam. Dopiero po chwili nabrałam wątpliwości: nie byłam pewna, czy uczestnicy naszych wycieczek chcieliby spędzać czas z parą.

Nihal potrząsnął głową i mruknął:

– Nie.

– Jak to: nie?

– Ameera nie odzywała się od czasu naszej kłótni. Bardzo się o nią martwiłem, ale najwyraźniej bez wzajemności. Nie obchodzi jej, co się ze mną dzieje. Zjawiła się tu dziś, choć doskonale wiedziała, że będę oprowadzał grupę po Tadź Mahal. Przyszła specjalnie: chciała się na mnie zemścić. Wcale nie zamierza się ze mną pogodzić! – Wyglądał, jakby miał zaraz wybuchnąć. Na jego skroni pojawiła się fioletowa, pulsująca żyła. Zacisnął pięści. Miejsce Pana Złamane Serce zajął Pan Wyzwolony.

– Nihal, musimy to naprawić! – Nadal nie mogłam w to wszystko uwierzyć. Może my też powinniśmy rozdawać uczestnikom koszulki albo czapki? Albo jedno i drugie? Całkiem fajnie to wyglądało. – Jeżeli nie zamierzacie zachowywać się jak dorośli ludzie, to przynajmniej zadbaj o to, żeby uczestnicy naszej wycieczki przeżyli wspaniały dzień, który zapamiętają do końca życia. Chcę, żeby wyjechali stąd podekscytowani i zadowoleni. Nie mogą się smucić i rozmyślać o problemach, które zostawili w domu. Kłójące się pary nie są dla nich wymarzoną towarzysztwem. Sporo zapłacili, żeby od tego uciec!

– O mój Boże, wreszcie rozumiem! – Nihal plasnął się dłonią w czoło. Najwyraźniej nie słuchał tego, co mówiłam.

– Co? Co takiego rozumiesz?

– Kłóciliśmy się już od dłuższego czasu. Zawsze chodziło o moją pracę. I nagle, jakiś miesiąc temu, wróciłem z naprawdę udanej wycieczki bardzo

podekscytowany. Co ciekawe, Ameera po raz pierwszy mnie nie ignorowała. Wręcz przeciwnie, wydawała się naprawdę zainteresowana tym, co mam do powiedzenia. Zadawała rozmaite pytania, a nawet robiła notatki. – Podrapał się po nosie, jakby próbował sobie coś przypomnieć. Nagle znieruchomiał.

– Nihal? Co się stało?

Przełknął ślinę i wziął głęboki wdech.

– Pamiętasz tamtą recenzję? Tę, którą mi pokazywałaś?

Pokiwałam głową.

– Wczoraj po twoim wyjściu jeszcze raz ją przeczytałem. Coś mi w niej nie grało. Niektóre szczegóły się nie zgadzały. Chyba już wiem, kto ją napisał.

Nie musiał wypowiadać na głos jej imienia. Tym razem to ja wpadłam w szal. Ta suka psuje mi interes!

– Naprawdę? Myślisz, że tę recenzję napisała Ameera? Ale dlaczego miałyby to robić?! – zawołałam.

Nihal odpowiedział powoli:

– Pewnie chciała mi udowodnić, że potrafi zrobić to wszystko lepiej ode mnie.

– O Boże! – A więc to wszystko nieprawda. To nie z wycieczką były problemy: wszystko działało tak, jak powinno, z wyjątkiem tego, że jakaś psychiczna dziewczyna postanowiła zemścić się na byłym chłopaku.

– Mówię serio, Georgio. Straciła swoją szansę. Po czymś takim już nigdy jej nie wybaczę. – Nihal splunął, po czym ruszył przed siebie. Zostałam sama.

Wzniosłam ręce do nieba i spojrzałam z wściekłością na Tadz Mahal. Tu miało chodzić o miłość, a nie o brudne sztuczki i akty sabotażu! Postanowiłam poszukać pozostałych uczestników. Bałam się, co powiedzą o dramacie, który przed chwilą rozegrał się na ich oczach. Gwałtownie się odwróciłam... i na kogoś wpadłam.

– Och, przepraszam... – zaczęłam. Podniosłam wzrok i ku swojemu zaskoczeniu zobaczyłam Chrisa.

Jak długo tu stał? Trzymał w ręku telefon i wyglądało na to, że wcale nie robił zdjęć Tadz Mahal: kierował go w naszą stronę. Najwyraźniej słyszał całą rozmowę z Nihalem.

– Wszystko okej, Chris? – zapytałam beztróskim tonem. Prawie upuścił telefon.

– Tak. To niesamowite miejsce – odpowiedział. – Bardzo... hm, bardzo ciekawe.

Wymamrotałam coś i posłałam mu wymuszony uśmiech, wypatrując pośród tłumów kłębiących się wokół mauzoleum różowej chusty Bex albo rudej czupryny Olliego.

– O, tam są! – zawołałam. Pomachałam do nich i ruszyłam pospiesznie w ich

stronę. Byłam przekonana, że kiedy się oddalałam, na twarzy Chrisa pojawił się ten charakterystyczny szyderczy uśmieszek.

– Hej, musisz poznać najnowszą teorię Flic – powiedział rozbawiony Ollie, kiedy do nich podeszłam.

– Tak? Co to za teoria? – zapytałam. Nadal nie dotarło do mnie to, co wydarzyło się w ciągu ostatnich pięciu minut.

Flic przewróciła oczami i posłała Oliemu niechętnie spojrzenie.

– Powiedziałam tylko, że wiem, dlaczego Nihal tak dziwnie się zachowuje.

– Dziwnie? – wymamrotałam.

– Tak. No wiesz, ciągle ma humory, najpierw jest zdystansowany, a potem niesamowicie pomocny i opiekuńczy. Do tego cały czas nie może się skupić... – mówiła dalej Flic, budując napięcie. Nabrałam powietrza i zaczęłam się zastanawiać, czy nie powinnam im zrelacjonować tego, co się właśnie wydarzyło. – Bierze narkotyki – oznajmiła, z dumą krzyżując ramiona. Liz wydała okrzyk zdziwienia.

– Co? Nie... – zaprotestowałam, niepewnie się uśmiechając.

– Pomyśl tylko, Louise. Zmiany nastrojów, skrajne emocje, haj i gwałtowny spadek energii. Mówię ci, to narkoman – dodała Flic.

– To jakiś absurd. On nie jest narkomanem. – Ściszyłam głos, kiedy zauważyłam grupę gapiących się na nas turystów ze Szwecji. O Boże, nie mogłam pozwolić, żeby wzięli Nihala za narkomana. Nawet nie chciałam sobie wyobrazić recenzji, które by wtedy napisali. – On... on... – Zamilkłam, rozpaczliwie szukając jakiegoś innego wytłumaczenia. Gdybym powiedziała im o Ameerze, zastanawialiby się, skąd o tym wiem. Milcząc, potwierdziłabym tylko szalone teorie Flic.

– On ma cukrzycę – oznajmił rzeczowo Chris, zbliżając się do nas. – To całkiem częste u Hindusów w jego wieku. Jego nastrój zależy od poziomu insuliny.

– Naprawdę? – Spojrzałam na niego ze zdziwieniem. – Och, to znaczy tak, to prawda. Przed chwilą nam o tym powiedział.

– Och, biedak. Nie potrafię sobie wyobrazić, że miałabym codziennie wbijać sobie igłę w ramię – powiedziała Bex ze współczuciem.

Ollie przewrócił oczami, a Liz głośno westchnęła.

– Okej... – wymamrotała Flic. – No cóż, ale wszystko wskazywało na to, że mógłby być narkomanem.

– Owszem. Ale nim nie jest – uciął Chris, po czym ruszył w stronę ławki Księżnej Diany. Odprowadzając go wzrokiem, z niedowierzaniem potrząsnęłam głową. Wydobył mnie przed chwilą z prawdziwych tarapatów. Może jednak nie był takim dziwakiem, na jakiego wyglądał.

– No cóż, mamy w każdym razie rozwiązanie naszej zagadki! – zawołałam radośnie. Serce waliło mi jak oszalałe.

Zamiast podziwiać marmurowe mauzoleum, rozglądałam się, wypatrując Ameery i jej grupy. Zamierzałam odnaleźć tę krowę i wyjaśnić z nią sobie parę spraw – a przede wszystkim omówić tę kłamliwą recenzję naszej wycieczki. Ameera zapadła się jednak pod ziemię. Próbowałam się uspokoić. Odetchnęłam z ulgą, kiedy pomyślałam, że najgorsze już za nami. Na pewno. Pójdziemy teraz coś zjeść i wszystko będzie dobrze.

– To miejsce wygląda całkiem nieźle – powiedział Nihal, kiedy dotarliśmy do pobliskiego snack baru, nieco oddalonego od Tadż Mahal.

Na plastikowych krzesłach w cieniu tamaryndowców siedziało kilku taksówkarzy. Pili czaj masalę i zupełnie nie zwracali uwagi na wielbłądy, które zostały przywiązane do pobliskich drzew i przeżuwały coś tak zapamiętale, że ich ślina pryskała na pylistą drogę. Nihal złożył zamówienie, a mnie zaburczało w brzuchu. Wiedziałam, że muszę coś szybko zjeść: byłam głodna, ale przede wszystkim chciałam oderwać myśli od tego całego zamieszania. Nie ulegało wątpliwości, że Nihal przechodził przez wszystkie fazy rozstania. Zaczął od wyparcia, teraz zaś nadeszła pora na gniew. Oznaczało to, że mógł podjąć wiele pochopnych i irracjonalnych decyzji. Na razie niczego po sobie nie okazywał i cierpliwie zajmował się grupą. Miałam nadzieję, że nic się w tej kwestii nie zmieni.

– No dobrze. Zamówiłem różne potrawy, żebyście mogli spróbować czegoś nowego – oznajmił, podając nam plastikowe pojemniki z jedzeniem, sztućce i serwetki.

– Wziąłeś łagodne curry? – zapytałam.

Pokiwał głową.

– Sobie zamówiłem ostre, ale pozostałe dania są mdłe... To znaczy łagodne.

– Mrugnął do nas porozumiewawczo. – Proszę, smacznego.

Natychmiast rzuciliśmy się na jedzenie.

– Tu jest naprawdę niesamowicie – powiedziała Bex, zanurzając widelec w potrawie, która wyglądała na curry z soczewicą.

Liz przyznała jej rację.

– Mauzoleum na cześć ukochanej żony. Co za romantyczny gest.

– Mój były nigdy nie zrobiłby dla mnie czegoś takiego – wymamrotała Flic, grzebiąc widelcem w swoim daniu.

– No cóż, wydaje mi się, że większość mężczyzn by tego nie zrobiła – dodał Ollie. – A w każdym razie ci, którzy nie są cesarzami i nie mają milionów rupii, żeby móc pozwolić sobie na coś takiego. – Roześmiał się.

Flic wydeła wargi.

– Nie, ale wy, mężczyźni, moglibyście czasem trochę się wysilić i zdobyć się na odrobinę romantyzmu w trochę oryginalniejszej wersji. Im mniej tandety, tym lepiej. Netflix i piwo raczej nie są kluczem do serca kobiety.

Liz lekko się zarumieniła.

– Zgadzam się, że coś takiego to lekka przesada, ale byłoby miło, gdyby mężczyźni, a w każdym razie mój były, przynajmniej się trochę starali. – Zamilkła na chwilę. – W zeszłym roku zapomniał o moich urodzinach.

Wszystkie kobiety z naszej grupy – włącznie ze mną – wydały stłumione okrzyki.

– Mój pamiętał o urodzinach, ale kupił mi z tej okazji niszcarkę do papieru – jęknęła Bex. – Nie ma nic bardziej romantycznego od artykułów biurowych.

– No cóż, może gdyby kobiety tak nie zrzedziły, dostawałyby atrakcyjniejsze prezenty – wtrącił Chris. Powiedział to takim tonem, jakby słowa Bex trafiły w jakiś czuły punkt. Może zdarzyło mu się kiedyś kupić kobiecie niszcarkę do papieru, która nie została należycie doceniona?

– Ja... ja nie zrzedziłam. – Liz zarumieniła się. Wydawała się potulna jak baranek i nie przypuszczałam, żeby zdarzyło jej się dominować w jakiegokolwiek relacji.

– Słuchajcie, jedzenie stygnie. – Staralam się zmienić temat, zanim Chris wpadnie na to, żeby pouczać Bex, w jaki sposób należy przyjmować od męża artykuły biurowe.

Postanowiłam dać reszcie dobry przykład i zanurzyłam łyżkę w porcji curry stojącej najbliżej mnie: był to jasnopomarańczowy, tłusty sos z grzybami. Włożyłam sobie jedzenie do ust, przełknęłam... i poczułam, że zaraz eksploduję. Drapało mnie w gardle, zaczęłam się krztusić i rozpaczliwie kaszleć. Chwyciłam szklanekę lassi i pociągnęłam duży łyk, mając nadzieję, że łagodny jogurt ugasi pożar w moich ustach.

– Wszystko okej, Louise? – zapytała Bex. Otworzyła butelkę wody mineralnej i szybko mi ją podała. Pokiwałam głową. Łzawiły mi oczy i zrobiłam się czerwona. – To była chyba porcja Nihala – zauważyła.

Ollie zachichotał, ale zaraz potem zamilkł, bo Liz zmarszczyła brwi i skarciła go wzrokiem. Poczułam ulgę dopiero wtedy, gdy opróżniłam całą butelkę.

– Uważajcie. To danie jest dość ostre – zażartowałam, sięgając po serwetkę. Nadal piekły mnie usta.

– Chris, może opowiesz nam coś o sobie? – zaproponowała Bex.

Chris odłożył sztucce. Zauważyłam, że prawie nic nie jadł i wybierał tylko dania wegetariańskie.

– Co chcesz wiedzieć?

– Skąd jesteś? – zapytała Bex, nie zrażając się jego znudzoną miną.

– Z Londynu.

– Ile masz lat?

– Trzydzieści cztery.



– Gdzie pracujesz?

– Jestem informatykiem.

Przykro się tego słuchało, ale Bex nie odpuszczała.

– Dlaczego wybrałaś akurat tę wycieczkę?

Chris lekko się wyprostował, oderwał kawałek placka naan i zaczął go niespiesznie przeżuwać. Bex uważnie mu się przyglądała, mrużąc brązowe oczy i czujnie mierząc go wzrokiem. W końcu odpowiedział:

– Ja... rozstałem się z dziewczyną w czasie Bożego Narodzenia i chciałem się gdzieś wyrwać – wyjąkał. Jego ziemiste policzki lekko się zarumieniły.

– Wspominałeś wcześniej o beznadziejnych prezentach, prawda? Święta to chyba jeden z najgorszych momentów na rozstanie – powiedział Ollie ze współczuciem. Chris pokiwał szybko głową i zajął się jedzeniem. – Zostać porzuconym w dniu urodzin... to też niezbyt przyjemnie – dodał Ollie.

– Albo w zimie, kiedy nikomu nie chce się nawet chodzić na randki, bo jest ciemno i ponuro – zauważyła Bex.

– To prawda. Chociaż lato to też nie najlepszy moment: wszyscy jeżdżą wtedy na festiwale albo spędzają fantastyczne wakacje z ukochanymi – dodała Flic.

Roześmiałam się.

– Wniosek jest jeden: nie ma dobrego czasu na rozstanie!

– Nihal, a ty masz dziewczynę? – zapytała nagle Liz. Słyszając to, prawie się udławiłam kawałkiem chlebka chapati. – Pewnie trudno sobie kogoś znaleźć w tym ogromnym kraju, prawda? Tak wielu ludzi, tak mało okazji do rozmowy...

– Nie, ja... – Nihal zamilkł. Wyglądało na to, że wściekłość już z niego wyparowała i wszedł znowu w fazę żaloby: łzy napłynęły mu do oczu, a broda zaczęła lekko drżeć.

– Dajcie spokój, on ma zbyt duże powodzenie, żeby przejmować się takimi sprawami. – Ollie pospieszył naszemu przewodnikowi na ratunek i poklepał go po ramieniu.

Nihal spuścił głowę. Po chwili wziął się w garść i klasnął w dłonie.

– No dobrze, skoro skończyliście już jeść, ruszajmy dalej – oznajmił.

Myślałam, że nagła decyzja o zakończeniu lunchu była związana z tą krępującą rozmową, ale kiedy podniosłam wzrok i podążyłam za spojrzeniem Nihala, dostrzegłam zbliżającą się w naszą stronę Ameerę.

Kiedy znalazła się blisko nas, zawołała do swojej grupy:

– Chodźcie, zmiana planów. Restauracja, w której mieliśmy zjeść, okazała się brudna i obskurna. Znajdziemy sobie jakieś lepsze miejsce. – Uniosła głowę i minęła nas szybkim krokiem. Jej podopieczni, ubrani w identyczne koszulki, uśmiechnęli się do nas przepraszająco.

– Tu nie jest brudno i obskurnie, prawda? – zapytała mnie Liz. Trzymała już w rękach małą buteleczkę środka dezynfekującego.

– Nie, absolutnie nie. Przychodzi tu mnóstwo miejscowych, a w przewodnikach zawsze piszą, że jeśli chcesz spróbować najbardziej autentycznych potraw, musisz iść tam, dokąd chodzą miejscowi. – Uśmiechnęłam się. Miałam nadzieję, że Nihal sprawdził wcześniej to miejsce i wiedział, co robi. Rozejrzałam się. Owszem, latało tu trochę much, a obsługujący nas facet z nadwagą nie był okazem zdrowia... ale nie warto się tym przejmować.

I w tym momencie jak na złość głośno zaburczało mi w brzuchu.

Och nie. Tylko nie to.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

### Niedyspozycja, czyli chwilowa dolegliwość

Reszta popołudnia okazała się prawdziwą katastrofą. Kiedy zdołaliśmy opuścić Tadż Mahal i przedarliśmy się przez kordon handlarzy i naganiaczy, którzy koniecznie chcieli zaciągnąć nas do cudownego sklepu swojego kuzyna/brata/przyjaciela, oferujących naprawdę „świetne ceny, świetne ceny!” – kiedy już uporaliśmy się z tym wszystkim, udało nam się dotrzeć do Czerwonego Fortu. Było to prawdziwe miasto w mieście. Imponujące. Otaczały je mury z czerwonego piaskowca, które wyraźnie odznaczały się na tle błękitnego nieba. Nie mogłam jednak oddać się zachwytowi, jaki z pewnością należał się tej zapierającej dech w piersiach budowli: pobiegłam jak strzała do najbliższej publicznej toalety – czyli cuchnącej dziury, gdzie roiło się od much i komarów.

Kiedy już stamtąd wyszłam, zaczęłam z całych sił wycierać o ziemię podeszwy swoich koszmarnie brzydkich, choć solidnych sportowych sandałów. Starłam się pozbyć tego, co zostawili w toalecie moi poprzednicy. Trzymając się za brzuch, rozejrzałam się wokół siebie. Miałam nadzieję, że zdołam znaleźć choć odrobinę cienia. Reszta wycieczki ruszyła do fortu, więc miałam trochę wolnego. Zamierzałam w tym czasie odpocząć i uzupełnić płyny. Opadłam na kamienną ławkę pod pobliskim drzewem i zaczęłam leniwie sączyć wodę, przeklinając w myślach Nihala, który postawił przy mnie swoje niewiarygodnie ostre curry, oraz Ameereę, której krytyczny komentarz zachęcił mój żołądek do nieplanowanej aktywności. W efekcie doświadczyłam czegoś, czego nie życzę najgorszemu wrogowi: biegunki podróży.

W oczekiwaniu na resztę grupy musiałam odgonić dwóch szczupłych, elegancko ubranych Hindusów, którzy chcieli mi pokazać sfatygowane próbki dywanów, oraz chmarę dzieci, które podbiegły, wyciągając ręce i prosząc o pieniądze. Było gorąco, krople potu spływały po moim czole. Liczyłam na to, że zwiedzanie Czerwonego Fortu nie potrwa zbyt długo – choć na myśl o drodze powrotnej miałam ochotę znowu pobiec do cuchnącej toalety i wymiotować.

Położyłam się na ławce, kompletnie wyczerpana. Po jakichś dziesięciu minutach usłyszałam kroki: podniosłam wzrok i zobaczyłam idącego w moją stronę Nihala. Był blady, a na jego twarzy malował się niepokój.

– Musimy wracać – powiedział szybko.

Ogarnęło mnie przerażenie. Czyżby po raz kolejny spotkali grupę Ameery? Zostawiłam ich samych na niespełna pół godziny i znowu coś się wydarzyło? Zamierzałam już o to zapytać, ale wtedy zobaczyłam idących chwiejnym krokiem

współtowarzyszy podróży... i wszystko stało się jasne. Wystarczyło spojrzeć na ich poszarzałe, wymizerowane twarze. Ich wygląd doskonale odzwierciedlał moje fatalne samopoczucie.

– Och nie. Czyli nie tylko ja...? – zapytałam.

Na twarzy uśmiechniętej zwykle Bex malował się grymas, Ollie trzymał się za brzuch, a Liz i Flic ciężko dyszały. Przypominali grupę zombie zaatakowanych przez jakieś niebezpieczne pasożyty. Wszyscy oprócz Chrisa.

– Chyba się czymś struliśmy. Hinduska, która oprowadzała drugą grupę, mówiła, że w tamtej restauracji jest brudno. – Bex złapała się za brzuch.

– Wszyscy się pochorowaliśmy – podsumowała Liz. Po jej czole spływały krople potu, a wilgotne kosmyki przylgnęły do skóry.

– Nie wszyscy – poprawił Chris. Nie byłam pewna, czy nam współczuje, czy raczej upaja się tym, że cała reszta zwija się z bólu. – Mówiłem wam przecież, żeby w takich miejscach trzymać się z daleka od mięsa i nabiału.

Chętnie przywaliłabym mu w twarz, ale w tym celu musiałabym podnieść rękę i się zamachnąć – a na to po prostu nie miałam siły.

– Och, no tak. Ja też nie czuję się zbyt dobrze – oznajmiłam.

Wyglądało na to, że oprócz Chrisa tylko Nihal wyszedł z tego obronną ręką. Czuł się świetnie: jego żołądek prawdopodobnie był odporny na lokalne szczepy bakterii. Patrzył na nas ze współczuciem połączonym z lekkim zakłopotaniem.

– Mamy jeszcze w planach zwiedzenie pobliskiego targu, ale... – Zamilkł na chwilę, przyglądając się naszym zmęczonym twarzom. – Możemy to sobie odpuścić i od razu wrócić do hotelu.

Wszyscy z zapałem pokiwali głowami – z wyjątkiem Chrisa. Nie krył niezadowolenia, choć przypuszczałam, że wcale nie marzył teraz o spacerze po rozgrzanym, dusznym targu. Po chwili podjechał nasz minibus. Zaopatrzyliśmy się w duże ilości wody mineralnej i chusteczek, a następnie ruszyliśmy w drogę powrotną do Delhi.

Wszystkim wybojom i zakrętom towarzyszyły okrzyki bólu moich współpasażerów. Próbowalam zasnąć, ale ani na chwilę nie przestawałam marzyć o toalecie. Do tego pięć osób z naszej grupy zmagало się teraz z ostrą niedyspozycją żołądkową, w związku z czym minibus zatrzymywał się co dwadzieścia minut: wyskakiwaliśmy na dwór, chwytaaliśmy rolki papieru toaletowego i pędziliśmy w przydrożne krzaki, po czym wracaliśmy chwiejnym krokiem do środka. Ta podróż ciągnęła się w nieskończoność. Nie pomagał nam też Chris, który otwierał kolejne paczki orzeszków i innych przekąsek. Zapach jedzenia sprawiał, że żołądek podchodził mi do gardła.

Kiedy dotarliśmy wreszcie do hotelu, wszyscy pobiegli do pokoiów. Rashid, który nie mógł wiedzieć, co się stało, patrzył na nas z niemalym przerażeniem. Czułam, że to wspólne cierpienie bardzo nas zbliżyło: do tej pory nikt z nas nie

zmagając się z biegunką w tak niesprzyjających warunkach. Jeszcze nigdy tak się nie cieszyłam, wkraczając do normalnej, czystej toalety – takiej, do jakich jesteśmy przyzwyczajeni na Zachodzie.

Po kolejnej bolesnej wizycie w ubikacji miałam już pewność, że oczyściłam cały organizm. Na szczęście Nihal zostawił nam pod drzwiami banany, butelki wody i saszetki z solami mineralnymi. Liczyłam na to, że uda mi się utrzymać je w żołądku na tyle długo, żeby zaczęły działać.

Opadłam na łóżko i zwinęłam się w kłębek. Marzyłam, żeby choć na chwilę przestać biegać do łazienki i klękać na chłodnych, twardych kafelkach. Miałam ochotę zadzwonić do Bena. Chciałam usłyszeć jego łagodny głos, chciałam, żeby dodał mi otuchy, zapewnił, że niedługo lepiej się poczuję i że to tylko indyjski obrzęd przejścia. Byłam ciekawa, co dzieje się w biurze i czy zdołał znaleźć kogoś na zastępstwo.

Z jednej strony tęskniłam za Benem, ale z drugiej nie mogłam złapać Wi-Fi, a nie miałam siły, żeby zwlec się z łóżka i ruszyć na dół w poszukiwaniu lepszego zasięgu. Opadłam bezwładnie na poduszkę. Czułam się jak więdnący w upale liść sałaty. Leżałam tak przez chwilę z zamkniętymi oczami, trzymając się za brzuch – do czasu, aż znowu zrobiło mi się niedobrze i musiałam po raz setny pójść do łazienki.

Dlaczego, do cholery, zdecydowałam się na tę podróż?!

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

### Zawiść, czyli silna, paląca zazdrość

Nazajutrz mieliśmy wolne. Chcieliśmy wykorzystać ten czas, żeby odpocząć i dojść do siebie, bo wszyscy – oczywiście z wyjątkiem Chrisa – byliśmy jeszcze osłabieni. Większą część dnia spędziłam w łóżku. Włączyłam klimatyzację i zwinęłam się w kłębek, jedząc od czasu do czasu suche tosty i popijając je wodą mineralną, którą przyniósł mi Rashid. Przez cały ten czas myślałam, jak fatalna okazała się do tej pory nasza wycieczka. Miałam nadzieję, że coś się wreszcie zmieni i że los się do nas uśmiechnie.

Nadal byłam zbyt osłabiona, żeby zejść na dół, a Wi-Fi w moim pokoju najwyraźniej postanowiło dać mi w kość równie mocno jak wczorajsze curry. Ponieważ jednak czułam, że muszę koniecznie usłyszeć głos Bena, postanowiłam zadzwonić do biura i nie myśleć o tym, ile zapłacę za połączenie.

– Halo? – odezwała się jakaś kobieta po czwartym sygnale.

– Cześć, Kel – powiedziałam. Tysiące razy prosiliśmy, żeby witała klientów słowami: „Dzień dobry, tu Biuro Podróży Samotnych Serc. Kelli przy telefonie, w czym mogę pomóc?”. Wiecznie o tym zapominała, ale tym razem postanowiłam to pominąć.

W słuchawce zapadła cisza.

– Kto mówi? – zapytała kobieta nieco sarkastycznym tonem. Na pewno nie była to Kelli. Czyżbym pomyliła numer. A może zatrucie pokarmowe odebrało mi rozum?

– Och, przepraszam. Czy to Biuro Podróży Samotnych Serc?

– Tak – odpowiedziała. Wydawała się znudzona i zmęczona.

– Przepraszam, a z kim mam przyjemność? – zapytałam, kompletnie zdezorientowana. Powoli traciłam cierpliwość.

– To nie pani interes – oznajmiła, po czym głośno ziewnęła.

– No cóż, tak się składa, że to jest mój interes. Jestem współwłaścicielką tego biura podróży. Georgia Green. Z kim, do cholery, rozmawiam?

Zapadła cisza. Wreszcie kobieta odezwała się ponownie, tym razem zupełnie innym tonem:

– Och, przepraszam, panno Green. To chyba jakieś zakłócenia na linii – oznajmiła ze spokojem, kłamiąc jak z nut. – Nazywam się Serena De Vere. W czym mogę pomóc?

– Hm, chciałabym porozmawiać z Benem. – Kim, do cholery, jest Serena De Vere i dlaczego odbiera telefon w naszym biurze?

– Ben! – zawołała takim tonem, jakby mój współnik właśnie doprowadził ją do orgazmu. – Zaraz podejdzie, panno Green. – Celowo podkreśliła słowo „panno”.

– Czy mogę w czymś jeszcze pomóc?

– Nie, proszę tylko zawołać Bena.

– Oczywiście. Miłego dnia – pożegnała się. Przekazała słuchawkę Benowi i zalotnie zachichotała. W słuchawce rozległ się jego śmiech.

– Cześć, Georgio! Co u ciebie? – W momencie gdy usłyszałam jego radosny głos, byłam pewna, że się uśmiecha. Nie byłam tylko pewna, czy cieszy się, bo mnie słyszy, czy chodzi raczej o bliskość seksownej laski.

Zależało mi na tym, żeby mój głos brzmiał możliwie beztrusko:

– Och, świetnie, świetnie. Dzwonię, żeby zapytać, jak wam idzie...

Ben nagle się roześmiał.

– Co cię tak rozbawiło? – zapytałam.

– Och, nic takiego. Przypomniało mi się coś, co Serena przed chwilą powiedziała – wyjaśnił.

– No właśnie, kim, do cholery, jest Serena?

– Ach, przepraszam, kompletnie zapomniałem! Serena przyszła do nas na zastępstwo.

Co? Przecież od naszej rozmowy minął dosłownie jeden dzień!

– Aha, okej. Szybko się uwinąłeś. – Starłam się ukryć swoje niezadowolenie. Przecież sama radziłam, żeby kogoś zatrudnić. Serena DeVere. Przypominając sobie to imię i nazwisko, a także lodowaty ton nowej pracownicy, natychmiast wyobraziłam sobie oszałamiającą, seksowną kocicę. Poczułam gwałtowny skurcz w żołądku. Od razu ją znienawidziłam. Wyjdzie za niego i urodzi mu piękne dzieci, zanim wydostaniesz się z pieprzonego Delhi i dowleciesz swój tłusty tyłek do domu – rozległ się ponury głos w mojej głowie.

– Wiem, to naprawdę dziwne. Wyobraź sobie, że zjawiała się w biurze dokładnie w chwili, w której się z tobą rozłączyłem. To chyba przeznaczenie. Dzięki temu nie musiałem prosić o pomoc w agencji pośrednictwa. – Roześmiał się. – Świetnie jej idzie i ma mnóstwo dobrych pomysłów. Spodoba ci się.

Miałam ochotę znowu pobiec do łazienki i zwymiotować.

– Świetnie. Po prostu świetnie – powiedziałam, zaciskając zęby.

Georgio, nie bądź zazdrosna. Może to jakaś zwyczajna, brzydka dziewczyna, która ma po prostu seksowny głos i egzotyczne imię i nazwisko? Może jest tak brzydka, że po przyjściu na świat wystraszyła wszystkie pielęgniarki, więc rodzice postanowili dać jej coś, dzięki czemu przetrwa w tym okrutnym świecie? Gdybyśmy pożegnali się z Benem w innych okolicznościach, pewnie nie miałabym takiej paranoi i nie bałabym się, że Miss Nowych Pomysłów wszystko między nami zepsuje. I co, myślisz, że wtedy odważyłabyś się wyznać, że go kochasz? Wyobraziłam sobie Shelley, która trzyma ręce na biodrach, wydyma usta i grozi mi

palcem, powtarzając po raz setny, żebym wreszcie powiedziała Benowi, jak bardzo mi na nim zależy. O właśnie: może powinnam wysłać Shelley do biura i poprosić, żeby sprawdziła, co się tam dzieje?

– Georgio? – Głos Bena wyrwał mnie z tych rozmyślań. – Słyszałaś, co mówiłem?

– Eee... Tak. Świetny pomysł – skłamałam.

Zapadła cisza.

– Świetny pomysł? Naprawdę? Wow, nie byłem pewien, jak zareagujesz, tym bardziej że jeszcze jej nawet nie poznałaś. Ale naprawdę myślę, że to nam dobrze zrobi, zwłaszcza teraz, kiedy biznes się rozkręca i mamy coraz więcej roboty.

Zaraz... O czym on mówi?

– Hm... – zaczęłam. Wstydziłam się przyznać, że go nie słuchałam i musiałam teraz brnąć dalej. Nie wiedziałam, o co chodzi, ale Ben wydawał się naprawdę podekscytowany.

– No cóż, w takim razie jak najszybciej przygotuję umowę.

Zaraz, jaką znowu umowę?

– Och, w porządku... Czy... czy ja też muszę ją podpisać? – zapytałam. Miałam nadzieję, że odpowiedź Bena pozwoli mi wydedukować, na co się właśnie zgodziłam.

– Nie, nie musisz. I tak za dużo na siebie bierzesz, a teraz jeszcze doszła ta sprawa wycieczki do Indii. Serena ma mnóstwo świetnych pomysłów i spróbujemy popracować nad rozkręceniem rynku azjatyckiego. Na razie dopiero się do tego przymierzamy, ale kiedy już zaczniesz u nas pracować na stałe, będziemy mogli poświęcić temu więcej czasu. – Ben wydawał się naprawdę zadowolony. Od dawna nie słyszałam w jego głosie takiego entuzjazmu.

– Na stałe? – powtórzyłam.

Przez ostatnie miesiące prawie nie wypłacaliśmy sobie pensji i oboje wypruwaliśmy sobie żyły, żeby w ciągu roku rozkręcić biznes. Nie wydawało mi się, żebyśmy mogli sobie pozwolić na dodatkowego pracownika. Serena miała nam pomóc tylko do mojego powrotu z Indii. Dlaczego Ben postanowił ją zatrudnić? Bo mu się podoba. Chciałby widywać ją codziennie – zasugerowała ciemna strona mojej podświadomości.

– Noooo... – Ben przybrał taki ton, jakby rozmawiał z trzylatką. – Przecież mówiliśmy przed chwilą o umowie.

– No cóż, może powinniśmy poczekać do mojego powrotu. Trochę lepiej ją poznam i...

– Nie, naprawdę uważam, że masz już za dużo na głowie. Ustalaliśmy, że będziemy sobie ufali, pamiętasz? Nie martw się, Georgio. Wszystko jest pod kontrolą. Skup się na sprawie Indii – oznajmił stanowczym, choć przyjaznym



tonem.

– Okej. – Musiałam udowodnić, że mu ufam i szanuję jego decyzję. Szkoda tylko, że mój mózg i serce podpowiadały coś zupełnie innego.

– A swoją drogą, jak ci idzie w Indiach? – zapytał.

Przypomniała mi się noc, którą spędziłam przy porcelanowym sedesie, i wieczór, podczas którego pokazałam piersi wszystkim gościom restauracji.

– Dobrze, dobrze.

– To świetnie. Mam nadzieję, że nieźle się bawisz. Zaslugujesz na to. Udało ci się ustalić, skąd się wzięła ta okropna recenzja?

– Tak. Ta recenzja to ściema.

– Ściema? Jak to?

– Była dziewczyna Nihala chciała się na nim zemścić. Tak to wygląda: przewodnik wycieczek dla ludzi ze złamanym sercem sam ma teraz złamane serce. A przynajmniej tak było do niedawna. Teraz chyba wzięła górę wściekłość.

– Hm, okej... – powiedział powoli Ben, tak jakby próbował przyswoić wszystko, czego dowiedział się przed chwilą. Nagle usłyszałam w słuchawce chichot. Teraz już wiedziałam, że nie jest to Kelli. – To dobra wiadomość prawda? Nie chodzi mi oczywiście o cierpienie Nihala, ale o to, że ta recenzja to stek bzdur.

– Tak, masz rację.

Przetarłam twarz. Nie mogłam się skoncentrować.

– Trochę się martwię – wyznałam. – Nie wiem, co jeszcze gotowa jest zrobić ta kobieta, żeby się na nim zemścić.

Rozległ się kolejny wybuch śmiechu.

– Słuchaj, muszę już kończyć. Robimy porządek z folderami reklamowymi.

– Niech zgadnę: to pomysł Sereny. – Biuro wygląda tak, jakby przetoczył się przez nie huragan, więc muszę to wszystko ogarnąć, zanim wyjdziemy.

– Okej – powiedziałam cicho.

– Widzę, że nad wszystkim panujesz. Trzymaj się i do usłyszenia niebawem – oznajmił, po czym się rozłączył. Nie zdążyłam się nawet pożegnać ani zapytać, dlaczego powiedział „wyjdziemy”, a nie „wyjdę”.

W pokoju zapadła cisza, a przez moją głowę zaczęły przewijać się obrazy oszałamiająco pięknej, szczupłej blondynki. Otaczała Bena opalonym ramieniem, zalotnie odchyłała głowę i chichotała po każdym jego słowie. Dotykała jego mięśni. Raz, drugi, trzeci... Za każdym razem jej dłoń pozostawała na ciele Bena nieco dłużej, aż w końcu ich spojrzenia się spotkały... potem pozostała im już tylko prosta droga do łóżka.

Zrobiło mi się niedobrze, więc zerwałam się na równe nogi i pobiegłam do łazienki.

W chwili gdy starając się nie patrzeć w lustro, wycierałam usta miękkim białym ręcznikiem, dotarło do mnie, że muszę wziąć się w garść. Postanowiłam

rozpocząć akcję, na którą decyduje się każda zazdrosna kobieta: włączyłam internet. Po wielu próbach udało mi się wreszcie połączyć z Wi-Fi: musiałam w tym celu wykonać akrobatyczną ewolucję i wychylić się przez okno pod dość niebezpiecznym kątem. Natychmiast rozpoczęłam poszukiwania w Google, ale jedyną Sereną DeVere, na jaką trafiłam, okazała się australijska surferka, która zmarła siedem lat temu. Na Facebooku nie znalazłam ani jednej osoby o tym nazwisku. Nic nie znalazłam też na Instagramie i Twitterze. Kto w XXI wieku nie korzysta z mediów społecznościowych? Musiałam przerwać poszukiwania, kiedy niechcący wsadziłam dłoń w rozmazane na parapecie ptasie odchody. Poszłam do łazienki i umyłam ręce, przez cały czas powtarzając sobie, że przesadzam i że nie ma powodu do obaw. Liczyłam na to, że jeśli powtórzę te słowa dostatecznie wiele razy, to uda mi się w to uwierzyć.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

### Nietowarzystwość, czyli niechęć do nawiązywania bliższych relacji

Najpierw uderzył mnie zapach. W zatłoczonej hali dworca unosiła się dziwna mieszanina potu, czosnku, krowiego łajna i kadzideł. Próbowałam oddychać przez usta, obawiając się, że w przeciwnym razie wymiotuję. Problem stanowił zresztą nie tylko koszmarny smród, który sprawiał, że nadwerężony ostatnimi czasy żołądek podchodził mi do gardła. Panował tam ścisk nie mniejszy od tego w londyńskim metrze w godzinach szczytu: ciało przy ciele, pot spływający po plecach i ludzie nieustannie kręcący głowami we wszystkie strony, żeby uniknąć kontaktu wzrokowego z nieznanymi. Witajcie na dworcu kolejowym w Delhi.

Próbowałam dodać otuchy pozostałym uczestnikom wycieczki. Chris bez przerwy się krzywił, czerwona Bex wytrwale się wachlowała, a Ollie przeglądał przewodnik, tak jakby próbował znaleźć na jego żółtych kartkach cenne rady, które pomogą mu poradzić sobie w takiej sytuacji. Czekaliśmy na pociąg do Bombaju. Podróż miała potrwać piętnaście godzin, które zamierzaliśmy spędzić w wygodnych prywatnych kuszetkach, podziwiając pola ryżowe i góry za oknem.

Patrząc na chmary ludzi, którzy zgromadzili się przy niewielkich kasach biletowych, poczułam ogromną ulgę na myśl o tym, że Nihal wszystkim się już zajął. Mijały nas rodziny tak obciążone, jakby niosły w plastikowych torbach cały swój dobytek. Spodziewałam się, że zobaczę tłumy pasażerów ściśniętych na dachach pociągów i wychylających się przez okna wagonów – ale jedynym zatłoczonym miejscem okazała się na razie dworcowa hala pełna ludzi, toreb oraz niezliczonych zwierząt i ptaków w dużych klatkach. Dzieci plątały się pod nogami, a ich rodzice przeciskali się w stronę peronów. Z głośników dochodziły kolejne komunikaty, które skutecznie powiększały panujący tam harmider.

– Okej, chodźcie tędy! – krzyknął Nihal, machając biletami. Zerkał z niepokojem na trzech otyłych mężczyzn, którzy nadal nie mogli mu darować, że wcisnął się przed nich do kolejki.

– Dziękuję Bogu. Chociaż może powinniśmy raczej dziękować Allahowi? – wymamrotał Chris. Przeciskając się za Nihalem, wpadł niechcący w pudło dojrzewających owoców mango, które jakaś bezzębna staruszka podsunęła mu pod nogi. W powietrzu rozszedł się ostry zapach owoców, a kobieta wyciągnęła rękę, żądając zapłaty. Chris się zaczerwienił, na jego twarzy pojawiła się mieszanina strachu i obrzydzenia. Ostatecznie postanowił zignorować kobietę.

Zamierzałam dać jej jakieś drobne, ale nie zdążyłam, bo Nihal dalej pędził

naprzód. Skutecznie przeciskał się przez tłum, uchylał się i skręcał jak bokser w ringu, wymijając kolejne osoby. Co pewien czas przystawał i czekał, aż go dogonimy.

– Chodźcie! Musimy się pospieszyć! – Symptomy paniki, które dało się wychwycić w jego głosie, stały się dla nas w pełni zrozumiałe, gdy uświadomiliśmy sobie, jak długi jest pociąg, w którym musimy odnaleźć nasze kuszetki. Puściliśmy się biegiem. Było gorąco, w powietrzu panowała nieznosna wilgoć, plecaki kołysały nam się na ramionach, a pot płynął po plecach.

Ściskający teczki mężczyźni w średnim wieku biegli po pustych torach, próbując przedostać się na odpowiednie perony. Ludzie gorączkowo wskakiwali do jadących pociągów. To wszystko wyglądało naprawdę strasznie. Nie opuszczało mnie przeświadczenie, że w tym chaosie obowiązują jakieś niepisane zasady, których należy za wszelką cenę przestrzegać, żeby nie wzbudzić w miejscowych agresji. W pewnej chwili zauważyłam dwóch bijących się mężczyzn: wisieli na drzwiach pociągu podmiejskiego, w którym na przestrzeni nie większej niż budka telefoniczna stłoczyło się około trzynastu osób. Cholera, co za koszmarny początek dnia pracy.

Przez okna wychylali się nastoletni chłopcy, którzy krzyczeli do innych pasażerów w nieznanym mi dialektach. Niektórzy posyłali nam niechętnie spojrzenia, a inni z podziwem obserwowali nasz sprint w duszącym upale.

– Daleko jeszcze? – jęknęła Bex. Jej obfite piersi podskakiwały przy każdym kroku.

– Jesteśmy! Wsiadajcie! – Nihal gwałtownie otworzył drzwi i szybko rozejrzał się po peronie, upewniając się, że nie zgubił po drodze żadnego z uczestników wycieczki.

Wspięliśmy się wszyscy po schodkach i wskoczyliśmy do wagonu. Dosłownie kilka sekund później konduktor zagwizdał, dając sygnał do odjazdu. Pociąg powoli ruszył.

Następna stacja: Bombaj!

Znaleźliśmy nasze kuszetki i wreszcie mogliśmy zdjąć plecaki. Przez stary, rozklekotany wagon prowadził wąski korytarz. Po obu jego stronach znajdowały się metalowe, piętrowe łóżka. Tłoczyli się tu mężczyźni i kobiety, nastolatki i małe dzieci, a niektóre posłania zajmowały całe rodziny. W pociągu było głośno, gorąco i duszno. Zamiast szyb umieszczono w oknach grube jasnyniebieskie pręty, które miały zapewniać wentylację. Wielkie metalowe wiatraki wiszące pod sufitem nic nie pomagały: wprawiały jedynie w ruch ciepłe powietrze.

– Okej, nie są to może luksusowe warunki, ale właśnie w takim pociągu można poznać prawdziwy smak podróży przez Indie. Czy wiedzieliście, że mamy trzecią największą sieć kolejową na świecie? – oznajmił Nihal z dumą, po czym wymamrotał coś pod nosem, kiedy jakiś tłusty Hindus o gęstych, kruczoczarnych

włosach zaczął przeciskać się obok niego. – W wagonach bywa dość tłoczno. Radzę wam przywiązać bagaże do siedzeń. I uważajcie, żeby nie rozrzucić wokół siebie jedzenia, bo myszy nie dadzą wam spokoju.

– Myszy? – Liz wzdrygnęła się i szybko uniosła nogi, niepewnie lustrując poplamioną podłogę.

– Tak. Ale wbrew pozorom są całkiem miłe – zapewnił Nihal. – Ułóżcie się wygodnie, czeka nas długa podróż. Bawcie się dobrze!

Staralam się zapomnieć o tym, że mogłam dzielić łóżko z małym gryzoniem przypominającym szefa kuchni z filmu *Ratatuj*. Rozejrzałam się po wagonie, ciekawa, co robią pozostali pasażerowie. Na sąsiedniej kuszetce zauważyłam dwoje młodych Hindusów. Dziewczyna siedziała wyprostowana, opuściwszy smukłe nogi, a pogrążony we śnie chłopak leżał z głową na jej kolanach. Delikatnie gładziła jego gęste czarne włosy, a w drugiej ręce trzymała książkę. Uśmiechnęłam się na ich widok. Dawniej, kiedy postanowiliśmy z Benem założyć Biuro Podróży Samotnych Serc, marzyłam, że będziemy kiedyś podróżowali w egzotyczne miejsca, obejmując się i wspólnie wszystkiego doświadczając – tak jak ta para. Nie zdawałam sobie sprawy, że dyskutując o podróżach każdego dnia w pracy, sami przestaniemy dokądkolwiek jeździć. Dosłownie i w przenośni. Nagle dziewczyna zauważyła, że się na nich gapię, i posłała mi niechętnie spojrzenie. Zarumieniłam się i odwróciłam wzrok.

Pozostawało mi wyglądanie przez okno albo wpatrywanie się w stopy starszego mężczyzny, który zajmował kuszetkę naprzeciw mnie. Miał na nogach gumowe sandały pokryte szarym, zaschniętym błotem. Na widok jego brudnych, zaniedbanych paznokci zrobiło mi się niedobrze. Postanowiłam skupić się na widokach za oknem. Mijaliśmy właśnie opuszczone, zrujnowane ceglane domy. Bawiła się przy nich grupka sześciorga dzieci, które urządziły sobie mecz krykieta. Kiedy najstarszy z chłopców spudłował, wspiał się na stos rupieci, sięgnął po piłkę, a potem radośnie zamachał w stronę pędzącego pociągu. Jego koledzy wybuchnęli śmiechem.

Widoki okazały się dużo atrakcyjniejsze od tych, na które można zwykle liczyć podczas podróży po Anglii. Za oknem bez przerwy się coś działo. Dzieci grały w różne gry, rodziny tłoczyły się na ceglanych murkach, czekając, aż przejedzie pociąg, a stada kóz i białych wychudzonych krów krążyły bez celu w pobliżu torów, skubiąc i cierpliwie przeżuując kępki suchej trawy.

Z tych rozmyślań wyrwał mnie głos Olliego:

– Wszystko okej, Louise? – zapytał. Od przyjazdu do Indii na jego nosie pojawiły się dziesiątki nowych piegów, a zielone oczy wydawały się teraz żywsze i pełne blasku.

– Tak, w porządku. A u ciebie?

– Na szczęście jest już lepiej niż parę dni temu. Dawno się tak nie strułem.

– Ach, to chyba taki tutejszy obrzęd przejścia. – Uśmiechnęłam się.

Miał w sobie coś, co natychmiast poprawiało mi humor. Nie wiedziałam, czy chodzi o jego pogodne usposobienie, szczerzy uśmiech – czy o to, że naprawdę interesował się moim samopoczuciem, zamiast na siłę podtrzymać rozmowę. Po pewnym czasie zaczął opowiadać o jednym ze swoich kumpli, niejakim Twardym Samie, który chciał zaimponować dziewczynie w lokalnym pubie. Postanowił położyć się na barowych stołkach i podnosić ciężary, a skończyło się to tak, że trafił na pogotowie.

Słuchałam go jednym uchem, jednocześnie rozmyślając o Benie. Musiałam wreszcie pogodzić się z tym, że po prostu nie zostaniemy parą. Skoro nie stało się to do dziś, to prawdopodobnie nie ma już na co liczyć. Benowi bardzo zależało na moim wyjeździe do Indii, wielokrotnie nalegał, żebyśmy „zrobili sobie przerwę” – poczułam bolesny skurcz w żołądku, kiedy przypominałam sobie jego słowa. Na domiar złego wykorzystał pierwszą nadarżającą się okazję, żeby zatrudnić atrakcyjną dziewczynę. Stało się jasne, że widział we mnie wyłącznie koleżankę z pracy. Nic ponad to. Musiałam wreszcie zapomnieć o Tajlandii: to był zwykły wakacyjny flirt. Przecież nawet się wtedy nie całowaliśmy.

Spojrzałam z sympatią na Olliego, który rozbawił się własną opowieścią. Wydawał się naprawdę uroczy... a ja od tak dawna nie uprawiałam seksu. Marie ostrzegła mnie kiedyś, żebym uważała, bo to, co długo nieużywane, zawsze w końcu zarasta. Nie byłam pewna, czy żartowała. Ollie miał w sobie coś, jakiś wyjątkowy, szelmowski urok. Uwielbiał rozśmieszać ludzi, naprawdę go lubiłam. Niech Ben weźmie sobie Serenę, a ja wezmę Olliego. I po sprawie.

– Wszystko okej, Louise? – zapytał Ollie. – Masz dziwną minę. Czyżby cuchnęły mi stopy? Zmagam się z grzybicą, a w takiej wilgoci sytuacja może się pogarszać... – wyznał z zakłopotaniem. Zaczął się schylać, próbując powąchać sobie nogi. Czar prysł w jednej chwili. Nie mogłam oszukać własnego serca i wmówić sobie, że podoba mi się ktoś inny niż Ben. A zwłaszcza chłopak z grzybicą stóp, nawet najbardziej uroczy.

Roześmiałam się.

– Nie, przepraszam. Błądziłam gdzieś myślami.

Ollie pokiwał głową i wyjął z plecaka pogniecioną książkę. Zanim wziął się do lektury, jeszcze raz powąchał swoje stopy.

– Czaj, czaj, garam czaj.

Dzięki duchocie panującej w pociągu i delikatnemu, rytmicznemu kołysaniu, udało mi się w końcu zasnąć. Ze snu wyrwało mnie uporczywe nawoływanie. Przewróciłam się na drugi bok i zobaczyłam chudego sprzedawcę herbaty. Zatrzymał się przy mnie i wyciągnął rękę.

– Czaj. Chce pani czaj? – zapytał.

Potrząsnęłam głową. Nihal ostrzegwał nas przed toaletami w indyjskich

pociągach, a ja wolałam odwlekać chwilę, w której będę musiała sprawdzić ich stan.

– Tylko trzy rupie – naciskał.

– Nie, dziękuję – odpowiedziałam uprzejmie.

Wymamrotał coś w hindi, po czym ruszył przed siebie. Jego tubalny głos jeszcze przez dłuższy czas odbijał się od metalowych ścian.

– Nie lubisz czaju? – zapytał siedzący naprzeciw mnie elegancki mężczyzna w okularach. Miał gęstą, lekko posiwiałą brodę.

– Och nie, bardzo lubię. Po prostu nie mam teraz ochoty.

– No cóż, chłopak będzie chodził po pociągu przez całą podróż – oznajmił mężczyzna. – Skąd jesteś?

– Z Manchesteru. Z Anglii – odpowiedziałam.

– Czym się zajmujesz? Studiujesz? Ludzie powinni studiować i uczyć się nowych rzeczy.

– Nie, nie studiuję. Ja... – Zamierałam już powiedzieć, że prowadzę własny biznes, ale na szczęście w porę ugryzłam się w język i przypomniałam sobie o swoim alter ego. – Jestem fryzjerką.

Zdążyłam już wcześniej zauważyć, że miejscowi bardzo interesują się obcokrajowcami. Zrozumiałam też szybko, że długa podróż pociągiem, podczas której absolutnie nie ma dokąd uciec, to dla nich doskonała okazja do pogawędek. Nie zdawałam sobie tylko sprawy, że „pogawędka” może oznaczać odpowiadanie na dziesiątki pytań wścibskiego Hindusa z dziwnym tikiem nerwowym. Kiedy po raz trzeci potwierdziłam, że nie mam męża i że mój ojciec zdążył już przejść na emeryturę, powoli zaczęłam tracić serce do tej dziedziny dyplomacji, jaką są stosunki międzynarodowe.

– Przepraszam, ale chciałabym się teraz zdrzemnąć – powiedziałam w końcu ze skrucą w głosie.

Brodaty mężczyzna pokiwał głową i zaczął mi się uważnie przyglądać, jakby próbował rozstrzygnąć, czy mówię prawdę. Lekko się uśmiechnęłam, odwróciłam głowę do ściany i zamknęłam oczy, a on nadal paplał. Twierdził, że dziewczyna w moim wieku nie powinnam być samotna. Nagle zatęskniłam za domem. Miałam wrażenie, że Indie mnie przerosły. Ogarnęło mnie potworne zmęczenie. Bez przerwy chodziłam spocona i brudna, bez przerwy musiałam udawać, że świetnie się bawię, i bez przerwy dbałam o pozostałych uczestników wycieczki, choć przecież nie na tym polegało moje zadanie. Nie mogłam już znieść spojrzeń nieznanym, którzy gapili się na mnie bez cienia zażenowania. Próbowałam zasnąć, ale w wagonie panował zbyt duży zgiełk. Było gorąco, pot lał się ze mnie strumieniami i coraz bardziej chciało mi się pić.

Nie radziłam sobie też z biedą, która w Indiach wydawała się wszechobecna: obserwowałam niekończące się przepychanki sprzedawców i riksarzy, zebrzące na

ulicach dzieci i bezdomne psy, które krążyły wśród stert śmieci i szukały czegoś do jedzenia. Ten kraj doprowadzał mnie do łez. Byłam wyczerpana, marzyłam o tym, żeby wreszcie odpocząć od smaku curry i obskurnych publicznych toalet. A przede wszystkim chciałam przestać skupiać się na wiecznym kontrolowaniu każdego szczegółu. Nie tylko w Indiach. W domu też.

Ogarnęła mnie czarna rozpacz. Zaczęłam cicho płakać w poduszkę. Wróciłam z Tajlandii pełna entuzjazmu i determinacji: zamierzałam założyć własny biznes i pomagać innym zagubionym podróżnikom. Ale czy komukolwiek udało mi się pomóc? Odepchnęłam od siebie rodzinę i przyjaciół, próbowałam samotnie podbić świat. Nie zdawałam sobie sprawy, do jakiego stopnia rozstanie z Alexem pozbawiło mnie odwagi i wiary w ludzi. Ze strachu zamknęłam się w sobie. Czy właśnie o to chodziło? Czy nie chciałam się zbliżyć do Bena, bo bałam się, że skrzywdzi mnie tak, jak zrobił to Alex?

Zrozumiałam, że podświadomie zbudowałam wokół siebie twardą skorupę i nie dopuszczałam do głosu własnych uczuć. Nikomu nie ufaj. Zrób to sama. Potrząsnęłam głową, rozbawiona własną głupotą. Co za brednie. Nie potrafiłam niczego zrobić sama. Biznes kwitł – ale kosztem mojego życia towarzyskiego, relacji z bliskimi i zdrowia. Zbyt wiele wzięłam na własne barki i powoli zaczynało mnie to przerastać. Postanowiłam wybrać się w samotną podróż do słynących ze skrajności Indii, zdecydowałam się wsiąść na emocjonalną karuzelę, którą oferowały one wszystkim przybyszom... Czyste szaleństwo.

Otarłam oczy, próbując zagłuszyć głos, który odezwał się nagle w mojej głowie. Głos Trishy. Przypomniałam sobie jej ostrzeżenia. Mówiła, że Indie zmieniają człowieka w coś na kształt gumki recepturki: rozciągają cię do granic możliwości, do momentu, w którym myślisz, że zaraz pęknie – i nagle puszczają, a ty przyjmujesz taką postać, o jakiej od zawsze marzyłaś. Wydawało mi się, że dotarłam właśnie do punktu krytycznego.

– Dzień dobry, jak się pani miewa? – Jakaś szczupła ręka szturchnęła mnie w nogę. Odwróciłam się z niezadowoleniem i zobaczyłam szeroko uśmiechniętego nastolatka z tacą herbaty. – Napije się pani czaju?

Przez zaciśnięte zęby warknęłam, żeby spieprzał. Chłopak skinął głową i poszedł obudzić kolejnego pasażera.

– Można odnieść wrażenie, że wyczuwają słabość. Są jak stado sępów, które opadają wycieńczoną ofiarę – powiedziała cicho młoda kobieta trzymająca na rękach niemowlę. Miała miękki, śpiewny akcent i posłała mi ciepły uśmiech.

Przewróciłam oczami.

– Właśnie tak się czuję – potwierdziłam bez chwili wahania.

– Widzą kolor twojej skóry i uznają cię za łatwy łup – wyjaśniła, odgarniając włosy z twarzy. – No cóż, w Bombaju jest sto razy gorzej. Przekonasz się. Ale pamiętaj, że oni próbują po prostu zarobić na życie.



Pokiwałam głową. Czułam się okropnie i żałowałam, że zwróciłam się w ten sposób do tamtego chłopca. Ogarnęły mnie wyrzuty sumienia. Przecież on tylko wykonuje swoją pracę. Postanowiłam, że kiedy będzie mnie znowu mijał, kupię od niego cały dzbanek herbaty.

– Wiem. – Westchnęłam. – Po prostu trudno być uprzejmym w takich warunkach. Jest cholernie gorąco i próbuję spać, choć średnio mi to wychodzi. Co innego, gdyby sprzedawali lody! – Uśmiechnęłam się.

Młoda matka delikatnie ułożyła dziecko obok siebie i włożyła rękę do dużej plastikowej torby. Po chwili wyjęła dwie białe gruszki o dziwnych kształtach i wręczyła mi jedną z nich.

– Proszę. Co prawda to nie lody, ale przynajmniej trochę się dzięki temu orzeźwisz.

Potrząsnęłam głową.

– Nie trzeba. Dziękuję, ale naprawdę nie trzeba.

– Nie martw się, są czyste – zapewniła, lekko się rumieniąc.

– Och nie, nie to miałam na myśli. – Poczułam, że i ja robię się czerwona. – Chodziło mi po prostu o to, że musisz nakarmić dziecko. Niedługo pójdę po coś do wagonu restauracyjnego.

Wepchnęła mi dziwny owoc do rąk.

– W pociągu nie ma wagonu restauracyjnego, a jeśli nie zamierzasz pić herbaty, to do końca podróży niczego już nie kupisz. Weź to, zrobisz mi przyjemność.

Przyjęłam podarunek i z wdzięcznością skinęłam głową.

– Dziękuję. – W jej orzechowych oczach pojawiła się radość. – A co to właściwie jest?

– Kawalek nieba w rozgrzanym pociągu. – Odchyliła głowę i cicho się zaśmiała. – To czapetka, nazywana też jabłkiem woskowym. Jest owocem sezonowym, więc ciesz się nią, póki możesz. – Wbiła zęby w miękką skórkę, a ja poszłam za jej przykładem.

Właśnie tego potrzebowałam: owoc okazał się kruchy i chrupiący jak jabłko, a do tego chłodny i nieco słodkawy. Szczodrość tej kobiety zrobiła na mnie ogromne wrażenie. Nieznajoma, przyjazna młoda matka, nie miała nic, a mimo to dała mi wszystko. Mogłam się od niej wiele nauczyć. Uśmiechnęłam się w duchu, przypominając sobie słowa Trishy: może moja gumka wcale nie pękła, tylko rozciągnęła się i teraz stopniowo nabierała kształtu.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

### Prostolinijność, czyli absolutna szczerłość i otwartość

Po piętnastu długich godzinach nasz pociąg dotarł wreszcie na miejsce, a pasażerowie zaczęli zbierać bagaże i rozprostowywać kości. Założyliśmy ciężkie plecaki i cierpliwie czekaliśmy w kolejce do wyjścia.

Pomachałam na pożegnanie mężczyźnie, któremu opowiedziałam całe swoje życie, i miłej młodej matce, która podzieliła się ze mną jedzeniem, po czym ruszyłam w ślad za pozostałymi uczestnikami wycieczki. Na dworcu roiło się jak w ulu. Otaczały nas tłumy, a fala pasażerów uniosła nas ze sobą. Było gorąco i duszno.

Na szczęście czekał na nas minibus. Kierowca – otyły mężczyzna z podkreconymi do góry wąsami i zwiotczalym papierosem w ustach – wziął od nas bagaże, ułożył je na dachu i związał liną.

– Czy to jest bezpieczne? – zapytała Liz z niepokojem.

Podniosłam wzrok i spojrzałam na postrzępione liny. Też się nad tym zastanawiałam.

– No cóż, jeśli spadnie mój plecak, jakiś nieszczęśnik przejmie moją torbę z brudną bielizną. – Bex roześmiała się i poklepała Liz po plecach. – Przestań się zamartwiać.

Liz pokiwała głową i po raz ostatni zerknęła na dach, po czym wsiadła do minibusu. Usiadła obok Olliego, a kiedy ich łokcie zetknęły się na lepkiej poręczy, oboje zrobili się purpurowi.

Nihal zatrzasnął drzwi i wskoczył na przednie siedzenie. Po chwili odwrócił się w naszą stronę i oznajmił:

– No dobrze, udało się. Pojedziemy teraz do hotelu. Będziecie mieli czas, żeby się rozpakować i wziąć prysznic. – W minibusie rozległy się oklaski. – Tak, doskonale czuję, jak bardzo tego potrzebujecie. – Mrugnął do nas. – Za kilka godzin spotkamy się i ruszymy dalej. Nie martwcie się, tym razem czeka nas krótka podróż promem. Zapewniam, że wyspa Elefanta jest tego warta.

Dotarliśmy do hotelu, a ja wzięłam długi prysznic. Jeszcze nigdy nie czułam się taka czysta i świeża. Brud, pot i wszystkie stresy towarzyszące podróży pociągiem spłynęły ze mnie do zardzewiałego odpływu.

Wkrótce znowu znaleźliśmy się w minibusie i ruszyliśmy w kierunku słynnej Bramy Indii. Przemierzaliśmy szerokie, ruchliwe aleje tętniącej życiem metropolii pełnej drapaczy chmur, w których odbijały się promienie słońca. Okazało się, że niemilknący dźwięk klaksonów na ulicach nie jest zarezerwowany tylko dla Delhi:

tutejsi kierowcy zachowywali się dokładnie tak samo. Strużki potu spływały mi po ramionach, a pod wpływem niezdolnej duchoty moje włosy zaczęły się kręcić. Serce waliło mi jak oszalałe.

Po drodze Nihal opowiadał nam o Bombaju, mieście, do którego przyjeżdżają ambitni Hindusi marzący o fortunie i sukcesie. Patrząc na górujące nad miastem wieżowce, wyobrażałam sobie miejscowych miliarderów, świętujących swoje sukcesy w koktajlbarach z widokiem na slumsy, które rozciągały się u ich stóp. Mijaliśmy budynki w stylu kolonialnym. Miały w sobie coś dekadentckiego, ale nietrudno też było zauważyć, że czasy ich świetności dawno przeminęły. Mimo to nadawały temu zwariowanemu, pełnemu chaosu miastu trochę przepychu – przepychu, który już przybladł pod naporem współczesności. Kręciło mi się w głowie od tych kontrastów. Pomiedzy drapaczami chmur widziałam na ulicach skulone, defekujące dzieci oraz żebraków z amputowanymi kończynami i otwartymi ranami, którzy leżeli na stertach śmieci.

W końcu dotarliśmy do Bramy Indii, jednej z największych atrakcji turystycznych miasta: wysokiego betonowego łuku górującego nad nabrzeżem. Nihal przeprowadził nas z autobusu na pokład niedużego, starego promu. Wszyscy byli wyczerpani długą podróżą pociągiem i szaloną atmosferą Bombaju, więc szliśmy za nim w milczeniu. Wydawało się, że Nihal trzyma się swojego planu i próbuje nie myśleć o rozstaniu z Ameerą. Dzięki temu mogłam bez wyrzutów sumienia powierzyć mu całkowitą odpowiedzialność za tę wycieczkę. Grał pierwsze skrzypce. Wydawał się skupiony na swoim zadaniu i z entuzjazmem opowiadał nam o historii Bombaju. Wreszcie poznałam człowieka, którego zatrudniłam. Wykonywał swoją pracę z prawdziwą pasją. Z mojego wyjazdu do Indii wyniknęło jednak coś pozytywnego: Nihal starał się zapomnieć o byłej dziewczynie.

Miasto powoli zniknęło na horyzoncie, a my unosiliśmy się na brązowych falach, zmierzając ku tajemniczej Elefancie. Flic zrobiła się nagle bladozielona i zaczęła mocno ścisnąć brzeg czerwonej, lśniącej ławki, na której siedzieliśmy.

– Wszystko w porządku? – zapytałam, kiedy rozpaczliwie zacisnęła powieki.

– Myślisz, że niedługo dotrzemy na miejsce? – jęknęła. Ciężko oddychała i bez przerwy przelatywała ślinę.

– Hm... chyba widzę coś na horyzoncie. Niedługo powinniśmy dopłynąć – odpowiedziałam. Moim oczom ukazała się zielona, pagórkowata wyspa i długa kamienna przystań. – Masz chorobę morską?

Flic pokiwała głową. Ścisnęła ławkę tak mocno, że aż zbieleły jej palce. Ledwo powstrzymałam śmiech. Ta nieustraszona podróżniczka, bez chwili wytchnienia przemierzająca cały świat, źle znosiła spokojny rejs promem płynącym jakieś osiem kilometrów na godzinę? Nie chciałam z niej kpić, więc delikatnie pogładziłam jej mokrą od potu, szczupłą rękę, wprawiając przy tym

w ruch niezliczone bransoletki.

– Spróbuj pomyśleć o czymś innym. Może opowiesz mi o swojej rodzinie? – zaproponowałam. Miałam nadzieję, że dzięki temu przestanie się skupiać na podróży promem i zapomni o kołysaniu fal.

Przełknęła ślinę i pokiwała głową. Wpatrując się w toczącą się po pokładzie butelkę wody, Flic powiedziała:

– Moja mama jest psychologiem, a tata chirurgiem. – Powoli wydeła wargi.  
– A dwie starsze siostry pracują w londyńskim City: Harriet jest inwestorką, a Mimi spekulantem giełdowym.

– Wow. Masz dobre geny! – uśmiechnęłam się.

Flic skrzywiła się.

– Rodzice uważają, że wszystkie dobre geny przypadły w udziale moim siostram, a dla mnie zostały same spadki.

Ups.

– Na pewno tak nie myślą. – Delikatnie pogłaskałam ją po plecach.

Spojrzała na mnie ze smutkiem. Miała łzy w oczach i ciekło jej z nosa.

– Louise, nie znasz moich rodziców. Jestem dla nich wielkim rozczarowaniem. Niezależnie od tego, co zrobię, nigdy nie dorównam siostram.

– Na pewno kochają cię równie mocno. A jak przyjęli twoją podróż do Indii? Taka decyzja wymaga przecież dużej odwagi, prawda?

– Oni nie rozumieją takich rzeczy. Mama uważa, że przechodzę przez jakąś absurdalną fazę, a taty to kompletnie nie interesuje. Niezależnie od tego, jak niesamowite miejsca odwiedzam i na jak długo wyjeżdżam, oni nawet nie zauważają, że mnie nie ma.

Pomyślałam, że Flic rozczarowała się nie tylko polityką brytyjską – ale przede wszystkim polityką rodzinną.

Zamierzałam ją pocieszyć, jednak w tej samej chwili minął nas duży statek towarowy. Fale zakołysały promem, a Flic chwyciła się za brzuch, zerwała z ławki, przechyliła przez reling i zwymiotowała do mulistej wody.

Zbliżaliśmy się do wyspy, a ja dostrzegłam na brzegu elegancko ubranego mężczyznę, który do nas machał. Przyjrzałam mu się uważniej. Poczułam się tak, jak czuje się człowiek, który zbiegając po schodach, pomija przez nieuwagę ostatni stopień. Nagle zrozumiałam, skąd to *déjà vu*. Poznałam już wcześniej tego człowieka.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

### Amator, czyli ktoś, kto poświęca pewnym rzeczom wyjątkowo dużo uwagi

Nasz prom zbliżał się do brzegu, a postać uśmiechniętego mężczyzny stawała się coraz lepiej widoczna. Wyglądał tak, jakby odbierał rodzinę z lotniska. Przypomniałam sobie, gdzie widziałam te gęste, czarne włosy i piękne oliwkowe oczy. Stał przede mną pewny siebie, arogancki Hindus, którego poznałam w biurze wizowym w Manchesterze. Miał na imię Radż albo Rahul, nie pamiętałam dokładnie. Co on tu, do cholery, robi i dlaczego do nas macha? Rozejrzałam się, szukając Nihala, on jednak rozmawiał akurat z marynarzami. Uznałam, że nie ma powodów do paniki: nawet jeżeli Mister India rzeczywiście wyszedł nam na spotkanie, to pewnie mnie nie pamięta. Mimo to zrobiło mi się gorąco na myśl o tym, że zna moje imię i może ujawnić moją prawdziwą tożsamość.

Niechętnie ruszyłam za resztą grupy, która zaczęła schodzić na brzeg. Liczyłam na to, że ukryję się za szerokimi plecami Olliego. Wymizerowana Flic niemal ucałowała ziemię z radości, a Chris pospiesznie wyciągnął aparat.

Wbiłam wzrok w ziemię i ruszyłam w stronę brzegu. Byłam tak skupiona na własnych butach, że nagle na kogoś wpadłam. Ten ktoś chwycił mnie za ramię i złapał w ostatniej chwili, ratując mnie przed upadkiem do mulistej wody. Co prawda, groziła mi co najwyżej kąpiel w brudnej wodzie, ale i tak krzyknęłam z przerażenia i z całych sił wczepiłam się w nieznanego.

– Mam cię – odezwał się głęboki męski głos z silnym manchesterskim akcentem. Nieznajomy chwycił mnie nieco mocniej i przyciągnął do siebie.

No tak. Oczywiście to właśnie on musiał mnie uratować. Podniosłam wzrok, czując na sobie spojrzenia pozostałych uczestników wycieczki. Wymamrotałam coś, przeprosiłam i otrzepałam się, myśląc jednocześnie o tym, jak śliskie musiały być moje pokryte kremem przeciwśłonecznym i potem ramiona. Super.

– Dziękuję – wymamrotałam.

– Georgia?

A jednak mnie pamiętał.

Czułam, że się rumienię, ale postanowiłam udawać zaskoczoną. Reszta grupy nadal gapiała się na mnie i na tego przystojnego, uśmiechniętego faceta, który przywitał się ze mną jak z odnalezioną po latach przyjaciółką.

– Georgia, prawda? – zapytał raz jeszcze. – Rahul. Pamiętasz mnie?

– Przykro mi, ale chyba mnie z kimś pomyliłeś – wymamrotałam. Nie podałam mu ręki i miałam nadzieję, że nie zrobiłam się jeszcze bardziej czerwona.

– Poznaliśmy się w Manchesterze, pamiętasz? W urzędzie wizowym –

powiedział. Tym razem wydawał się nieco mniej pewny siebie.

Potrząsnęłam głową.

– Nie, przykro mi, to nie byłam ja. – Nerwowo się zaśmiałam.

Rahul wolno pokiwał głową.

– Och, rozumiem. Przepraszam. – Przeczesał palcami gęste włosy i lekko się uśmiechnął. – Jesteś po prostu bardzo podobna do dziewczyny, którą niedawno poznałem.

Z promu wysiadł wreszcie Nihal, który wyratował mnie z opresji.

– To mój przyjaciel Rahul. – Poklepał przystojniaka po plecach i zwrócił się do grupy: – Poznaliśmy się kilka lat temu. Rahul zgodził się oprowadzić nas po wyspie. Mamy szczęście, bo urodził się na Elefancie i zna tu każdy kąt.

Rahul zerknął na mnie po raz ostatni, po czym uśmiechnął się do pozostałych uczestników.

– Przeprowadziłem się do Anglii jako nastolatek, stąd mój akcent. Mimo to regularnie odwiedzam rodzinę. Kiedy tylko mam czas, oprowadzam po wyspie wycieczki. Czy wszyscy już są? – zapytał, unikając mojego wzroku. Obawiałam się, że moi towarzysze mogą zacząć się zastanawiać, dlaczego Rahul z takim przekonaniem zapewniał, że musieliśmy się już wcześniej spotkać. Ale niepotrzebnie się niepokoiłam. Wszyscy skupili się na przystojnym Hindusie i natychmiast o mnie zapomnieli. Liz bez przerwy kiwała głową i posyłała mu gorące spojrzenia, a Ollie natychmiast zaczął niechętnie na niego łypać. – Świetnie, w takim razie możemy zaczynać.

Ruszyliśmy za Rahulem. Mijaliśmy rzędy straganów rozstawionych wzdłuż nabrzeża, na których sprzedawano małe, rzeźbione figurki i kolorowe sari.

– Tutejsze świątynie wzniesiono między 450 a 750 rokiem naszej ery. Wyspa nazywa się Elefanta, ale nie dlatego, że żyją tu słonie. Portugalczycy odkryli przy brzegu przedstawiającą słonia rzeźbę, która pękła, kiedy próbowali ją przetransportować – wyjaśnił.

– Czyli nie ma tu słoni? Co za oszustwo. – Bex skrzyżowała ręce na piersi i prychnęła.

– Nazwa wyspy jest trochę myląca, ale wierzcie mi: to miejsce ma do zaoferowania dużo więcej niż tylko ssaki z trąbami.

Korony drzew nad naszymi głowami nagle zaszeleściły, a po gałęziach przemknęły niewielkie brązowe małpki. Jedna z nich zamachała długim, kręconym ogonem tuż przy oku Olliego.

– Aha, zapomniałem was uprzedzić, że choć nie spotkacie tu słoni, małp mamy pod dostatkiem – dodał Rahul, szeroko się uśmiechając.

– Och, małpy na wolności. Cudownie! – zawołała Flic, przypatrując się zwierzętom. Nie była już zielona, a jej policzki zdążyły się nawet zaróżowić. Zastanawiałam się, czy to nie jest zasługa przystojnego przewodnika.

– Wyglądają niewinnie, ale nie dawajcie im jedzenia, bo i tak mają królewskie życie – ostrzegł Rahul. – I uważajcie, są naprawdę sprawnymi złodziejami.

– Hej! – zawołał nagle Chris. Jedną ręką trzymał się za głowę, a drugą próbował pochwycić małpę, która porwała mu kapelusz. Wydała przy tym taki odgłos, jakby z niego drwiła, po czym pomknęła po gałęziach, trzymając zdobycz w zębach. – Hej! Oddawaj to! – wrzasnął Chris.

Rahul się roześmiał.

– Chyba już go nie odzyskasz, przyjacielu. – Poklepał Chrisa po plecach. – Nie martw się, kupisz sobie nowy.

Pozostałe małpy siedziały na żelaznych poręczach, pijąc colę, którą ukradły turystom. Wydawały się szczerze rozbawione sceną, która rozegrała się przed chwilą. Chris spojrzał na nie z wściekłością i pogroził im pięścią. Ruszyliśmy dalej, mijając mangowce i tamaryndowce, a Chris nadal mamrotał coś pod nosem, rozglądając się za złodziejem. W końcu dotarliśmy do wykutego w skale wejścia jak z filmów o Jamesie Bondzie. Cztery kamienne kolumny zdawały się podtrzymywać całą wyspę.

– O rany. To niesamowite – wyszeptał Ollie, patrząc z podziwem na wydrążoną górę.

Cofnęłam się o kilka kroków, chłonąc ten majestatyczny widok. Rahul nie krył dumy – i miał powody. Weszliśmy do świątyni. W środku panował cudowny chłód, a w słabo oświetlonej pieczarze znajdowały się ogromne, wykute w kamieniu posągi, które zdawały się unosić w górze i nad wszystkim czuwać.

– Są trochę jak ochroniarze Śiwy. – Rahul wskazał kamienne postaci, po czym opowiedział nam w skrócie historię wyspy i samych posągów, powstałych w piątym wieku. Wędrowaliśmy tunelami wykutymi w skale, a po pewnym czasie dotarliśmy do kolejnej jaskini, dużo większej od poprzedniej. Na wszystkich jej ścianach wyryto sceny z hinduskiej mitologii. Zauważyłam, że Rahul nagle zamilkł i wspólnie z Nihalem pochylili głowy.

Tuż obok nas, za czerwoną wstęgą, znajdowała się największa rzeźba, jaką kiedykolwiek widziałam. Z wysokiej łupkowej ściany wyłaniała się postać trójgłowego mężczyzny. Miał zamknięte oczy i uśmiech podobny do Mona Lisy.

– Możecie sobie wyobrazić, jak wiele godzin poświęcono na wykucie w skale misternych motywów, na które teraz patrzycie – powiedział Rahul, wskazując jasnoszarą powierzchnię.

– Wydaje się taki spokojny... Spójrzcie, ma zamknięte oczy. Wygląda, jakby się modlił albo medytował – zauważyła Liz, dotykając ust smukłym palcem.

– Zaraz, zaraz. Chyba już wiem, gdzie jesteśmy i kogo przedstawia ta rzeźba! – zawołała podekscytowana Flic. Wszyscy odwrócili się w jej stronę. Zauważyłam, jak Ollie i Bex przewracają oczami, tak jakby chcieli powiedzieć: No

tak, oczywiście, że ona to wie. – To Śiwa, jeden z hinduskich bogów.

Rahul rozpromienił się.

– Zgadza się.

Flic dodała z dumą:

– Jest patronem joginów. Kłaniamy mu się przed każdymi zajęciami. To naprawdę działa: zawsze idealnie mi wychodzi pozycja psa głową w dół.

– Hm, niezupełnie. Wydaje mi się, że nie do końca rozumiesz potęgę Śiwy. – Rahul odchrząknął i pochylił się w naszą stronę, tak jakby zamierzał nam zdradzić jakąś wielką tajemnicę. Zdażyłam się już przestać obawiać, że wyjawi grupie moją prawdziwą tożsamość i zamiast tego skupiłam się na tym, jak wiele wiedział i z jaką pasją o tym mówił. I jeszcze cholernie ładnie pachniał. – Śiwę uważa się za boga wszechprzenikającego, ale również groźnego. – Podszedł do czerwonej aksamitnej wstęgi i wyciągnął rękę w górę. – Spójrzcie. Czy widzicie trzecie oko na środku jego czoła? – Przytaknęliśmy. – Dzięki temu wiecznie wszystko obserwuje. Zauważcie też, że z jego głowy wypływa rzeka Ganges.

– Pewnie trudno utrzymywać takie włosy w czystości. – Bex się roześmiała, ale błyskawicznie zamilkła, kiedy Rahul posłał jej karcące spojrzenie.

– Wokół szyi Śiwy wije się wąż Wasuki, który symbolizuje władzę nad śmiercią i trucizną. Niektórzy uważają Śiwę za boga joginów ze względu na jego samokontrolę i to, że często przedstawia się go w charakterystycznej pozycji, podczas medytacji. – Zerknął na Flic, która nadal dąsała się po tym, jak ją poprawił. – Ale jest czymś więcej. Postrzega się go jako niszczyciela świata.

Liz wydała stłumiony okrzyk.

– Co? Czyli modlicie się do jakiegoś kolesia z rzeką spływającą z głowy i prosicie, żeby zniszczył świat? – Ollie potrząsnął głową, wyraźnie zdezorientowany.

– Nie – odpowiedział łagodnie Rahul. – Źle mnie zrozumieliście. Śiwa jest uważany za niszczyciela, boga niosącego unicestwienie, ponieważ może wprowadzać zmiany, skłaniać nas do porzucenia szkodliwych przyzwyczajzeń i nawyków. – Spojrzał na nas z powagą. – Potrafi też świetnie słuchać i doradzać w sprawach sercowych. Sami wiecie: każdy ma jakieś stare, toksyczne relacje, które musi usunąć ze swojego życia, żeby iść dalej.

– I dlatego nas tu przyprowadziłeś? Żebyśmy mogli pozbyć się negatywnej energii i zapomnieć o nieudanych, rozbitych związkach? – zapytała powoli Bex.

Rahul pokiwał głową.

– Właśnie. Zerwijcie więzy i idźcie dalej. – Odchrząknął. – Wszystko, co ma początek, ma też swój koniec. Nie warto się tego bać. Lepiej się tym delektować. Macie przed sobą na tyle krótkie życie, że powinniście wykorzystać każdą daną wam sekundę. Nie marnujcie cennego czasu i energii na rozpamiętywanie przeszłości i zadręczanie się wyrzutami sumienia.



O rany. Był naprawdę dobry. Odwróciłam się i zauważyłam, że podczas tej pełnej pasji przemowy Nihal trochę się od nas oddalił.

Rahul zwrócił się do mnie:

– Nie martw się. Niektórym po prostu trudno słuchać takich rzeczy. Ale w końcu dotrze do nich, że to jedyna droga, jaka im pozostała. – Odchrząknął i spojrzał mi w oczy. – Nie chodzi tu wyłącznie o relacje z innymi ludźmi. Te zasady można też zastosować do pozostałych obszarów naszego życia, na przykład sfery zawodowej. Przydadzą się, jeśli macie na przykład stresującą pracę, która zaczyna was przytłaczać. Śiwa pozwoli wam rozpoznać sytuację, w której się znaleźliście. Wiecie, jak to jest, kiedy szczegóły zaczynają przesłaniać wam istotę rzeczy? – Mimowolnie pokiwałam głową. Bez przerwy się tak czułam. – No cóż, Śiwa posłuży wam za przewodnika. Pomaga porzucić wszystko, co ogranicza nas na tym świecie.

– Więc chcesz, żebyśmy rozmawiali z jakimś kolesiem wykutym w skale? – zapytała sceptycznie Bex.

Rahul się roześmiał.

– Jeżeli tak się to ujmie, to rzeczywiście może dziwnie zabrzmieć.

– Uważam, że to wspaniały pomysł! – zawołała z zachwytem Flic.

– No jasne, nie dziwię się. – Bex przewróciła oczami. – To przecież twoja bajka, bez przerwy opowiadasz jakieś idiotyczne, hipisowskie brednie. Dzieci kwiaty i tak dalej.

– Przynajmniej w coś wierzę, mówię własnym głosem i nie podążam bezrefleksyjnie za stadem baranów – odpowiedziała ostro Flic.

– Drogie panie, pamiętajcie, gdzie jesteście. – Rahul stanął między nimi i rozłożył ramiona, przepaszając pozostałych turystów zwiedzających świątynię. – Dajmy temu spokój i ruszajmy dalej. Mam dla was niespodziankę.

Flic wymamrotała, że niektórzy ludzie boją się myśleć samodzielnie i próbować nowych rzeczy, ale zamilkła, kiedy Bex warknęła na nią w odpowiedzi. Najwyraźniej obawiała się, że gdyby doszło między nimi do przepychanki, Bex jednym ruchem złamałaby ją wpół.

Ruszyliśmy przed siebie krętą ścieżką i wkrótce znaleźliśmy się na zewnątrz. Natychmiast oślepiło nas słońce, a my instynktownie zmrużyliśmy oczy. Rahul prowadził nas przez gęste zarośla i co pewien czas przypominał, żebyśmy patrzyli pod nogi. W końcu się zatrzymaliśmy. Naszym oczom ukazała się kolejna ogromna świątynia. Na długich, wysokich stopniach prowadzących do jej wejścia siedziało trzech półnagich mężczyzn. Wpatrywali się w nas z uwagą.

– Dobrze, podejdźcie bliżej. – Rahul przywołał nas skinieniem. – Zdażyliście już pewnie zauważyć, że nie jesteście sami. – Mężczyźni siedzieli ze skrzyżowanymi nogami, mieli na biodrach cienkie żółte przepaski. Długie siwe włosy spływały im na ramiona, a pomarszczone, ogorzałe twarze wydawały się

nieobecne.

– Ci asceci nazywani są *sadhu*. Wybrali życie poza społeczeństwem, koncentrują się na wędrówce duchowej i trzymają się z daleka od codzienności, pełnej nowinek technicznych, McDonalda i iPhone'ów. Mieszkają w jaskiniach, lasach i świątyniach takich jak ta.

– Podróżowaliśmy kiedyś po Indiach z moim przyjacielem Gilesem, który przez pewien czas pracował w kolonii trędowatych – oznajmiła Flic, odgarniając włosy z twarzy. – W każdym razie spędził trochę czasu u boku jednego z takich *sadhu*, bo chciał się czegoś nauczyć. Ale podobno to stek bzdur, a ci asceci bez przerwy palą trawę i śpią.

– Wydawałoby się, że taki styl życia będzie dla ciebie idealny – zażartowała Bex. Flic pokazała jej język.

Rahul lekko się skrzywił.

– Wydaje mi się, że ludzie ich nie rozumieją. *Sadhu* są jak chmury, wiecznie się przemieszczają.

– Wędrowni asceci – dodał Chris, kiwając głową.

Spojrzałam na mężczyzn, pogrążonych w modlitwie, której słów nie byłam w stanie zrozumieć.

– Odmawiają mantry – wyjaśnił Rahul. – Skoro już tu jesteśmy, chciałbym, żeby każdy z was wymyślił mantrę dla osoby, która siedzi obok niego.

Flic zwróciła się w moją stronę i złożyła dłonie.

– Louise, twoja mantra powinna brzmieć następująco: Przestanę być wiecznie spięta i sztywne – oznajmiła.

– Nie jestem spięta!

Nie zważając na moje protesty, Rahul uniósł rękę.

– Louise, teraz powinnaś dopuścić innych do głosu i wsłuchać się w ich słowa. Czasem ludzie wokół nas widzą więcej niż my sami.

Prychnęłam i odwróciłam się plecami do Flic. Ponieważ przysłała moja kolej, a siedziałam obok Chrisa, powiedziałam:

– Hm... Wydaje mi się, że twoja mantra powinna brzmieć w ten sposób: Zapomnij wreszcie o tym kapeluszu.

Rahul po raz kolejny skarcił mnie wzrokiem.

– Proszę, spróbuj potraktować to poważnie.

– Traktuję to poważnie... – zaprotestowałam, ale zamilkłam, kiedy zdałam sobie sprawę, że pozostali naprawdę rozważają w skupieniu swoje pomysły. Nabrałam powietrza. – No dobrze. Chris, twoja mantra to: Będę się bardziej angażował.

Chris nie odezwał się ani słowem. Pokiwał tylko głową i odwrócił się do Liz, która siedziała obok niego ze skrzyżowanymi nogami. Kiedy skończyliśmy, Rahul klasnął w dłonie, prosząc nas o uwagę.

– Dobra robota. A teraz chciałbym, żebyście po kolei podeszli do *sadhu* i trzykrotnie powtórzyli im swoją mantrę.

Ogarnął mnie niepokój, ale podniosłam się i ruszyłam za pozostałymi uczestnikami wycieczki. Stałam w kolejce i przyglądałam się, jak Ollie uklęknął przy półnagich mędrkach, a następnie wypowiedział mantrę, którą wymyśliła mu Bex – coś w stylu, żeby być śmiałym i odważnym. Mędrzy z powagą pokiwali głowami, a Ollie wstał, odwrócił się do nas i z zadowoleniem uniósł kciuk w górę. Następnie podbiegł do czekającego w pobliżu Rahula.

Kiedy nadeszła moja kolej, przyklęknęłam przy mędrkach. Żwir wbijał mi się w kolano, a ja zaczęłam powtarzać mantrę, którą przygotowała dla mnie Flic. Dwóch *sadhu* pokiwało głowami. Zamierzałam już wstać, myśląc, że trzeci zdążył w tym czasie zasnąć, on jednak chwycił mnie nagle za rękę i zaczął wodzić sękatym, brudnym palcem po mojej dłoni. Długi, zakrzywiony paznokieć sunął po mojej skórze.

Krzyknęłam ze zdziwienia. Nasze spojrzenia się spotkały, a on utkwiał we mnie brązowe, zażawione oczy. Czułam, że reszta grupy przygląda się tej scenie z zapartym tchem. *Sadhu* powoli pokiwał głową, po czym splunął na ziemię tuż przy moich stopach. Na jego ustach i brodzie osadziły się resztki wilgotnego, przeżutego czerwonego tytoniu. Cofnęłam rękę i pobiegłam do pozostałych uczestników, którzy pokładali się ze śmiechu.

– Co to, do cholery, miało znaczyć? – zapytałam Flic.

Zamiast oznajmić, że ten gest ma bardzo złożoną symbolikę, wruszyła po prostu ramionami i oznajmiła:

– Wygląda na to, że musiał po prostu odkrztusić trochę flegmy.

Wow. To tyle, jeśli chodzi o duchowe przeżycia.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

### Gwiazda, czyli ktoś znany i podziwiany za swoje sukcesy

Zgodnie z programem wycieczki, cały następny dzień mieliśmy spędzić na plaży. Na samą myśl o tym, że czekało nas wylegiwanie się na drobnym, jasnym piasku, ogarniała mnie cudowna błogość. Niestety, Nihal nie uprzedził nas, że plaża w Bombaju należy do tych najbardziej zanieczyszczonych w skali świata. Wokół nas wznosiły się dźwigi, sterty rupieci i place budowy, a woda była brudna i mulista. Życie codzienne w Bombaju wydawało się ograniczone do maleńkich, ciasnych przestrzeni – a plaża nie stanowiła pod tym względem wyjątku. Wzdłuż nabrzeża ciągnęły się prowizoryczne stragany. Roilo się tu od handlarzy, którzy próbowali wcisnąć nam swoje towary. Rozejrzałam się wokół: nad wodą zalegała gęsta mgła, zamiast zapachu kokosowego olejku do opalania w powietrzu unosiły się głównie spaliny, a brązowe fale zdecydowanie nie zachęcały do kąpieli. Czułam, że zaraz się rozpłaczę.

– No cóż, nie nazwałabym tego rajską plażą – prychnęła Bex, odganiając komara.

– Zwykle niebo jest tu piękne i błękitne. – Nihal najwyraźniej wyczuł, że nastrój uczestników wycieczki opadł jak placek chapati i postanowił wcisnąć nam kit. – Prawda, Rahul?

Przystojny Rahul również tego dnia do nas dołączył. Musiałam przyznać, że uśmiechnęłam się, kiedy pojawił się w hotelowej recepcji.

– Tak, na pewno niedługo się przejaśni – oznajmił z przekonaniem. Był jedną z najbardziej optymistycznych i pozytywnie nastawionych osób, jakie kiedykolwiek poznałam. Może zbyt wiele czasu spędził w towarzystwie *sadhu*? – Chodźcie za mną, kawałek dalej jest trochę ładniej i spokojniej, znajdziemy tam jakieś miejsce. – Ruszył przed siebie, a my powlekliśmy się za nim, starając się omijać obgryzione kości kurczaków i puszki coli.

– Co tam się dzieje?! – zawołał Ollie, wskazując bardziej oddaloną część plaży.

Pod marniejącymi palmami zebrał się tłum ludzi. Nihal ruszył przodem, żeby sprawdzić, co się stało. Kiedy dotarł na miejsce, na jego twarzy pojawił się pierwszy szeroki i pełen radości uśmiech, jaki widziałam, odkąd się poznaliśmy. Złożył dłonie i klasnął, przywołując nas do siebie.

– Chodźcie zobaczyć! – zawołał z podekscytowaniem. – Mnóstwo indyjskich filmów kręci się w Bombaju. W Bollywoodzie produkujemy ponad dziewięćset filmów rocznie. – Zaczął wymieniać kolejne popularne tytuły, do

których zdjęcia kręcono w tym mieście. Nikt z nas o nich nie słyszał, choć Flic udawała, że zna wszystkie. – Bollywoodzkie kino to mieszanka śpiewu, tańca, przystojnych mężczyzn i pięknych kobiet, którzy się kochają, ale z jakiegoś powodu nie mogą być razem. – Mówiąc to, spuścił wzrok, a ja wiedziałam, że pomyślał o Ameerze. – Macie szczęście, bo jedna z tych produkcji powstaje właśnie tutaj, na naszych oczach! – Zachowywał się jak podekscytowane dziecko, które rozpakowuje prezenty w czasie świąt Bożego Narodzenia. Zareagowałabym w podobny sposób, gdyby Beyoncé śpiewała jeden ze swoich hitów kilka metrów ode mnie.

– Ekstra! – zawołała Bex, przepychając się obok Chrisa i próbując coś zobaczyć.

Kiedy wyjrzałam zza jej pleców, moim oczom ukazały się dziesiątki kamer i mikrofonów, a za nimi kobiety ubrane w przepiękne sari we wszystkich kolorach tęczy. Kamienie szlachetne, które zdobiły miękki, falujący i szeleszczący na wietrze materiał, migotały w promieniach słońca. Słyszając podekscytowane szepty gapiów zgromadzonych na plaży, natychmiast pomyślałam o Marie. Ogarnął mnie smutek, kiedy dotarło do mnie, jak beznadziejną jestem przyjaciółką. Byłaby przeszczęśliwa, gdyby mogła widzieć to wszystko na własne oczy. Nie odzywałyśmy się do siebie od czasu tamtego przypadkowego spotkania w pubie. Postanowiłam, że pogodzę się z nią zaraz po powrocie. To był jeden z priorytetów na mojej liście spraw do załatwienia.

Nihal zaczął przeciskać się przez tłum, wypatrując głównego aktora. Kilka metrów od brzegu oceanu stał zaaferowany reżyser, który wrzeszczał coś do megafonu, posługując się mieszanką hindi i angielskiego. Po chwili do naszej grupy podbiegł jakiś młody, szczupły chłopak.

– Witajcie! – zawołał, ocierając czoło. – Brakuje nam statystów. Czy byłaby szansa, żebyście nam pomogli i zagrali w filmie? – zapytał, odwracając się i zerkając nerwowo na wściekłego reżysera.

– Jasne, że tak! – krzyknęła Bex tak głośno, że prawie popękały mi bębni, a młody chłopak podskoczył ze strachu. Dopiero po chwili uśmiechnął się z wyraźną ulgą.

– To cudownie. – Obrócił się na pięcie i zamierzał już pobiec do reżysera, ale zatrzymałam go i zapytałam z niepokojem:

– Chwileczkę, a co musimy robić?

– To bardzo proste. Potrzebujemy ludzi z Zachodu, bo to doda filmowi klasy i wyjątkowości. Musicie tylko stanąć za plecami głównych bohaterów i tańczyć tak, jakbyście byli w klubie na plaży. Oni są zakochani i wyrażają uczucia poprzez taniec – wyjaśnił. W tej samej chwili reżyser zaczął krzyczeć coś do megafonu, a jego młody asystent zadrżał. – Bardzo was proszę. Zgódźcie się. Naprawdę nam pomożecie. Grupa turystów, którą wcześniej wybraliśmy, w ogóle się nie zjawiała.

– Oczywiście, że wam pomożemy. Prawda? – Ollie rzucił nam pytające spojrzenie, a my pokiwaliliśmy głowami.

– Dziękuję. W takim razie chodźcie szybko ze mną. – Asystent zaczął przeciskać się przez tłum. Ruszyli za nim wszyscy oprócz Chrisa.

– A ty nie idziesz? – zapytałam.

Potrząsnął głową.

– Nie, ja chyba... porobię trochę zdjęć, dobra? – Wyraźnie dał do zrozumienia, że nie zamierza w tym uczestniczyć. Nigdy nie chciał pozować do zdjęć, za to chętnie pełnił funkcję fotografa.

– Jak wolisz – powiedziałam i dołączyłam do pozostałych.

Zaprowadzono nas do białej furgonetki. Drzwi były otwarte, w środku leżały duże, rozpadające się walizki, w których grzebała właśnie jakaś Hinduska z ogromnym kokiem. Miałam nadzieję, że Bex nie zauważyła, jak kobieta zmierzyła ją wzrokiem i cmoknęła z niezadowoleniem, widząc jej krągłe kształty.

Hinduska kazała nam wsiąść do furgonetki, wcisnęła każdemu płachtę jaskrawoczerwonego i niebieskiego materiału, po czym kazała nam się przebrać. Ollie został wysłany do drugiej furgonetki, przeznaczonej dla mężczyzn. To miejsce w niczym nie przypominało przyczep z hollywoodzkich planów filmowych.

– O rany, ta sukienka strasznie cuchnie. Nie wiem, czy kiedykolwiek ją prano – mruknęła Liz, krzywiąc się z obrzydzeniem.

Nagle rozległo się głośne stukanie do drzwi, a my podskoczyłyśmy ze strachu.

– Proszę się pospieszyć!

Spojrzałyśmy na siebie, z trudem powstrzymałam śmiech. Ubrano nas w cuchnące stęchlizną sukienki uszyte z szorstkiego, nieprzyjemnego materiału. Co gorsza, nie dostałyśmy odpowiednich rozmiarów: sukienka Bex opinała się we wszystkich niewłaściwych miejscach, a Liz wyglądała tak, jakby włożyła na siebie gigantyczne prześcieradło.

– Myślałam, że mamy wyglądać jak imprezowiczki bawiące się na plaży. Zamiast tego przypominamy pacjentki, które uciekły z psychiatryka i napadły na sklep z używaną odzieżą – westchnęła Bex.

– Dobra, zobaczymy, w co ubrali Olliego – powiedziałam, chichocząc.

Okazało się, że on nie miał więcej szczęścia. Jego jaskrawoczerwona, poliestrowa koszula nieprzyzwoicie się opinała, złote guziki wpijały mu się w ciało – przynajmniej te, które udało się zapiąć – a szyję zdobił ciężki łańcuch. Wcisnął się w lycrowe dzwony, w których jego tyłek rzeczywiście dobrze wyglądał, ale z przodu nie pozostawiały wiele miejsca wyobraźni. Wszystko było widać już na pierwszy rzut oka. Nie żeby mi to przeszkadzało.

– Hurra! – Bex klasnęła z entuzjazmem, a policzki Olliego zrobiły się równie

czerwone, co jego koszula. – Niech żyją lata siedemdziesiąte!

Ollie potrząsnął głową.

– W co my się, do cholery, wpakowaliśmy?

Nie usłyszałam jego dalszych słów, bo w naszą stronę ruszyła grupa hałaśliwych turystów, którzy wołali coś z podekscytowaniem i wskazywali nas palcami.

– O Boże, patrzcie. To ci idioci, których spotkaliśmy pod Tadź Mahal – zauważyła Bex.

Odwróciłam się i zobaczyłam przed sobą Ameerę. Musiała wykraść plan podróży, nad którym tak ciężko pracowałam. Indie są zbyt dużym krajem, żeby w grę wchodziło tak wiele przypadkowych spotkań.

– Hej, na co się gapisz?! – krzyknęła Bex do niskiego Chińczyka z drugiej grupy, który patrzył pożądliwie na jej piersi.

Ameera odrzuciła do tyłu lśniące włosy. Przez chwilę wyglądała na zmieszaną, ale szybko wzięła się w garść i spojrzała na nas ze złością.

– To my mieliśmy zagrać w tym filmie. Na waszym miejscu poszłabym się przebrać – oznajmiła tonem nieznoszącym sprzeciwu. Miała idealny angielski akcent.

Dopiero wtedy dotarło do mnie, że to właśnie oni są grupą turystów, o których wspomniał asystent reżysera. To oni mieli włożyć te niewygodne kostiumy.

– Spóźniliście się. Poprosili, żebyśmy zajęli wasze miejsce – oznajmiłam, choć nie miałam szczególnej ochoty na konfrontacje w tym groteskowym stroju. Wiedziałam, że nic, co powiem, nie zabrzmie poważnie, dopóki będę ubrana w coś, co zostało uszyte z tego ohydneho łatwopalnego materiału.

– No cóż, już jesteśmy. Więc możecie iść się przebrać.

– Nie ma mowy. Nie zamierzam stracić takiej szansy. – Bex skrzyżowała ręce na piersi.

– My też nie zamierzamy – oznajmił chudy mężczyzna z grupy Ameery. Miał silny niemiecki akcent.

Bex podeszła do niego i przyjęła bojową pozę, choć sięgała mu do ramion.

– Spadajcie i znajdźcie sobie inny bollywoodzki film. – Liz szybko stanęła przed nią, na wypadek gdyby Bex postanowiła rzucić się na mężczyznę.

To wszystko zaczynało przypominać jakąś żalostną parodię *West Side Story*. Nagle doskoczył do nas Nihal, jego mina wskazywała, że naprawdę jest wściekły; mógł w każdej chwili wybuchnąć.

– Ameera – warknął, rzucając gniewne spojrzenie byłej dziewczynie. W jego głosie pobrzmiwało wszystko, czego sobie nie powiedzieli.

Asystent reżysera, który zaproponował nam udział w filmie, ruszył w naszą stronę. Myślałam, że skomentuje jakoś stroje, w które zostaliśmy przebrani,

zauważy, że wielkie piersi Bex mogą się lada chwila uwolnić, albo odniesie się do konfliktu z drugą grupą – on jednak głęboko westchnął i powiedział:

– Bardzo mi przykro, ale musicie się przebrać.

– Co? Nie chcę zmieniać stroju. To wszystko ich wina – zaprotestowała Bex.

– My byliśmy tu pierwsi! – wrzasnął chudy Niemiec.

Asystent uniósł ręce, a potem zaczął ich rozdzielać.

– Nie, nie. Przepraszam, ale nie będziemy dziś nic kręcili. Zdjęcia zostały odwołane, więc nikt nie weźmie udziału w filmie.

– Odwołane? Ale dlaczego? – zapytałam.

Marie opowiadała mi trochę o produkcji filmów i przypuszczałam, że niezależnie od budżetu przygotowanie planu zdjęciowego jest bardzo kosztowne.

Asystent odpędził muchę. Latały wokół nas chmary owadów, które najwyraźniej wzięły cuchnące jaskrawe stroje za tropikalne kwiaty.

– Nasi główni aktorzy się rozchorowali.

– I nikt nie może ich zastąpić? – zapytała Flic.

Asystent pokręcił głową.

– To ostatnia scena, która została do nakręcenia. Bohaterowie zdają sobie sprawę, że nadal się kochają. To kluczowy moment filmu, więc jeśli nie znajdziemy ich klonów, nie możemy dziś kręcić.

Bex, Liz i Ollie ruszyli do furgonetki, mrużąc coś pod nosem. Grupa Ameery zaczęła narzekać, że to wszystko nasza wina, a Nihal wyglądał tak, jakby miał się zaraz rozpłakać. Tak bardzo się cieszył, że spotka swoją ukochaną bollywoodzką gwiazdę... Asystent reżysera miał właśnie dołączyć do reszty zirytowanego tym zamieszaniem zespołu, kiedy delikatnie złapałam go za ramię.

– Chwileczkę. Mam pewien pomysł.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

### Harmonia, czyli zgoda i błogi spokój

Nie musiałam się szczególnie napracować. Wszyscy łatwo dali się przekonać: obie grupy marzyły o tym, żeby zagrać w filmie, zestresowany asystent wyglądał tak, jakby chciał jak najszybciej się z tym uporać i iść do domu, a reżyserowi zależało na skończeniu swojego arcydzieła. Nie chciałam zawieść nowych kolegów, a poza tym widziałam, że Nihal i Ameera marzą, by wcielić się w głównych bohaterów bollywoodzkiej superprodukcji. Niestety, wiązało się to ze wspólnym odegraniem sceny miłosnej. Kiedy zasugerowałam, żeby zastąpili chorych aktorów, asystent wyglądał tak, jakby zamierzał mnie pocałować – i natychmiast popędził do reżysera, żeby przekazać mu tę propozycję. Gruby, szorstki mężczyzna odwrócił się, spojrzał na piękną Ameereę i lekko skinął głową.

A więc kręciliśmy dalej.

– Ale my w ogóle nie jesteśmy do nich podobni – zaprotestowała Ameera, unikając wzroku Nihala.

– Tak się składa, że bardzo przypominasz główną bohaterkę. Będzie jeszcze lepiej, kiedy dadzą ci kostium, zrobią odpowiednią fryzurę i makijaż – powiedział asystent reżysera. Ameera natychmiast się zarumieniła. – A ciebie – zwrócił się do Nihala – odpowiednio ucharakteryzujemy. Będiesz ranny po tym, jak bohaterko broniłeś ukochanej. Dzięki temu nikt niczego nie zauważy. A poza tym będziemy kręcili z daleka, więc możemy później wmontować w te kadry zbliżenia twarzy prawdziwych aktorów.

– Czyli wszystko ustalone? – zapytałam.

Asystent reżysera westchnął.

– Jedyne problem polega na tym, że mamy za mało kostiumów dla wszystkich statystów. Planowaliśmy, że będzie was dwa razy mniej.

Nie zamierzałam odpuścić, nie chciałam też przegrać kolejnej bitwy z grupą Ameery, więc szybko rozejrzałam się po plaży, szukając inspiracji.

– Chusty – zasugerowała nagle Liz. Wskazała krążącą nieopodal handlarkę, która niosła ciężki kosz i próbowała wciskać swój towar nielicznym plażowiczom.

Asystent wzruszył ramionami.

– Czemu nie...

Flic natychmiast podbiegła do kobiety, która szeroko wybałuszyła oczy, przeczuwając, że zaraz sprzeda wszystkie chusty. Po chwili Flic ruszyła w naszą stronę, obładowana jaskrawymi tkaninami, które rozdała obu grupom.

– Może zdołasz wbić się w tę sukienkę, chyba będzie na ciebie dobra –

zwróciła się do cichej kobiety z kręconymi włosami. – A reszta niech bierze chusty. Zakładamy je tak jak sari?

Asystent przetłumaczył jej słowa reżyserowi, który pokiwał głową i uniósł kciuk w górę.

– Dzięki Bogu. Myślałam, że uduszę się w tej sukience – westchnęła z ulgą Bex, sięgając po zielonkawą chustę.

Zrzuciłyśmy z siebie niewygodne stroje i owinęłyśmy się miękkimi, satynowymi chustami. Odetchnęłam z ulgą i spojrzałam na Nihala i Ameerę: każde z nich siedziało w cieniu, pod inną palmą. Zajmowali się nimi charakteryzatorzy. Ich spojrzenia na chwilę się skrzyżowały – a po chwili jakiś podekscytowany przechodzień zrobił im zdjęcie. Nie miałam pojęcia, jak Nihal zniesie bliskość byłej dziewczyny po tym, jak się zachowała, wiedziałam jednak, że niezależnie od wszystkiego uczestnicy wycieczki doświadczą dziś czegoś naprawdę niezwykłego.

– Okej, zaczynamy za pięć minut! – krzyknął asystent reżysera.

Obie grupy – włącznie z Olliem, który zmienił strój i miał teraz na sobie rodzaj togi uszytej z granatowego sarongu – ruszyły w kierunku miejsca wskazanego przez reżysera. Wydawało się, że setki ludzi otoczyły plan filmowy i w napięciu czekają na to, co się wydarzy. Poczułam, jak żołądek podchodzi mi do gardła. Odmówiłam w myślach krótką modlitwę, prosząc, żeby wszystko się udało i żeby nie doszło do kolejnych dramatycznych scen.

Kiedy Nihal i Ameera ruszyli przed siebie dostojnym krokiem, tłum zaczął klaskać i wiwatować. Spojrzałam na nią: miała na sobie lawendową sukienkę, która idealnie podkreślała jej smukłą sylwetkę. Szczupłe kostki Ameery zdobiły złote łańcuszki lśniące w promieniach słońca, a kruczoczarne włosy podtrzymywała przepiękna, misternie zdobiona opaska. Brązowe cienie na powiekach podkreślały szmaragdowy odcień jej oczu.

Nihal wyglądał niesamowicie elegancko w białym garniturze. W klapach lśniły kamienie szlachetne, a namalowane na twarzy „rany” dodawały mu tylko surowego uroku. Nie mógł oderwać wzroku od byłej dziewczyny. Nihal, użyj mózgu, a nie penisa – zakomunikowałam telepatycznie.

– Okej, teraz stań w tamtym miejscu, a kiedy zaczną grać muzyka, idź w stronę ukochanej tanecznym krokiem i błagaj o wybaczenie. Tancerze u jej boku będą ją chronili – wyjaśnił asystent reżysera.

– Nihal nigdy za nic nie przeprasza – oznajmiła Ameera na tyle cicho, że usłyszał ją tylko były chłopak.

– Tylko dlatego, że w przeciwnym razie kazałabyś mi przepraszać za wszystko! Nigdy z tobą nie wygram, Ameero – odpowiedział Nihal, poprawiając czarny kołnierzyk. – Wiem, że to ty napisałaś tę okropną, kłamliwą recenzję na blogu. Dlaczego zniżyłaś się do czegoś takiego, żeby się na mnie zemścić?

Ich spojrzenia spotkały się na ułamek sekundy. Po chwili Ameera zamrugła

i spuściła wzrok.

– Przepraszam. Usunę ją. Ja tylko... ja tylko...

– Tylko co? Dlaczego to robisz? Dlaczego wszędzie za nami chodzisz? – syknął Nihal.

Ameera głośno westchnęła.

– Gdybyś tak często nie wyjeżdżał i mnie nie zostawiał, nie musiałabym tego robić. Kompletnie o mnie zapomniałeś – odpowiedziała. Zerknęła na swoich podopiecznych, którzy ćwiczyli właśnie układy taneczne.

– Co? – zapytał Nihal z niedowierzaniem. – Nigdy nie mógłbym o tobie zapomnieć. Przecież pracowałem dla nas. Zdecydowałem się na to, żeby oszczędzić trochę pieniędzy i poprosić twojego ojca... – Nihal gwałtownie zamilkł i zarumienił się, po czym zaczął grzebać stopą w piasku. – Nieważne.

Reżyser krzyknął coś do megafonu, asystent przetłumaczył:

– No dobrze. Zaczynamy za trzy, dwa, jeden...

– Co powiedziałaś? – zwróciła się do Nihala Ameera, nie zważając na reżysera.

– Nic. – Potrząsnął głową i przyjął odpowiednią pozycję.

Z głośników popłynęła szybka, głośna muzyka, a my zaczęłyśmy ćwiczyć układ, którego nas przed chwilą nauczono: podskakiwałyśmy i kręciłyśmy biodrami w rytm dziwnej melodii. Nie mogłam oderwać wzroku od Ameery.

– Co powiedziałaś, Nihal? – naciskała.

– Dobrze. A teraz Nihal! – zawołał asystent.

Tancerki powoli się wycofały. Nihal rzucił Ameerce spojrzenie, które oznaczało, że zakończył już rozmowę, a następnie zrobił krok naprzód i zakolysał się jak profesjonalny tancerz.

– Teraz twoja kolej, Ameera! – krzyknął reżyser.

Nie miała wyboru: musiała delikatnie podpłynąć do Nihala, ciągnąc za sobą niemal przezroczystą chustę, która unosiła się na wietrze. Napięcie między tą parą sięgało zenitu. Byłam tak zaaferowana losami nieszczęśliwych kochanków, że nadepnęłam na stopę chudego Niemca.

– Au, uwaga! – syknął.

Uniosłam rękę w przeproszającym geście i zaczęłam zbliżać się tanecznym krokiem do Ameery i Nihala. Chciałam koniecznie usłyszeć, co mówią.

– Co miałeś na myśli? O co chciałeś poprosić mojego ojca? – zapytała Ameera, kiedy znaleźli się tuż obok siebie. Sztucznie się uśmiechnęła, a Nihal zaczął opuszczać głowę i napinać biceps w rytm muzyki. Te ruchy wydawały się wyćwiczone i przypuszczałam, że doskonalił je przez lata w swojej sypialni. Wyciągałam szyję, starając się usłyszeć, co mówią, ale Bex uderzyła mnie biodrem i uniosła kciuk w górę.

– Cięcie! – zawołał reżyser.

Nihal skorzystał z okazji i ruszył zamaszystym krokiem do swojego narożnika jak bokser po walce. Ameera odprowadziła go tęsknym spojrzeniem, a po chwili podbiegła do niej charakteryzatorka, która pospiesznie przypudrowała jej twarz i ułożyła włosy. Wydawało się, że zamarznęte serce Ameery zaczyna topnieć pod wpływem tropikalnego upału. Jej stalowe spojrzenie zniknęło, a zamiast tego pojawiła się dziecięca niemal wrażliwość. Miałam tylko nadzieję, że ta przemiana jest prawdziwa.

Asystent zjawił się przy nas w mgnieniu oka i przywołał statystów.

– Dobrze, podoba nam się wasza energia, ale musicie dać z siebie jeszcze więcej. Ty. – Zwrócił się do chudego Niemca. – Jak się nazywasz?

– Stefan – odpowiedział mężczyzna.

– Okej. Stefan, musisz więcej ruszać rękami i trochę się rozluźnić. Wyobraź sobie, że próbujesz uwieść piękną kobietę. – Policzki Stefana zrobiły się równie czerwone, co jego sarong: ten wyraźny dyskomfort wskazywał na to, że nigdy nikogo nie uwodził. – A ty – asystent zwrócił się do Bex – bądź bardziej kobieca. Zachowuj się jak bogini, a nie jak facet.

Bex zacisnęła zęby. Trafił w czuły punkt, ale, o dziwo, nie zaprotestowała: zamiast tego pokiwała głową i zaczęła grzebać stopą w piasku. Ona i Stefan wymienili krótkie spojrzenia i oboje wymamrotali coś pod nosem.

– Cała reszta: fantastyczna robota. Okej. Trzy, dwa, jeden! – Klasnął w dłonie, a my zaczęliśmy powtarzać scenę.

Tym razem Ameera nie odrywała wzroku od Nihala.

– Po co ci były pieniądze i o co chciałeś poprosić mojego ojca? O moją rękę? – wyszeptwała, odrzucając włosy do tyłu i łagodnie się kołysząc.

Nihal westchnął i pokiwał głową.

– Wiedziałem, że w przeciwnym razie nie zgodzi się na nasz ślub. Musiałem udowodnić, że o ciebie zadbam i że się tobą zaopiekuję – wyjaśnił, po czym gwałtownie zamilkł, stropiony swym nieoczekiwanym wyznaniem.

Na szczęście wokół nich unosiły się dziesiątki chust i rumieniec Ameery pozostał niewidoczny dla kamery. Coraz bardziej się do siebie zbliżali, a napięcie między nimi narastało. Miałam nadzieję, że reżyser zauważy, jak wiele emocji towarzyszyło tej absurdalnej, przypadkowej scenie.

– Wyszłabym za ciebie niezależnie od pieniędzy – wyszeptwała Ameera.

Nihal gwałtownie obrócił głowę i spojrzał na nią.

– Świetnie, dobra robota. A teraz, Nihal, zbliżasz się do niej i próbujesz poprosić Ameerę do tańca, ale ona cię odrzuca! – zawołał asystent, przekrzykując muzykę i przerywając tę wyjątkową, intymną chwilę.

Nihal spełnił polecenie, a kiedy jego dłoń znalazła się dosłownie kilka centymetrów od delikatnych nadgarstków Ameery, pochylił się w jej stronę i powiedział:

– Chciałem, żebyś była ze mnie dumna.

Ameera odwróciła się do niego i wyszeptwała:

– Jestem z ciebie dumna. – Na jej umalowanych ustach pojawił się nieśmiały uśmiech.

– Fantastycznie wam poszło. A teraz, Ameero, chwyć go za rękę i zacznijcie tańczyć, a potem przejdźcie pomiędzy statystami. – Asystent znowu przerwał im rozmowę, po czym zaczął przeglądać brudne kartki przyklepione do podkładki, którą trzymał w rękach.

Czułam się tak, jakbym oglądała film, zamiast w nim występować. W końcu wzięłam się w garść i powtórzyłam w myślach, że jestem tu przecież po to, żeby pracować, a nie podglądać prawdziwych zakochanych.

– Statyści, dobierzcie się w pary: w każdej powinien być jeden mężczyzna i jedna kobieta. Szybko! – zawołał asystent, stukając w szkiełko zegarka.

Rozejrzałam się wokół, szukając mężczyzny bez pary. Wolny był tylko Rahul.

– Dołączysz do mnie, Louise? – zapytał, podając mi rękę i posyłając szczery, nieśmiały uśmiech.

– Och tak, jasne – odpowiedziałam. Odchrząknęłam, bo nagle zrobiło mi się gorąco.

– Świetnie. No dobrze, pokaż swoje najlepsze ruchy.

Nie wiem, czy chodziło o napięcie między Nihalem a Ameerą, o egzotyczną scenerię czy romantyczną muzykę – miejsce skocznej piosenki zajęła teraz piękna ballada miłosna – ale nagle poczułam, że chciałabym go pocałować. Nie potrafiłam tego wytłumaczyć. Spojrzałam na Rahula, a on się uśmiechnął.

– Chyba raczej pokażę swoje dwie lewe nogi. – Zachichotałam i od razu zaczęłam tego żałować. Rahul opuścił wzrok, zerknął na moje bosa, opalone stopy, po czym z przekonaniem pokręcił głową i przyciągnął mnie do siebie. Próbowałam jednocześnie cieszyć się tą chwilą i zbliżyć się do Nihala i Ameery, otoczonych przez troje innych tancerzy. Ich dłonie były złączone, a stopy poruszały się bez wysiłku, idealnie wyczuwając rytm.

– A teraz na trzy wszyscy pocałujecie się w tym samym czasie, co nasza główna para! – zawołał asystent reżysera.

– Co?! – krzyknęła Flic, patrząc z niepokojem na krępego Chińczyka, który stał obok niej. – Nic o tym nie wspominałeś, kiedy decydowaliśmy się na występ!

Kilka innych osób też zaczęło narzekać. Rahul nadal opłatał ręką moje biodra, a po chwili zdałam sobie sprawę, że żadne z nas nie protestuje.

– Chodzi tylko o udawany pocałunek, szybkie cmoknięcie w usta, takie jak podczas zabawy z dzieckiem – wyjaśnił wyraźnie zniecierpliwiony asystent. – W przeciwnym razie możecie zrezygnować, ale będziemy musieli zaczynać od początku.

Ten łagodny szantaż poskutkował. Wiedzieliśmy, że to wspinała historia, którą po powrocie do domu będziemy mogli opowiedzieć znajomym. Ale przede wszystkim skakaliśmy i tańczyliśmy w słońcu od wielu godzin: traciliśmy powoli siły i marzyliśmy o tym, żeby zdjęcia wreszcie się zakończyły.

Flic wymamrotała coś pod nosem i rzuciła ostrzegawcze spojrzenie Chińczykowi.

– Nawet nie próbuj wpychać mi języka do ust – ostrzegła.

– Okej, Nihal i Ameera, jesteście gotowi? – Przez megafon popłynął szorstki głos reżysera.

Główni bohaterowie znajdowali się teraz bardzo blisko siebie i szeroko się uśmiechali. Nagle dotarło do mnie, że w miłości i na wojnie wszystkie chwytaki są dozwolone. Wierzyłam, że Ameera rzeczywiście nie wiedziała, jak wiele szkód wyrządził jej wpis na blogu: po prostu rozpaczliwie próbowała zwrócić na siebie uwagę Nihala. Ludzie bez przerwy popełniają głupstwa w imię miłości. Wpatrując się w te dwa gruchające gołębki, zrozumiałam, że czasem lepiej zrobić coś wielkiego, odważnego i głupiego, żeby wszyscy o tobie pamiętali, niż milczeć i ukrywać własne uczucia – tak jak robiłam to z Benem.

– Nie musisz mnie całować, jeśli nie chcesz – szepnął łagodnie Nihal, patrząc nieśmiało na Ameerę. Jego brawura gdzieś wyparowała.

Spuściła wzrok, lekko skinęła głową i odrzuciła włosy do tyłu.

– Chcę – odpowiedziała. Ledwo usłyszałam te słowa, bo zagłuszyła je melodia romantycznej ballady, którą było słycać na całej plaży.

Nihalowi spadł kamień z serca. Oboje wpatrywali się w siebie z radością.

Rahul, który nadal obejmował mnie w pasie, zaczął swobodnie kołysać się w tańcu.

– Nie przeszkadza ci to, Louise? Nie masz przypadkiem chłopaka, który zaraz wyskoczy z krzaków i skopie mi tyłek?

Uśmiechnęłam się na widok jego udawanego przerażenia. Nie wiedziałam, na kogo powinnam postawić, gdyby doszło do walki między nim a Benem. Obaj byli wysocy, umięśnieni i niesamowicie przystojni.

– Nie, nie mam chłopaka.

Wypuścił powietrze i otarł czoło.

– Uff! – Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

Ben nie był moim chłopakiem, a poza lekkim flirtem i spojrzeniami, na których go czasem przyłapywałam, nic nie wskazywało na to, że w ogóle mu się podobam. Nagle pomyślałam o Serenie. Na pewno siedzą teraz w pracy, zamknięci w naszym ślicznym, przytulnym biurze, zaśmiewając się i pozerając się wzrokiem. Natychmiast zrobiło mi się niedobrze.

– Przepraszam, że cię wcześniej z kimś pomyliłem. Jesteś niesamowicie podobna do dziewczyny, którą poznałem dosłownie kilka tygodni temu, załatwiała

z koleżanką wizę do Indii – powiedział cicho.

– Och. – Zaśmiałam się sztucznie. – To dziwne.

– Mhm. – Spojrzał za mnie, rozglądając się po plaży pełnej ludzi, tak jakby zamierzał powiedzieć coś jeszcze, ale ostatecznie zrezygnował. – Więc czym się zajmujesz?

– Pytasz o to, gdzie pracuję?

Pokiwał głową i odgonił muchę, która usiadła mi na chuście.

– Jestem fryzjerką. – Na szczęście nikt z uczestników wycieczki mnie o to do tej pory nie dopytywał. Ledwo potrafiłam obchodzić się z suszarką do włosów i moje kłamstwo mogło szybko wyjść na jaw. – A ty co robisz, kiedy nie występujesz w bollywoodzkim filmie kręconym w Bombaju?

Rahul cicho się roześmiał.

– No cóż, nie zdarza mi się to często, chociaż jestem przyzwyczajony do obecności kamer.

Błagam, tylko nie mów, że dorabiasz jako aktor porno!

– Pracuję w telewizji. Głównie za kulisami. To świetna rzecz, bo dużo dzięki temu podróżuję, a kiedy mam wolne, przyjeżdżam tu, odwiedzam rodzinę i przy okazji dorabiam sobie, oprowadzając turystów po wyspie.

– Okej. Trzy, dwa... – Zamierzałam już zadać Rahulowi kolejne pytanie, ale przerwał mi asystent reżysera.

Jak na zawołanie, wszyscy statyści oraz Ameera i Nihal zbliżyli się do siebie i złączyli usta w pocałunku.

Rahul delikatnie dotknął mojego podbródka i przechylił mi głowę w stronę słońca. Zamknęłam oczy. Jego ciepłe usta musnęły moje przez ułamek sekundy – i wtedy muzyka ucichła, a reżyser znowu huknął w megafon:

– Dobra robota! Mamy to. Dziękuję!

Wszyscy zaczęli klaskać i odsuwać się od narzuconych sobie na potrzeby filmu kochanków. Flic ostentacyjnie wycierała usta i wyglądała tak, jakby miała zaraz zwymiotować na piasek. Jej Chińczyk uśmiechał się za to od ucha do ucha. Rahul puścił mi oko, gdy tylko reżyser ogłosił koniec zdjęć, po czym ruszył przed siebie wzdłuż plaży. Odprowadziłam go wzrokiem. Z jakiegoś powodu czułam niedosyt. Wiedziałam, że pocałował mnie tylko na potrzeby filmu, ale dotyk jego ust, słony smak, który pozostawiły na moich wargach – sprawiły, że miałam motyle w brzuchu.

– Dzięki Bogu! Jak dobrze, że już po wszystkim! – Flic podeszła do mnie i odetchnęła z ulgą. – Powinam strzelić tego gnojka w pysk. Przysięgam, że próbował wsunąć mi język do ust – powiedziała i wzdrygnęła się z obrzydzeniem. – A tobie jak poszło, Louise?

Zerknęłam na Rahula, który żartował właśnie z jednym z członków ekipy filmowej, a potem przeniosłam wzrok na Flic.

– W porządku. Chodźmy się przebrać.

Od wieków nikt mnie nie całował. Potrząsnęłam głową, usiłując wziąć się w garść. Jeżeli pewny siebie Hindus z biura wizowego budzi we mnie takie emocje, to naprawdę powinnam zrobić coś ze swoim życiem. Ruszyliśmy plażą, a kiedy rozległy się oklaski publiczności, zdałam sobie sprawę, że Ameera i Nihal nadal się całują. Nie byłam pewna, czy w ogóle się zorientowali, że reżyser zakończył zdjęcia, ale tak długo próbowałam sprawić, żeby się pogodzili i odpuścili sobie to idiotyczne rozstanie – że absolutnie nie zamierzałam ich teraz rozdzielać.

Asystent reżysera też zauważył ich namiętny pocałunek.

– To się nigdy nie zdarza. Zwykle główni aktorzy szczerze się nie znoszą i tylko czekają, aż będą mogli zejść z planu – powiedział, kiwając głową i przyglądając się z aprobatą tej parze. – Reżyser chciałby z nimi porozmawiać. Kiedy już skończą... no wiesz, kiedy zaczerpną tchu. Gra statystów jeszcze nigdy nie zrobiła na nim takiego wrażenia.

– Och, nie wydaje mi się, żeby grali. – Uśmiechnęłam się. Ale asystent nie mógł przecież mieć o tym pojęcia.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

### Idylla, czyli błogi spokój i harmonia

Opuściliśmy plażę niesamowicie podekscytowani, a potem znaleźliśmy małą restaurację, w której mogliśmy trochę odpocząć, wypić drinka i odzyskać energię. Ruszyłam do toalety, a kiedy wyszłam, w ciemnym korytarzu natknęłam się na Nihala.

– Witaj, gwiazdo filmowa! – Uśmiechnęłam się do niego.

– Witaj, ja... zastanawiałem się, czy moglibyśmy porozmawiać – powiedział, lekko się rumieniąc. Odkąd zagraliśmy w filmie, dziwnie się zachowywał.

– Jasne, wszystko w porządku? – zapytałam z niepokojem.

Pokiwał głową.

– Lepiej niż w porządku! Chciałem ci podziękować. Pomogłaś mi odzyskać ukochaną. Pewnie zastanawiasz się, co wydarzyło się między mną a Ameerą?

– Nihal, wszystko rozumiem. Ty nawaliłeś, ona nawaliła, ale teraz zrozumieliście, że wolicie nawalać razem niż osobno.

Nihal nieśmiało się uśmiechnął.

– Ona naprawdę żałuje, że napisała tamtą recenzję. Mam w związku z tym pewną propozycję. Zastanawiałem się, czy nie moglibyśmy połączyć naszych grup. Co o tym sądzisz? – Lekko się skrzywił, czekając na moją reakcję. – Ameera obiecała, że usunie dziś tamten wpis z bloga. Jest też gotowa przeprosić grupę.

– Nie, niech tego nie robi. Nie chcę, żeby dowiedzieli się, kim jestem. Może zamiast usuwać recenzję, napisze drugą, w której przyzna, że to wszystko wymyśliła?

– Okej, załatwione. Ona bardzo tego żałuje i jest jej naprawdę głupio. – Założę się, że jest jej głupio. – A co z połączeniem grup?

Zastanawiałam się przez chwilę nad tą propozycją. Nie odpowiadałam za osoby, którymi zajmowała się Ameera, ale wyglądało na to, że jej podopieczni i tak będą za nami chodzili. Poza tym w większym gronie czulibyśmy się różnie.

– Nie mam nic przeciwko.

To był najprzyjemniejszy wieczór od czasu naszego przyjazdu do Indii. Obie grupy siedziały ściśnięte wokół niskich stołów w restauracji i wszyscy z podekscytowaniem wymieniali się wrażeniami z planu filmowego. Zapach kolendry i aromatycznych przypraw oraz dźwięki sitaru stały się idealnym tłem dla naszej ożywionej rozmowy.

– Na pewno dodam to doświadczenie do swojego CV- oznajmiła Bex,

wypowiadając te słowa z pełnymi ustami.

– Nie mogę się doczekać, aż film pojawi się na Netflixie i pokażę go kumplom. Nie dadzą mi żyć. – Ollie mrugnął, a potem się roześmiał.

– Myślę, że przede mną kariera w Bollywood! – zawołałam.

Chichotaliśmy, wymienialiśmy spostrzeżenia i znowu wybuchaliśmy śmiechem, wspominając ten niewiarygodny dzień. Jediną osobą, która nie bawiła się razem z nami, był Chris. Miał ponurą minę i przez cały wieczór prawie się nie odzywał. Nie potrafiłam rozstrzygnąć, czy żałuje, że nie zagrał w filmie, czy czuje ulgę, że nie musiał paradować w idiotycznym kostiumie.

Po pewnym czasie odchrząknął i zmienił temat.

– O której mamy jutro lot?

– Niestety, znowu wcześniej ruszamy – odpowiedział Nihal. Mieliśmy lecieć na Goa na obchody święta Holi. – Do końca pobytu nasze grupy będą funkcjonowały razem.

– Nie mam nic przeciwko temu – oznajmił puciołowaty Chińczyk, oblizując wargi i gapiąc się na Flic, która zacisnęła zęby i odwróciła się w stronę Rahula.

– Ty też z nami lecisz? – zapytała.

Rahul potrząsnął głową.

– Niestety nie. Ale mam nadzieję, że wszyscy znajdziecie to, czego szukacie.

– Byłam gotowa przysiąc, że mówią to, patrząc na mnie.

Choć cieszyłam się na myśl o podróży na Goa, ogarnął mnie smutek, kiedy uświadomiłam sobie, że to już ostatni punkt naszej wycieczki. Skupiałam się dotąd wyłącznie na problemach Nihala i Ameery, i kompletnie zapomniałam, że znalazłam się w najbardziej uduchowionym kraju świata. Nie zdążyłam nawet skoncentrować się na sobie i swoim rozwoju... nie wspominając o półnagim ascecie, który splunął mi pod nogi. Wcale nie miałam poczucia, że moja podróż po Indiach prawie dobiega końca. W domu czekało mnie obserwowanie kwitnącej miłości Bena i Sereny. Wiedziałam, że powinnam niedługo do niego zadzwonić, ale nie chciałam słuchać kolejnych zachwyty nad nową pracownicą – i co dziwne, cieszyłam się, że mogę odpocząć od pracy i wszystkiego, co się z nią wiązało. Czyżbym rzeczywiście zmierzała ku oświeceniu?

Jakimś cudem Nihalowi udało się zgromadzić nas wszystkich – członków obu grup – i wprowadzić na pokład samolotu bez większych incydentów. Przeszedł niewiarygodną przemianę: przygnębiony człowiek z podkrążonymi, załzawionymi oczami, którego poznałam kilkanaście dni wcześniej, nagle zniknął. Nihal był teraz w doskonałym nastroju, mówił pewnym siebie głosem i tryskał energią. Nareszcie mogłam poznać człowieka, którego zatrudniłam wiele miesięcy wcześniej i którego poleciano mi właśnie ze względu na nietuzinkową osobowość.

Z ogromną ulgą myślałam o tym, że polecimy na Goa samolotem i nie będziemy musieli po raz kolejny doświadczać... hm, uroków indyjskiej kolei.

Jedno podejście całkowicie mi wystarczyło. Miałam spędzić w Indiach jeszcze tylko kilka dni – już wkrótce miałam porzucić tę grupę niedobrych, ale budzących ogromną sympatię ludzi i wrócić do Manchesteru. Jeszcze tydzień temu z radością wskoczyłabym do samolotu do Anglii, ale teraz Nihal i Ameera byli znowu razem, a my mieliśmy porzucić chaos i zgiełk Bombaju i przenieść się na rajskie plaże Goa. Naprawdę nie chciałam wyjeżdżać z Indii. Jeszcze nie teraz. Oczywiście bardzo tęskniłam za Benem, tęskniłam też za biurem – ale wreszcie czułam, że zaczynam być sobą.

A właściwie tą Georgią, którą się stałam, kiedy w zeszłym roku podróżowałam samotnie po Tajlandii. Udręczona i nieszczęśliwa wersja mnie, która wsiadła na pokład samolotu i przyleciała do Delhi, stopniowo się odprężyła, zrelaksowała, zapomniała o stresie związanym z prowadzeniem własnego biznesu – i zamiast martwić się o budżet albo rezerwacje, zajęła się po prostu sobą. Czułam się tak, jakby jakiś mocno zaciśnięty supeł w moim wnętrzu nagle się rozluźnił. Może właśnie tego potrzebowałam, żeby odzyskać pewność siebie, którą samotna podróż już raz mi zapewniła.

Opadłam na fotel i zamknęłam oczy.

– Czemu się uśmiechasz? – zapytała Bex, sięgając po czasopismo.

– Tak po prostu. Myślę o tym, jak bardzo Kocham podróże. Nie mogę się doczekać, aż zobaczę Goa.

– Ja też. – Rozpromieniła się.

Zauważyłam, że Stefan przez cały lot zerkał na Bex. W pewnej chwili dyskretnie ją szturchnęłam i powiedziałam:

– Wydaje mi się, że go oczarowałaś.

Bex poruszyła się i odchrząknęła z zażenowaniem.

– E tam, idź lepiej do okulisty. – Zaczęła się bawić swoim iPodem, całkowicie pomijając informacje o swoim nie do końca już tajemniczym wielbicielu.

– Bex, mówię serio. On na ciebie leci. Nie może oderwać od ciebie wzroku – wyszeptalam.

– Ciii! – Machnęła ręką i zrobiła się czerwona jak burak.

– O co chodzi? Nie wierzysz, że mu się podobasz? – zapytałam, przechylając głowę. Nie rozumiałam, dlaczego z góry zakłada, że to niemożliwe.

Bex głęboko westchnęła i spojrzała mi w oczy.

– Louise, kiedy jesteś dużą dziewczyną taką jak ja, spodziewasz się, że ludzie będą się od czasu do czasu gapili. Rozumiem to. Ale przystojni Niemcy nie patrzą na ciebie w ten sposób. Wszystko okej. Wiem, o czym mówię.

Zamierzałam zaprotestować, powiedzieć, że jej krągłości nie mają w tym przypadku żadnego znaczenia – ona jednak uniosła łagodnie dłoń i mi przerwała.

– Zawsze byłam dziewczyną przy kości, okrągłą, puszystą, czy jak to jeszcze

nazwiesz. Jestem Grubą Bex i o tym wiem. Ale nie chcę tego zmieniać. Dobrze się czuję w takim rozmiarze. Kiedy przechodzę na dietę – a wierz mi, że próbowałam już wszystkich możliwych diet – czuję się fatalnie. Robię się nieszczęśliwa. Nie zmienię swoich genów. Ale to mi pasuje. Nie pasuje tylko większości mężczyzn.

– Co masz na myśli?

– No cóż, mój eks powiedział kiedyś, że byłabym całkiem ładna, gdybym trochę schudła, a inny zerwał ze mną, bo kumple się z niego nabijali. Żartowali, że spotyka się z kaszalotem. Wielu facetów rozstawało się ze mną, kiedy misja „odchudzenia Bex” kończyła się niepowodzeniem.

– O rany, nie sądziłam, że to może być taki problem – powiedziałam cicho.

Położyła ciepłą dłoń na moim ramieniu.

– Wszystko okej. Po prostu wielu ludzi zwraca na takie rzeczy uwagę. Ale mnie wcale nie przeszkadza, że tylko James Blunt uważa mnie za piękną. – Roześmiała się.

Odwróciłam się i spojrzałam na Stefana. Miał na uszach słuchawki i delikatnie kołysał się w rytm muzyki.

– Nadal uważam, że mu się podobasz. Może to ten typ mężczyzny, który kocha cię za to, jaka jesteś, a nie za to, jak wyglądasz? – zasugerowałam.

Bex wzruszyła ramionami.

– Nie sądzę, żeby tacy mężczyźni w ogóle istnieli, i nie przeszkadza mi to. Mam świetną rodzinę, fantastycznych znajomych, a skoro jest mi pisana rola śmiesznej, pulchnej singielki, niech tak pozostanie. Nie zamierzam dla nikogo rezygnować z czekolady. – Roześmiała się.

Uśmiechnęłam się, ale nie dałam się zwieść: choć sprawiała wrażenie pewnej siebie, wiedziałam, że w głębi serca naprawdę to wszystko przeżywa.

Lot minął bardzo szybko. Wkrótce siedzieliśmy już ściśnięci w minibusie i oddalaliśmy się od lotniska, jadąc w stronę plaży. Ciepła bryza wpadała do środka przez otwarte okna, a słone morskie powietrze pachniało egzotycznymi kwiatami. Wreszcie dotarliśmy do miejsca, w którym dało się oddychać. Miałam wrażenie, że znalazłam się w raju. Uwolniliśmy się od szaleńczego chaosu Delhi i Bombaju. Tutejsze drogi były właściwie puste, nikt się nie spieszył, wszyscy wydawali się zrelaksowani. Bezpańskie psy drzemały w cieniu palm, krowy przechadzały się leniwie wzdłuż mniejszych dróg, machając ogonami i odganiając muchy. Temu wszystkiemu towarzyszył śpiew ptaków. Pastelowe, obdrapane, ale jednocześnie urokliwe domki, białe kościoły oraz żółte sklepy i warsztaty kontrastowały z rdzawą ziemią. Portugalskie wpływy można tu było odnaleźć zarówno w architekturze, jak i w spokojnej, leniwej atmosferze.

Świeciło słońce, wszyscy byli w świetnych nastrojach. Miałam wrażenie, że wreszcie nadeszło przesilenie. Nawet Chris wyglądał na zrelaksowanego. Przez całą drogę robił zdjęcia swoim profesjonalnym aparatem fotograficznym. Po

pewnym czasie zjechaliśmy z drogi i ruszyliśmy dalej wąskimi wyboistymi ścieżkami pokrytymi grubą warstwą zaschniętego błota. Powoli uczyłam się oddawać innym kontrolę. Pozwalałam Nihalowi i Ameerze przejąć odpowiedzialność za całą wycieczkę. Patrzyłam przez okno i podziwiałam widoki. Kierowca kołysał głową w rytm muzyki – skocznej indyjskiej melodii – i wydawał się całkowicie zrelaksowany.

– Okej, jesteśmy już niedaleko. – Nihal spojrzał na nas i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Wyglądał tak, jakby koniecznie chciał nam zdradzić jakąś tajemnicę, ale kiedy zerknęłam na niego pytająco, odwrócił się i szybko wrócił do rozmowy z kierowcą.

Zgodnie z planem mieliśmy zamieszkać w skromnym, ale miłym hotelu w centrum niewielkiego miasteczka, ale patrząc na Nihala, przypuszczałam, że zaplanował coś innego. Radośnie przytupywał i wystukiwał rytm palcami. Och, proszę, tylko tego nie schrzań – pomyślałam. Czulałam znajome ukłucie w żołądku, które towarzyszyło mi, ilekroć nie wiedziałam, czego się spodziewać.

– O rany, patrzcie! – zawołała Flic, wyciągając rękę przez okno i prawie dotykając krowy, która stała przy drodze i wpatrywała się w nas dużymi, brązowymi oczami. Jechaliśmy teraz krętą drogą gruntową.

Wszyscy spojrzeli we wskazanym przez Flic kierunku.

– Co to za miejsce? – zapytał Ollie, wyglądając przez okno. – To tutaj się zatrzymamy?

Nihal odwrócił się do nas. Na jego twarzy pojawił się szeroki, radosny uśmiech.

– Zgadza się!

– Ekstra! – zawołała Bex.

Wychyliłam się zza Olliego, chcąc się przekonać, na co wszyscy patrzą. I wtedy je zobaczyłam: niewielkie chaty na piaszczystej plaży. Każda z nich miała małą werandę wychodzącą prosto na ocean. Wśród nich, w centralnym punkcie, znajdowała się też restauracja pod gołym niebem. To była indyjska wersja Chat pod Błękitnym Motylem – miejsca, w którym zatrzymałam się w Tajlandii na wyspie Koh Lanta. Nie dość, że zaliczyłam tam ostatni punkt ze swojej podróżniczej listy życzeń, poznałam Shelley i całą paczkę podróżników z Klubu Podróży Samotnych Serc – to jeszcze spotkałam Bena.

– Wszystko okej, Louise? – zapytał Nihal. Wyraźnie zaniepokoiła go moja reakcja.

Pokiwałam głową i odchrząknęłam, po czym ledwo powstrzymując łzy, wykrztusiłam:

– Tak. To wygląda wspaniale. Dziękuję.

Nihal jeszcze przez kilka sekund uważnie mnie obserwował, a potem kazał kierowcy zaparkować i nas wysadzić. Wysiedliśmy z minibusu i rozprostowaliśmy

nogi. Wszyscy byli podekscytowani i zadowoleni. Kilka osób zawołało nawet, że dotarliśmy do rajy. Nie mylili się. Przepiękna zatoczka ze złotym piaskiem i małymi pagórkami opadającymi do oceanu była właściwie pusta – w oddali majaczyło tylko kilka odwróconych do góry dnem łodzi rybackich i małe restauracje. Szybko policzyłam chaty i zdałam sobie sprawę, że to miejsce mamy tylko dla siebie.

– Na pewno wszystko w porządku? – zapytał Nihal, podczas gdy Ameera ruszyła, by pomóc niektórym z bagażami.

– Tak, wszystko świetnie – zapewniłam. Mówiłam szczerze.

Naprawdę było świetnie. Jak mogło być inaczej: stałam w cieniu pod ogromną, kołyszącą się na wietrze palmą, moje stopy zapadały się w miękkim jak kaszmir piasku – a ja patrzyłam na cudowną, pustą plażę. Wiedziałam, że nie reaguję z takim entuzjazmem jak pozostali uczestnicy wycieczki, ale wynikało to wyłącznie z tego, że nie miałam przy sobie Bena. Ile jeszcze czasu musi minąć, zanim przestanę o nim myśleć? Powstrzymałam łzy – łzy szczęścia – i delikatnie ścisnęłam rękę Nihala.

– Świetnie się spisałeś. Zobacz, jacy są podekscytowani. – Wskazałam uczestników wycieczki, którzy biegali po plaży, śmiali się i pozowali do zdjęć.

– Dziękuję – powiedział Nihal, po czym zwrócił się do grupy: – Słuchajcie! – Klasnął w dłonie i wyszczerzył zęby w uśmiechu. – A więc właśnie tutaj zatrzymamy się na kilka nocy. Uznałem, że jesteście już zmęczeni chaosem i zgiełkiem panującymi w miastach, które do tej pory odwiedziliśmy. Zasłużyliście na odrobinę relaksu! – Rozległy się wiwaty i radosne okrzyki. – W każdej chacie są dwa łóżka, łazienka, a nawet klimatyzacja. – Kolejne oklaski. – Zdecydujcie, z kim chcecie dzielić pokój, i wybierzcie sobie chatę.

Dokonałam w głowie szybkich obliczeń. Razem z grupą Ameery było nas teraz dwanaścioro, co oznaczało, że muszę znaleźć sobie kogoś do pary. Szybko spojrzałam na Bex, ona jednak podeszła już do Liz. Ollie stał obok Chudego Stefana, a Flic postanowiła zamieszkać z Sarah, cichą kobietą o kręconych włosach. Chińczyk Bo dołączył do drugiego faceta z grupy Ameery. Zostaliśmy tylko Chris, Ameera, Nihal i ja.

– Hm, kobiety powinny chyba zamieszkać razem... – powiedziałam. Nie chciałam urazić Chrisa, ale naprawdę nie zamierzałam dzielić z nim pokoju.

Ameera i Nihal grzebali stopami w piasku.

– No cóż, chyba tak...

Znałam to spojrzenie. Liczyli na to, że zamieszkają w jednej chacie. Oczywiście. Mieli przecież dużo do... nadrobienia. Zerknęłam na Chrisa. Wyglądał tak, jakby był gotów oddać wszystko, byle tu teraz nie stać.

– Albo... moglibyśmy...

Nihal i Ameera rozpromienili się, jeszcze zanim zdążyłam dokończyć.

– Jeśli nie miałabyś nic przeciwko... – powiedział Nihal, po czym wziął Ameere za rękę i poprowadził ją do chaty, stawiając nas przed faktem dokonanym.

– No cóż, wygląda na to, że zostaliśmy tylko my – rzuciłam tak bez troski, jak tylko potrafiłam.

Chris, jak zwykle skrzywiony, pokiwał głową. Świetnie. Ponieważ czułam, że za chwilę pęknie mi pęcherz, szybko przejęłam inicjatywę i ruszyłam do naszej chaty.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

### Paczka, czyli grupa znajomych darzących się sympatią

– Mam nadzieję, że nie chrapiesz – zażartowałam, próbując nawiązać z Chrisem jakikolwiek kontakt. Ruszyliśmy w stronę ostatniej pustej chaty.

Ta cisza mnie przytłaczała. Chris był jedną z najbardziej niegrzecznych osób, jakie kiedykolwiek poznałam – a teraz musiałam spędzić z nim kilka nocy w jednym pokoju.

– Skąd mogę wiedzieć? Jeżeli nawet chrapię, to zwykle wtedy śpię – odpowiedział cierpkim tonem.

– No tak, jasne. – Roześmiałam się.

Nic dziwnego, że był samotny. Prawdopodobnie zanudził wszystkie swoje dziewczyny na śmierć, a jeżeli nie, to po prostu zrozumiały w pewnym momencie, jak ogromny błąd popełniły.

– Okej, jesteśmy na miejscu.

Wspięłam się po drewnianych schodkach i otworzyłam drzwi, które zaskrzypiały tak głośno, że prawie podskoczyłam. Z zewnątrz chaty przypominały te Pod Błękitnym Motylem w Tajlandii, ale w środku okazały się zupełnie inne. Warunki, które w nich panowały, nazwałabym, delikatnie mówiąc, „spartańskimi”. Pod cienkimi drewnianymi ścianami stały dwa wąskie łóżka. Znajdowały się tak blisko siebie, że w nocy mogłabym wyciągnąć rękę i dotknąć twarzy Chrisa. Ruszyłam na tył chaty i zobaczyłam drzwi ze sklejki, prowadzące do łazienki nie większej niż stół w jadalni moich rodziców. Ze ściany pokrytej niedbale ułożonymi płytkami wystawała rura mająca służyć jako prysznic, a po drugiej stronie mieściła się toaleta: dziura w ziemi.

Dopiero teraz dotarło do mnie, że będę dzieliła z Chrisem łazienkę. Z mężczyzną. Chodzenie do toalety jest najbardziej naturalną rzeczą na świecie, więc dlaczego muszą się z tym wiązać tak liczne stresy i problemy? Kiedy zamieszkałam z moim byłym, Alexem, właśnie o tę sferę życia najbardziej się martwiłam. Umierałam ze strachu, że mojej kobiecości zaszkodzi cuchnący bąk, głośny strumień moczu, a nawet kupa pływająca w muszli klozetowej. Każdy na tej planecie musi chodzić do toalety, ale kiedy zaczynasz nowy związek, marzysz, żeby uwolnić się od tego niewygodnego obowiązku. Oczywiście z biegiem czasu przestałam się tym tak bardzo przejmować, pozwalałam nawet Alexowi wchodzić do łazienki, kiedy siusiał. Ale w przypadku numeru dwa obowiązywały surowe zasady: dokładnie zamknięte drzwi, odświeżacz powietrza pod ręką i głośna muzyka zagłuszająca potencjalne pluski.



Zastanawiałam się, czy nie zdołałabym jeszcze zamienić się z kimś miejscami. Czułabym się dużo swobodniej w towarzystwie jednej z dziewczyn. Nagle jednak zdałam sobie sprawę, że Chris znalazł się w równie krępującej sytuacji.

No cóż, przecież nie spędzimy tu zbyt dużo czasu, pomyślałam.

– Skoczę tylko do toalety – powiedziałam. Nie mogłam dłużej zwlekać, więc szybko zrobiłam trzy kroki dzielące mnie od łazienki.

Zamknęłam za sobą drzwi. Na mojej twarzy pojawił się grymas niezadowolenia, kiedy usłyszałam nie tylko rozmowę stojących pod naszymi drzwiami Olliego i Stefana, ale też głosy Nihala i Ameery dochodzące z sąsiedniej chaty. Czułam się naprawdę niezręcznie, ale mój pęcherz nic sobie z tego nie robił, więc przykucnęłam i oparłam się o ścianę, żeby nie stracić równowagi. Słyszałam, jak Chris krząta się w chacie. Rozległ się odgłos zamka, a po chwili szelest ubrań. Ściany były tak cienkie, że słyszałam nawet jego oddech.

No już, po prostu zacznij sikać. Mój pęcherz odmówił posłuszeństwa.

– Wszystko w porządku, Louise? – Chris zapukał do drzwi.

– Tak. Tylko się rozglądam! – zawołałam. Miałam wilgotne ręce i czerwoną twarz, a moje biodra wprawiał w drżenie ból spowodowany przez skrajnie niewygodną pozycję.

Nie zwracaj na niego uwagi i po prostu się wysikaj – nakazałam sobie.

– Dobra, idę na tę lekcję jogi, która ma się zaraz zacząć.

Lekcję jogi?! Kompletnie o tym zapomniałam.

– Jasne, okej. Widzimy się na miejscu – powiedziałam, mocno napinając mięśnie Kegla i czekając, aż usłyszę jego ciężkie kroki. Opróżniłam pęcherz, gdy tylko zatrzasnęły się drzwi. Boże, co za ulga. Szybko przemyłam twarz, użyłam dezodorantu i wyszłam na plażę.

Gibka starsza kobieta w lśniącym, fioletowym trykocie i jaskrawoniebieskich legginsach powitała mnie uśmiechem. Ruszyłam w stronę pozostałych uczestników wycieczki, którzy siedzieli nad brzegiem oceanu na matach do jogi.

– Witaj! *Namaste*. – Kobieta w lycrze złączyła dłonie i ukloniła mi się. – Zajmij miejsce, proszę.

Jej skóra była brązowa jak pień drzewa, a jednocześnie delikatna jak krepina. Srebrne włosy splotła w długi warkocz opadający wzdłuż chudego jak szkielet ciała. Przypuszczałam, że dobiega siedemdziesiątki, choć miała ciało dwudziestolatki.

Skinęłam głową i usiadłam na ostatniej wolnej macie w pierwszym rzędzie. Wspaniale. Byłam kompletnie sztywna i niewytrenowana, a z prób dotknięcia palców u nóg zrezygnowałam już na wuefie w szkole podstawowej. Zapowiadała się świetna zabawa.

– Okej, witam wszystkich. Mam na imię Yvonne i poprowadzę dzisiejsze

zajęcia. Tym z was, którzy nigdy nie ćwiczyli jogi, postaram się tłumaczyć wszystko powoli, krok po kroku. Natomiast ci, którzy poznali już zbawienny wpływ tej cudownej aktywności – wskazała głową Flic, która posłała jej promienny, pełen dumy uśmiech – mogą wykonywać trudniejsze ćwiczenia i poczuć siłę płynącą ze słońca, które zaraz zacznie zachodzić. – Można było odnieść wrażenie, że jej hipnotyczny głos unosi się w powietrzu. Yvonne brzmiała tak, jakby przed spotkaniem z nami wypaliła skręta. Niewykluczone, że tak właśnie się stało. – Słucham? – dodała, kiedy Bo podniósł rękę.

– Uważam, że powinniśmy posmarować się wazeliną, żeby uniknąć otarć. Połączenie piasku, gimnastyki i słońca może doprowadzić do nieprzyjemnej wysypki.

– Nie zamierzam się niczym smarować – oznajmiła zdeglustowana Bex.

– Dziękuję za tę cenną sugestię, ale myślę, że nic nam się nie stanie – odpowiedziała dyplomatycznie Yvonne. – Okej, doskonale. Połóżmy się teraz na plecach i skoncentrujmy na oddychaniu.

Próbując znaleźć sobie wygodną pozycję na macie, rozejrzałam się i zauważyłam, że Nihal i Ameera nie zjawili się na zajęciach. Hm... ciekawe, jakie pozycje właśnie ćwiczą. Flic nie mogła się doczekać, aż wreszcie zaczniemy, i zerknęła z irytacją na Olliego, Stefana i Bo, którzy bardziej niż na czakrach skupiali się na rozgrywanym kawalek dalej meczu plażowego krykieta. Liz i Sarah odganiały komary, a Bex głośno ziewnęła. Najwyraźniej osiągnęła już stan zen.

– Dobrze. A teraz zróbcie wdech, a następnie powoli wypuście powietrze – poprosiła Yvonne. – I jeszcze raz. – Dyszała i sapała jak maszyna parowa, a ja z trudem powstrzymywałam śmiech.

– Doskonale! Teraz stańcie na czworakach. Przecwiczymy pozycję kota. – Wbiłam kolana w matę i za jej przykładem odchyliłam głowę do tyłu, wpatrując się w zamglone niebo. Prześwitujące między palmami słońce powoli zachodziło. – Pozostańcie w tej pozycji, a ja podejść do każdego po kolei i dam wam kilka wskazówek.

Niebo zmieniało się z każdą sekundą. Robiło się ciemniej, a ogniste języki muskały linię horyzontu i grzbiety rozbijających się w oddali fal. Malinowe i pomarańczowe smugi zlewały się ze sobą, a słońce przesunęło się coraz niżej. To był niezwykły widok.

Yvonne zaczęła krążyć wokół nas.

– Odrobinę wyżej, o tak. Doskonała rama. A teraz przenieś dłonie trochę poniżej linii ramion – poradziła komuś z drugiej grupy, po czym podeszła do mnie.

Zobaczyłam nad sobą jej opaloną twarz.

– Musisz unieść pupę nieco wyżej. – Spełniłam jej polecenie, choć czułam się idiotycznie. – Świetnie. – Wróciła na swoją matę. – A teraz wdech. Chciałabym, żebyście przy wydechu obniżyli pozycję. Raz, dwa, trzy. – Yvonne po

raz kolejny wypuściła ze świstem powietrze, a my opadliśmy na maty. I wtedy uświadomiłam sobie, że lepiej by było, gdybym została w toalecie nieco dłużej.

Pierdnęłam. Długo i głośno.

Cholera.

Zacisnęłam powieki. Myślałam, że umrę ze wstydu, ale udawałam, że to wcale nie ja ustanowiłam rekord świata w kategorii najgłośniejszego pierdnięcia – tak głośnego, że mogli je pewnie usłyszeć nawet moi rodzice w Manchesterze. Przez sekundę, która ciągnęła się w nieskończoność, słyszałam tylko szum palm na wietrze i uderzenia fal rozbijających się o brzeg.

Ku mojemu zaskoczeniu Yvonne nie zwróciła na to uwagi i poprosiła wszystkich, żeby przestali chichotać i powtórzyli ruch, który zademonstrowała. Rumieniec zniknął z moich policzków, wpatrywałam się w matę, starając się nie dać po sobie nic poznać.

O rany, chyba uszło mi to na sucho. Nikt się nie zorientował, że to ja!

I wtedy nadeszło uderzenie.

Do moich nozdrzy dotarł zapach – tak ostry, że zakrztusiłam się i zakaszlałam. W powietrzu unosił się smród siarki, który w upale wydawał się jeszcze bardziej nieznośny. Ludzie za moimi plecami zaczęli kaszleć, a chichoty ucichły.

– Kto, do cholery, wypuścił z siebie coś takiego?! – zawołała Bex. – Jeeeeezu!

– Spokojnie, spokojnie. To naturalne. Nasze ciała rozluźniają się podczas ćwiczeń na wszelkie możliwe sposoby – zauważyła Yvonne. Czulałam, że mrużąc oczy, przez chwilę zatrzymała na mnie wzrok.

Patrz w matę, patrz w matę.

– W tej eksplozji nie ma nic naturalnego! – Bex nie odpuszczała, a reszta zaczęła chichotać. – Kto to zrobił? No już, przyznać się!

Patrz w matę, patrz w matę.

– Moja droga, jesteśmy tu po to, żeby się odprężyć i uspokoić. Przejdźmy teraz do pozycji dziecka. – Yvonne rozpaczliwie próbowała opanować sytuację, ale nikt jej nie słuchał: chichotali jak szaleni.

Ja też zaczęłam się śmiać. Odwróciłam się i zaczęłam rozglądać, tak jakbym szukała winnego. Nagle spojrzałam na Chrisa. Siedział na macie tuż za mną, co oznaczało, że znalazł się na linii strzału i to właśnie on doświadczył najsilniejszego uderzenia. Cholera. Zmierzył mnie wzrokiem, jakby rzucał mi wyzwanie i oczekiwał, że się do wszystkiego przyznam. Ja jednak milczałam.

– No cóż, ktokolwiek to zrobił, powinien zdecydowanie odstawić curry – oznajmiła Bex, ostentacyjnie pociągając nosem.

– Wystarczy. Proszę, żebyście teraz usiedli na macie i podciągnęli nogi pod pośladki. – Yvonne obrzuciła Bex spojrzeniem, które bynajmniej nie wyrażało

hipisowskiego luzu i miłości do świata.

Bex wymamrotała coś pod nosem i po chwili lekcja potoczyła się dalej. Nie odważyłam się więcej spojrzeć na Chrisa, a przez resztę zajęć mocno zaciskałam pośladki.

Kiedy skończyliśmy, zwinęłam matę i położyłam ją obok innych mat u stóp Yvonne. Uśmiechnęła się do mnie. Ona wie. Ruszyłam szybkim krokiem w kierunku chaty, żeby sprawdzić, czy nie ubrudziłam spodni.

Położyłam się na łóżku, ukryłam twarz w dłoniach i zaczęłam przeklinać ten cholerny kraj, te cholerne cienkie ściany, ten cholerny wspólny pokój, to cholerne curry i tę cholerną jogę. Chris zjawił się chwilę później i zaczął rozpakowywać swój bagaż. Jego koszule były tak idealnie wyprasowane, jakby przywiózł je prosto ze sklepu.

– Wiesz, soczewica to jeden z najczęstszych powodów rozstroju żołądka – oznajmił bez cienia sarkazmu, układając swoje nieskazitelne ubrania na półce.

– Dzięki, ja... hm, będę o tym pamiętała – odpowiedziałam cicho, po czym odwróciłam się do ściany i przykryłam głowę cienkim prześcieradłem, marząc o tym, żeby zapaść się pod ziemię.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

### Entuzjizm, czyli stan, w którym radość łączy się z energią

Parę godzin później postanowiłam wstać. Chris zostawił mi liścik z informacją, że idzie na spacer. Miał bardzo staranny charakter pisma. Wzięłam chłodny prysznic, odświeżyłam się, a potem wyruszyłam na poszukiwania pozostałych członków grupy. Kiedy usłyszałam w oddali radosne okrzyki, serce zaczęło mi bić nieco szybciej. Cieszyłam się, że wszyscy tak świetnie się dogadywali. Wyglądało na to, że nikomu nie przeszkadza ani powiększenie grupy, ani chaotyczny przebieg wycieczki. W pewnej chwili głos Nihala wzbił się ponad pozostałe: przewodnik opowiadał właśnie jakiś dowcip, a pozostali pękali ze śmiechu. Przypomniała mi się wycieczka po Tajlandii, okropny przewodnik Kit i ludzie, z którymi po raz pierwszy doświadczyłam tego typu podróży. Tamte koszmarne przeżycia skłoniły mnie do założenia Biura Podróży Samotnych Serc. Nie chciałam, żeby ktokolwiek inny, kto przeżył zawód miłosny, znalazł się w takiej sytuacji.

Cała grupa siedziała na plaży na wielkich poduchach i matach ułożonych wokół ogniska. Nagle uświadomiłam sobie, że właśnie dlatego tu jestem. O to w tym wszystkim chodziło: chciałam pomagać ludziom rozwiązywać problemy, jednocześnie poznając malownicze zakątki na całym świecie. Znalazłam sobie wolne miejsce w kręgu i usiadłam na piasku.

– Hej, co straciłam? – zapytałam.

– Zaraz będziemy jedli kolację. Ustaliłem z szefem kuchni, że przygotuje nam tradycyjne dania podawane na Goa – oznajmił z dumą Nihal.

– Nie mogę się doczekać. – Przypomniałam sobie, co Chris mówił o soczewicy, i postanowiłam tym razem odpuścić sobie dahl.

– Dziś jest wyjątkowy wieczór, bo jutro obchodzimy święto Holi. Rozpala się z tej okazji ognisko Holika. Skoro już czekamy na kolację, to może zagramy w jakąś grę? Lepiej się dzięki temu poznamy.

Ameera pokiwała głową i dodała:

– Wiem, że wycieczka wydawała się do tej pory dość chaotyczna, ale dotarliśmy na Goa, a skoro mamy tu dwie różne grupy, miło byłoby dowiedzieć się o sobie nieco więcej. – Wokół mnie rozległy się pełne aprobaty pomruki. – A więc... Louise, zaczniesz? Opowiesz nam, dlaczego tu jesteś?

Spojrzałam na nią ze zdziwieniem. Nihal doskonale wiedział, po co przyjechałam do Indii, ale najwyraźniej nic nie zdradził Ameerze.

– Tak, jasne... – wyjąkałam. Wszyscy spojrzeli w moją stronę.

– Nie musisz zaczynać, jeśli nie chcesz – wtrącił Nihal.

Ameera poklepała go delikatnie po ramieniu.

– Ale chyba nie masz nic przeciwko, prawda? – Zadała mi niewinne pytanie, a ja kompletnie nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Czy powinnam wymyślić jakąś historię o porzuceniu i złamanym sercu, czy raczej wyznać prawdę?

Potrząsnęłam głową i wzięłam głęboki wdech.

– A więc... no cóż, o tej porze w zeszłym roku planowałam właśnie swój ślub. – Zamilkłam na chwilę. Nadal nie mogłam uwierzyć, że kiedyś taka byłam. Musiałam za wszelką cenę zorganizować idealne wesele, mieć perfekcyjnie udekorowane stoły, kompozycje kwiatowe, próbki ciast... I nawet nie zdawałam sobie sprawy z tego, jaka jestem nieszczęśliwa – do czasu, aż straciłam nad wszystkim kontrolę, wsiadłam na pokład samolotu do Tajlandii i przestałam oglądać się za siebie. Liz uśmiechnęła się, próbując dodać mi otuchy. – No więc... któregoś wieczoru, kilka miesięcy później, mój narzeczony wrócił z pracy i po prostu ze mną zerwał. Powiedział, że nie chce się ze mną ożenić. To nie była przedślubna panika ani lęk przed zobowiązaniami: okazało się, że zdradzał mnie od ładnych paru miesięcy.

– Co za drań! – wykrzyknęła Bex.

Uśmiechnęłam się.

– Tak, też tak pomyślałam. – Przesypywałam przez palce ziarnka piasku.

– A teraz tak nie myślisz? – zapytała Liz.

Potrząsnęłam głową.

– Nie. Owszem, zachował się okropnie i okazał tchórzem, który wycofał się dopiero dwa tygodnie przed tym drogim, ekstrawaganckim ślubem. Ale w rzeczywistości pomógł mi się przebudzić. Tak bardzo skupiałam się na byciu idealną wersją samej siebie, spełnianiu oczekiwań narzeczonego i rodziny, że kompletnie się zatraciłam. Zagubiłam gdzieś Geor... to znaczy Louise... przepraszam. Zagubiłam Louise i Alexa, nasz związek.

– Nie mogę uwierzyć, że mówisz o tym z takim spokojem – mruknęła Sarah, dziewczyna z kręconymi włosami. Pokiwała głową z podziwem.

– No cóż, wydaje mi się, że każde rozstanie ma swoje pozytywne strony, a każdy koniec jest też szansą na coś nowego – zauważyłam. Przypomniało mi się to, co Rahul powiedział nam w świątyni w Bombaju. – To strasznie irytujące, ale wszystkie te wyświechtane, powtarzane w nieskończoność frazesy okazują się prawdziwe. Czas leczy rany, zasługujesz na kogoś lepszego, a wszystko stopniowo się ułoży. Musisz tylko znać swoją wartość i wierzyć, że prędzej czy później będzie dobrze.

Widząc wpatrujących się we mnie ludzi, na których twarzach malowały się smutek, niepewność i poczucie straty, poczułam, że powinnam mówić dalej:

– Dotarliście wszyscy tutaj, daleko od domu i od wszystkiego, co jest wam

znane, co zapewnia poczucie bezpieczeństwa. Macie za sobą... hm, trudny początek tej wycieczki, ale myślę, że będziecie potrafili spojrzeć wstecz i poczuć się pewniej dzięki doświadczeniom, które do tej pory zgromadziliście. Cholera, w końcu niecodziennie człowiek może zagrać w bollywoodzkim filmie! Takie chwile powinny dodawać nam odwagi!

– A w jaki sposób... no wiesz, zapomniałaś o narzeczonym? – zapytała Liz, bawiąc się wystrzępionym brzegiem maty.

– Zaczęłam podróżować. Postanowiłam spojrzeć na wszystko z innej perspektywy. Dosłownie i w przenośni. Poznałam wspaniałych ludzi i dałam sobie czas, żeby opłakać to, co straciłam. Ale choć wiem, że nigdy już nie doświadczę u jego boku tamtych chwil, jestem szczęśliwa, bo nauczyłam się samodzielności, mam nowych przyjaciół i odwiedziłam miejsca, których w przeciwnym wypadku nigdy bym nie zobaczyła. Odpowiadając zatem na twoje pytanie słowami Kelly Clarkson: nie pozwoliłam, by to mnie zabiło, stałam się silniejsza.

Rozległy się oklaski, a ja zarumieniłam się i otarłam łzy.

– Więc dlaczego zdecydowałaś się na tę wycieczkę? Skoro już wcześniej podróżowałaś i na nowo ułożyłaś sobie życie? – zapytał Chris, brutalnie sprowadzając mnie na ziemię.

– No cóż, ja... – wyjąkałam. – Nigdy nie wiadomo, kiedy lepiej się poczujesz ani kiedy na nowo staniesz się sobą. Zawsze chciałam zobaczyć Indie, ale choć po pierwszej podróży nabrałam pewności siebie, brakowało mi odwagi, żeby samotnie odwiedzić ten kraj. Dlatego postanowiłam wybrać się na tę wycieczkę. Eee... kto następny? – zapytałam, uśmiechając się do pozostałych. Miałam nadzieję, że ta odpowiedź na razie wystarczy.

Flic podniosła rękę, ale nie zdążyła się odezwać, bo przerwał jej Chris:

– A więc można powiedzieć, że jesteś pierwszą członkinią Klubu Podróży Samotnych Serc?

Roześmiałam się. Robiło mi się coraz bardziej nieswojo.

– Hm... tak, właściwie tak można powiedzieć. – Naprawdę nie miałam ochoty wyznawać teraz wszystkim, że jestem właścicielką biura podróży. Zwłaszcza gdy zamierzali się wreszcie otworzyć. – Flic, twoja kolej, chciałaś chyba zabrać głos...

– Tak. Ja...

– Czyli nie masz już złamanego serca, prawda? Podróże pomogły ci pogodzić się z rozstaniem. – Chris przerwał jej po raz kolejny. Wszyscy spojrzeli na niego ze złością. Naprawdę robił wszystko, żeby z nikim się nie zaprzyjaźnić.

Spojrzałam na niego i uśmiechnęłam się. Ogarnął mnie smutek. Nie czułam się co prawda tak zagubiona i samotna, jak podczas poprzedniej podróży, ale nadal nie dotarłam z Benem do etapu, o którym marzyłam.

– Hm, no cóż... Chyba po prostu nie udało mi się zrealizować wszystkiego,

co zamierzałam – wyjąkałam.

– Ollie pomoże ci zapomnieć o byłym! – zawołała Bex, a reszta się roześmiała.

– Zamknij się – syknął Ollie. Zauważyłam, że zerknął szybko na Liz, która siedziała sztywno i wydawała się bardzo skrępowana.

– Okej, pora na Flic. – Staralam się nie zwracać uwagi na Chrisa i jego szyderczy uśmiezek, wyraźnie dając przy tym do zrozumienia, że przesłuchanie Louise/Georgii uważam za zakończone.

– Nie, już nieważne – odpowiedziała Flic.

– W takim razie teraz ja opowiem wam o sobie – oznajmił Chińczyk z grupy Ameery. – Mam na imię Bo.

Bo zaczął opowiadać o trudnym rozstaniu ze swoją dziewczyną z liceum, która rzuciła go dla faceta poznanego na siłowni. W pewnej chwili przestałam go słuchać i pograżyłam się w rozmyślaniach. Co właściwie działo się między mną a Benem? Targały mną sprzeczne emocje, z którymi nie mogłam sobie poradzić. W jednej chwili chciałam zebrać się na odwagę i wyznać mu swoje uczucia, a potem uznawałam to za nic nieznaczącą błaźnię, flirt, który należał do przeszłości. Czy Ben kiedykolwiek stanie się częścią mojej przyszłości, czy na zawsze pozostaniemy już tylko kolegami z pracy? Może powinnam wreszcie o nim zapomnieć i pójść dalej?

Chińczyk nie przeprocował jeszcze najwyraźniej fazy wściekłości i agresji po rozstaniu, bo zakończył swoją opowieść, mamrocząc pod nosem, że jego eks to koszmarna suka. Zamierzałam właśnie wtrącić się i wyjaśnić, że to głębokie pragnienie zrobienia laleczki wudu z twarzą dawnej ukochanej niedługo minie, kiedy rękę podniosła Liz.

– Tak? – Ameera posłała jej ciepły, zachęcający uśmiech.

Liz odchrząknęła, a Ollie poderwał głowę ze zdziwieniem.

– Świetnie rozumiem Bo. – Mówiła cicho, a jej głos ledwo dało się słyszeć pośród huku fal uderzających o brzeg. – Ja... byłam w podobnej sytuacji.

– Opowiesz o tym? Dzielenie się takimi doświadczeniami bardzo pomaga – zachęcała łagodnie Ameera.

Liz pokiwała głową.

– Wiem, o czym mówi Bo, bo sama byłam taką dziewczyną. Zdradziłam swojego chłopaka.

Do jej szarych oczu napłynęły łzy. Bałam się, że reszta grupy, przede wszystkim Bex, wrzuci ją zaraz do ognia i zacznie skandować: „spalić tę zdradziecką sukę” – ale wszyscy milczeli. Prawdopodobnie nikt nie spodziewał się po Liz takich wyznań.

– Spędziłam z tym wspaniałym mężczyzną cztery lata. Nigdy mnie nie skrzywdził. Nie był zbyt dobry w łóżku. Na początku to akceptowałam, ale po



pewnym czasie zaczęło mi to przeszkadzać. – Łzy pociekły po jej policzkach i zaczęły skapywać na spodnie. Ollie wydawał się rozdarty: wyraźnie miał ochotę przytulić tę kobietę, która mu się podobała, ale czekał na wyjaśnienia. – Któregoś wieczoru, kiedy mój chłopak wyjechał w delegacji, poszłam sama do baru i strasznie się upiłam. Wróciłam do domu z jakimś mężczyzną, którego imienia nawet nie znałam. Kiedy już było po wszystkim, zaczęło mnie dręczyć poczucie winy. Wyrzuty sumienia nie dawały mi spokoju. Brzydziłam się sobą. – Głośno pociągnęła nosem. Reszta grupy nie odrywała od niej wzroku. Kto mógł przypuszczać, że Liz okaże się czarnym koniem naszej grupy? – Ale nie przestałam tego robić. Podniecało mnie związane z tym ryzyko. Niemal chciałam zostać przyłapaną, udowodnić, że mnie nie doceniał i że nie jestem słabą, cichą, nudną kobietą. Pewnej nocy znalazł w moim telefonie jakieś wiadomości i wpadł w szal. Zupełnie słusznie. Zaczął krzyczeć, że jestem suką, dziwką i że zламаłam mu serce. Nigdy nie zapomnę obrzydzenia malującego się na jego twarzy. Spakował się i wyszedł. Nigdy nie wrócił. Postanowiłam pójść na terapię, opowiedzieć komuś o tym, co zrobiłam i jak skrzywdziłam bliską osobę. – Liz nabrała powietrza. – Terapeutka wyjaśniła mi, że to naturalne, że chcę czuć się spełniona w każdym aspekcie swojego związku. Choć źle postąpiłam, tamte decyzje pozwoliły mi zrozumieć, co najbardziej cenię w partnerze i jakie mam potrzeby. Niestety, mój eks i ja po prostu nie byliśmy sobie pisani.

Ollie otworzył oczy tak szeroko, że miałam wrażenie, że zaraz zobaczę jego mózg. Próbował naprędce przeanalizować to, co przed chwilą usłyszał: dziewczyna, która tak mu się podobała, okazała się seksoholiczką.

– Nie opowiadałam o tym nikomu oprócz mojej terapeutki. – Liz otarła oczy i rozejrzała się. – Bardzo żałuję, że zdradziłam swojego chłopaka. Wiem, że wielu z was przyjechało tu właśnie dlatego, że zostaliście skrzywdzeni przez swoich partnerów. Teraz pewnie wszyscy mnie znienawidzicie. Ale nie mogłam dłużej udawać, że to ja jestem ofiarą.

– Chodź tu! – powiedziała Bex, mocno przytulając Liz. Ollie wyglądał tak, jakby marzył o zrobieniu tego samego. – Oczywiście, że cię nie znienawidzimy. Zachowałeś się bardzo odważnie. Wszyscy jesteśmy z tobą.

– Dziękuję! Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy – wyszeptała Liz, przełykając łzy.

O rany, naprawdę zadręczała się tym, co zrobiła. Przez chwilę zastanawiałam się, czy Alexa nachodziły czasem podobne uczucia i czy żałował tego, jak mnie potraktował. Szybko jednak odrzuciłam te myśli. Nie chciałam wracać do przeszłości.

– Od dawna planowałam wybrać się na tę wycieczkę, ale kiedy zaczęliście opowiadać o tym, jak zostaliście zdradzeni, bałam się wyznać prawdę. Wiem, że oficjalnie nie kwalifikuję się do grupy osób, którym złamano serce, ale nadal uczę

się być sama, próbuję określić, czego spodziewam się w związku i pracuję nad swoją pewnością siebie.

– Wydaje mi się, że zrobiłaś już dziś pierwszy krok. – Uśmiechnęłam się do niej. – Bex ma rację: to było bardzo odważne i jestem przekonana, że niedługo odnajdziesz to, czego szukasz. – Nie spjrzałam na Olliego, ale czułam na sobie jego wzrok.

– Słuchajcie – wtrącił się Stefan.

– Chcesz opowiedzieć nam o sobie? – zapytał Nihal. – Wydaje mi się, że kolacja zaraz będzie gotowa.

– Nie, to znaczy... tak. Mogę o sobie później opowiedzieć, ale na razie spójrzcie tam. – Stefan wyciągnął rękę i wskazał ocean. Na falach tańczyła ogromna ławica latających ryb, których łuski migotały w świetle księżyca.

– Ekstra! – zawołał Ollie. Oparł się na łokciach i zaczął podziwiać to niezwykle widowisko.

Nagle fala cofnęła się, ryby opadły na brzeg i zaczęły się rozpaczliwie rzucać na mokrym piasku.

– Musimy wrzucić je do wody! – krzyknął Ollie, zrywając się na równe nogi.

Pobiegliśmy za nim. Chwytałyśmy mokre, śliskie ryby i wrzucaliśmy je do wody. To była prawdziwa praca zespołowa: zadbałyśmy o to, żeby wróciły do swoich rodzin, całe i zdrowe.

Po kolacji ruszyliśmy chwiejnym krokiem do swoich pokojów, najedzeni i zadowoleni. Ten wieczór sprawił, że staliśmy się sobie bliżsi. Panowała kompletna ciemność, a ja słyszałam tylko krzyki i wybuchy śmiechu. Każdy próbował odnaleźć swoją chatę, oświetlając sobie drogę komórką i od czasu do czasu na kogoś wpadając. Kiedy dotarłam na miejsce, Chris już smacznie spał. Wrócił dużo wcześniej – najwyraźniej szczerze rozmowy nieszczególnie mu odpowiadały. Żałowałam, że nie został z nami, bo bardzo chciałam się dowiedzieć, kto go skrzywdził. Najchętniej pogratulowałabym tej osobie. Daj spokój, Georgio, nie bądź taka.

O dziwo, wcale nie czułam się nieswojo, dzieląc pokój z obcym mężczyzną – może dlatego, że przy Chrisie mogłam co najwyżej zanudzić się na śmierć. Umyłam zęby i położyłam się do łóżka, które okazało się zdecydowanie wygodniejsze, niż przypuszczałam. Zgasłam lampkę nocną.

– Louise... Mnnnnmm.

– Słucham? – wyszeptałam. Dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, że Chris mówi przez sen. Świetnie. Jeszcze chwila i zacznie chrapać.

– Biznes. Okej, napiszę to. Okej.

Włożyłam zatyczki do uszu i błyskawicznie zasnęłam.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

### Frajda, czyli nieskrępowana radość

– Wesołego Holi!

Nihal i Ameera biegli roześmiani wzdłuż plaży, ściskając w rękach reklamówki. Po kilku ostatnich dniach wszyscy chcieli się wreszcie wyspać, więc spędziliśmy leniwy, absolutnie bezproduktywny poranek. Większość grupy zebrała się w restauracji: niektórzy jedli późny brunch, inni grali w karty albo leżeli w kolorowych hamakach i czytali.

– Wesołego Holi! – zawołała Ameera, zerkając na Nihala, który zatańczył wokół stołu, a po chwili się do nas dosiadł. – Dziś obchodzimy święto kolorów i miłości. Musicie ubrać się na biało. Mamy kilka koszulek dla tych, którzy nie wzięli ze sobą białych ubrań.

– Przynieśliśmy też farbę Holi. – Nihal pokazał nam papierowe torebki pełne proszków w jaskrawych kolorach: czerwonym, niebieskim, pomarańczowym, żółtym i różowym.

– Puder? – zapytała Bex ze zdziwieniem. – Czy to nie powinny być zwykłe farby? Czymś takim raczej nie pomaluje się ścian.

– Ha, ha! Mieszmamy te proszki z wodą i robimy z nich pastę, którą można potem wszystkich wysmarować! – Podekscytowana, radosna Ameera rozdała nam torebki.

Wkrótce rozpoczął się karnawał barw. Na ulice wylegli ludzie, a na ich ciałach widniały wszystkie kolory tęczy. Mali chłopcy biegali z pistoletami na wodę, mierząc do wszystkich i wszystkiego, co stało im na drodze – włącznie z bezpańskimi psami, które szczekały i rzucały się w pogoń za strumieniami wody uderzającej w rozgrzaną ziemię.

– Wodne bomby!!! – zawołała Bex, ciskając czymś, co przypominało raczej wypełnione farbą kondomy.

Coraz wyraźniej słyszałam dźwięk bębnow: przez miasteczko przechodziła parada, w której brali udział mężczyźni i chłopcy śpiewający jakąś radosną piosenkę. Ich rzęsy pokrywał zielony pył, oblane farbą włosy przylgnęły do głów, a ramiona zdobiły wielobarwne plamy jak z obrazów Moneta.

– Kiedy zbliża się pełnia, nadchodzi wiosna i pojawiają się nowe możliwości. To czas naprawiania zepsutych relacji, zapominania o przeszłości i wybaczenia – wyjaśnił Nihal. Starał się zachować powagę, choć wyglądał tak, jakby przed chwilą znalazł się w pobliżu potężnej eksplozji chemikaliów. Miał na sobie tony pyłu, kolorowego proszku i farby. – Właśnie dlatego tak bardzo zależało

nam na spędzeniu z wami święta Holi. To idealna okazja dla członków Klubu Podróży Samotnych Serc: możecie wejść w nową fazę lżejsi, szczęśliwsi i gotowi na miłość!

Ogarnęła mnie radość i poczucie bez troski. Kompletnie zapomniałam, że miałam być udającą podróżniczkę kobietą biznesu. Obrzucałam kolorowym proszkiem wszystkich, którzy stanęli mi na drodze. Hindusi mieli rację: czas skończyć z przeszłością i zacząć nowe życie. To przypominało wiosenne porządki, tyle że wokół nas było zdecydowanie więcej chaosu, bałaganu – i dobrej zabawy. Całe miasteczko uczestniczyło w zabawie, wszyscy mogli choć na chwilę zapomnieć o troskach i udawać duże dzieci.

Kiedy skończył nam się przygotowany przez Nihala i Ameerę zapas farb, ruszyliśmy do chat. W drodze powrotnej robiliśmy sobie wiele zdjęć i upajaliśmy się swoim groteskowym wyglądem.

– Hej, Chris, strzel nam fotkę! Louise, uśmiechnij się! – krzyknęła Bex. Chris pokiwał głową i skierował w naszą stronę obiektyw swojego drogiego aparatu. Wyszczrzyłam zęby w uśmiechu i uniosłam kciuk w górę. – Dobra, a teraz wszyscy razem. – Bex otoczyła ramieniem Nihala i przyciągnęła nas do siebie. Kazała Chrisowi podać telefon uprzejmemu przechodniowi, który akurat nas mijał i zgodził się zrobić zdjęcie. – Powiedzcie: „Wesołego Holi!”.

– Wesołego Holi! – zawołaliśmy chórem.

Kilka godzin później, po zachodzie słońca, wsiedliśmy do zielonożółtych, trójkołowych riks, które miały nas zabrać na miejsce. Zmierzaliśmy do Doliny Lamparta, gdzie w dżungli odbywały się wielkie, całonocne obchody święta Holi. Udało mi się wsiąść do innej rikszy niż Chris: Ollie zaproponował, żebyśmy pojechali razem. Uśmiechnięty Hindus powitał nas z radością, nie przejmując się tym, że ubrudzimy siedzenia farbą.

– Nie wolisz jechać z Liz? – zapytałam. Lekko się pochyliłam, wsiałam do tuk tuka i opadłam na obite skórą siedzenie.

Ollie ruszył za mną.

– A więc domyśliłaś się, że ona mi się podoba? – Wydawał się zawstydzony.

– Ollie. – Odwróciłam się w jego stronę. – Wszyscy wiedzą, że podoba ci się Liz. A przynajmniej wszyscy oprócz samej Liz. I może Bex – dodałam.

Ukrył twarz w dłoniach.

– Tak, no cóż... Naprawdę myślisz, że Liz się nie zorientowała?

Potrząsnęłam głową.

– Myślę, że Liz ma chwilowo inne zmartwienia. Na pewno uważa, że po tym, co wczoraj wyznała, cała grupa jej nie cierpi.

– Nadal nie mogę w to uwierzyć! – zawołał Ollie. – Oczywiście nie pochwalam zdrad, ale nigdy, przenigdy bym nie pomyślał, że ona jest zdolna do... czegoś takiego.

– Tak, no cóż, jak to się mówi, cicha woda brzegi rwie. – Uśmiechnęłam się i chwyciłam mocniej siedzenie, kiedy gwałtownie skręciliśmy. – Ale jeżeli nie masz problemu z... hm, jej potrzebami... – Zamilkłam. Czułam się dość nieswojo, omawiając potencjalne życie erotyczne Liz i Olliego. Nagle w tuk tuku zrobiło się bardzo duszno.

Ollie wydawał się równie skrępowany. Wyjrzał przez zakurzone okno, a po chwili odpowiedział:

– Tak. No, ale wiesz... lubię wyzwania.

– To świetnie! – odpowiedziałam z nieco zbyt dużym entuzjazmem. – Hm... świetnie. Więc po prostu z nią porozmawiaj. Zaproponuj, żebyście jutro spędzili cały dzień tylko we dwoje. Jestem przekonana, że Nihal nie miałby nic przeciwko temu, gdybyście się na jakiś czas wymknęli. Na pewno chętnie udzieli wam potrzebnych wskazówek i poleci romantyczne miejsca, które moglibyście odwiedzić.

– Hm... – wymamrotał Ollie, zeskrobując kawałek farby z paznokcia. – Ale Louise...

– Tak?

– Co, jeśli nie... no wiesz, jeśli nie sprostam jej wymaganiom? – Wydawał się tak przejęty i zaniepokojony, że ledwo zdołałam stłumić śmiech. Położyłam mu dłoń na ramieniu i lekko go ścisnęłam.

– Ollie, Liz byłaby szalona, gdyby nie skorzystała z okazji i nie poszła z tobą na randkę. Nie zamartwiaj się tym, okej?

Pokiwał głową i nagle mnie przytulił. Poczułam na sobie wzrok kierowcy tuk tuka. Obserwował nas w lusterku.

– Dzięki, Louise. Serio. Strasznie się cieszę, że przyjechałaś na tę wycieczkę. – Puścił mnie i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Liz byłaby szalona, gdyby mu się oparła.

– Dzięki. Ja też – odpowiedziałam absolutnie szczerze. – Co masz do stracenia? Nigdy przecież nie wiadomo, co przyniesie jutro.

– Jesteśmy na miejscu. Dolina Lamparta! – oznajmił kierowca tuk tuka, przerywając nam tę szczerą rozmowę. Zatrzymaliśmy się na zatłoczonym parkingu.

Reszta grupy czekała już przy dużym znaku. W ciemności rozbrzmiewało rytmiczne dudnienie basów, a nad naszymi głowami kołysały się zielone palmy.

– Na Goa obowiązuje surowy zakaz hałasowania i wszelkie plenerowe imprezy kończą się zwykle o dziesiątej – tłumaczył właśnie Nihal. – Ale na czas Holi zapominamy o wszystkich zasadach! – Roześmiał się.

– Pamiętajcie, że przez całą noc będą jeździły tuk tuki, więc jeśli się zmęczycie i będziecie chcieli iść spać, możecie w każdej chwili wrócić. – Ameera zerknęła na Chrisa. – Cała reszta może się bawić do białego rana. Kupiliśmy wam nowe farby, więc zaszalejcie i cieszcie się tym wspaniałym świętem! – Rozdała

nam kolejne torebki z kolorowym proszkiem, po czym ruszyła w głąb dżungli krętą ścieżką, wzdłuż której płonęły pochodnie.

Artyści w niesamowitych strojach tańczyli na wysokich, migoczących platformach. Jeden z mężczyzn połykał ogień, a dwie dziewczyny obrzucały go łakomymi spojrzeniami. Setki ludzi – miejscowych, podróżników i obcokrajowców mieszkających na Goa – wiły się w rytm muzyki elektronicznej. Ich kolorowe ciała świeciły w jaskrawym świetle stroboskopów. Ta impreza nie przypominała niczego, co wcześniej widziałam.

Kiedy byłam młodsza, wolałam się trzymać z daleka od sceny klubowej i muzyki elektronicznej: miałam paranoję, że ktoś dosypie mi czegoś do drinka, bałam się, że gdzieś obok mnie dojdzie do bójk, zniechęcała mnie też perspektywa spędzenia połowy nocy w kolejce do damskiej toalety. Wolałyśmy z Marie spędzać sobotnie wieczory w barach albo pić drinki w domu, co kończyło się zwykle tak, że nigdzie nie wychodziłyśmy, bo musiałam odgarniać rude loki przyjaciółki, kiedy wisiła nad sedesem i wymiotowała.

Przeciskając się w stronę baru, czułam się tak, jakbym przebijała się przez gęste kłęby dymu. Ze wszystkich stron uderzały we mnie strumienie kolorowego proszku.

– Hej, co pijecie? – zapytał uśmiechnięty barman w bandanie. Miał na powiekach odblaskowe kropeczki.

– Ja stawiam – oznajmił Ollie, próbując przekrzyczeć muzykę.

– Dzięki! – zawołałam. – W takim razie poproszę piwo.

– Już podaję! – Barman wysypał sobie trochę proszku na dłoń, po czym zdmuchnął go tak, jakby to był czarodziejski pył.

Ollie spojrzał na mnie i powiedział z zaskakującą determinacją:

– Porozmawiam z Liz. Wyznam jej, że mi się podoba. – Wyprostował się. Wyglądał tak, jakby przygotowywał się do pojedynku. – Tak jak mówił Nihal, dzisiejszy dzień to czas nowych początków. Dam radę.

Poklepałam go po ramieniu.

– Brawo. Zobaczysz, będzie dobrze.

Pokiwał głową, dyskretnie obwąchał sobie pachy, po czym ruszył na poszukiwania Liz. Miałam nadzieję, że rozpozna ją nawet pod warstwą pyłu i kolorowej farby.

– Dobrze się bawisz? – Nihal zbliżył się do mnie tanecznym krokiem i oparł ramię na barze.

– Tak! Tu jest niesamowicie! – Roześmiałam się, wskazując tłum tańczących ludzi, którzy gwizdali i kierowali światełka w stronę człowieka wirującego na podeście. – Właśnie czegoś takiego potrzebowałam po Bombaju i Delhi!

– Przynajmniej tyle mogłam zrobić, żeby podziękować ci za uratowanie mojego związku. – Zamilkł na chwilę i pomachał do Ameery, która z gracją

kołysała się w rytm muzyki. Miała na sobie długą spódnicę, a kolorowy materiał zdawał się tańczyć bez jej udziału. – Jesteśmy ci naprawdę wdzięczni, Georgio. – Szybko się rozejrzał, sprawdzając, czy nikt go nie usłyszał. – To znaczy Louise – dodał głośniejsze.

– Nic takiego nie zrobiłam. – Zarumieniłam się.

– No dobrze, a teraz skończmy z rozmowami i weźmy się do tańca, panno Green! – zawołał Nihal. Roześmiał się i pociągnął mnie w stronę Ameery.

Kiedy didżej zagrał remiks *Shake It Off* w wersji bhangra – co brzmiało zdecydowanie lepiej, niż mogłoby się wydawać – ludzie po prostu oszaleli. Gdybyśmy znajdowali się pod dachem, ten dach z pewnością zostałby w tym momencie zdmuchnięty. To była jedna z tych chwil, kiedy nie od razu dociera do ciebie to, czego doświadczasz. Lał się ze mnie pot, moją skórę pokrywała gruba warstwa farby i pyłu, a ja zapomniałam o wszystkim i tańczyłam na obchodach święta Holi w środku indyjskiej dżungli, na wycieczce, którą zorganizowało moje biuro podróży. O rany.

– Idę poszukać toalety! – zawołałam, a Ameera kiwnęła głową.

Zaczęłam przeciskać się między rozgrzanymi, lepкими ciałami wijącymi się na parkiecie i w końcu dotarłam do linii drzew. Znajdowała się tam strefa chilloutu: na wielkich poduchach leżących na porośniętej bluszczem werandzie odpoczywali zmęczeni podróżnicy, którzy leniwie palili sziszę i pili piwo, od czasu do czasu wznosząc toasty. Zachowywali się tak, jakby nawet nie zauważyli, że dosłownie o kilka metrów dalej trwa szalona hinduska impreza.

– Wesolego Holi! – zawołała do mnie krótko ostrzyżona blondynka, kiedy myłam ręce.

Spojrzałam na nią. Wydała mi się tak podobna do Shelley, że mogłaby być jej siostrą bliźniaczką. Miała mnóstwo piegów i radosne zielone oczy. Zmarszczyła brwi: nie wiedziała, czemu się na nią gapię. Klon Shelley uświadomił mi, że przetrwałam prawie cały wyjazd bez przyjaciółki, a strach, który odczuwałam na lotnisku w Manchesterze, wszystkie obawy, że sobie nie poradzę – dawno już się rozplynęły. Udało mi się. Wszystko dobrze się skończyło.

– Ojej, tak, przepraszam! Wesolego Holi! – Uśmiechnęłam się, a dziewczyna skinęła głową i szybko się wycofała.

Wyminęłam trzech Hindusów, którzy szli chwiejnym krokiem w stronę toalet, i ruszyłam na poszukiwania reszty grupy. Roześmiałam się na widok małej, na oko siedmioletniej dziewczynki, całkowicie pokrytej farbą. Z szelmowskim uśmiechem posypywała kolorowym proszkiem każdego, kto ją mijał, i krzyczała przy tym z radości.

– Hej, macie ochotę na drinka? – zapytałam, podchodząc do Olliego, Bex i Liz, którzy nachylali się właśnie nad Chrisem i wpatrywali się w ekran jego komórki.

Nikt nie zwrócił na mnie uwagi.

– Halo?! – powtórzyłam nieco głośniej.

Powoli unieśli głowy i spojrzeli na mnie z mieszaniną obrzydzenia, niechęci i smutku.

– Co się stało?

Spuściłam wzrok, zerknęłam na telefon Chrisa i poczułam się tak, jakby ktoś wrzucił mi za dekolt kostkę lodu. Przeszedł mnie dreszcz. Zdałam sobie sprawę, że to, co próbowałam dotąd ukrywać, wyszło właśnie na jaw.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

### Fikcja, czyli coś, co istnieje tylko pozornie

Na ekranie iPhone'a Chrisa zobaczyłam filmik, który nakręciliśmy z Benem w naszym biurze. Chodziło o stworzenie krótkiego nagrania, w którym zareklamowalibyśmy nasz biznes. Ben ledwo zdołał mnie na to namówić, bo nie znosiłam występów przed kamerą. Martwiłam się, że nie poszłam wcześniej do fryzjera, że mój głos brzmi zbyt męsko i że mam podkrążone oczy.

Boże, wyglądałam wtedy zupełnie inaczej.

Filmik powstał dosłownie kilka tygodni wcześniej, a mimo to, widząc swoje zmęczone oczy, potargane włosy i słysząc swój ochryply głos – ledwo rozpoznałam samą siebie. Zdawałam sobie jednak sprawę, że piskliwy śmiech, idiotyczny dżingiel, który nagrali kumple Bena, i niezbyt atrakcyjny wygląd to w tej chwili najmniejsze z moich problemów.

– Gdzie to znalazłeś? – zapytałam Chrisa. Zrobiło mi się gorąco i czułam, jak drży mi dolna warga.

– Oto Georgia Green: podróżniczka ze złamanym sercem, a jednocześnie właścicielka biura podróży i organizatorka całej tej wycieczki – rzucił ostro Chris. Reszta grupy wpatrywała się we mnie szeroko otwartymi oczami, w napięciu czekając, aż coś powiem.

– To naprawdę ty, Louise? – zapytała Liz. Do oczu napłynęły jej łzy. – Jesteś właścicielką tego biura podróży? Nie przyjechałaś tu na wycieczkę, tak jak my wszyscy?

Zrobiło mi się niedobrze. Nie mogłam wydusić z siebie słowa, więc po prostu pokiwałam głową. Modliłam się w myślach, żeby Chris wyłączył wreszcie to cholerne nagranie. Dołączyła do nas reszta grupy – wszyscy zaglądali Chrisowi przez ramię, oglądali filmik i odwracali się do mnie ze zdziwieniem. Jemu jednak najwyraźniej sprawiało to przyjemność. Wreszcie znalazł się w centrum uwagi. Widząc, jak się tym upaja, miałam ochotę zwymiotować.

– Louise? Naprawdę masz na imię Georgia? – wyjąkała Bex. Po raz pierwszy na tym wyjeździe zabrakło jej słów.

Czułam utkwione we mnie spojrzenia. Od głośnej muzyki kręciło mi się w głowie, swędziała mnie pokryta farbą skóra, a radość, która ogarnęła mnie dosłownie dziesięć minut wcześniej, nagle wyparowała i przekształciła się w kałużę potu u moich stóp.

– Zaraz, czyli... okłamałaś nas? – Ollie, który stał dosłownie kilka centymetrów ode mnie, naprężył się tak, jakby zamierzał mnie uderzyć.

Raz jeszcze pokiwałam głową.

– Nie wierzę. Myślałem, że jesteś jedną z nas – wycedził. Odnotowałam z satysfakcją, że otaczał Liz ramieniem.

– Jestem! – zaprotestowałam.

W całej tej scenie nie uczestniczyli tylko Nihal i Ameera. Rozejrzałam się rozpaczliwie, licząc na to, że przyjdą mi z pomocą. Byłam pewna, że staną w mojej obronie. Ale nie mogłam dostrzec ich twarzy w morzu kolorowych ciał.

– No tak, jasne. Czyli to był jakiś dziwny eksperyment, zadanie, które musiałaś wypełnić, żeby odmeldować się do centrali i doradzić, jak poprawić wyniki sprzedaży albo inne takie brednie – rzucił Ollie.

Nie sądziłam, że może wpaść w taką furię. Bex tymczasem milczała. Patrzyła na mnie z rozczarowaniem, a po chwili potrząsnęła głową i odeszła.

– Bex, zaczekaj! Ollie, posłuchaj! To naprawdę nie tak. Owszem, to ja zorganizowałam tę wycieczkę. To ja jestem właścicielką biura podróży. Ale naprawdę byłam kiedyś na waszym miejscu, miałam złamane serce i wiem, jak bardzo to boli. Wiem też, że czas leczy rany i że stopniowo wszystko się układa.

Ollie przewrócił oczami.

– Naprawdę oczekujesz, że będziemy ci współczuli? Szpiegowałam nas przez cały wyjazd, a teraz wrócisz do swojej willi i wykorzystasz to, co ci opowiedzieliśmy, żeby sprzedawać więcej wycieczek? Skłoniłaś nas, żebyśmy się otworzyli – ale nie dlatego, że cię to obchodzi. Musiałaś po prostu wypełnić jakiś kwestionariusz. Nie mogę uwierzyć, że nas okłamałaś, Louise... Georgio, czy jakkolwiek masz, kurwa, na imię! Ufałem ci. – Drżał i mocno zaciskał szczęki, głos mu się łamał.

– Chciałabym mieć cholerną willę! – syknęłam, po czym zdałam sobie sprawę, że przecież nie w tym rzecz. Dodałam szybko łagodniejszym tonem: – Ollie, proszę, wysłuchaj mnie. Owszem, mam na sumieniu kilka niewinnych kłamstw. Rzeczywiście jestem właścicielką biura podróży, ale mnie też złamano serce. Nie planowałam tu przyjechać i nie zamierzałam was szpiegować. Jestem tu tylko dlatego, że dowiedziałam się o kłopotach Nihala. Rzuciłam wszystkie swoje sprawy – dodam, że mieszkam w ciasnym mieszkanku – i postanowiłam zadbać o to, żeby wycieczka do Indii okazała się tak ekscytująca, jak to tylko możliwe. – Rozpłakałam się. Łzy wściekłości i frustracji spływały mi po pokrytych farbą policzkach.

– No cóż, dzięki tobie na pewno jej nie zapomnimy – rzucił oschle.

– Wiem i przepraszam was za to. Nie o to chodziło. Chciałam tylko pomóc wam stanąć na nogi po rozstaniach. Wam wszystkim. – Rozejrzałam się, szukając jakiejś przyjaznej twarzy.

– No cóż, skoro jesteś taką ekspertką od relacji, to na pewno wiesz, jak trudno na nowo komuś zaufać – oznajmił Ollie, po czym minął mnie szybkim

krokiem, ciągnąc za sobą Liz.

– Ollie, zaczekaj, proszę! – Odwróciłam się i odkryłam, że reszta też sobie poszła. Zostaliśmy z Chrisem sami. – Nie musiałeś tego robić – powiedziałam.

– Nic nie zrobiłem. – Położył sobie dłoń na piersi. Był z siebie wyraźnie zadowolony. Co za palant. – Uznałem po prostu, że reszta powinna wiedzieć, że uczestniczy w jakimś marnym eksperymencie.

Zacisnęłam zęby.

– To nie był eksperyment.

Chris westchnął, po czym odłożył telefon i powoli pokiwał głową, tak jakby słuchał małego dziecka przedstawiającego mu swoje teorie.

– Hm. Okej. No dobrze, panno Green, a raczej Szefowo. Czy mogę już iść?

Ruszył przed siebie, zostawiając mnie samą – przygnębioną i upokorzoną.

Uciekłam z imprezy w dżungli, wróciłam tuk tukiem do chaty, a potem poszłam na długi spacer po pustej plaży. Rzuciałam kamyczki do morza i patrzyłam, jak na lśniącem w świetle gwiazd lustrze wody powstają kręgi. Miałam ochotę wskoczyć do wody i odpłynąć gdzieś daleko. Wszystko spieprzyłam. W ogóle nie powinnam tu przyjeżdżać. Ci ludzie mi zaufali, otworzyli się i wierzyli, że jestem taka jak oni. Okazałam się oszustką, manipulatorką, żalowaną bizneswoman, która wypruwała sobie żyły, żeby Biuro Podróży Samotnych Serc odniosło wreszcie sukces.

A przecież wszystko szło w dobrym kierunku. Od dawna nie czułam się tak szczęśliwa jak w ciągu ostatnich dwóch dni – doświadczyłam czegoś podobnego w Tajlandii u boku pierwszych członków Klubu Podróży Samotnych Serc oraz Bena i Jimmy'ego. Spędziliśmy tam tyle cudownych wieczorów na idealnej, pustej plaży dokładnie takiej jak ta. Wyglądaliśmy się, dyskutowaliśmy i puszczaaliśmy lampiony z zapisanymi na karteczkach życzeniami. No cóż, żadne z tych życzeń się nie spełniło.

Zamknęłam oczy i głęboko westchnęłam. Marie nie chciała ze mną rozmawiać, Ben świetnie radził sobie sam, a uczestnicy wycieczki – niektórzy stali się moimi przyjaciółmi – chcieli, żebym stąd spieprzała. Oglądając filmik z naszego biura i patrząc na tamtą kobietę, nie dziwiłam się, że Ben nie okazywał mi jakiegokolwiek zainteresowania. Wyglądałam koszmarnie.

Zresztą czułam się równie koszmarnie. Nadal się tak czułam. I nie miałam pojęcia, jak mogę to zmienić. Jak wszystko naprawić.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

### Dezercja, czyli ucieczka obliczona na ratowanie własnej skóry

Następnego dnia mieliśmy zwiedzić schronisko dla bezpańskich psów, a potem odwiedzić pobliską plantację przypraw – ja jednak postanowiłam nie opuszczać swojego azylu. Leżałam zwinięta w kłębek pod kołdrą. Chris wstał godzinę wcześniej. Kiedy poszedł pod prysznic i zaczął gwizdać, zatkałam uszy – teraz nie mogłam wyrzucić z głowy głównej melodii z *Gwiazdnych wojen*.

Przez całą noc nie zmrużyłam oka. Nadal nie rozumiałam, dlaczego Chris to zrobił. Skoro znalazł to nagranie, mógł mnie o nie zapytać, zamiast nastawiać wszystkich przeciwko mnie. Och, Boże, ciarki przechodziły mi po plecach na samą myśl o tym, jakie recenzje zbierze ta wycieczka.

– Dzień dobry, Szefowo – powitał mnie Chris, posyłając mi szyderczy uśmiezek. Rzucił tak jadowite spojrzenie, że wyobraziłam go sobie jako głaszczący puszystego kota czarny charakter z filmów o Jamesie Bondzie. Idealnie wyglądałby w satynowym szlafroku. – Nie zamierzasz szpiegować nas tego pięknego poranka?

– Wiesz, Chris, wcale nie musiałeś tego robić – powiedziałam, zaciskając pięści. Nie zamierzałam pozwolić, by ten obcy, arogancki człowiek mnie upokarzał. Miałam zbyt wiele do stracenia.

– Czego robić? Mówić prawdy? – Gorzko się roześmiał, odsłaniając cały rząd plomb. – Ci ludzie ci zaufali, Georgio. Zaufali ci i otworzyli się przed tobą, a ty ich przez cały czas okłamywałaś.

Zaczęłam trząść się z wściekłości i poczucia winy.

– Okej, może to tak wyglądało, ale przysięgam, że tego nie planowałam.

Uniósł w górę haczykowaty nos i głośno westchnął.

– Nieważne. Przepraszam, Szefowo, ale muszę już iść, reszta na mnie czeka. Zapisz to w swoich notatkach do raportu. Zakładam, że nie idziesz z nami. – Powiedziawszy to, odwrócił się do mnie plecami i zaczął się pakować. Zastanawiałam się, czy poczuje ból, jeśli z całej siły uderzę go w kościste plecy... ostatecznie jednak zrezygnowałam z tego rozwiązania. W końcu byłam szefową.

– Złapię was trochę później – wymamrotałam i odwróciłam się do ściany. Leżałam tak do czasu, aż drzwi zaskrzypiały i zamknęły się za Chrisem.

Co miałam teraz zrobić? Wiedziałam, że dojrzała osoba wstałaby z łóżka, przykleiłaby sobie do twarzy fałszywy uśmiech i udawałaby, że nic się wczoraj nie wydarzyło. Wiedziałam, że powinnam wziąć się w garść i przestać się nad sobą użalać. Owszem, nawaliłam, owszem, musiałam znowu wygospodarować czas na

przyjemności w swoim życiu i odnaleźć równowagę między pracą a życiem prywatnym. Owszem, powinnam zainwestować w dobry krem pod oczy. Ale mimo to udało mi się założyć odnoszący sukcesy biznes w okresie, w którym osiem na dziesięć firm nie było nawet w stanie dotrzeć do swoich pierwszych urodzin.

Między Benem a mną nie układało się tak, jak bym tego chciała, ale stało się tak dlatego, że wiecznie zajmowałam się pracą. Byłam gorsza od matek, które nieustannie piszą na Facebooku o swoich niemowlętach. Wierzyłam, że Marie mi wybaczy, jeżeli zacznę traktować ją jak prawdziwą przyjaciółkę, a nie kogoś, kto zawsze pozostaje gdzieś w tle i kogo można wiecznie zaniedbywać. Wiedziałam też, że powinnam zorganizować spotkanie całej grupy i wyjaśnić, co się tak naprawdę wydarzyło. Potrzebowałam w tym celu wsparcia Ameery i Nihala.

Jednocześnie miałam jednak świadomość, że nie dam rady się do tego zmusić. Po pierwsze, nienawidziłam występów publicznych – to Marie była królową w tej dziedzinie. Po drugie, nadal dręczyły mnie wyrzuty sumienia. Okłamałam swoich towarzyszy podróży. Bez przerwy stawały mi przed oczami wściekła twarz Olliego, drżąca warga Liz i zde gustowana mina Bex. Zapętały się jak jakiś koszmarny wygaszacz ekranu.

Ponieważ nie byłam w stanie zasnąć, podjęłam decyzję.

Nie mogłam spotkać się z resztą. Chciałam uniknąć konfrontacji. Nie miałam pojęcia, od czego zacząć i co powiedzieć – uznałam zatem, że najlepiej będzie, jeśli jak najszybciej wrócę do domu i przygotuję się na koszarne recenzje, które niedługo zaczną do nas napływać.

Jakimś cudem udało mi się połączyć z pozostawiającym wiele do życzenia Wi-Fi w mojej chacie. Szybko zabukowałam bilet na najbliższy lot do Manchesteru, jutro w porze lunchu. Kiedy już potwierdziłam zakup, modląc się, żeby połączenie internetowe nagle nie padło, odetchnęłam z ulgą. Po chwili zarezerwowałam nocleg w tanim hostelu przy lotnisku, gdzie zamierzałam spędzić swoją ostatnią noc w Indiach. Zdecydowałam, że zostawię list, w którym napiszę, że bardzo żałuję tego, co się wydarzyło, i uznałam, że powinni spędzić beze mnie resztę wycieczki.

Kiedy skończyłam, położyłam się na łóżku i zaczęłam masować pulsujące skronie. Wyjazd był w tej sytuacji najlepszym rozwiązaniem. Załatwiłam to, co miałam załatwić, rozwiązałam problem Nihala i nie miałam wątpliwości, że kiedy już ta wycieczka dobiegnie końca, kolejne odniosą wielki sukces. Poza tym dzięki mnie pogodzili się Nihal i Ameera. Wisienką na torcie było powoli rozkwitające uczucie Liz i Olliego. Głęboko westchnęłam, wstałam z łóżka i wyłączyłam klimatyzację. Chris zostawił ją na całą noc i strasznie przemarzłam. W pokoju zapadła wreszcie cisza. Słyszałam tylko szum fal i śpiew ptaków, przez okno wpadały do środka promienie słońca. Zaczęłam pakować plecak, zerkając ze smutkiem na pokryty farbą strój, który nosiłam w dniu święta Holi. To tyle, jeśli

chodzi o nowe początki. Najwyraźniej przeszłość nie zamierzała tak łatwo odpuścić.

Kiedy już spakowałam wszystkie ubrania, pościeliłam łóżko i założyłam plecak. Postanowiłam nie zostawiać Chrisowi żadnej wiadomości, zresztą i tak pewnie wytknąłby mi przy tej okazji parę błędów. Wyszłam na dwór i zmrużyłam oczy. Ciepłe, poranne słońce rozgrzewało moją skórę. Uniosłam twarz ku niebu. Boże, będę za tym tęskniła. Może kupię sobie lampę solarną albo przemaluję biuro na jasny kolor, żeby uzyskać zbliżony efekt?

– Louise! – Ośloniłam oczy dłonią, próbując zorientować się, kto mnie woła. Myślałam, że cała grupa ruszyła na wycieczkę. Cholera, naprawdę nie miałam siły na kolejne awantury. – Louise! – powtórzył głos. Odwróciłam się w stronę plaży. W piasku bawiło się troje chudych dzieci, ale nikogo poza nimi nie widziałam. Po dłuższej chwili zorientowałam się, że wołanie dochodzi z chaty Ameery i Nihala.

– Och, cześć – odpowiedziałam.

Ameera siedziała na niewielkiej werandzie. Miała na sobie różową, zwiewną sukienkę plażową, a włosy splotła w misterny warkocz. Wydawała się radosna i szczęśliwa.

– Wszystko w porządku? Chodź napić się ze mną herbaty. – Machnęła w moją stronę.

Okej, najpierw herbata, a potem znajdę tuk tuk, który zabierze mnie do hostelu przy lotnisku. Szybko pokonałam odległość między naszymi chatami. Choć miałam na nogach japonki, piasek parzył mi stopy.

– Hej, czemu nie pojechałaś do schroniska? – zapytałam, wchodząc na werandę po skrzypiących schodkach.

– Musiałam trochę odpocząć od Nihala.

Zamarłam.

– Coś się stało?

Ameera odrzuciła warkocze do tyłu i roześmiała się.

– Nie! Nie martw się. Chodź, usiądź. – Sięgnęła po dzbanek herbaty, po czym naląła korzennego napoju do dwóch małych filiżanek. Para połaskotała mnie w nos. – Dziś są urodziny Nihala, więc musiałam się go pozbyć, żeby móc zająć się prezentem. – Wskazała głową materiał leżący na stoliku.

– Urodziny Nihala?!

– Tak. Postanowiłam mu coś uszyć, bo nie miałam okazji pójść na zakupy w Delhi ani w Bombaju, a w miejscowych sklepach mają same pamiątki i sprzęt plażowy. Nihal nie jest zbyt wielkim miłośnikiem słońca. – Roześmiała się. – Dobrze się wczoraj bawiłaś? Dlaczego nie pojechałaś dziś z resztą grupy? – zapytała. Lekko wysuwała język, próbując skupić się na szyciu.

– Nie słyszałaś?

– O czym? – Spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

– Wszyscy mnie nienawidzą. – Wypiłam łyk herbaty. Parzyła mi przełyk.

– Co? O czym ty mówisz?

– Wczoraj wieczorem reszta uczestników wycieczki dowiedziała się, że tak naprawdę nie mam na imię Louise i nie jestem fryzjerką z Manchesteru. Nazywam się Georgia Green, jestem właścicielką Biura Podróży Samotnych Serc. – Zamilkłam na chwilę i dmuchnęłam kilka razy, starając się ostudzić herbatę. Ameera lekko się skrzywiła. – A teraz nienawidzą mnie za to, że ich okłamałam. Myślą, że zrobiłam to po to, żeby przeprowadzić eksperyment ich kosztem i poprawić wyniki sprzedaży.

– Ach.

– No właśnie.

Ameera milczała. Pokiwała głową i skupiła się na tkaninie. Spojrzałam w stronę plaży. Woda, zwykle brązowozielona i wzburzona, łagodnie muskała dziś brzeg. Ten widok działał niesamowicie kojąco, a mnie przysła ochota na kąpiel.

– Nie rozumiem, dlaczego od razu nie byłaś z nimi szczerą – powiedziała po dłuższym czasie, nie podnosząc wzroku.

– Jak mogłam być z nimi szczerą? Hej, witajcie w Indiach. Jestem właścicielką biura podróży. Bardzo proszę: powierzcie mi swoje najgłębsze tajemnice. – Ukryłam twarz w dłoniach. – Rozumiem, dlaczego są na mnie wściekli. Też bym była.

– Może ich nie doceniasz. Ci ludzie wiele przeszli, a część z nich na pewno została oszukana przez najbliższych. Potrzebują szczerości, na pewno by to zaakceptowali. – Zamilkła na chwilę i spojrzała mi prosto w oczy. – Ale to, że odegrałaś rolę Louise, nie miało związku tylko i wyłącznie z nimi, prawda?

Prawie zakrztusiłam się herbatą.

– Co masz na myśli? – zapytałam powoli.

– No cóż, Nihal mi o tobie opowiadał. Mówił o pisanych w biegu mejlach, które od ciebie dostawał, o telefonach w środku nocy, o tym, że bez przerwy zamartwiałaś się najdrobniejszymi szczegółami i kazałaś sobie wszystko drobiazgowo relacjonować. – Skrzywiłam się. Tak, to właśnie ja. – Szczerze mówiąc, Georgio, wyobrażałam sobie ciebie jako apodyktyczną pracoholiczkę i... kószmarną sukę – dodała, wzruszając ramionami. Targało mną mnóstwo emocji, a jej słowa bynajmniej mi nie pomagały.

– Dzięki – wymamrotałam.

Roześmiała się cicho i poklepała mnie po ręce.

– Ale potem lepiej cię poznałam. Zobaczyłam, jak bardzo ci zależy, żeby ta wycieczka przebiegała zgodnie z planem, widziałam też, jak ciężko pracowałaś, żebyśmy wrócili do siebie z Nihalem. I wtedy wszystko zrozumiałam: potrzebowałaś tak ścisłej kontroli nie ze względu na wyniki sprzedaży. Nie mogłaś po prostu pozwolić, żeby twój biznes upadł. – Pokiwałam głową, czekając na to, co

powie dalej. – Kiedy tu przyjechaliśmy, a ty mogłaś wreszcie przestać nad wszystkim czuwać, złapałaś trochę luzu. Wszyscy to zauważyli. Więcej się śmiałaś, umiałaś się odprężyć i zachowywałaś się bardziej spontanicznie.

– Tylko dlatego, że Indie mnie do tego zmusiły! – zaznaczyłam. Dlaczego nadal z tym walczyłam?

– No tak, Indie mają to do siebie. Ten kraj to wspaniała, pełna sprzeczności bestia, której nie potrafią poskromić nawet najsilniejsi ludzie. Ale jednocześnie daje ci to, czego potrzebujesz, w chwili, w której tego potrzebujesz, nawet jeśli nie zdajesz sobie z tego sprawy. – Ostrożnie ułożyła sobie materiał na kolanach. – Dobrze ci idzie. Twoje biuro podróży świetnie sobie radzi. Ale ty musisz przestać wszystko kontrolować i zacząć ufać innym. Czasem warto poprosić kogoś o wsparcie.

Pomyślałam o Benie i o tym, jak często prosił, żebym mu zaufała. Nieustannie powtarzał, że jesteście zespołem i że zawsze chętnie mi pomoże, jeśli tylko na to pozwolę. Ameera miała rację. Próbowałam kontrolować każdy najmniejszy element naszego biznesu. Przyczyny takiego zachowania wydawały mi się jasne: to była pierwsza praca, w której naprawdę dawałam z siebie sto procent; zależało mi na tym, żeby rodzice mnie doceniali, i chciałam mieć wreszcie coś, z czego mogłabym być dumna.

– Pewnie masz rację.

– Możesz być i Louise, i Georgią. Po prostu znajdź dla nich obu miejsce i dbaj o równowagę. – Uśmiechnęła się. – Dolejesz mi herbaty? Umieram z pragnienia.

Wlałam gęsty napój do filizanki, myśląc o tym, co przed chwilą powiedziała. Nie myliła się: rzeczywiście powinnam na nowo odnaleźć tamtą fajną, spontaniczną Georgię.

– Myślisz, że mu się spodoba? – zapytała Ameera, unosząc z dumą jasnobezową tkaninę, na której wyszyła niezliczone sceny, ozdabiając je błyszczącymi koralikami. Wszystko to robiło niesamowite wrażenie.

Na samym środku Ameera umieściła duże serce z czerwonego jedwabiu, a pod nim słowa „Jesteś w moim sercu”. Ten wzór został otoczony białą koronką przedstawiającą kontury Tadź Mahal. W innym miejscu złota satyna pojawiała się nagle na tle niebieskozielonego kawałka materiału jak wyspa wyrastająca z morza. W dolnym rogu dostrzegłam niewielki, wyszyty krzyżykami pociąg, a rogi tkaniny zdobiły lśniące kolorowe pasy. Ameera odwzorowała po prostu wycieczkę Biura Podróży Samotnych Serc.

– Tutaj umieściłam święto Holi, a tam plan filmowy na plaży w Bombaju. – Wskazała odpowiednie fragmenty swojego arcydzieła.

– O rany, Ameero, Nihal będzie zachwycony! To jest przepiękne! – Szeroko się uśmiechnęłam.



– Wygląda okej, prawda? – zapytała.

Wodziłam palcem po materiale. Nie kryłam podziwu. Musiała pracować nad tym przez wiele godzin.

– Wygląda dokładnie tak, jak wyobrażałam sobie tę wycieczkę.

Czułam się tak, jakby Ameera znalazła wszystkie moje foldery, w których przechowywałam setki zdjęć z tego kraju. Zanim tu przyjechałam, przeglądałam je od czasu do czasu, próbując wyobrazić sobie Indie i odpowiednio opisać je klientom. Ale to, co miałam teraz przed sobą, było dużo, dużo lepsze.

– Proszę. To dla ciebie. – Wręczyła mi tkaninę.

– Co? Nie! To przecież prezent urodzinowy dla Nihala – zaprotestowałam.

– No cóż, szczerze mówiąc, zmyśliłam to. – Uśmiechnęła się nieśmiało i spojrzała na mnie spod długich, ciemnych rzęs. – Miał urodziny trzy miesiące temu.

– Jak to? – zapytałam, kompletnie zdezorientowana.

– Doskonale wiedziałam, co wydarzyło się wczoraj wieczorem. Wszyscy o tym mówili. Szukałam cię, ale uciekłaś do chaty. Byłam przekonana, że nie zechcesz z nikim porozmawiać, zamkniesz się w sobie i po cichu się ulotnisz, z nikim się nawet nie żegnając.

Wskazała ruchem głowy plecak, który leżał u moich stóp. Wcześniej udawała, że go nie zauważyła.

– Dlatego postanowiłam zrobić sobie dziś wolny poranek i przekazać pałeczkę Nihalowi. Liczyłam na to, że uda nam się porozmawiać na osobności. Zaczęłam pracować nad tą tkaniną już po tamtym dniu na planie zdjęciowym w Bombaju. Chciałam podziękować ci za wszystko, co dla nas zrobiłaś. Nie wiedziałam, kiedy uda mi się skończyć i wręczyć ci ten prezent. To miały też być przeprosiny za tamten post na blogu. – Spuściła wzrok i spojrzała na zapiaszczoną podłogę werandy. – Naprawdę nie miałam pojęcia, ile szkód w ten sposób wyrządę. – Raz jeszcze wręczyła mi swoje arcydzieło. – To wszystko dzięki tobie, Georgio. Nihal i ja jesteśmy znowu razem, Liz i Ollie powoli się w sobie zakochują, Bex znalazła siłę, żeby być sobą, a wszyscy inni stopniowo dochodzą do siebie po bolesnych rozstaniach. Dzięki tobie. Ale ty też odbyłaś swoją podróż.

– Ja... – Nie wiedziałam, co powiedzieć. Patrząc w jej duże, pełne ciepła oczy, miałam ochotę się rozplakać.

– Proszę, nie wyjeżdżaj bez pożegnania. Musisz zakończyć tę podróż w dobrym stylu, zadowolona z siebie i dumna z tego, czego dokonałaś. Nie uciekaj po cichu, z podkulonym ogonem.

Ameera była chytra jak lis. Pokiwałam głową i przyjąłam tkaninę. Jeszcze nigdy kawałek materiału nie wzbudził we mnie tak wielkiego wzruszenia.

– Dobrze.

– Dziękuję. A więc na kiedy kupiłaś bilet? – zapytała.

-Wylatuję jutro w porze lunchu.

Pokiwała głową.

– Czyli spokojnie zdążysz jeszcze wszystko naprawić. To co, masz ochotę na szybką kąpiel?

Przytaknęłam i wyszczerzyłam zęby w uśmiechu, a potem mocno ją przytuliłam.

Woda okazała się chłodniejsza, niż przypuszczałam. W Tajlandii leniwie wygrzewałam się w błękitnym oceanie, ale tutaj mocne fale natychmiast zmusiły mnie do intensywnego wysiłku: musiałam się rozgrzać. Dzięki temu natychmiast odzyskałam energię i poprawił mi się nastrój. Ameera była w swoim żywiole: płynęła z wrodzoną lekkością, mknąc przed siebie motylkiem. Ja znałam tylko styl klasyczny, więc mocno się odepchnęłam i uniosłam głowę możliwie wysoko, jak jakaś staruszka na osiedlowym basenie, która nie chce zmoczyć sobie trwałej.

– Jeżeli tam dopłyniemy, będziemy mogły odpocząć na skałach! – zawołała Ameera, wskazując niewielką zatoczkę i wyrastające z wody skały, o które rozbijały się fale.

Jasne, świetne miejsce na odpoczynek, pomyślałam.

– Nie wiem, czy dam radę tam dopłynąć! – krzyknęłam, niepewnie młócąc dłońmi wodę. Miałam wrażenie, że od skały dzieli nas naprawdę duża odległość. Tymczasem plaża była na wyciągnięcie ręki. Czy nie mogłybyśmy tam po prostu wrócić i poopalać się?

– No chodź, Georgio! Jasne, że dasz radę! Louise na pewno by to zrobiła. – Ameera roześmiała się i przyspieszyła, kierując się w stronę skał.

Nabrałam powietrza i ruszyłam przed siebie, krztusząc się słoną wodą, która uderzała mi w twarz. Odległość między mną a Ameerą zaczęła się zwiększać. Stopniowo oddalałyśmy się od plaży.

Nagle moją prawą nogę przeszył ostry ból.

– Au! – wrzasnęłam. Ameera była jednak zbyt daleko, żeby mnie usłyszeć.

Szarpnęłam głową i zaczęłam się rozglądać, ale nie dostrzegłam nigdzie niebezpiecznej płetwy przecinającej powierzchnię wody. Czy w Indiach w ogóle żyją rekiny? Spodziewałam się, że lada chwila zobaczę wokół siebie kałużę krwi, ale nic takiego się nie stało. Mimo to z każdym ruchem ból stawał się coraz silniejszy. O co chodzi, do cholery? Skrzywiłam się i dotknęłam nogi. Wbrew moim przypuszczeniom wcale nie wbiłam palców w głęboką ranę. Och, no tak. To nie atak rekina, tylko zwykły skurcz! Ból jednak nie mijał. Musiałam podjąć decyzję: wracać na plażę albo płynąć dalej.

Ameera zbliżała się do zatoki, a jej czarny warkocz unosił się na wodzie. Nie wyczuwałam dna – nawet go nie widziałam. Co ja w ogóle wyprawiam? Przecież nie lubię wypływać tak daleko. W Tajlandii prawie umarłam podczas nurkowania, a teraz znowu zamierzałam narazić się na niebezpieczeństwo.

No już. Dasz sobie radę. Nie ma takiej rzeczy, która by cię pokonała! – dodawałam sobie w myślach otuchy, zmuszając zmęczony mózg do ignorowania bólu. Nie poddawaj się. Nie możesz teraz odpuścić.

Jęczałam, zaciskałam zęby i płynęłam dalej. Dawno już porzuciłam styl klasyczny i po prostu młóciłam wodę, wyciągając na przemian bolące ramiona, wymachując zmęczonymi nogami i wytrwale pracując naprzód. Myślałam, że idziemy się tylko potaplać w ciepłym morzu – nie przygotowałam się na cholerny morski maraton. Czy coś takiego w ogóle istnieje? No cóż, najwyraźniej istnieje.

– Już prawie jesteś na miejscu! – zawołała Ameera, która bez trudu wspięła się na skały, chroniąc się przed potężnymi falami. – Dasz radę!

Płyn przed siebie, płyn przed siebie – powtarzała w mojej głowie niebieska ryba z *Gdzie jest Nemo?* Wydawało mi się, że przez cały czas stoję w miejscu, a odległość dzieląca mnie od skał wcale się nie zmniejsza. Zamierzałam już krzyknąć do Ameery, że musi wrócić do wody i mnie holować, ale ona zaczęła nagle skakać i wrzeszczeć.

– Rekin! – Wskazała jakiś punkt za moimi plecami. – Płyn! Szybko! – Miała szeroko otwarte oczy i machała jak szalona.

Dałam z siebie wszystko. Płynęłam tak, jakby od tego zależało moje życie – zresztą wyglądało na to, że tak właśnie jest. Dotarłam do Ameery i z jej pomocą wspięłam się na skałę, starając się jak najszybciej wydostać z wody.

– Gdzie? Gdzie jest rekin?

Dygotałam i z przerażeniem rozglądałam się wokół siebie, wypatrując we wzburzonych wodach samotnej płetwy. Miałam wrażenie, że zaraz zemdleję. Ciężko dyszałam, serce biło mi jak oszalałe i kręciło mi się w głowie.

– Cha, cha, cha! – Ameera wybuchnęła śmiechem. – Tu nie ma rekinów. Chciałam tylko cię zmotywować.

Miałam ochotę ją uderzyć.

– Przepraszam! Przepraszam. Ale zobacz, udało ci się!

Posłałam jej pełne wściekłości spojrzenie. Nie widziałam w tym nic śmiesznego. Po chwili jednak odwróciłam się. Zobaczyłam plażę – złotawą, majaczącą w oddali kropkę – i nasze chaty, które przypominały maleńkie brązowe plamki.

– O Boże! Zrobiłam to. Nie znoszę morza, ale i tak to zrobiłam!

Ameera przybiła mi piątkę.

– Tak jest! A teraz zjedźmy lunch. Umieram z głodu.

Spojrzałam na nią jak na wariatkę.

– Lunch? Zamierzasz łowić ryby?

Ameera znowu się roześmiała.

– Chyba nie myślałaś, że każę ci płynąć taki kawał tylko po to, żeby zaraz wracać? – No cóż, dokładnie tak myślałam. – Za tamtymi drzewami jest maleńka

ukryta kawiarnia, o której wiedzą tylko miejscowi. Mamy zarezerwowany stolik.

– Ale ja nie wzięłam gotówki. I mamy na sobie bikini!

– Phi. Nie martw się! Chodź, wszyscy czekają. – Pomknęła po skałach jak indyjska Lara Croft i po chwili zniknęła pośród drzew.

Przełknęłam ślinę.

Wszyscy?

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

### Konfrontacja, czyli spotkanie z wrogo nastawionymi ludźmi

Przyspieszyłam, żeby ją dogonić, ledwo powłóczęc nogami. Rozsunęłam opadające liście palm i wyszłam na miękki, gąbczasty mech. Przed sobą zobaczyłam niewielką chatę z pofałdowanego metalu i kilka rozrzuconych wokół niej stolików. W powietrzu unosił się zapach grillowanego mięsa. Nagle rozległy się oklaski. Ameera miała rację: wszyscy tu byli. Obie grupy zgromadziły się przy długim stole. Co tu się dzieje?

– Jesteście wreszcie! – Nihal wstał, pocałował Ameerę i uściśnił moją moką dłoń.

– O co tu chodzi? – zapytałam, ciężko dysząc. Nagle poczułam się w swoim bikini bardzo niekomfortowo. Ollie, jakby czytając w moich myślach, rzucił mi ręcznik. Przyjęłam go z wdzięcznością i szybko się nim owinęłam. Zerknęłam nerwowo na Olliego, nie wiedząc, czy zaraz nie zacznie na mnie znowu krzyżeć.

Zamiast tego łagodnie się uśmiechnął.

– Niezłe wejście. Obserwowaliśmy was i zakładaliśmy się, czy zdołasz tu dotrzeć. – Zerknął na Chrisa, który wydawał się niezwykle zainteresowany stojącą na stole solniczką i pieprzniczką.

Czułam się jak Leonardo Di Caprio w *Niebiańskiej plaży*. Tyle że Leo dopłynął do rajy, a mnie czekała konfrontacja z grupą osób, które wczoraj mnie nienawidziły. Nerwowo przygryzłam wargę i zerknęłam na Ameerę – niewinnie się uśmiechnęła.

– Dzięki. Sama nie byłam pewna, czy tu dotrę. – Usiadłam na jedynym wolnym krześle u szczytu stołu i odchrząknęłam. Musiałam wreszcie zrzucić z siebie ten ciężar. – Słuchajcie. Bardzo przepraszam za to, że nie wyznałam wam prawdy o przyczynach swojego przyjazdu do Indii. Naprawdę nie zamierzałam oszukiwać. – Zerknęłam na Liz, która trzymała Olliego za rękę. Skinęła głową, dając znak, żebym mówiła dalej. – Jutro wracam do domu. Ale nie mogłam wyjechać bez pożegnania. Chciałabym też wam wszystkim podziękować. Pokazaliście mi, jak bardzo się pogubiłam, choć nawet o tym nie wiedziałam.

– Wyjeżdżasz? – zapytała Bex, szeroko otwierając usta.

Przytaknęłam.

– Przez nas? – odezwał się Ollie, obgryzając paznokiec.

– Nie. Po prostu... czas już na mnie. I tak nie zamierzałam spędzić w Indiach zbyt wiele czasu, zresztą, jak już wiecie, mam na głowie biznes. Biznes, który zdążyłam trochę zaniedbać. – Kilka osób się roześmiało. – Wiem, że świetnie

poradzićie sobie beze mnie. Nihal i Ameera o wszystko zadbają – dodałam z przekonaniem.

Mówiłam to zupełnie szczerze. Jeżeli Nihal zdołał ściągnąć tu całą grupę, a Ameerze udało się skłonić mnie do tego wyznania, to Biuru Podróży Samotnych Serc absolutnie nic nie groziło.

– Będziemy za tobą tęsknili, Louise. To znaczy, Georgio – powiedziała Liz, a reszta pokiwała głowami.

Ameera wyszczerzyła zęby w uśmiechu, a Flic zaczęła poruszać powiekami, z całych sił starając się nie rozplakać. Zachowywała się tak, jakby ktoś dorzucił jej do łagodnego curry ostrą papryczkę chili. Jediną osobą, która nie patrzyła mi w oczy, okazał się jak zwykle Chris. Wcale nie miał ochoty tak łatwo o tym wszystkim zapomnieć.

– Bez ciebie to już nie będzie to samo – oznajmiła Bex, a następnie uniosła szklanke.

Wszyscy stuknęli się butelkami piwa Kingfisher. Rubinowe szkło zaśniło w promieniach słońca, sączących się pomiędzy liśćmi palm.

– Dziękuję – wyszeptalam, przelitykając lzy.

– No dobrze. Dość już tego. Czy nikt nie odniesie się do tego, że Flic zaczęła jeść mięso?! – zawołała nagle Bex. Wszyscy przenieśliśmy wzrok na naszą nadworną hipiskę, która właśnie pożerała kurczaka z grilla. Wyglądało na to, że naprawdę smakowało jej soczyste, miękkie mięso.

– No co? – zapytała jakby nigdy nic.

– Hm... Zapomniałaś o tych wszystkich teoriach, które bez przerwy powtarzasz? Że rząd kontroluje, co jemy, a wszystko, co wchodzi do twoich ust, musi być absolutnie czyste? – zapytał Ollie.

– W przeciwieństwie do tego, co z nich wychodzi – wymamrotała Bex.

Flic odłożyła patyczek po szaszłyku i wytarła tłuste palce serwetką. Zignorowała słowa Bex i przez chwilę wyglądała tak, jakby próbowała grać na zwłokę, obmyślając jakąś hipisowską teorię, która pozwoliłaby jej się wybronić. Ale kiedy wypila łyk wody mineralnej, nagle się roześmiała.

– Po prostu bardzo, bardzo tęskniłam za mięsem! Pieprzyć etykę. Ono naprawdę smakuje niesamowicie!

Wybuchnęliśmy śmiechem, a Flic zawołała kelnera i zamówiła kolejną porcję.

Bex otoczyła ją pulchnym, zaróżowionym ramieniem i mocno przytuliła.

– Jeśli jeszcze odpuścisz sobie te dredy, to już na pewno zostaniemy przyjaciółkami!

– À propos przyjaźni... – Zamilkłam. Nachyliłam się w stronę Bex i szepnęłam: – Musisz coś zrobić ze Stefanem. Nie wyjadę, jeśli nie będę miała pewności, że któreś z was zebrało się wreszcie na odwagę i wykonało pierwszy

krok.

Uśmiech natychmiast zniknął z twarzy Bex. Zarumieniła się i zerknęła ukradkiem w kierunku Niemca. Był pogrążony w rozmowie z Chrisem.

– Tak się składa, że zaprosił mnie na randkę...

– Widzisz! Mówiłam, że mu się podobasz!

– Tak, ale posłuchaj, Louise... To znaczy, Georgio. Ja jeszcze nigdy nie byłam na randce – wyznała, po czym zaczęła siorbać jak szalona, dopijając colę. A na koniec głośno beknęła.

Ach.

– Okej, tego może raczej nie rób. – Flic lekko się skrzywiła, po czym zajęła się kolejną porcją kurczaka z grilla.

– Widzisz, jaka ze mnie kretynka? Nie mam zielonego pojęcia o zasadach dobrego wychowania. Umiem być tylko sobą. – Bex jęknęła i szybko zerknęła w stronę Stefana, upewniając się, że jej nie usłyszał.

Krajało mi się serce, kiedy patrzyłam na tę pewną siebie kobietę, która nagle przyjęła rolę zagubionej, przerażonej nastolatki. Gdy w grę wchodziły uczucia, nawet najsilniejsza i najbardziej niezależna osoba zmieniała się w niepewnego neurotyka ze skłonnością do autoanalizy. Ileż godzin spędziłam na rozważaniach, czy moje wiadomości do Bena są wystarczająco błyskotliwe i dowcipne, czy nałożyłam odpowiednią ilość podkładu... To było wyczerpujące. Zdałam sobie sprawę, że powinnam w siebie wreszcie uwierzyć, zaakceptować to, jaka jestem. Jeżeli Ben szukał dziewczyny w typie Sereny, pozostawało mi życzyć mu szczęścia: nie mogłam i nie zamierzałam zmienić siebie.

– No właśnie – oznajmiłam.

– Co?

– Nie powinnaś zmieniać siebie tylko po to, żeby uszczęśliwić innych. Najwyraźniej Stefan się w tobie zadurzył i podobasz mu się taka, jaka jesteś. Nie udawaj kogoś innego. Jeśli coś przychodzi ci naturalnie, nie uciekaj przed tym.

Bex uniosła brwi i wytarła nos wierzchem dłoni.

– Super. Ta rada bardziej do mnie przemawia. O rany, naprawdę będę za tobą tęskniła! – Mocno mnie przytuliła i szepnęła mi do ucha: – Dziękuję. Za to, że tu jesteś, za to, że stworzyłaś to biuro podróży, i za to, że dzięki tobie wierzę, że wszystko się ułoży.

Lekko się odchyliłam i otarłam wilgotne oczy.

– Wiem, że wszystko się ułoży.

– Dobra. A teraz niech ktoś mi poda tego cholernego kurczaka. Umieram z głodu! – zawołała Bex, puszczając do mnie oko.

Wkrótce wszyscy pochłanialiśmy już miękki chleb naan, kawałki kurczaka z grilla, nadziewaną paranthę i rybne curry podawane na ogromnych liściach bananowca. Ostatnia wieczerza jeszcze nigdy nie smakowała tak dobrze.

Po długich pożegnaniach, wymianie adresów mejlowych i telefonów oraz serdecznych uściskach złapałam tuk tuka i ruszyłam na lotnisko. Obserwowałam przesuające się za oknem krajobrazy. Przetrwałam samotną podróż do Indii. Przetrwałam zatrucie pokarmowe, przetrwałam upokarzającą lekcję jogi, zagrałam nawet w bollywoodzkim filmie – a teraz nadeszła pora, by wrócić do domu i zmierzyć się z tym, co tam na mnie czeka. Nie chodziło tylko o pracę: wkrótce spotkam się z Benem, moim Benem, który zakochał się w Supermodelce Serenie – a oprócz tego będę musiała pogodzić się z obrażoną przyjaciółką.

Tuż po przebudzeniu sprawdziłam wiadomości na WhatsAppie. Ben nadal się nie odezwał. Staralam się nie myśleć o tym, że niedługo wrócę do ponurego Manchesteru, do naszego biura – i ustalę, co działo się podczas mojej nieobecności. Chociaż wyjaśniłam wszystko uczestnikom wycieczki, miałam wrażenie, że po tym, co zrobiłam, nadal patrzą na mnie w trochę inny sposób niż dotychczas. To mnie bolało, ale cieszyłam się, że przynajmniej nie uciekłam. Pozostawało mi liczyć na to, że nie posypią się krytyczne recenzje. Musiałam natomiast uprzedzić Bena, że raczej nie ma nadziei na pięć gwiazdek.

Przeszłam kontrolę bezpieczeństwa, a ponieważ nie zamierzałam robić zakupów w sklepie wolnoćlowym, usiadłam w kawiarni, zamówiłam ostatnią filiżankę czaju i połączyłam się wreszcie z dobrze działającym Wi-Fi. Uprzedziłam Shelley i rodziców, że wrócę trochę wcześniej, niż planowałam. Postanowiłam nie dzwonić do Bena: chciałam zrobić mu niespodziankę i nagle wkroczyć do biura. Byłam ciekawa jego reakcji. Jakaś część mnie wolała też utrzymać powrót w tajemnicy, żeby ustalić, co się właściwie dzieje między Benem a Sereną. Musiałam przecież wiedzieć, na czym stoję. Wypiłam łyk herbaty, ale intensywny, korzenny smak sprawił, że zrobiło mi się niedobrze. Cynamon i szafran przepalały mi przełyk.

– Przy bramce numer trzy rozpoczyna się odprawa pasażerów lotu 10KV do Manchesteru – zawył głośnik nad moją głową. Westchnęłam, porzuciłam niedopitą herbatę i ustawiłam się w kolejce. Czekaając w hali odlotów dusznego lotniska pośród opalonych turystów i eleganckich biznesmenów, poczułam nagle strach. Bałam się tego, co zastanę po powrocie.



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

### Konsternacja, czyli zaskoczenie do spółki z zakłopotaniem

– Cześć! Boże, jak miło jest wrócić! – zawołałam radośnie, wkraczając do biura i rzucając płaszcz na krzesło. Moje stanowisko pracy wyglądało tak, jakby przejęła nad nim kontrolę księżniczka Barbie: leżały na nim różowe, puchate długopisy i stały zdjęcia mopsów w ramach zdobionych cekinami i sztucznymi diamentami.

– Cześć! – Kelli podbiegła i mocno mnie przytuliła. – Wróciłaś wcześniej, niż zamierzałaś! – Przypominała psa, który wesoło macha ogonem, kiedy jego pan przekracza próg domu po ciężkim dniu w pracy.

– Dobrze cię widzieć, Kel! – Uśmiechnęłam się. – A gdzie reszta? – Rozejrzałam się po pustym pomieszczeniu. Minęła dziewiąta, a nie widziałam ani Bena, ani tajemniczej Sereny.

Kelli wzruszyła ramionami.

– Nie wiem.

Sięgnęłam po telefon, żeby zadzwonić do Bena, kiedy nagle drzwi się otworzyły. On i Serena weszli do biura, chichocząc jak najlepsi przyjaciele, którzy odnaleźli się po wieloletniej rozłące. Na mój widok Ben stanął jak wryty i szeroko otworzył usta.

– Georgia? – Na jego twarzy pojawił się szczery, radosny uśmiech. Podszedł i mocno mnie przytulił. Mój nos wypełnił intensywny zapach płynu po goleniu. – Co ty tu robisz?

Zanim zdołałam odpowiedzieć, zza jego pleców wyłoniła się atrakcyjna blondynka.

– Och, cześć! To na pewno Georgia. Miło cię wreszcie poznać. Jestem Serena. Tyyyyle o tobie słyszałam – powiedziała śpiewnym głosem, po czym postawiła papierowe kubki z kawą na biurku i uściśniła mi rękę.

– Właśnie, przepraszam. Georgio, poznaj Serenę. Sereno, to Georgia. – Ben przedstawił nas sobie i szeroko się uśmiechnął.

– Cześć. Miło cię poznać. – Próbowałam się nie zakrztusić, choć dusił mnie zapach jej nieznośnie słodkich perfum.

Miała na sobie obcisłą czarną sukienkę, idealnie układającą się na jej szczupłej, choć kobiecej figurze. Do tego dobrała zabójczo wysokie czerwone szpilki – takie, w których na pewno bym się zabiła. Lśniące pasemka powstały na pewno w drogim salonie fryzjerskim, a zęby zostały idealnie wybielone. Widząc ją, z zakłopotaniem wygładziłam bluzkę New Look, którą nosiłam od lat. Pomyślałam

ze smutkiem, że mogłam trochę bardziej zadbać dziś o wygląd. Byłam wyczerpana po locie, więc poszłam spać, kiedy tylko wróciłam do swojego chłodnego, cichego mieszkania. Niechcący wyłączyłam też budzik i zasnęłam, nie zdążyłam przed wyjściem wyprasować ubrań. Umalowałam się w pośpiechu, nałożyłam na przetłuszczone włosy trochę suchego szamponu, a potem popędziłam do biura. Niech to cholera.

– Zaraz, ale właściwie czemu już wróciłaś? Wszystko okej? – Uśmiech zniknął z twarzy Bena, a jego miejsce zajął niepokój.

– Tak, wszystko w porządku. Po prostu postanowiłam przylecieć trochę wcześniej – powiedziałam, machając ręką. – Napijcie się herbaty? – zapytałam. Nie miałam pojęcia, od czego powinnam zacząć, czułam się też coraz bardziej nieswojo. – Za żadne skarby nie wypiłabym kolejnej filiżanki czaju. – Roześmiałam się.

– Wszystko już mamy, dzięki. – Ben wskazał ruchem głowy kawę przyniesioną przez Serenę.

– Okej, zaparzę tylko dla siebie – wymamrotałam pod nosem. Ruszyłam do kuchni i wrzuciłam torebkę do jednego z nowych, kolorowych kubków stojących na półce. Te stare zniknęły, a kuchnia lśniła czystością.

– Ładne kubki! – zawołałam.

Kelli odwróciła się w moją stronę na ułamek sekundy.

– Tak, to zasługa Sereny.

Pokiwałam głową. Czy właśnie tak czują się koty, kiedy ktoś obsikał ich teren? Przez chwilę rozważałam upuszczenie kubka na podłogę, ale ostatecznie zrezygnowałam z tego pomysłu. Miałam ważniejsze sprawy na głowie. Musiałam opowiedzieć Benowi o tym, co wydarzyło się w Indiach.

– Masz dziś czas na krótką rozmowę? Powinniśmy podsumować ostatnie dni – zwróciłam się do Bena, pochylonego nad laptopem.

Westchnął i przeczesał włosy palcami. Ostrzygł się podczas mojej nieobecności i bardzo podobała mi się ta nowa fryzura.

– Niestety, nie bardzo. Nie spodziewałem się ciebie, więc mam dziś mnóstwo roboty. Może pogadamy jutro?

Poczułam głębokie rozczarowanie. Wiedziałam, że Ben musi pracować. Nie mógł przecież przewidzieć, że wrócę wcześniej. Naiwnie założyłam, że na mój widok rzuci wszystko i wybierze się ze mną na lunch albo przynajmniej szybką kawę, tak żebyśmy mogli nadrobić zaległości. Myślałam, że się za mną stęsknił.

Pokiwałam głową.

– Okej. A co masz dziś w planach? – zapytałam możliwie bez troskim tonem.

Wstał od biurka i zaczął wkładać kurtkę.

– Wizytę u dentysty. – Jęknął, a Serena zachichotała. Wzdrygnęłam się, słysząc jej piskliwy głos.

– Hej, to nie moja wina, że bez przerwy jesz ciasteczka – zakpiła. Dopiero po chwili zorientowali się, że ich żart jest hermetyczny. – Żałuj, że nie widziałaś, jak się rzucił na ciastka, które upiekłam parę dni temu. Był jak dziecko w sklepie z cukierkami.

– Najlepsze są te białe z grubą polewą. Niesamowite – wtrąciła się Kelli, łakomie się oblizując.

– A więc lubisz piec? – zapytałam.

– Georgio, nie uwierzyłabyś, jakie rzeczy potrafi upiec Serena. Przysięgam, odkąd tu pracuje, przytyłem już parę kilo. – Poklepał się po brzuchu.

– Och, daj spokój, świetnie wyglądasz – zapewniła Serena, dotykając ramienia Bena. Zatrzymała szczupłą dłoń na jego bicepsie nieco dłużej, niż powinna. Mocno zacisnęłam zęby.

Ben potrząsnął głową i spojrzał na mnie.

– Musimy mieć się na baczności. Niedługo nas zostawi i zgłosi się do *MasterChefa*. – Roześmiał się.

No tak, na pewno chciałaby, żeby cały kraj zobaczył jej bułeczki.

Udając zawstydzoną, Serena poklepała się po policzkach. Oczywiście idealnych.

– Och, przestań, rumienię się.

Czułam, że zaraz zwymiotuję. Nie umiałam gotować. Co się mówi o drodze do serca mężczyzny? No cóż, Serena najwyraźniej ją odnalazła.

– Co masz jeszcze na dzisiaj w planach? – zapytałam, próbując zmienić temat.

– Ach, no tak, przepraszam. Idę na branżowy lunch w Media City. To może trochę potrwać, sama wiesz, jak to zwykle wygląda. Ale umówmy się na jutro, dobrze? – Uśmiechnął się.

– Jasne. W takim razie powodzenia – powiedziałam. Odprowadziłam Bena tęsknym spojrzeniem, podziwiając jego idealny tyłek. O rany, ależ za tym tęskniłam.

Kiedy zamknęły się za nim drzwi, Serena zapytała:

– Jak było w Indiach?

– Naprawdę super – odpowiedziałam, posyłając jej wymuszony uśmiech.

– To świetnie. No cóż, musimy cię we wszystko wprowadzić. Ciężko pracowaliśmy z Benem nad wystąpieniem na Konferencji Przemysłu Turystycznego.

– Och, to świetnie – wymamrotałam.

Najchętniej pobiegłabym do kuchni i upiekła całą blachę niesamowitych ciasteczek, żeby udowodnić, że potrafię zrobić wszystko lepiej od niej. Ale zamiast tego słuchałam Sereny, która opowiadała o przestrzeni wystawienniczej i produktach w ofercie. Jasne, że Ben wolał ją ode mnie. Kto nie chciałby

podziwiać jej idealnej cery, perfekcyjnego makijażu i opalonych rąk? Ja tymczasem miałam bezkształtną garsonkę, zmierzwione włosy, które za nic w świecie nie chciały się ułożyć – i czułam się przy Serenie jak trędowata.

– Co o tym sądzisz? – Spojrzała na mnie wyczekująco, kładąc na biodrach dłonie z francuskim manikiurem.

– Tak, tak. Świetnie to wygląda – wymamrotałam, udając, że jej słuchałam. – Wiesz co, chyba przeczytam mejle, które zalegają w mojej poczcie.

Podeszłam do biurka, które jeszcze niedawno należało do mnie, a teraz zostało kompletnie zaanektowane przez Serenę.

– Ben ci o niczym nie mówił? Po waszej rozmowie poprosił, żebym zajęła się twoimi mejlami. Opracowałam taki nowy sys...

– ...system – dokończyłam za nią i pokiwałam głową. Oczywiście, że tak.

– Tak. – Lekko się zarumieniła. Na pewno należała do tych kobiet, które idealnie radziły sobie z konturowaniem, wyciskały sobie co rano świeży sok owocowy i czerpały przyjemność z uprawiania sportu. – Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko. Zasugerowałam kilka zmian, które powinny trochę wszystko usprawnić. – Musiała zauważyć moją minę, bo szybko dodała: – Chodzi tylko o parę drobiazgów.

Pokiwałam głową.

– Przepraszam, źle zrobiłam? – Przechyliła głowę z udawanym niepokojem.

– Nie. Nie, w porządku. – Zdobyłam się na kolejny wymuszony uśmiech. – Pokażesz mi te mejle?

– Oczywiście. Odpowiedziałam na te najpilniejsze, oczywiście w porozumieniu z Benem. Resztę posegregowałam i umieściłam w odpowiednich folderach, tak żeby łatwiej ci się je przeglądało. – Podeszła do mojego komputera i kliknęła myszką, ozdobioną teraz małymi diamencikami. Na ekranie pojawiły się wszystkie moje e-maile, przydzielone do folderów oznaczonych odpowiednimi kolorami. Cholera, ten system wydawał się naprawdę sensowny.

– Gdybyś miała jakieś problemy, daj mi znać. Ben na pewno się nie obrazi, jeśli popracuję dziś przy jego biurku. I tak wyszedł na cały dzień. W razie czego pytaj.

– Jasne, dzięki.

Opadłam na swój fotel, który musiałam lekko opuścić, bo został dostosowany do wzrostu Sereny. Pochyliłam się, a przy okazji dyskretnie otarłam łzy i wzięłam głęboki wdech. Ku mojemu niezadowoleniu opracowany przez nią system okazał się niesamowicie skuteczny. Wszystkie e-maile zostały pogrupowane i uporządkowane, a na te najważniejsze odpowiedziała oficjalnym, profesjonalnym tonem, podpisując się: *Serena DeVere w imieniu panny Georgii Green*. Z zaskoczeniem odnotowałam, że przez cały czas mojej nieobecności nie przyszły na moją skrzynkę żadne e-maile prywatne. Kliknęłam na ikonę spamu

i znalazłam tam kilka wiadomości od rodziców – specjalnie oznaczonych w taki sposób, żeby trafić do tego folderu.

– Hm... Sereno? – zapytałam.

Przekrzywiła lekko głowę.

– Tak?

Odchrząknęłam.

– Zastanawiam się, gdzie umieściłaś moje prywatne mejle. Znalazłam kilka w folderze ze spamem, ale czy nie było ich więcej?

Zarumieniła się.

– Och, przepraszam, Georgio. Naprawdę nie mam pojęcia, gdzie mogą być. Wszystko, co przypominało spam, przenosiłam do odpowiedniego folderu albo do kosza.

Otworzyłam kosz.

– Tylko że opróżniam kosz pod koniec każdego dnia. Bardzo mi przykro – dodała ze skruchą.

Posłałam jej wymuszony uśmiech.

– Nie szkodzi. Jeśli chodziło o coś ważnego, na pewno jeszcze raz się ze mną skontaktują.

Tak naprawdę gotowałam się z wściekłości, ale nie chciałam robić scen w obecności Kelli. Głęboko odetchnęłam i wróciłam do przeglądania korespondencji. Kręciło mi się w głowie. Od mojego powrotu z Indii minęła dopiero doba, a ja czułam się już tak, jakby wyrzucono mnie z gangu, który sama założyłam.

Dochodziła czwarta, ale miałam już dość. Ben nie zjawił się w biurze. Zadzwonił do Sereny, która przez całą rozmowę bawiła się włosami i chichotała. Poprosił, żeby nam przekazała, że zobaczymy się jutro rano. Nie mogłam się skoncentrować, nie miałam też siły dłużej gapić się w ekran komputera i słuchać idiotycznego dźwięku sygnalizującego przyjście nowej wiadomości. Zresztą większość z nich adresowana była do Sereny.

Wstałam i włożyłam płaszcz.

– Pójdę już.

– Okej. Ben dał mi komplet kluczy, więc wszystko pozamykam – zapewniła, podnosząc głowę znad komputera. Oczywiście, że dał jej komplet kluczy. Miałam nadzieję, że dobrze ją sprawdził, zanim się na to zdecydował. – W takim razie do jutra! Miłego wieczoru! – zaświergotała.

Wymamrotałam coś na pożegnanie i wyszłam na ulicę. W miejscu, które nazywałam dawniej domem, czułam się teraz kompletnie obco. Zaczęłam bezmyślnie krążyć po okolicy, oglądając witryny sklepowe i próbując poradzić sobie z przytłaczającym przygnębieniem. Nie chciałam wracać do zimnego, pustego mieszkania, w którym czekały na mnie tylko nierozpakowane bagaże,

pranie i pusta lodówka – ale nie mogłam też siedzieć dłużej w biurze.

Postanowiłam się z kimś spotkać. Shelley napisała mi wcześniej, że jedzie z Jimmym na jakąś wycieczkę dla par. Przez chwilę rozważałam, czy nie zadzwonić do Marie. Mogłybyśmy się wreszcie pogodzić i wypić razem wino. Ale Marie nie odezwała się do mnie ani słowem od czasu naszego niespodziewanego spotkania w pubie, a ja nie zamierzałam być tą, która pierwsza pęknie. Zadzwoniłam do rodziców. Na szczęście tata od razu odebrał i wydawał się zachwycony moim telefonem. Ruszyłam na stację. Zamierzałam odwiedzić rodziców: byłam przekonana, że ciepły, domowy posiłek i obecność bliskich skutecznie poprawią mi nastrój po tym beznadziejnym dniu.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

### Zaprzepaszczenie, czyli zmarnowanie pracy i wysiłku

– Otworzyć szampana, Len?! – zawołała mama. Krzątała się po kuchni, z której dochodził zapach peklowanej wołowiny i purée. – Przecież świętujemy!

– Szampana? Nie musicie robić sobie kłopotu tylko dlatego, że wróciłam z Indii. – Roześmiałam się.

– To świetny pomysł, Sheilo – odparł tata, po czym odwrócił się do mnie i wskazał miejsce na kanapie obok siebie. – Och, przepraszam, Georgie, to... hm... nie tylko z okazji twojego powrotu. Chcieliśmy podzielić się z tobą pewną nowiną. – Zarumienił się i zaczął bawić się pilotem. – To zwykły tani szampan, pewnie jakaś *cava*. Mamę trochę poniosło, sama wiesz, jaka ona jest. Ja i tak wolę piwo. – Poklepał się po nosie. – Poczekajmy na nią. Nie chcę psuć niespodzianki.

– Nie powiedziałaś jej, prawda? – Po chwili mama wpadła do pokoju z tacą, na której stały trzy wypełnione po brzegi kieliszki do szampana.

– O czym? – Spojrzałam na nią z zaciekawieniem i ostrożnie sięgnęłam po jeden z kieliszków.

Mama szeroko się uśmiechnęła i dała tacie znak, żeby stanął obok niej.

– No cóż, cieszymy się, że wróciłaś z Indii cała i zdrowa... – Wzniosła oczy do nieba, tak jakby odmawiała krótką modlitwę dziękczynną. – Chcielibyśmy ci też przekazać pewne wspaniałe wieści. Ty jej powiedz – zwróciła się do taty. – Nie, zaraz, sama to zrobię. Okej, no więc postanowiliśmy z tatą sprzedać dom.

Zamilkła i utkwiała we mnie wzrok.

Prawie zakrztusiłam się szampanem.

– Nie! Nie wolno wam! To nasz rodzinny dom. Wychowałam się tu. Nie możecie go sprzedać! A co ze wszystkimi wspomnieniami, z opowieściami zapisanymi w każdym pokoju? Dlaczego chcecie to zrobić? – Nie widziałam powodu do radości. To był koniec pewnej epoki!

– Georgio Louise Green – powiedziała mama surowym tonem, prychając z oburzeniem.

– Przepraszam. Po prostu jestem w szoku. Nie przypuszczałam, że kiedykolwiek go sprzedacie. – Przeprosiłam, choć nadal nie docierało do mnie to, co przed chwilą usłyszałam. Nie miałam siły na kolejne zmiany w życiu.

– No cóż, po tym, co się stało... – zaczął tata. – Na tę decyzję złożyły się wydarzenia z zeszłego roku: mój wypadek, odwołanie twojego ślubu i wszystko, co się z tym wiązało... Patrzyliśmy, jak zebrałaś się na odwagę i wyruszyłaś w podróż, a po powrocie założyłaś własny, odnoszący sukcesy biznes. Odważyłaś

się podążać za głosem własnego serca. No cóż... pomyśleliśmy, że też chcielibyśmy mieć coś od życia.

– Chodzi o kłopoty finansowe? – zapytałam z niepokojem.

Tata się roześmiał.

– Nie, po prostu zdaliśmy sobie sprawę, że lata mijają, starzejemy się, a dom już dawno udało nam się spłacić. Czas zacząć wydawać choć trochę oszczędności na siebie. Na całą naszą trójkę. Na razie mieszkasz w Manchesterze, ale nie sposób przewidzieć, dokąd zaprowadzi cię twój biznes. A jeśli biuro podróży się rozrośnie, jeśli powstaną kiedyś filie w Londynie, Paryżu, Nowym Jorku... – Zachichotał. – Chcielibyśmy mieć pełną swobodę, móc cię odwiedzać, kiedy tylko zechcemy.

– Dlaczego nie wybierzecie się po prostu na jakąś wycieczkę? Mamy świetną ofertę dla seniorów – powiedziałam.

Tata pogłaskał mnie po włosach.

– Na wycieczkę pewnie też się wybierzemy. Ale najpierw chcemy sprzedać ten dom, kupić coś mniejszego i łatwiejszego w utrzymaniu, na przykład w centrum. Wynajmowalibyśmy mieszkanie na czas wyjazdów.

To rozwiązanie wydawało się całkiem sensowne. Odkąd tata przeszedł na emeryturę, a mama coraz mniej czasu poświęcała pracy w stołówce, mieli sporo wolnego. Mimo to zrobiło mi się przykro na myśl, że obcy ludzie zamieszkają w moim rodzinnym domu i przewrócą do góry nogami przestrzeń, którą we trójkę stworzyliśmy. Myślałam, że mama i tata pozostaną tu już na zawsze. Wyobrażałam sobie, że pewnego dnia przyjadę tu ze swoimi dziećmi i pokażę im kreseczki, którymi tata oznaczał dawniej mój wzrost na ścianie. Ale nie mogłam przecież żądać, żeby rodzice czekali na coś, co mogło nigdy nie nadejść.

– O rany, przepraszam. No cóż, gratulacje. To dla mnie po prostu szok. – Uniosłam kieliszek, ale zdałam sobie sprawę, że zdążyłam go już właściwie opróżnić.

– Dziękuję, kochanie. To dobra rzecz. W ten sposób będziemy się częściej widywali. – Tata się uśmiechnął.

– Oglądaliśmy śliczne dwupokojowe mieszkania niedaleko ciebie – dodała mama. Wyciągnęła iPada, którego kupili w zeszłym roku przed moją podróżą, żeby móc rozmawiać ze mną na Skypie. Szybko uruchomiła portal Rightmove i wybrała listę zapisanych nieruchomości na sprzedaż. Oboje wydawali się tacy szczęśliwi i podekscytowani. Czułam się tak, jakbym znalazła się nagle w towarzystwie nowożeńców, którzy zamierzają kupić pierwsze wspólne mieszkanie. – Obejrzyj je, a ja zajmę się kolacją. – Podała mi iPada i dołała szampana. – Musisz zjeść coś ciepłego, dobrze ci to zrobi.

Mama zaczęła krzątać się po kuchni i nucić pod nosem, a tata popijał piwo i przesuwał palcem po ekranie, pokazując mi wybrane mieszkania. Nagle zachciało mi się płakać.



– Wszystko w porządku, kochanie? Przepraszam, że zwałiliśmy ci to na głowę... – Delikatnie pogłaskał mnie po rękę.

– Nie, nie o to chodzi. – Otarłam łzy. – Cieszę się, że podjęliście taką decyzję. Chodzi o to, że z naszej trójki jesteście jedynymi Greenami, którzy mają wszystko zaplanowane i umieją realizować swoje cele.

Tata przechylił głowę.

– Co masz na myśli? Wszystko w porządku w pracy?

Pociągnęłam nosem.

– Tak. Jak zwykle dużo roboty. Chodzi po prostu o to, że po powrocie z Indii wszystko wydaje mi się inne. Dziwne. Czuję się tak, jakbym goniła własny ogon i odłożyła na bok swoje życie. Przeprowadziłam się do mieszkania Marie tylko na jakiś czas, ale minęło już pięć miesięcy, a ja nie wiem, kiedy się stamtąd wyniosę. Nie widuję się z wami ani z przyjaciółmi, Ben zakochał się w Serenie, nie mam żadnego życia towarzyskiego, nie mówiąc już o życiu uczuciowym. – Tata pochylił głowę, wyraźnie skonsternowany. – Przepraszam, tato. Nie chciałam psuć nastroju. Zwłaszcza dzisiaj.

– Hej, nigdy nie psujesz mi nastroju. Zauważyłem, że nie jesteś ostatnio sobą. Myślałem, że lubisz mieć tyle pracy, ale jeżeli to cię unieszczęśliwia, to musisz koniecznie zmienić coś w życiu.

– Jestem szczęśliwa. Nie mogę uwierzyć, że biuro podróży tak prężnie się rozwija. W przypadku nowego biznesu to naprawdę rzadkie: z jakiegoś powodu ludzie doceniają to, co oferujemy. Staram się ze wszystkim nadążać i dbać o to, żeby klienci byli zadowoleni.

– Wiesz, Georgio, w takich chwilach potrzeba odwagi. Nawet kiedy jej nie masz, wystarczy udawać. Obiecuję ci, że nikt nie dostrzeże różnicy. Słuchaj, może zostaniesz na noc? Mama na pewno znajdzie dla ciebie jakąś pidżamę, a ja odwiozę cię rano do pracy – zasugerował łagodnie.

Pokiwałam głową.

– Bardzo chętnie.

Najadłam się, a potem włączyłam jakiś kretyński film, który uśpił tatę już w czasie napisów początkowych. Poczułam się nieco lepiej. Na koniec ruszyłam na górę do swojego pokoju i opadłam na łóżko. Na bladuróżowej kołdrze honorowe miejsce zajmował nadal Robbie, pluszowy baranek, z którym sypiałam w dzieciństwie i którego nazwałam na cześć Robbiego Williamsa. Zmyłam makijaż, włożyłam pidżamę, którą dała mi mama, i wskoczyłam do łóżka. Próbowałam zignorować zaniepokojone głosy rodziców, którzy rozmawiali tuż pod moimi drzwiami.

– Nie sądziłam, że tak się tym przejmie – powiedziała mama.

– No cóż, nikt nie lubi zmian.

– To prawda, ale ona ma prawie trzydzieści lat. Nie powinna się tak martwić

takimi sprawami.

Przykryłam głowę poduszką. Wszystko się zmieniało, a ja nie mogłam nic zrobić, żeby temu zapobiec.

Od lat tak dobrze nie spałam. Obudził mnie zapach kawy i bekonu. Dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, gdzie jestem: kiedy otworzyłam oczy, zobaczyłam przed sobą uśmiechnięte twarze chłopców z Take That i Boyzone. Przypomniałam sobie, że spędziłam tę noc w domu rodziców – prawdopodobnie po raz ostatni. Ta myśl naprawdę mnie przygnębiła. Nie mogłam znaleźć ubrań, które rzuciłam na podłogę, więc zesłam na dół w szlafroku, który mama zostawiła dla mnie w łazience.

– Dzień dobry, kochanie! – Tata szeroko się uśmiechnął. Miał na sobie fartuch z nagą kobietą i nalewał właśnie mleko do dwóch kubków z gorącą kawą. – Jak ci się spało?

Ziewnęłam i pocałowałam go w policzek.

– Świetnie, a tobie?

– Piwo chyba zważyło mnie z nóg. Spałem jak zabity. Wiedziałem, że wcześniej wstaniesz, więc przygotowałem śniadanie. Mama prasuje ci ubrania, a ja sprawdziłem korki. Możemy ruszać za pół godziny. Proszę. – Podał mi talerz pełen grubych, posmarowanych masłem tostów i chrupkiego bekonu.

Znowu ogarnęło mnie wzruszenie. Kiedy ostatnio ktoś zrobił mi śniadanie? Kiedy w ogóle jadłam ostatnio śniadanie?

– O rany. Dzięki, tato, niepotrzebnie robiłeś sobie kłopot.

– To żaden kłopot, Georgio. No dobrze, zabieraj się do jedzenia i powiedz mamie, że ona też może zaraz przyjść jeść.

Ruszyłam do salonu. Mama stała przy desce do prasowania i oglądała jakiś program śniadaniowy. Chciało mi się płakać. Wyprała i wyprasowała moje ubrania, przygotowała nawet swoje kosmetyki, żebym mogła się umalować.

Zjadłam śniadanie i zaczęłam szykować się do wyjścia. Miałam pełny żołądek, barwy wojenne na twarzy – i byłam gotowa na odzyskanie kontroli nad własnym życiem. Zamierzałam rozegrać to w stylu Louise.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

### Paroksyzm, czyli wstrząs albo gwałtowny wybuch

– Dzień dobry! – zawołała Serena śpiewnym głosem, kiedy wkroczyłam do biura.

Zwykle pędziłam ulicą, żeby jak najszybciej zacząć pracę, ale tym razem każdy krok stawiałam z niepokojem, mimo motywującego przemówienia, które wygłosiłam w myślach, jadąc z tatą samochodem. Wielokrotnie powtarzałam, że dam sobie radę.

– Dzień dobry.

– Nastawię wodę, co? Wyglądasz, jakby mogła ci się przydać mocniejsza kawa.

– Dzięki – odpowiedziałam. Nie skomentowałam sposobu, w jaki Serena zmierzyła mnie wzrokiem, zanim to powiedziała. Ben siedział już przy biurku i rozmawiał przez telefon, więc machnęłam do niego na powitanie. – Kelli jeszcze nie przyszła?

– Nie, jeszcze nie. Dałam jej wolne przedpołudnie – oznajmiła Serena, krzątając się po kuchni.

Pokiwałam głową, starając się ukryć irytację.

– Świetnie, w takim razie biorę się już do roboty. – Zerknęłam na swoje biurko. Panował na nim tak idealny porządek, że bałam się go dotknąć.

– Dzień dobry, Georgio. Pomyślałem, że mogłabyś popracować dziś przy biurku Kelli – powiedział Ben, kiedy odłożył słuchawkę.

Odwróciłam się do niego.

– O.

– To tylko tymczasowe rozwiązanie – zapewnił. – Serena poukłada swoje rzeczy i przeniesie się naprzeciwko. A potem będziemy musieli wymyślić jakieś stałe rozwiązanie.

– Okej, w porządku. – Uśmiechnęłam się i ruszyłam w stronę biurka Kelli, znajdującego się przy kominku. Gdybyśmy chcieli wstawić do tego pomieszczenia kolejne stanowisko pracy, zrobiłoby się strasznie ciasno. Nie wyobrażałam sobie, że Kelli miałyby siedzieć ze skrzyżowanymi nogami na podłodze, ale też nie przychodziły mi do głowy żadne inne rozwiązania.

Na szczęście pierwsza część dnia minęła bardzo szybko. Pojawiali się kolejni klienci, a ja postanowiłam skupić się na przejrzeniu wszystkich e-maili. Później zamierzałam zająć się papierkową robotą i innymi nudnymi sprawami organizacyjnymi. Ben i Serena grali pierwsze skrzypce. Niechętnie to

przyznawałam, ale Serena świetnie radziła sobie z klientami: dyskretnie podawała tym płaczącym pudełko chusteczek i parzyła im herbatę; z kolei tych zdenerwowanych zarażała swoim podeksycytowaniem. Chciałam porozmawiać z Benem na osobności i opowiedzieć mu o Indiach, ale po prostu nie miałam okazji. Serena bez przerwy się we wszystko wtrącała. Co ciekawe, Ben nawet nie zapytał mnie o wyjazd. Zachowywał się tak, jakbym wybrała się na wycieczkę, żeby się trochę zrelaksować.

Około południa zjawiała się Kelli. Jak zwykle wpadła do biura jak huragan, ściskając z dumą dwa bilety.

– Mam je! Udało się!

Serena podskoczyła z radości.

– Nie wierzę! Serio? – Kelli pokiwała głową. – O rany, to cudownie!

Kelli szeroko się do niej uśmiechnęła.

– Nie dostałam biletów w pierwszym rzędzie, ale i tak nie narzekam. Nie mogę w to uwierzyć! Nie sądziłam, że kiedykolwiek uda mi się pójść na koncert Battlestar Death Wing!

– Na czyj koncert? – zapytałam. Nie mogłam znieść nachalnej radości Sereny.

Kelli przewróciła oczami.

– Boże, Georgio. Battlestar Death Wing. To jeden z najsłynniejszych zespołów lat dziewięćdziesiątych.

– Aha, okej. – Zauważyłam, że Ben ledwo tłumi śmiech. Najwyraźniej też nie miał pojęcia, o kogo chodzi.

– Nie pamiętasz ich? – zapytała Serena, kiedy już przestała skakać wokół Kelli. Potrząsnęłam głową. – Miałam WSZYSTKIE ich płyty. W młodości byłam trochę *emo* – wyszeptala, zasłaniając usta dłonią.

– Więc idziecie razem na koncert? – zapytałam.

– Tak. Rozmawialiśmy kiedyś o muzyce, a Serena dowiedziała się, że Battlestar Death Wing planują jednorazowy wspólny występ. I to tutaj, w Manchesterze! – zawołała Kelli, wpatrując się w nową koleżankę z uwielbieniem. – Dziękuję, że dałaś mi wolne przedpołudnie. Inaczej w życiu nie zdołałabym kupić biletów.

– Och, nie. To ja dziękuję, że je zdobyłaś. Potem oddam ci pieniądze, okej? – Serena lekko się zarumieniła.

Ben wzruszył ramionami i uśmiechnął się pod nosem. Odwróciłam się i utkwiałam wzrok w ekranie swojego komputera. Czułam się bardzo wykluczona, bardzo niefajna i bardzo poirytowana.

– Chciałam kupić nam sushi na lunch, bo mówiłaś, że je lubisz. Ale w końcu nie zdążyłam – powiedziała Kelli.

– Ach, to strasznie miłe! – zawołała Serena. – Nie martw się, przygotowałam

zdrowe curry na cześć Georgii. Musimy uczcić jej powrót z Indii. Niestety, zapomniałam ryżu – dodała. Pewnie nie zdążył jeszcze wyrosnąć na jej minipolu ryżowym – pomyślałam.

– Jest już pora lunchu? – zapytał Ben, zerkając na komórkę.

– No tak, czas leci, gdy dobrze się bawisz! – Serena zachichotała. – Ben, masz ochotę na curry? Wspominałeś kiedyś, że lubisz ostre dania, więc przygotowałam ci oddzielną, bardziej doprawioną porcję.

Boże, ona była jak żona ze Stepford!

Ben natychmiast się rozpromienił.

– Idealnie. Mógłbym się do tego przyzwyczaić: to zdecydowanie lepsze niż tłusta kanapka. – Roześmiał się. – Muszę iść do banku, więc przy okazji kupię ryż. Odgrzejemy go sobie w mikrofali. Masz na coś ochotę, Georgio?

– Och, pójdę z tobą. Kupię sobie coś do jedzenia na wynos – powiedziałam.

Serena wyglądała na zawiedzioną moim brakiem entuzjazmu.

– Przepraszam, po prostu w Indiach strasznie objadłam się curry. Wystarczy mi do końca życia. Ale dziękuję.

– Och, rozumiem. Wobec tego może innym razem – odpowiedziała ze smutkiem.

Wiedziałam, że zachowuję się okropnie, ale musiałam skorzystać z okazji i porozmawiać wreszcie z Benem na osobności. Sięgnęłam po płaszcz. W tej samej chwili zadzwonił telefon, a ponieważ Serena ruszyła już do kuchni, żeby odgrzać curry, poprosiłam Kelli, żeby odebrała.

– Nawet jeśli przejadłaś się curry, ona naprawdę się starała. Przygotowała ten lunch specjalnie na twoją cześć – wyszeptał Ben, wskazując głową naszą niewielką kuchnię.

– Po prostu mam ochotę na kanapkę z jajkiem i majonezem – wymamrotałam.

– Nikt nigdy nie ma ochoty na kanapkę z jajkiem i majonezem – oznajmił Ben, unosząc lekko brew. – Wiem, że pewnie nie możesz się przyzwyczaić do obecności Sereny, ale zaufaj mi, jest ogromnym atutem.

– Chyba raczej ma ogromne atuty – wyszeptałam zdecydowanie głośniejszym głosem niż zamierzałam. Ben posłał mi karcące spojrzenie. – Przepraszam. Po prostu nie mogę się do niej przyzwyczaić. Poza tym ledwo ją znamy.

Ben westchnął.

– Nie ufasz jej?

Kelli wyratowała mnie z opresji.

– Georgio! Zaczekaj! – zawołała.

Skrzywiła się i odłożyła słuchawkę.

– Dzwonił jakiś dziennikarz. Pracuje dla „Daily Timesa” i pisze o nas reportaż demaskatorski. Tak powiedział.

– Demaskatorski? – zapytał Ben. – Co on dokładnie powiedział, Kelli? – Przygryzł dolną wargę i skrzyżował ręce na piersi.

Kelli zwróciła oczy do nieba i postukała się po brodzie, próbując przypomnieć sobie niedawną rozmowę telefoniczną. Zachowywała się tak, jakbyśmy właśnie ją zapytali, co jadła na kolację dwa tygodnie temu.

– Mówił, że chce nas uprzedzić, artykuł ukaże się za kilka dni. I że robi to grzesznościowo...

– Grzecznościowo – poprawił ją Ben. Po raz pierwszy wydawał się naprawdę zirytowany jej nieporadnością.

– O właśnie. – Uniosła palec.

– Reportaż demaskatorski? – powtórzył Ben, potrząsając głową. – Dlaczego w „Daily Times” miałyby się ukazać artykuł na nasz temat?

– On mówił coś o wycieczce do Indii. Pisze reportaż o naszym biurze podróży i o nietypowych metodach zarządzania albo czymś takim.

Ogarnął mnie niepokój.

– Kelli, czy on powiedział, jak się nazywa? – zapytałam powoli.

Pokiwała głową i spojrzała na karteczkę, na której zapisała szczegóły.

– Hm, tak. Kennings, Christopher Kennings. – Spojrzała na nas pytająco.

Ben popatrzył na mnie, czekając na reakcję.

– Kurwa.

– Jak to: „Kurwa”? Co to znaczy? – Ton jego głosu, w połączeniu z unoszącym się w biurze zapachem curry, sprawił, że zrobiło mi się niedobrze. – W Indiach wszystko poszło zgodnie z planem, prawda? Prawda, Georgio?

Pokiwałam niepewnie głową.

– Georgio?

Cholera! Zamierzałam mu o wszystkim opowiedzieć w drodze do sklepu. Chciałam porozmawiać z nim w cztery oczy i dokładnie wyjaśnić, co wydarzyło się w Indiach.

– Znalazłam go! – zawołała Kelli, nachylona nad laptopem. Natychmiast zaczęła szukać Christophera Kenningsa w sieci. Nie zważając na wściekłą minę Bena, podbiegłam do niej i spojrzałam na ekran. – Zaraz... pamiętam tego faceta. To ten dziwak, który zjawił się u nas w biurze wieeeeki temu i dopytywał o nasze finanse. Pamiętasz go, Georgio?

Szyderczy uśmiešek Chrisa wypełnił cały ekran. Nie zważając na przerażenie malujące się na mojej twarzy, Kelli zaczęła czytać na głos krótką notkę znajdującą się pod jego zdjęciem.

– Piszą tutaj, że jest szanowanym i bezpardonowym... cokolwiek to znaczy... dziennikarzem śledczym zajmującym się światem biznesu.

Chris był dziennikarzem. Nic dziwnego, że to właśnie on odkrył moją prawdziwą tożsamość i o wszystkim powiedział reszcie grupy. To dlatego nigdy

nie opowiadał o sobie, w nic się nie angażował i bez przerwy robił zdjęcia albo zapisywał coś w tym swoim notesie. Wcale nie prowadził dziennika podróży ani pamiętnika.

– O rany! – zawołała Kelli.

– Co? – zapytał Ben, mrużąc oczy i patrząc to na mnie, to na ekran laptopa. Serena usłyszała, że coś się dzieje, i podeszła do biurka Bena.

– Wszystko okej? – zapytała nerwowo.

Nikt nie odpowiedział.

– Pamiętacie tamtą sieć piekarni, Grains and Barley? Tę, która zbankrutowała przez reportaż śledczy poświęcony przekrętom i nietypowemu stylowi zarządzania? – Pokiwaliśmy głowami. – No cóż, tamten tekst napisał właśnie pan Kennings.

Zrobiło mi się niedobrze.

– Georgio. – Ben odwrócił się do mnie, a na jego twarzy malowała się złość.

– Co się wydarzyło na tej wycieczce? O co może chodzić temu Chrisowi?

Stalowy wzrok Bena sprawił, że żołądek podchodził mi do gardła.

– Ja, hm... On... – Jąkałam się. Zrobiło mi się nagle bardzo gorąco. – Okej, to na pewno tylko wygląda tak poważnie. – Piskliwie się roześmiałam. Nikt nie poszedł w moje ślady. – Ben, czy możemy porozmawiać na osobności? – Wskazałam drzwi.

Zacisnął szczęki i skinął głową. Sięgnęłam po torebkę i płaszcz, po czym ruszyłam w ślad za nim. Postanowiłam nie zwracać uwagi na Serenę, która wydawała się zraniona tym, że wyłączyliśmy ją z tej rozmowy. Kelli wymamrotała pod nosem, że nigdy nie słyszy tych naprawdę ciekawych rzeczy.

Kiedy już wyszliśmy na ulicę, zamierzałam skierować się do pobliskiej kawiarni, ale Ben złapał mnie za rękę.

– Czy możesz mi po prostu powiedzieć, co się wydarzyło?

– Nawaliłam. Okej? Nawaliłam. – Rozłożyłam ręce tak szeroko, że prawie przewróciłam mijającą nas staruszkę, która prychnęła z niezadowoleniem. – Proszę, pozwól mi wszystko wytłumaczyć.

– Co wytłumaczyć? Mówiłaś, że jedziesz do Indii, żeby wyjaśnić sprawę jakichś negatywnych recenzji, a teraz znaleźliśmy się na celowniku znanego reportera, który postanowił ujawnić ciemne strony naszego biznesu! – wykrzyknął. Starsza kobieta, którą prawie przewróciłam, zatrzymała się i gapiła na nas tak, jakby oglądała najnowszy odcinek *Coronation Street*. – Dlaczego mieliby w ogóle o nas pisać? Co się stało? – Na twarzy Bena malowały się gniew i dezorientacja.

Naprawdę chciałam opowiedzieć mu o wszystkim w jakiejś spokojnej kawiarni, a nie na środku ulicy. Przy filizance cappuccino, tak żebyśmy mogli porozmawiać jak dorośli, zamiast przekrzykiwać się na oczach setek nieznajomych. Do oczu napłynęły mi łzy. Zrobiłam głęboki wdech i posłałam gapiącej się na nas

staruszcze pełne wściekłości spojrzenie, dając jej do zrozumienia, żeby spadała. Ale ona mnie zignorowała.

– Pojechałam sprawdzić, skąd wzięły się te wszystkie negatywne recenzje. Chciałam poznać Nihala i ustalić, co się stało. – Ben skinął głową. Tę część już znał. – Był w kompletnej rozsypce po rozstaniu ze swoją dziewczyną, Ameerą. Musiałam od czasu do czasu wkraczać do akcji i dbać, żeby uczestnicy wycieczki dobrze się bawili. Wszystko dobrze szło. W końcu trafiliśmy na Ameerę, która tymczasem zaczęła oprowadzać własną grupę. Wystąpiliśmy w idiotycznym bollywoodzkim filmie, Nihal i Ameera wrócili do siebie, a obie grupy się połączyły.

– Okeeej. – Ben głośno westchnął. – Ale co to ma wspólnego z tym dziennikarzem?

Skrzywiłam się. Druga część tej opowieści była zdecydowanie trudniejsza. Staruszka okazała się na tyle beczelna, że wyjęła sobie cukierek Werther's Original i włożyła go do ust, nie odrywając od nas oczu. Słyszając szelest papierka, zacisnęłam zęby, żeby nie wybuchnąć z wściekłości.

– No cóż, Chris pojechał na tę wycieczkę, ale bardzo dziwnie się zachowywał. Zawsze trzymał się z boku i w nic się nie angażował. – Ben wybałuszył oczy, ale nic nie mówił, czekając na dalszą część opowieści. – Żałowałam, że nie posłuchałam tego, co podpowiadała mi intuicja: Chris od samego początku wydawał mi się podejrzany. Uczestnicy stopniowo zaczęli się przed sobą otwierać, zdradzać sobie różne tajemnice i tak dalej. Zaufali mi, zwierzali się i wszystko szło naprawdę dobrze do czasu... do czasu, aż Chris znalazł ten nasz filmik. Ten, który nagraliśmy w biurze.

– I dowiedział się, że wcale nie jesteś fryzjerką Louise... – powiedział powoli Ben.

– Tak. Reszta grupy była na mnie wściekła. Wszyscy uważali, że ich oszukałam i wykorzystałam.

– Cholera. – Ben walnął się dłonią w czoło, a staruszka głośno ssała cukierek. – Czy jest coś jeszcze, o czym powinienem się dowiedzieć?

Skupiłam się na swoich butach. Nie potrafiłam spojrzeć Benowi w oczy.

– No cóż, puściłam mu bąka w twarz w czasie lekcji jogi...

Ben patrzył na mnie zaszokowany. To by było na tyle, jeśli chodzi o moją kobiecość. Pięknie, Georgio, naprawdę pięknie.

– No wiem! Ale wydawało mi się, że wszystko naprawiłam – mówiłam dalej. – Przeplątałam kawał drogi, żeby ich przeprosić. – Ben wydawał się zdezorientowany. Kiedy wypowiedziałam to na głos, zaczęłam mieć wątpliwości, czy rzeczywiście jest to tak duże osiągnięcie, jak do tej pory sądziłam. – Wyjechałam następnego dnia. Wydawało mi się, że zrozumieli, dlaczego nie byłam z nimi całkowicie szczerą.



– Najwyraźniej Chris nie dał się przekonać – powiedział Ben, powoli przetwarzając wszystko, co usłyszał.

– Najwyraźniej. – Otarłam łzy i z trudem przełknęłam ślinę. – Naprawdę jest mi przykro. Myślałam, że wszystko udało mi się naprawić. To jakieś idiotyczne nieporozumienie.

– Idiotyczne nieporozumienie?! – Szeroko otworzył oczy. – Georgio, dowalił się do nas znany reporter, który pewnie napisze w swoim tekście, że oszukujemy klientów i nakłaniamy ich do zwierzeń, żeby sprzedawać więcej wycieczek. Czy wiesz, ile szkód może wyrządzić taki artykuł?

Pokiwałam głową.

– Przykro mi. Chciałam tylko pomóc.

Ben głośno westchnął i wznosił oczy do nieba. Milczał przez dłuższą chwilę.

– Wydaje mi się, że powinnaś zrobić sobie trochę przerwy od Biura Podróży Samotnych Serc. I ode mnie. Spróbuję tymczasem ugasić ten pożar – powiedział lodowatym tonem.

– Ben, proszę. Naprawdę nie chciałam tego schrzanić. Staralam się, jak mogłam.

Pokiwał głową.

– Wiem. Słuchaj, powinienem już wracać i poszukać jakiegoś sposobu, żeby to wszystko naprawić. Zobaczmy się w poniedziałek.

Uśmiechnął się smutno i ruszył w stronę biura. Ugięły się pode mną kolana. Odprowadziłam go wzrokiem i dostrzegłam Kelli, przyciśniętą do okna. Staruszka, która przez cały czas nas obserwowała, przewróciła szklanym okiem i potrząsnęła głową, po czym rzuciła papierek na ziemię i poszła.

Ruszyłam przed siebie ulicą. Nie mogłam w to wszystko uwierzyć. Chris okazał się Chrisem Kenningsem, dziennikarzem, który mógł nas zrujnować – a to wszystko z mojej winy. Miałam ochotę wrócić do biura, udowodnić Benowi, że potrafię jeszcze to wszystko naprawić. Posprzątać bałagan, który sama zrobiłam. Mogłabym zadzwonić do Chrisa i zażądać, żeby nie publikował artykułu. Ale wiedziałam, że powinnam dać Benowi czas, pozwolić mu ochłonąć. Zdawałam sobie też sprawę, że jeśli wdam się w wojnę ze znanym reporterem, wyrządę jeszcze więcej szkód. Na szczęście nie zapisałam sobie numeru Chrisa – dzięki temu nie kusiło mnie, żeby do niego zadzwonić.

Przypomniałam sobie jego głośny tekst o sieci piekarni. W tamtym czasie, podobnie jak wielu innych ludzi, uważałam, że takie artykuły powinny się ukazywać. Ale teraz, kiedy podobny los mógł spotkać moje dziecko, czułam zupełnie inaczej. Gdyby nasze biuro podróży upadło na skutek moich błędów, nie tylko straciłabym pracę i mnóstwo pieniędzy – ale straciłabym też Bena. A to było dużo, dużo gorsze.

Wokół mnie ludzie plotkowali, dzieci puszczały w telefonach hiphopowe

piosenki, a kierowcy trąbili. Ja jednak ledwo zwracałam na to uwagę. Czułam się koszmarnie. Wiedziałam, z kim powinnam porozmawiać. Wiedziałam, kto może dać mi dobrą radę w tej beznadziejnej sytuacji. Moja najlepsza przyjaciółka. Sięgnęłam po telefon i wybrałam numer Marie. To idiotyczne nieporozumienie ciągnęło się już zbyt długo. Pora, żebym zachowała się dojrzałe i przeprosiła. Ale zamiast Marie usłyszałam w słuchawce pocztę głosową. Zostawiłam niezborną wiadomość i poprosiłam, żeby do mnie oddzwoniła. Boże, tak strasznie za nią tęskniłam. Nie miałam nawet z kim porozmawiać o tym, co się wydarzyło. Nie chciałam opowiadać o tym rodzicom, a Shelley i Jimmy jeszcze nie wrócili z wycieczki.

Byłam kompletnie ogłuszona. Weszłam do Tesco i ruszyłam przed siebie chwiejnym krokiem. Zdjęłam z półki butelkę białego wina – tego, które Marie lubiła najbardziej – do tego dorzuciłam paczkę chipsów i postanowiłam ją odwiedzić. Pora zakończyć ten absurd.

Wysłałam z supermarketu i sięgnęłam po telefon, żeby jeszcze raz do niej zadzwonić. Ponieważ wpatrywałam się w ekran, a w drugiej ręce niosłam zakupy, nie zauważyłam mężczyzny, który szedł z naprzeciwka i gwałtownie się zatrzymał. Potknęłam się o jego stopę i wpadłam na niego, prawie upuszczając butelkę Sauvignon Blanc.

– Ej! – zawołał ze złością.

– Uważaj! – odpowiedziałam. Po czym wyszczerzyłam zęby w uśmiechu. – Rahul?

– Louise!

– Jak to...? Co ty tu robisz? – zapytałam, szeroko otwierając usta ze zdziwienia. Jak to możliwe, że ciągle na siebie wpadamy?

– Dostaliśmy zielone światło w sprawie produkcji nowego serialu telewizyjnego, więc musiałem szybko wrócić z Indii i zająć się przygotowaniem. Będziemy go kręcić w Rotterdamie. – Uśmiechnął się, odsłaniając idealne białe zęby. – Hej, właściwie to świetnie, że na ciebie wpadłem. Zamierzałem się trochę ostrzec.

Spojrzałam na niego ze zdziwieniem. Musiałam wyglądać jak kompletna idiotka.

– No wiesz, skrócić włosy.

– Och, no tak. Faktycznie. – Nie mogłam uwierzyć, że zapomniałam o swoim kłamstwie. Nagle ogarnęło mnie wzruszenie. Nie byłam fryzjerką, miałam swoją wymarzoną pracę... ale pewnie już niedługo.

– Wszystko okej? Nie musisz mnie strzyc, jeśli nie chcesz... – powiedział niepewnie Rahul, kiedy z oczu pociekły mi łzy. Stałam na środku ulicy, ściskając w jednej ręce telefon, w drugiej butelkę szybko nagrzewającego się wina, a pod pachą ogromną paczkę połamanych chipsów. Płakałam.

– Nie o to chodzi... ja po prostu... – wyjąkałam.

– Czekał, podaj mi to, dobra? – Wziął moje zakupy i zaprowadził mnie szybko na pobliską ławkę pokrytą graffiti. Opadłam na nią tuż przy napisie *Dave kocha Shaz*, próbując złapać oddech.

– Dziękuję. Ja... nie mam na imię Louise. I nie jestem fryzjerką. Pokiwał powoli głową. Nie wydawał się zaskoczony.

– Proszę. – Podał mi chustkę i delikatnie pogłaskał mnie po ramieniu, kiedy wydmuchałam nos. – Czyli wcale się nie myliłem, prawda, Georgio? Pokiwałam głową i wcisnęłam chusteczkę do kieszeni.

– Przepraszam, że nie mogłam wyjawić ci prawdy. Musiałam zachować to w tajemnicy przed pozostałymi uczestnikami wycieczki. Jestem, a raczej byłam, współwłaścicielką biura podróży, które organizowało ten wyjazd.

Rahul zmarszczył brwi.

– Byłaś?

Głęboko westchnęłam i skinęłam głową.

– W Indiach wyszło na jaw, kim naprawdę jestem, a w prasie ma się ukazać artykuł o tym, jak okłamałam klientów. Ten tekst nas pogrzebie.

– Och. – Zaczął masować skronie. Wydawał się szczerze zmartwiony. – No tak, teraz już rozumiem... ta butelka wina. Słuchaj, niedużo o tobie wiem, ale wydaje mi się, że potrafisz wiele przetrwać.

– Czy to właśnie powiedziałaś Śiwa? – zażartowałam. Chciałam rozładować atmosferę, a poza tym skrycie liczyłam na opiekę hinduskich bóstw.

– Powiedziałaś pewnie, że powinnaś ufać własnym instynktom. Musisz mieć w sobie mnóstwo ognia, skoro udało ci się założyć ten biznes. Teraz powinnaś tylko zadbać o to, żeby nikt ci tego nie odebrał.

Zmarszczyłam brwi, zastanawiając się nad tym, co powiedział.

– Mam wrażenie, że ten ogień przygasł i ledwo się tli.

Rahul odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się.

– Ale nadal nie zgasł.

Powoli pokiwałam głową. Poczułam się nieco lepiej i odzyskałam trochę energii. Och, gdyby Flic stała teraz obok nas, byłaby w swoim żywiole, słysząc te wszystkie mądrości i frazesy. Ale w pięknych ustach Rahula wcale nie brzmiały tak banalnie.

– Jeżeli mogę ci jakoś pomóc, daj mi znać. Chociaż wydaje mi się, że musisz się po prostu przygotować na wielką bitwę i wierzyć, że zatriumfujesz. – Zerknął na srebrny zegarek, który na pewno nie mało kosztował. – Przepraszam, ale muszę już lecieć. – Skrzywił się. – Miło było na ciebie znowu wpaść, chociaż naprawdę powinniśmy przestać spotykać się w takich okolicznościach!

Pociągnęłam nosem i wzięłam się w garść.

– Dziękuję, Rahul. Cieszę się, że cię zobaczyłam. Powodzenia z nowym

serialem i trzymaj za mnie kciuki.

Potrząsnął głową.

– Nie potrzebujesz, żeby ktokolwiek trzymał za ciebie kciuki. Poradzisz sobie, Georgio.

Podjechałam autobusem, a potem przemierzyłam niewielką odległość dzielącą mnie od małego domu, który wynajmowali Marie i Mike. Chwyciłam mocniej butelkę wina i nacisnęłam dzwonek. Po kilku sekundach w drzwiach pojawił się Mike. Miał zmierzwione włosy, a na jego spokojnej zwykle twarzy malowało się zdenerwowanie.

– Och, cześć. – Spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

– Cześć, Mike. Nie poszedłeś do pracy?

– Nie. Wziąłem wolne, żeby odebrać Cole’a. – Spojrzał na butelkę wina, którą trzymałam, ale nie zaprosił mnie do środka. To nie było w jego stylu.

– Rozumiem. Wszystko w porządku? Pomyślałam, że odwiedzę Marie. Dawno się nie widziałyśmy. – Spojrzałam na kępki trawy wyrastające pomiędzy kamiennych płyt. – Chciałam się z nią pogodzić po... sam wiesz po czym.

Pokiwał głową i oparł się o drzwi.

– No tak. Takie kłótnie nie są w waszym stylu.

– Marie jest w domu?

Odwrócił się i spojrzał na korytarz.

– Hm, Marie, niestety, słabo się czuje. Dlatego wcześniej wróciłem. – Wskazał butelkę wina. Wiedziałam, że powinnam raczej przynieść kwiaty. – Nie da rady się z tobą napić. Zresztą czy nie jest trochę za wcześnie na alkohol?

Zarumieniłam się.

– Tak, pewnie tak. Po prostu miałam beznadziejne przedpołudnie w pracy.

Pokiwał głową ze zrozumieniem.

– No tak, a więc...

– Czy mogę wejść i tylko się z nią przywitać? Dosłownie na chwilę. – Boże, dziwnie się czułam. Marie nigdy nie chorowała, a nawet jeśli gorzej się czuła, starała się funkcjonować normalnie. Wzywanie Mike’a z pracy nie było w jej stylu. Zwykle musiałam ją siłą zatrzymywać w łóżku i przygotowywać boksy serialu *Gavin & Stacey*, żeby czymś ją zająć.

Mike podrapał się po nosie.

– Raczej nie, Georgio. Może za kilka dni, kiedy lepiej się poczuje. Przepraszam. – Patrzył na mnie przez dłuższą chwilę, po czym ze smutkiem wzruszył ramionami i zaczął zamykać drzwi.

– Och, rozumiem, w takim razie...

– Przekażę jej, że wpadłaś. Naprawdę muszę już lecieć. Nie mogę spóźnić się po Cole’a. Sama wiesz, jak ściśle przestrzegają regulaminu w tych cholernych żłobkach.

Pokiwałam głową. Nie. Nie miałam o tym pojęcia.

– Okej, dzięki.

Uśmiechnęłam się bez przekonania i zaczęłam się wycofywać w stronę ulicy.

Mike zamknął drzwi. Dziwne.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

### Męstwo, czyli odwaga lub determinacja w obliczu zagrożenia

Stałam właśnie na przystanku, czekając na autobus do domu i myśląc o tym, że będę samotnie pić wino – kiedy zadzwonił mój telefon. Marie! Zaczęłam szybko szukać komórki w torebce, przy okazji zgniatając paczkę chipsów. Wreszcie znalazłam telefon... na ekranie wyświetlił się numer Kelli.

– Halo?

– Georgio! – zawołała zdyszana Kelli. – Musisz szybko wracać.

– Co? Wszystko w porządku? – Dreszcz przebiegł mi po plecach.

– Nie. Ja... Ben...

– Kelli, źle cię słyszę. Sygnał jest beznadziejny. – Zerknęłam na migoczącą ikonkę zasięgu i zdałam sobie przy okazji sprawę, że bateria też może niedługo paść. – Co się dzieje?

– Georg... Wracaj...

– Kelli! Nie słyszę cię. Czy nie możesz zadzwonić do mnie z telefonu stacjonarnego?! – krzyknęłam.

– Nie... – Brzmiała tak, jakby znajdowała się pod wodą. – Serena... Ben... Kłamstwa...

– Kelli. Kelli. Jesteś tam? – Połączenie się urwało. Próbowałam oddzwonić, ale od razu włączała się poczta głosowa. O czym ona, do cholery, mówiła? Zatrzymałam taksówkę i szybko ruszyłam do biura.

Droga trwała całą wieczność. Uczniowie wyszli właśnie ze szkół, a na ulicach roiło się od rodziców, którzy jechali po swoje dzieci. Rozładował mi się telefon. Wyjęłam baterię, potrząsnęłam nią, podmuchałam i włożyłam z powrotem na miejsce – ale nic to nie dało. Przez moją głowę przewijały się liczne wariacje tego, co powiedziała Kelli.

– Chcesz, żebym jechał Mancunian Way, kochanie? – zapytał kierowca, przewracając oczami na widok sznura stojących w korku samochodów.

– Jak pan uważa – powiedziałam w roztargnieniu. O czym mówiła Kelli i dlaczego to nie Ben do mnie zadzwonił?

– Widzisz, o tej porze dnia ulice są zakorkowane, bo rodzice odbierają dzieci z Saint Mary's, ale jeśli spróbujemy ściąć przez Elderware Street, możemy wyminąć autobusy jadące z Green Oaks. Tyle że nie ma pewności, czy to się uda, bo zbudowali tam to ogromne Tesco. – Nie przestawał paplać, choć nie okazywałam ani odrobiny zainteresowania.

– Mhm, w porządku. – Po prostu zawieź mnie do biura! Miałam ochotę

krzyczeć, ale tego nie zrobiłam. Nie mogłam nawet zająć się telefonem: pozostały mi tylko rozmyślania.

– Nie rozumiem, po co nam taki wielki supermarket. On ma trzy piętra! Trzy piętra wypełnione chłamedem, którego nie potrzebujemy. To jak wizyta w Ikei. Żona wiecznie mnie tam ciągnie. Człowiek musi krążyć po całym sklepie, stresuje się, gubi, a na koniec i tak nie kupuje tego, po co przyjechał. Moim zdaniem to jakieś szaleństwo. Nie rozumiem, dlaczego ludzie tak chętnie komplikują sobie życie. Co złego w prostocie? Wtedy zawsze wiesz, na czym stoisz.

W końcu zatrzymaliśmy się w bocznej uliczce, a ja szybko zapłaciłam. Zostawiłam ciepłą butelkę wina na tylnym siedzeniu i choć taksówkarz paplał właśnie o koszmarnych drogach i bałaganie panującym w kraju, zatrzasnęłam drzwi i pomknęłam do biura. Weszłam do środka, próbując złapać oddech. Kelli spojrzała na mnie z przerażeniem. Wyglądała tak, jakby miała się zaraz rozpłakać. Ben siedział pochylony nad laptopem, przy uchu trzymał telefon. Serena gdzieś przepadła.

– Co się stało? Wszystko w porządku? – zapytałam, ocierając pot z czoła i rzucając torebkę na biurko.

– Nie – powiedziała cicho Kelli, wskazując Bena, który podniósł rękę i dał znak, że zaraz skończy. Kelli pomknęła do łazienki, zanim zdążyłam zadać kolejne pytanie. Pozostawało mi czekać.

– Świetnie. Rozumiem. Dziękuję za pomoc – rzucił Ben, po czym z wściekłością odłożył słuchawkę i obrócił się w moją stronę. Wyglądał tak, jakby ktoś mu przed chwilą zmarł.

– Co się dzieje? O Boże, czy coś się stało Trishy? – Zamierzałam ją odwiedzić, ale miałam po powrocie mnóstwo spraw na głowie. Serce waliło mi jak oszalałe, ale po chwili przypomniałam sobie, że Kelli mówiła przez telefon o Serenie, Benie i kłamstwach.

– Usiądź – poprosił stanowczo Ben. Nie odrywałam od niego wzroku.

– Czy Trishy nic się nie stało? Wszystko z nią w porządku? Kiedy ostatnio ją widziałam, wyglądała świetnie. Czy ona tylko upadła, czy stało się coś poważniejszego? – wyrzucałam z siebie w panice kolejne pytania.

Ben westchnął.

– Nie chodzi o Trishę, chociaż zapomniałem ci powiedzieć, że wróciła do szpitala.

– O Boże! Dlaczego?

– Nic jej nie jest. Musieli jej zrobić jakieś dodatkowe badania. Okazało się, że kostka źle się zrosła, ale powiedzieli, że to nic poważnego. Po prostu chcą ją mieć na miejscu, żeby monitorować sytuację ze względu na jej wiek. To wszystko.

Głęboko odetchnęłam. Ogarnęła mnie ogromna ulga.

– Więc o co w takim razie chodzi?

Ben odchrząknął.

– Serena zniknęła.

– Jak to: zniknęła? – Spojrzałam na niego ze zdziwieniem.

– Uciekła.

– Co? W jakim sensie?

– Pamiętasz, jak mówiłem, że wybieram się do banku? – Pokiwałam głową.

– Poprosiłem Serenę, żeby poszła zamiast mnie, bo chciałem skontaktować się w międzyczasie z tym całym Chrisem. – Pokiwałam głową, a w brzuchu poczułam gwałtowny skurcz. Ben przetarł twarz dłońmi i głęboko westchnął. – No cóż... Już nie wróciła.

Wpatrywałam się w niego, próbując zrozumieć sens tych słów.

– Miałaś rację, Georgio. Nie należało jej ufać. Nie dotarła do banku: uciekła z gotówką.

– Nie!

– Tak. – Pokiwał głową ze smutkiem.

– Ale przecież trzymamy tu zwykle najwyżej kilkaset funtów. – Spojrzałam na otwarty sejf. Miałam kompletną paranoję i bałam się, że ktoś włamie się do naszego biura – dlatego regularnie wpłacaliśmy pieniądze do banku i nie przechowywaliśmy na miejscu zbyt wiele gotówki.

Ben potrząsnął głową.

– Zanim wróciłaś, zgromadziliśmy sporą kwotę. Klienci opłacili wycieczkę i wyszło tego w sumie około pięciu tysięcy funtów. Byłem zbyt zajęty, żeby pójść z tymi pieniędzmi do banku.

– Co? Przecież większość ludzi płaci kartą kredytową albo czekiem. Kto wpłaca takie kwoty w gotówce?

– Kelli usłyszała, jak Serena tłumaczyła klientom, że nasze terminale są zepsute. Myślała, że to prawda... w końcu czasem rzeczywiście odmawiają posłuszeństwa. W każdym razie kiedy Serena długo nie wracała, zadzwoniłem do niej na komórkę, ale od razu włączyła się poczta głosowa. Trochę mnie zaskoczyło, że wzięła płaszcz i torebkę, skoro bank jest dosłownie dwie minuty stąd. I wtedy Kelli zorientowała się, że Serena opróżniła szuflady biurka. – Westchnął. – To nie wszystko. W ramach swojego nowego systemu porządkującego skrzynki mejlowe w tajemnicy kontaktowała się z naszymi kontrahentami i informowała, że nie dostaliśmy płatności. Twierdziła, że wszystkie чеки zostały odrzucone, więc muszą pilnie wpłacić odpowiednie kwoty za jej pośrednictwem.

Pieprzona suka! Nadal nie mogłam złapać tchu. Gotowałam się ze złości. Nie chciało mi się wierzyć, że ta kobieta zjawiała się w naszym biurze i po prostu nas okradła.

– Zadzwoniłem do banku, poinformowano mnie, że nie zostały dziś zarejestrowane żadne wpłaty. Zgłosiłem sprawę policji i poprosiłem Kelli, żeby cię



zawiadomiła. – Ben wyglądał tak, jakby miał się zaraz rozplakać.

Nie dość, że mieliśmy na karku tego cholernego Chrisa Kenningsa, którego artykuł mógł nas pogrzyść, to jeszcze doszli do tego wściekli klienci, strata ogromnej kwoty w gotówce i zaginiony pracownik. Świetnie. Po prostu świetnie.

– Straciłem czujność. Spieprzyłem to – przyznał cicho Ben, przygryzając wargę.

Westchnęłam i podeszłam do jego biurka, po czym delikatnie położyłam mu dłoń na ramieniu.

– Nie ty jeden.

Spojrzał na mnie. Był załamany.

– To może nas zrujnować.

– Wiem. – Czułam, że zaraz się rozplaczę.

Nie powiedziałam nic więcej. Oboje popełniliśmy poważne błędy, a nasze decyzje doprowadziły do groźnej sytuacji. Dzwonek telefonu wyrwał mnie z rozmyślań w chwili, gdy planowałam wynajęcie płatnego zabójcy, który namierzyłby tę sukę.

– Odbiorę! – krzyknęła Kelli.

Zapomniałam o jej obecności. Siedziała w kącie, potrząsając głową i wycierając oczy. Dotarło do niej nagle, że Idealna Serena jest tylko wytworem jej wyobraźni i że ukradła nawet bilety na koncert Battlestar Death Wing.

– Rozmawiałem już z bankiem i z policją. Ponieważ Serena nie była tu oficjalnie zatrudniona – to kolejna sprawa, którą zaniedbałem – a w CV podała zmyślony adres, nie da się jej odnaleźć. Nawet nazwisko okazało się fałszywe. Serena DeVere po prostu nie istnieje. – Nic dziwnego, że nie mogłam znaleźć jej w sieci. Ta wywłoka nas wszystkich oszukała! – A ponieważ chodzi o gotówkę, nie sądzę, żebyśmy mogli cokolwiek odzyskać.

Kelli odłożyła słuchawkę i krzyknęła z przerażeniem:

– Dzwonili z „Daily Timesa”. Artykuł ukaże się jutro!

– To by było na tyle. Mamy przerabane – oznajmił Ben, uderzając pięścią w stół.

Skrzywiłam się, a do ogromnych oczu Kelli napłynęły łzy.

– Naprawdę? – zapytała, nerwowo bawiąc się dłońmi.

Zerknęłam na Bena, starając się dać mu telepatycznie do zrozumienia, żeby się uspokoił i przestał straszyć naszą młodą asystentkę.

To mi się najwyraźniej udało, bo po chwili dodał spokojniejszym tonem:

– Przepraszam, Kel, ale nie wygląda to najlepiej. Nie wiem, czy odbijemy się jeszcze finansowo, nie wspominając o czarnym piarze, który zapewni nam ten artykuł.

– Ale znajdziecie jakieś rozwiązanie, prawda? Zawsze to robicie! – wyjąkała Kelli, patrząc z rozpaczą to na mnie, to na Bena. – To nie może być koniec Biura

Podróży Samotnych Serc, koniec Georgii i Bena. Naprawicie to?

Zachowywała się jak dziecko, które dowiedziało się właśnie, że Święty Mikołaj nie istnieje.

– Nie sędzę, żeby udało nam się to naprawić, Kel – przyznałam cicho. Czułam w głowie pulsujący ból, nogi się pode mną uginały i marzyłam o tym, żeby położyć się i zasnąć na tysiąc lat. – Może powinniśmy dziś wcześniej zamknąć i wrócić do domu, żeby trochę odpocząć. Wygląda na to, że jutro będziemy mieli ciężki dzień – zaproponowałam ze smutkiem.

Ben odchrząknął i pokiwał głową.

– Dobry pomysł.

Zrezygnowani, wyłączyliśmy laptopy i zgasiłmy światła.

– Czyli widzimy się jutro? – zapytała Kelli, wycierając nos. Po chwili utkwiała we mnie wzrok i dodała: – Proszę, Georgio. Wiem, że ty i Ben możecie jeszcze wszystko naprawić. Jesteście najlepszym zespołem, jaki kiedykolwiek widziałam.

Posłałam jej smutny uśmiech.

– Zrobimy wszystko, co się da – zapewniłam. Nie wiedziałam, co jeszcze mogłabym powiedzieć, więc po prostu zamknęłam za nią drzwi i spojrzałam na Bena, który w roztargnieniu stukał długopisem w blat biurka. Wyglądał koszmarnie. – Biedna dziewczyna. Jest przerażona. To była jej pierwsza prawdziwa praca – powiedziałam, wyglądając przez okno i odprowadzając Kelli wzrokiem. Poczulałam nagły przypływ sympatii do naszej biurowej ponuraczki. – Wydaje się przekonana, że coś wymyślimy. Też chciałabym w to wierzyć. – Potrząsnęłam głową. – Jesteś gotowy?

Ben głęboko westchnął.

– Kelli ma rację.

– Co?

Ben odwrócił się w moją stronę. Wściekłość zniknęła z jego twarzy, a jej miejsce zajęły smutek i rezygnacja.

– Ma rację co do nas. Jesteśmy świetnym zespołem.

Zaczął masować sobie skronie.

– Kiedy zaproponowałeś, żebyśmy założyli wspólnie Biuro Podróży Samotnych Serc, byłem strasznie podekscytowany i ciekawy, co uda nam się razem osiągnąć. Ale ten biznes zaczął się rozwijać dużo szybciej, niż sądziłem. Chyba się tego nie spodziewałem. Nigdy nie pracowałem tak ciężko i muszę przyznać, że czasami mnie to przerastało. Dlaczego miałbym zamienić podróżowanie po świecie na patrzeć, jak inni robią to zamiast mnie? Praca w biurze nigdy mnie szczególnie nie pociągała, nie wspominając o pocieszaniu płaczących klientów i rozwiązaniach rodem z korporacji.

Spuściłam wzrok, kompletnie zszokowana. Po raz pierwszy był ze mną tak

szczerzy.

– Pamiętaj, że każdy nowy biznes musi ciężko walczyć o przetrwanie przez pierwszych kilka lat – powiedziałam nieco piskliwym, płaczkliwym głosem.

– Wiem. Nie zrozum mnie źle: uważam, że biuro podróży, które rozwijasz, i marka, o którą tak walczysz, są niesamowite.

Nie podobał mi się kierunek, w jakim zmierzał.

– Biuro podróży, które wspólnie budujemy – poprawiłam.

Ben westchnął i smutno pokiwał głową.

– Tak, które wspólnie budujemy. We trójkę. – Zamilkł na chwilę i utkwiał we mnie wzrok. – Ale chociaż czasem czuję się tak, jakby ktoś mi podciął skrzydła, nie chciałbym być nigdzie indziej. Nawet dzisiaj. – Roześmiał się. – Biuro Podróży Samotnych Serc funkcjonuje tylko ze względu na ciebie. – Odchrząknął, po czym dodał: – Chodzi o ciebie. Zawsze chodziło.

Zakręciło mi się w głowie. Nie mogłam oddychać. Nagle zalały mnie wspomnienia – te, które zdążyły już lekko wypłowić. Czułam się tak, jakbyśmy zostali sami; jakby w tej jednej chwili w tym mieście i na tym świecie było nas tylko dwoje.

– Ale byliśmy przecież tylko kolegami z pracy. Myślałam, że podoba ci się Serena – powiedziałam.

Zacisnął zęby na dźwięk jej imienia i głęboko odetchnął.

– Georgio, nie zdajesz sobie sprawy, jaka jesteś wyjątkowa. W Tajlandii Shelley opowiedziała mi o twojej przeszłości, o tym, co zrobił facet, z którym byłaś zaręczona. Ten idiota rzucił piękną, niezwykłą dziewczynę, nie zdając sobie nawet sprawy, ile ma szczęścia.

Wpatrywałam się w Bena z szeroko otwartymi oczami. Nie mogłam uwierzyć, że nigdy nie rozmawialiśmy otwarcie o moich przejściach. Nie wspominałam o tym, bo nie chciałam, żeby zaczął na mnie patrzeć jak na wybrakowany towar.

– Już tyle razy próbowałam zebrać się na odwagę i zaprosić cię na coś więcej niż tylko kawę, ale bałam się. Bałam się, że uznasz mnie za kolejnego faceta, który chce cię zdobyć i porzucić, bałam się, że będę dla ciebie tylko odskocznią. Zaslugujesz na dużo więcej.

Po moim policzku spłynęła łza. Rany boskie! Czyli naprawdę podobałam się Benowi?! Nie mogłam w to wszystko uwierzyć.

– Ale przecież... ledwo mnie znasz.

– Znam cię lepiej, niż myślisz. Mam przed sobą silną, nieustraszoną kobietę, która zawsze umiała z godnością, wdziękiem i odwagą przyjmować to, co ją spotykało. Nawet nie wiesz, jaka jesteś inspirująca i niesamowita. – Wyciągnął dłoń i założył mi za ucho niesforny kosmyk. Patrzył mi prosto w oczy. – Wiem o tobie więcej, niż przypuszczasz. Wiem na przykład, jaki uroczy dźwięk wydajesz,

kiedy jesz coś, co ci naprawdę smakuje. – Zarumieniłam się. – Wiem, jak ćwiczysz wystąpienia w łazience, kiedy sądzisz, że nikt nie słyszy. Wiem, w jaki sposób poruszasz nosem, kiedy czytasz ważne mejle. Chodzi o ciebie, Georgio. – Ben uśmiechnął się do mnie. – Gdziekolwiek jesteś, ja też chcę tam być.

Zaschło mi w ustach. Byłam jednocześnie szczęśliwa, zmęczona, przestraszona i zdezorientowana.

– A co z biurem podróży? Kelli wierzy, że zdołamy to wszystko naprawić, ale tak naprawdę mamy przerąbane – wyszeptałam. Nie chciałam, żeby odrywał ode mnie swoje piękne oczy. Boże, jak on cudownie pachniał.

– Wiem. Nie zrozum mnie źle, jutro damy z siebie wszystko i będziemy walczyli o przetrwanie. Ale chcę, żebyś wiedziała, co czuję, w razie gdyby się nie udało. Powinienem ci to wyznać już dawno. Po prostu nagle zdałem sobie sprawę, że jeżeli wszystko się teraz zawali, mogę już nie mieć takiej okazji. Nie wiem, pewnie to najbardziej żalсна i tandetna rzecz, jaką można sobie wyobrazić, ale musiałem przynajmniej spróbować.

Potrząsnęłam głową.

– Nie, to wcale nie jest tandetne.

Nagle jeszcze bardziej zapragnęłam odnaleźć Serenę. Wcale nie po to, żeby spuścić jej łomot: chciałam ją mocno ucałować. Dzięki niej Ben wyznał mi wreszcie swoje uczucia. Czułam się tak, jakbym unosiła się w powietrzu i miała małe serduszka na źrenicach. Byłam przekonana, że Ben widzi, jak serce trzepocze mi pod bluzką.

– Myślę, że się w tobie zakochuję, Georgio – powiedział cicho. Przez chwilę wydawało mi się, że się przesłyszałam.

Spojrzał na mnie spod długich, gęstych rzęs. Patrzył tak intensywnie, że musiałam chwycić się krawędzi biurka. Łzy spływały mi po policzkach.

– Co? Na... naprawdę? – Pociągnęłam nosem i lekko potrząsnęłam głową. – Ben, ja się w tobie zakochałam już dawno temu.

Otarłam oczy wierzchem dłoni, a Ben powoli się do mnie zbliżył i mnie objął. Ten prosty, z początku niezdamny gest nagle okazał się idealny. Oboje stawaliśmy się coraz śmielsi. Ben opuścił głowę i przez chwilę patrzyliśmy sobie w oczy. Nasze twarze jeszcze nigdy nie znajdowały się tak blisko siebie. Nie zauważałam do tej pory prawie niewidocznej blizny nad jego wargą ani zielonkawych plamek na tęczęwkach. Nogi się pode mną ugięły, a ciało naprężyło w oczekiwaniu na to, co miało nadejść.

– Jesteś cudowna – wyszeptał Ben. Odchylił mi lekko głowę i dotknął ustami moich ust.

Ciężko oddychałam, a myśli wypełniała mi tylko radość, szczęście i pożądanie. Ben całował jeszcze lepiej, niż to sobie wyobrażałam. Przyciągnął mnie do siebie i delikatnie przebiegł mi palcami po włosach. Całe moje ciało topiło

się pod jego dotykiem. Nasze serca waliły jak oszalałe, języki oddały się poszukiwaniom, a oddechy stały się płytkie i nierówne. Jeszcze nigdy nie doświadczyłam takiego pocałunku. Delikatnego i namiętnego. Pełnego niewypowiedzianych słów i potrzeby nadrobienia straconego czasu.

Wreszcie musieliśmy zaczerpnąć tchu. Nasze piersi unosiły się i opadały, a pokój wirował nam przed oczami. Cisza panująca w pomieszczeniu wydawała się ogłuszająca. Próbowaliśmy się uspokoić, przez cały czas nie odrywając od siebie oczu. Nagle zaczęłam chichotać.

– Co? – zapytał Ben, nerwowo cofając dłoń i przeczesując włosy.

– Ben Stevens mnie pocałował.

– Najwyższa pora. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu, pochylił się w moją stronę... i nasze usta znowu złączyły się w pocałunku.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

### Zadośćuczynienie, czyli rekompensata za poniesione straty

Przemierzałam sterylnie czyste korytarze szpitala, w którym w zeszłym roku leżał mój tata. Wyglądały identycznie i wszystko wskazywało na to, że będę jeszcze przez długie godziny wędrowała w poszukiwaniu oddziału, na którym leżała Trisha. Po tym, jak Ben wyznał mi swoje uczucia, miałam wrażenie, że nie stąkam po ziemi, tylko unoszę się w powietrzu. Nie mogłam przestać się uśmiechać, co wydawało mi się lekko zaskakujące w obliczu tego, że biuro podróży mogło lada chwila upaść. Najwyraźniej po wyprawie do Indii i po tym, jak Ben wyszeptał mi do ucha słowa, o których od dawna marzyłam, wszystko inne stało się nagle mniej ważne. Czułam się silniejsza, gotowa stawić czoło temu, co miał przynieść kolejny dzień. Wiedziałam, że Ben będzie przy mnie, cokolwiek się wydarzy.

Kiedy nasze usta wreszcie się rozłączyły, zamknęliśmy biuro, a ja poszłam odwiedzić Trishę. Choć Ben zapewniał, że nic poważnego jej nie dolega, uważałam, że powinnam się z nią zobaczyć. Poza tym potrzebowałam trochę czasu, żeby przetrwać wszystko, co wydarzyło się w ciągu ostatniej doby – to, co złe, i to, co dobre – a następnie opracować plan, który pozwoli uratować nasze biuro podróży.

Ponieważ korytarze były puste, postanowiłam zapytać o drogę w niewielkiej kawiarni, którą już dwukrotnie mijałam. Kiedy weszłam do środka, pulchna kobieta z wydatnym biustem powitała mnie szerokim uśmiechem.

– Dzień dobry, kochanie. W czym mogę pomóc?

– Och, przepraszam, gdzie znajdę... – Gwałtownie zamilkłam, kiedy zobaczyłam, kto siedzi przy jednym ze stolików. Co ona tu robi? – Zresztą nieważne – dodałam w roztargnieniu, a kobieta wyduła wargi.

Podeszłam do stolika. Ogarniał mnie coraz większy niepokój.

– O mój Boże! A więc naprawdę jesteś chora? Co się dzieje? Co ci dolega? Wiedziałam, że powinnam poświęcać ci więcej czasu, być lepszą przyjaciółką... – Wyrzuciłam z siebie te słowa z prędkością światła, patrząc z niepokojem na Mike'a i bladą Marie. Do oczu napłynęły mi łzy.

Marie spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

– Georgio, o czym ty mówisz?

– Jesteś chora, prawda? – Patrzyłam to na nią, to na niego i nagle zorientowałam się, że Mike wydaje się zaskakująco radosny jak na partnera umierającej dziewczyny.

Marie potrząsnęła głową i roześmiała się, po czym odsunęła krzesło i dała mi znak, żebym usiadła.

– Nie jestem chora...

– Och, dzięki Bogu! – zawołałam.

– To znaczy... chorowałam przez kilka dni, ale okazało się, że to nie jest prawdziwa choroba. – Spojrzała na mnie znacząco. Nie miałam zielonego pojęcia, o co jej chodzi.

– Jak to?

– Georgio, jestem w ciąży. – Chwyciła mnie za rękę.

Spojrzałam na Mike'a, potem znowu na nią – i nagle zauważyłam leżące na stoliku pomiędzy ich pustymi filiżankami czarno-białe, ziarniste USG.

– O rany, to cudowna wiadomość! – Uściskałam ich oboje.

– Dziękuję. To ja powinnam cię przeprosić za to, że byłam okropną przyjaciółką – powiedziała Marie, bawiąc się torebką cukru. Mike tymczasem wstał i poszedł przynieść mi coś do picia.

– Nie, to wszystko moja wina.

– Nie. Muszę ci się do czegoś przyznać. – Głęboko odetchnęła. – Wiesz, człowiek w ciąży robi czasem różne głupoty.

– O tak. – Przewróciłam oczami i roześmiałam się. – Pamiętam, jak zaczęłaś śledzić Shane'a Richiego, zanim dowiedziałaś się, że jesteś w ciąży.

Zarumieniła się i sprawdziła, czy Mike nas nie usłyszał.

– Tak... No więc znowu trochę szaleją mi hormony, tyle że tym razem nie chodzi o pana Richiego... tylko o kradzież paszportu.

Dopiero po chwili dotarło do mnie, co powiedziała.

– Zabrałaś paszport Shelley?

– Bardzo, bardzo cię przepraszam. Skontaktowałam się już z Shelley i ją przeprosiłam. Zamierzałam ci o wszystkim powiedzieć przy pierwszej okazji, ale miałam rano straszne mdłości i fatalnie się czułam, a nie chciałam tego robić przez telefon. Zamierzałam odwiedzić cię w czasie weekendu. Błagam, powiedz, że mi wybaczasz.

Nic dziwnego, że Shelley się do mnie nie odezwała.

Mocno ją przytuliłam.

– Oczywiście.

– Swoją drogą czemu nie jesteś w pracy? – Marie zerknęła na zegarek.

– No cóż, powiedzmy, że nie tylko ty masz ciekawe nowiny. – Westchnęłam i o wszystkim jej opowiedziałam.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

### Następstwa, czyli skutki określonych działań

Następnego ranka, po zaledwie kilku godzinach snu, pobiegłam do pobliskiego kiosku. Byłam w pidżamie, miałam zmierzwione włosy i wyglądałam jak strach na wróble – ale uznałam, że na pewno nie wypadnę gorzej niż na zdjęciach, które Chris robił nam podczas wyjazdu. Nie wątpiłam, że zostaną dołączone do artykułu. Zamierzałam po drodze odwiedzić pobliskie kioski i wykupić wszystkie dostępne egzemplarze tej gazety. Choć Marie bardzo mi pomogła, nadal nie znalazłam rozwiązania, które pozwoliłoby w pełni zapobiec katastrofie. Nic lepszego nie udało nam się wymyślić.

– Coś jeszcze? – zapytał mężczyzna za ladą, głośno ziewając.

– Nie ma pan więcej egzemplarzy? – Potrząsnął głową. – W takim razie poproszę te. Dziękuję.

Wziął ode mnie pieniądze, kompletnie nie zwracając uwagi na dziwnie ubraną kobietę spragnioną porannej prasy.

– Dziękuję i zapraszam ponownie – powiedział na pożegnanie.

Usiadłam na ławce i zamknęłam oczy, a potem głęboko odetchnęłam i zaczęłam przerzucać kartki. Wiadomości, wiadomości, wiadomości. W końcu znalazłam dział poświęcony biznesowi i finansom. O cholera. Zobaczyłam swoją pokrytą farbą twarz. To zdjęcie musiało powstać tamtego przekłętego wieczoru w święto Holi. Pod fotografią znajdował się nagłówek: „SZEFOWA BIURA PODRÓŻY ZDEMASKOWANA NA WYCIECZCE”. Westchnęłam i zaczęłam czytać...

*Biuro Podróży Samotnych Serc, które stawia sobie za cel pomaganie samotnym, porzuconym ludziom, od momentu powstania w listopadzie zeszłego roku wyrastało stopniowo na gwiazdę branży turystycznej. Ale czy w dobie brutalnych recenzji w sieci ta firma z siedzibą w Manchesterze ma szansę przetrwać? W swoim reportażu Chris Kennings stara się odpowiedzieć na to pytanie.*

**Szefowa Biura Podróży Samotnych Serc ryzykowała własną reputację i udawała fryzjerkę, żeby sprawdzić, jak wygląda jedna z wycieczek, które oferuje – ale czy oszukała przy tym swoich klientów? Niedługo po tym, jak sama została porzucona przez narzeczonego, Georgia Green postanowiła założyć biuro podróży organizujące wycieczki dla ludzi świeżo po rozstaniach. Ostatnio poleciała do Indii, żeby osobiście wyjaśnić przyczyny, dla których na popularnym blogu podróżniczym pojawiły się negatywne recenzje wycieczki.**



W jednym, niezwykle krytycznym wpisie Biuro Podróży Samotnych Serc oskarżono o to, że wysyła klientów na źle zorganizowaną, chaotyczną wyprawę i wynajmuje „leniwego”, „niegrzecznego” przewodnika. Redakcja „Daily Times” postanowiła wybrać się na tę wycieczkę, żeby zweryfikować oskarżenia – obecnie wycofane już przez autora bloga. Okazało się, że panna Green sama wzięła udział w wycieczce, podając się za Louise, fryzjerkę z Manchesteru. Przyjęła fałszywą tożsamość najprawdopodobniej po to, żeby przekonać się osobiście, czy zarzuty anonimowego blogera są słuszne.

Ale czy miała prawo oszukiwać własnych klientów? Na wycieczce, podczas której odwiedza się piękny Tadź Mahal, szalony Bombaj i plaże Goa, panna Green zdołała zwieść pozostałych uczestników, ale nie mnie.

Oho – pomyślałam. – Teraz się zaczniesz...

Zanim wykupiłem wycieczkę, wybrałem się do siedziby tej firmy, znajdującej się w Manchesterze. Ogromne wrażenie zrobiły na mnie profesjonalizm i uprzejmość niewielkiego zespołu Biura Podróży Samotnych Serc.

Byłem zatem ciekaw, dlaczego właścicielka zdecydowała się na tak radykalne rozwiązanie. Czy szukała wymówki, żeby wybrać się do Indii, czy raczej postanowiła podjąć wyjątkowe kroki i zadbać o właściwy przebieg wycieczki?

Z początku nie miałem co do tego pewności.

Pierwszego wieczoru w New Delhi niemal obnażyła się przed klientami restauracji podczas występu karaoke. Dzielilem z nią niewielką i niezwykle skromną chatę na jednej z piaszczystych plaż Goa, stałem się nawet ofiarą jej wzdęć podczas lekcji jogi.

Nie zauważyłem, by panna Green sporządzała jakiegokolwiek notatki. Nie składała raportów swojemu działowi sprzedaży i nie zadawała klientom pytań o to, jakie ulepszenia można ich zdaniem wprowadzić albo czy uważają, że wycieczka jest warta swojej ceny. Gdyby mnie o to zapytała po pierwszych kilku dniach, odpowiedziałbym, że nie.

Ale wkrótce okazało się, że panna Green dokonywała ulepszeń na nieco innych obszarach.

Udało jej się doprowadzić do głębokiej przemiany naszego przewodnika, Nihala. Leniwy, źle zorganizowany człowiek, którego poznaliśmy pierwszego wieczoru, zmienił się w kompetentnego i pełnego pasji profesjonalistę. Nie ulega wątpliwości, że pomogło tu zatrudnienie drugiej przewodniczki, Ameery. Stworzyli razem doskonały duet.

Dynamika wycieczki, relacje między uczestnikami i sam jej przebieg – obecność panny Green, jej rady i zaangażowanie miały zbawienny wpływ na wszystkie te elementy. Właścicielka biura podróży nie uchylała się przed

ciężką pracą.

Ryzykowała własną reputację, żeby zadbać o klientów i zapewnić im doskonałą zabawę. Zależało jej na tym, żeby zapomnieli o zmartwieniach i bolesnych rozstaniach. W ramach wycieczki wystąpiliśmy w bollywoodzkim filmie, do którego zdjęcia kręcono na plaży w Bombaju. Mielśmy też okazję spotkać się z hinduskimi ascetami żyjącymi w niezwyklej świątyni. Intensywny plan zajęć i liczne aktywności sprawiły, że uczestnicy – z początku nieznajomi – stali się przyjaciółmi. Zwierali się, udzielali wsparcia sobie nawzajem i wrócili do domów silniejsi.

Jeden z podróżników opisał wycieczkę jako „bezcenną”, inny zaś zadeklarował, że „nigdy nie zapomni” tych dwóch tygodni spędzonych w Indiach.

Przyjęcie fałszywej tożsamości było niewątpliwie śmiałym, ryzykownym wręcz posunięciem, ale pasja, dbałość o szczegóły i pragnienie niesienia pomocy innym odegrały tu kluczową rolę. Początkowo myślałem, że wyniosę z tej wycieczki fatalne wspomnienia. Myliłem się.

Dzięki Biuru Podróży Samotnych Serc ucieszycie się, że zostaliście porzuceni.

O mój Boże! O mój Boże! Sięgnęłam po telefon komórkowy i zadzwoniłam do Bena.

Odebrał po jednym sygnale.

– Georgio!

– Ben! Widziałeś...? – zapytałam bez tchu.

– Tak. Cholera, niezły wyczyn. Nie wiem, jak nam się to udało – powiedział.

Potrząsnęłam głową i jeszcze raz przeczytałam cały tekst, cytując niektóre fragmenty na głos.

– Tylko to zdjęcie... – Skrzywiłam się.

– Na tym zdjęciu jest prawdziwa Georgia. Ta, którą poznałem w Tajlandii, ta, którą znam i za którą szaleję – oznajmił.

– O. – Zarumieniłam się.

– Świetnie wyszłaś, nie przejmuj się. Uświadomiłem sobie też, że nie opowiedziałas mi o tym nagim karaoke...

Uśmiechnęłam się.

– Hm, no tak... To nie było takie złe, jak mogłoby się wydawać.

Ben się roześmiał.

– No cóż, chętnie dowiem się czegoś więcej na ten temat. Masz ochotę na kawę? Spotkajmy się w biurze.

– Świetnie.

Tuż po tym, jak otworzyliśmy, zjawiła się Kelli. Wpadła do biura kompletnie oszołomiona, ściskając w ręku gazetę i patrząc na nas z niedowierzaniem.

– Wiedziałam, że wam się uda! – krzyknęła, po czym podbiegła i nas wyściskała.

– Cha, cha! Dzień dobry. – Roześmiałam się i ją objęłam. Poczułam intensywny zapach farby do włosów.

– Wrzuciłam już artykuł na Facebooka i Twittera. Żałujcie, że nie widzieliście, ile osób go skomentowało i podało dalej. Ma więcej polubień niż gif z mopsem tańczącym do piosenki Marilyn Mansona.

– Dzięki, Kel. – Uśmiechnęłam się do niej z jeszcze większą sympatią, kiedy sięgnęła po należące do Sereny zdjęcie róż w ramce ze sztucznymi diamentami i bezceremonialnie wrzuciła je do kosza.

– Proszę bardzo, durna suko.

Natychmiast przestałam się śmiać, kiedy uświadomiłam sobie, że musimy jeszcze uporać się z tym problemem. Artykuł okazał się ogromnym, kompletnie niespodziewanym sukcesem, ale straciliśmy dużą sumę i musieliśmy zwrócić pieniądze wielu osobom. Najwyraźniej Ben dostrzegł troskę malującą się na mojej twarzy, bo podał mi filiżankę kawy i dotknął mojej dłoni.

– Zadzwoń jeszcze raz na policję i dowiem się, czy nie wpadli na jakiś trop. Musimy myśleć pozytywnie i wierzyć, że ją złapią. Może zdołają namierzyć ją dzięki tym biletom?

Uśmiechnęłam się i pokiwałam głową.

– Trzymam kciuki.

Reszta dnia minęła w zawrotnym tempie. Rodzice zadzwonili do mnie i powiedzieli, że przesłali artykuł wszystkim znajomym. Tata zastrzegł przy okazji, że musiał powstrzymać mamę, która próbowała wymazać fragment o tym, jak puściłam bąka w twarz znanemu dziennikarzowi. Później zatelefonowała Shelley: widziała ten tekst w sieci i napisała już dwa komentarze na jego temat. Bardzo się cieszyła, choć jednocześnie żałowała, że przegapiła tak niesamowitą wycieczkę.

Telefony nie przestawały dzwonić: ci, którzy przeczytali artykuł Chrisa, chcieli koniecznie zarezerwować wycieczkę. W naszym biurze zjawiali się podekscytowani ludzie marzący o dalekich podróżach. Przeglądali broszury i foldery, wpłacali zaliczki, a w pewnym momencie ruch na stronie internetowej zrobił się tak duży, że padł nam serwer. Wszystko wskazywało na to, że zdołamy odzyskać część – o ile nie całość – sumy ukradzonej przez Serenę.

– Georgio? – Ben zakrył dłonią słuchawkę. Miał ponurą minę. – Policja chce z tobą porozmawiać.

Pożegnałam się z podekscytowaną kobietą, która wyszła z biura, ściskając ulotkę reklamową wycieczki do Indii, po czym odebrałam telefon.

– Halo?

– Panna Green? Dzień dobry, mówi oficer Wilkinson. Rozmawiałem z pani współnikiem, panem Stevenssem. – Słyszałam szelest kartek: policjant sprawdzał

dane i szczegóły. – Wygląda na to, że będziemy musieli zakończyć śledztwo, ponieważ nie mamy, niestety, wystarczającej liczby poszlak. Jako że państwa biuro nie zweryfikowało referencji i doświadczeń poszukiwanej, nie wspominając już o luźnym podejściu do procesu zatrudnienia, nie mamy szans na odnalezienie panny DeVere. Będziemy nadal monitorowali kwestię biletów, o których wspomniał pan Stevens, ale nie liczyłbym w tej kwestii na zbyt wiele.

Wiedziałam, że szanse na odnalezienie Sereny są bliskie zeru, a Ben przeprosił już za swoje błędy i zaniedbania. Nie przygotował nawet odpowiedniej umowy, co oznaczało, że nie mamy żadnych danych na temat złodziejki. Pozostawało mi liczyć na to, że dopadnie ją karma. Oby dostała to, na co zasługuje.

– Rozumiem.

– Sprawdziliśmy za to bazę i nawet z tymi szczątkowymi informacjami udało się powiązać tę sprawę ze śledztwem, które prowadził mój kolega z Hull kilka lat temu. Okoliczności zdarzenia wydają się bardzo podobne, a kobieta pasuje do opisu.

A więc już to wcześniej robiła.

– Wiem, że to niewielka pociecha, ale nie jesteście państwo pierwszymi, którzy padli ofiarą takiego oszustwa. I prawdopodobnie nie będziecie też ostatnimi. W przyszłości sugerowałbym zaostrzenie procedury rekrutacyjnej.

Rozejrzałam się po zatłoczonym biurze i uśmiechnęłam się do Kelli. Była w swoim żywiole i zajmowała się kolejnymi klientami.

– Proszę się nie obawiać, to się już nie powtórzy. Mamy idealnych pracowników.

Kiedy wreszcie wyszedł ostatni klient, opadłam na kanapę. Byłam kompletnie wyczerpana. Udało nam się przetrwać – a ja miałam ochotę krzyczeć z radości.

– Pomyślałem, że powinniśmy to otworzyć – oznajmił Ben. Wyszczерzył zęby w uśmiechu i wyciągnął w naszą stronę butelkę szampana.

– Fajny pomysł, ale szampan smakuje jak kocie siki – wymamrotała Kelli.

– Na zdrowie, Kel. Masz szczęście: kupiłem ci kilka napojów alkoholowych.

– Ben roześmiał się, a Kelli natychmiast się rozpromieniła.

Wyprostowałam się, potrząsnęłam głową i sięgnęłam po swój ulubiony kubek, do którego Ben nalał schłodzonego szampana. Udało mu się uchronić tę butelkę przed Sereną.

– Dziękuję. Zamówiłam też jedzenie na wynos.

– Powinniśmy ocierać się o bankructwo każdego dnia. – Kelli się roześmiała.

– Co wybrałaś?

– Indyjskie, oczywiście. – Uśmiechnęłam się.

– Doskonały wybór. Kieliszki w górę... a raczej kubki – poprosił Ben. – Chciałbym nam z całego serca pogratulować. Zdecydowanie zasługujemy na

szampana. Kel, jesteś naszą gwiazdą i wiem, że rozpaczasz, bo stracisz koncert Battlestar Death Wing. – Kel wzruszyła ramionami, próbując ukryć rozczarowanie. – Dlatego zadzwoniłem w parę miejsc, uruchomiłem kontakty i zdołałem załatwić ci dwa bilety na koncert w Liverpoolu. Nie udało mi się zdobyć miejsc w pierwszym rzędzie, ale przynajmniej zobaczysz ich na żywo.

– Co?! Mówisz serio?! – Kel zerwała się na równe nogi i mocno uściskała Bena.

– Dobrze, dobrze, uspokój się. – Roześmiał się. – Tylko nie proś mnie i Georgii, żebyśmy ci towarzyszyli.

Uśmiechnęłam się, widząc radość Kelli. Obiecała Benowi, że zaprosi na koncert chłopaka, który jej się podoba, i natychmiast rzuciła się do telefonu, żeby przekazać wspaniałą nowinę o koncercie obserwującą ją użytkownikom Twittera.

– Georgio, mam też coś dla ciebie.

Chciałam wyrazić nadzieję, że chodzi o jego cudowne, nagie ciało, ale ugryzłam się w język i spojrzałam wyczekująco.

– Och, naprawdę?

Podszedł i usiadł na kanapie. Otoczył mnie ramieniem, a ja poczułam na plecach dreszcz podniecenia.

– Myślałem o tym, co opowiadałaś o bezdomnych dzieciach z Delhi.

Poczułam bolesny skurcz w żołądku i natychmiast przypomniałam sobie pełne bólu i cierpienia oczy tamtej dziewczynki zebrzącej na ulicy.

– Tak... – Nagle ogarnęły mnie wyrzuty sumienia. Siedzieliśmy tu w ciepłe, piliśmy szampana i świętowaliśmy sukcesy, a ona tymczasem błąkała się po New Delhi.

– Zamierzałem poruszyć tę kwestię na naszym kolejnym zebraniu. – Na jego twarzy pojawił się uśmiech. – Mam pewną propozycję. – Zamilkł na chwilę, a ja przechyliłam głowę. – Nie przemyślałem jeszcze wszystkich szczegółów, ale chciałbym, żebyśmy założyli Fundację Samotnych Serc, fundusz non profit, który zasilałby wybrane przez nas organizacje charytatywne. Dzięki temu wykorzystam swoje doświadczenie i będziemy mogli pomóc innym. Odwdzięczymy się mieszkańcom miejsc, które odwiedzają nasi klienci.

Uśmiechnęłam się i spojrzałam na tkaninę, którą podarowała mi Ameera na Goa. Wisiała na honorowym miejscu nad moim biurkiem.

– To niesamowity pomysł – wyszeptałam. – Naprawdę jesteś wspaniałą. Wiesz o tym?

Pochyliłam się i delikatnie pocałowałam go w usta. Nie mogłam uwierzyć, że wreszcie robię to naprawdę, zamiast śnić o tym na jawie.

– Zlitujcie się! – zawołała Kelli, zasłaniając oczy.

– Proponuję, żebyśmy skończyli curry, zamknęli biuro i poszli do pubu. – Roześmiałam się i wstałam z kanapy.

Kelli przez dłuższą chwilę wpatrywała się we mnie ze zdziwieniem. Wreszcie pokiwała głową z uznaniem.

– Nie sądziłam, że dożyję dnia, kiedy to powiesz.

– No cóż, mamy co świętować. – Zerknęłam na Bena, który puścił do mnie oko. Uniosłam w górę kubek z szampanem. – Za nowe przygody.

– Za to zawsze chętnie wypiję!

#### PODZIĘKOWANIA

Ach... Ta problematyczna druga książka w serii... Mam nadzieję, że jesteście ze mnie dumni.

Dziękuję mojej najlepszej przyjaciółce, Jen Brown, która nigdy nie przestaje mnie zadziwiać i inspirować. Skoro już mowa o inspiracjach, chciałabym podkreślić rolę fantastycznych kobiet w mojej rodzinie, które nieustannie skłaniają mnie do tego, bym stawała się najlepszą wersją siebie. Kobiety z rodziny Taylorów powinny budzić jednocześnie strach i podziw. Niech świat ma się na baczności – tyle tylko mogę powiedzieć!

Napisałam *Biuro Podróży Samotnych Serc. Kierunek: Indie*, mieszkając we Francji. A to nie byłoby tak cudownym przeżyciem, gdyby nie wsparcie Manu, Laury, Anthony'ego, Alexii, Edouarda i przede wszystkim Gill Lethuillier, która stała się dla mnie kimś więcej niż tylko ciotką. *Merci pour tous*. Dziękuję moim niesamowitym rodzicom i rodzeństwu – Charlotte, Isobel, Jackowi i Jamesowi – za to, że nie pozwolili mi kompletnie odlecieć w okresie, w którym czułam się tak, jakby moje stopy miały na zawsze odkleić się od ziemi.

Miałam wiele szczęścia, że mogłam pracować z tak fantastycznymi kobietami jak Victoria Oundjian, Lydia Mason, Jennifer Krebs, Hannah McMillan i genialna agentka Juliet Mushens. To niesamowita ekipa. Wielkie wrażenie zrobiło na mnie nieustające wsparcie ze strony wszystkich pracowników Cariny i HarperCollins. Kto mógł przewidzieć, że pobiję światowe rekordy?! Mojej pisarskiej bandzie vel niestrudzonemu cheerleaderkom powiem tyle: dobrze wicie, kim jesteście. I cholernie Was kocham.

Moim przyjaciółom na całym świecie – tym starym i tym nowym – chcę przekazać, że Wasze pełne wsparcia wiadomości doprowadzały mnie na przemian do śmiechu i płaczu. Sprawiały też, że pękałam z dumy. Dziękuję Annie Lloyd za to, że pozwoliła mi dosłownie bombardować ją literackimi pomysłami podczas partyjki ping-ponga – i za to, że uczyniła spaghetti bolognese najlepszym lekarstwem na ból rozstania. Dziękuję świetnym dziennikarkom takim jak Alice McKeegan, Nina Warhurst i Mel Dawkes za to, że opowiedziały światu o historii mojej i Georgii. Wielkie podziękowania należą się też Johnowi Siddle'owi: mam szczęście, że mogę dzielić się tym wszystkim z Tobą. Pewnego dnia dostaniesz tego drinka / pasztecik z kurczakiem, który Ci obiecałam.

Niezmiennie budzi we mnie podziw ciężka praca autorów blogów

literackich, których pasja jest naprawdę zaraźliwa. Do takich osób zaliczają się: Laura Lovelock, Maryline VP, Simona Elena Schuler, Kelly i Lucy czyli The Blossom Twins, Sophie Hedley, Kirsty MacLennan, Rachel Gilbey, This Chick Reads, Alba Forbe, Ellen Faith, Rebecca Pugh i Sharon Wilden.

Dziękuję wszystkim, którzy kupili i przeczytali moją debiutancką powieść *Biuro Podróży Samotnych Serc. Kierunek: Tajlandia*. Dziękuję też tym, którzy dzielili się nią z innymi i którym się podobała. Mam nadzieję, że kolejny etap przygód Georgii jeszcze bardziej Wam się spodoba! Przesyłam wirtualne buziaki wszystkim, którzy mnie lubią i śledzą na Facebooku, Twitterze i Instagramie. Dziękuję za komentarze, retweety, wiadomości i lajki – to Wy mnie inspirujecie i bardzo się cieszę, że razem przeżywamy tę przygodę. A więc... dokąd teraz?!

Tytuł oryginału: *Destination: India*

Pierwsze wydanie: Carina, an imprint of HarperCollins Publishers, 2016

Opracowanie graficzne okładki: Emotion Media

Redaktor prowadzący: Małgorzata Pogoda

Opracowanie redakcyjne: Jolanta Nowak

Korekta: Jolanta Rososińska

© 2016 by Katy Colins

© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o. Warszawa, 2017

Wydanie niniejsze zostało opublikowane na licencji Harlequin Books S.A.

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych i umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

HarperCollins jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce: Shutterstock i iStock.

Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.

02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

[www.harpercollins.pl](http://www.harpercollins.pl)

ISBN 978-83-276-2396-6

Konwersja do formatu EPUB:

Legimi Sp. z o.o.



